

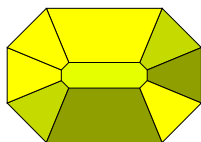
RYSZARD
KAPUŚCIŃSKI



Heban

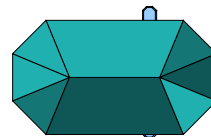
 **PUBLIO**.pl

BIBLIOTEKA GAZETY WYBORCZEJ



Ryszard Kapuściński

Heban



W Afryce mieszkałem kilka lat. Pierwszy raz pojechałem tam w 1957 roku. Potem, przez następnych czterdzieści lat, ilekroć nadarzała się okazja - wracałem. Dużo podróżowałem. Unikałem oficjalnych szlaków, pałaców, ważnych figur i wielkiej polityki. Natomiast lubiłem jeździć przygodnymi ciężarówkami, wędrować z koczownikami po pustyni, być gościem chłopów z tropikalnej sawanny. Ich życie jest mazołem, jest udręką, którą znoszą jednak ze zdumiewającą wytrwałością i pogodą. Nie jest to więc książka o Afryce, lecz o kilku ludziach stamtąd, o spotkaniach z nimi, czasie wspólnie spędzonym. Ten kontynent jest zbyt duży, aby go opisać. To istny ocean, osobna planeta, różnorodny, przebogaty kosmos. Tylko w wielkim uproszczeniu, dla wygody, mówimy - Afryka. W rzeczywistości, poza nazwą geograficzną, Afryka nie istnieje. R.K. Początek, zderzenie, Ghana '58. Przede wszystkim rzuca się w oczy światło. Wszędzie - światło. Wszędzie - jasno. Wszędzie - słońce. Jeszcze wczoraj, ociekający deszczem, jesienny Londyn. Ociekający deszczem samolot. Zimny wiatr i ciemność. A tu, od rana całe lotnisko w słońcu, my wszyscy - w słońcu. Dawniej, kiedy ludzie wędrowali przez świat pieszo, jechali na wierzchowcach albo płynęli statkami, podróż przyzwyczajała ich do zmiany. Obrazy ziemi przesuwały się przed ich oczami wolno, scena świata obracała się ledwie-ledwie. Podróż trwała tygodniami, miesiącami. Człowiek miał czas, żeby żyć się z innym otoczeniem, z nowym krajobrazem. Klimat też zmieniał się etapami, stopniowo. Nim podróżnik dotarł z chłodnej Europy do rozpalonego równika, miał już za sobą przyjemne ciepło Las Palmas, upały El-Mahary i piekło Zielonego Przylądka. Dzisiaj nic nie zostało z tych gradacji! Samolot gwałtownie wyrzuca nas ze śniegu i mrozu i jeszcze tego samego dnia rzuca w rozpaloną otchłań tropiku. Nagle, ledwie przetarliśmy oczy, jesteśmy wewnątrz wilgotnego piekła. Od razu zaczynamy się pocić. Jeżeli przylecieliśmy z Europy zimą - zrzucamy palta, zdejmujemy swetry. To pierwszy gest inicjacji nas, ludzi Północy, po przybyciu do Afryki. Ludzie Północy. Czy pomyśleliśmy, że ludzie Północy stanowią na naszej planecie wyraźną mniejszość? Kanadyjczycy i Polacy, Litwini i Skandynawowie, część Amerykanów i Niemców, Rosjanie i Szkoci, Lapończycy i Eskimosi, Ewenkowie i Jakuci - lista nie jest tak bardzo długa. Nie wiem, czy obejmuje ona w sumie więcej niż pięćset milionów ludzi: mniej niż dziesięć procent mieszkańców globu. Natomiast ogromna większość żyje w cieple, całe życie grzeje się w słońcu. Zresztą człowiek narodził się w słońcu, jego najstarsze ślady znaleziono w ciepłych krajach. Jaki klimat panował w biblijnym raju? Panowało wieczne ciepło, wręcz upał, tak że Ewa i Adam mogli chodzić nago i nawet w cieniu drzewa nie czuli, żeby było im chłodno. Już na schodkach samolotu spotyka nas inna nowość: zapach tropiku. Nowość? Ależ to przecież woń, która wypełniała sklepik pana Kanzmana "Towary kolonialne i inne" przy ulicy Pereca w Pińsku. Migdały, goździki, daktyle, kakao. Wanilia, liście laurowe; pomarańcze i banany na sztuki, kardamon i szafran na wagę. A Drohobycz? Wnętrza sklepów cynamonowych Schulza? Przecież ich "słabo oświetlone, ciemne i uroczyście wnętrza pachniały głębokim zapachem farb, laku, kadzidla, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów"! Jednak zapach tropiku jest trochę inny. Szybko odczuwamy jego ciężar, jego lepłą materialność. Ten zapach zaraz uświadomi nam, że jesteśmy w tym punkcie ziemi, w którym wybujała i niestrudzona biologia

nieustannie pracuje, rodzi, krzewi się i kwitnie, a jednocześnie choruje, rozkłada się, próchnieje i gnieje. Jest to zapach rozgrzanego ciała i suszących się ryb, psującego się mięsa i pieczonej kassawy, świeżych kwiatów i kisańców wodorostów, słowem wszystkiego, co jednocześnie przyjemne i drażniące, co przyciąga i odpycha, wabi lub budzi odrazę. Zapach ten będzie dobiegał do nas z pobliskich gajów palmowych, wydobywał się z rozpalonej ziemi, unosił nad stęchłymi rynsztokami miasta. Nie opuści nas, jest częścią tropiku. I wreszcie odkrycie najważniejsze - ludzie. Tutejsi, miejscowi. Jakże pasują do tego krajobrazu, światła, zapachu. Jak tworzą jedność. Jak człowiek i krajobraz są nierozzerwalną, uzupełniającą się, harmonijną wspólnotą, tożsamością. Jak każda rasa jest osadzona w swoim pejzażu, w swoim klimacie! My kształtujemy nasz krajobraz, a on formuje rysy naszych twarzy. Biały człowiek jest wśród tych palm, lian, w tym buszu i dżungli jakimś dziwnym i nieprzystającym wtrętem. Błady, słaby, spocona koszula, sklejone włosy, ciągle męczy go pragnienie, uczucie beśsiły, chandra. Ciągle boi się, boi się moskitów, ameby, skorpionów, węży - wszystko, co się porusza, napelnia go lękiem, przerażeniem, paniką. Miejscowi - przeciwnie: ze swoją siłą, wdziękiem i wytrzymałością poruszają się naturalnie, swobodnie, w tempie ustalonym przez klimat i tradycję, w tempie nieco spowolniałym, niespiesznym, bo przecież w życiu i tak nie da się wszystkiego osiągnąć, bo cóż by pozostało dla innych? Jestem tu od tygodnia. Próbuję poznać Akrę. To jakby rozmnożone, powielone miasteczko, które wypęzło z buszu, z dżungli i zatrzymało się nad brzegiem Zatoki Gwinejskiej. Akra jest płaska, parterowa, licha, ale są też domy, które mają jedno i więcej pięter. Żadnej wymyślnej architektury, żadnego zbytku ni pompy. Tynki zwyczajne, ściany w kolorach pastelowych, jasnożółtych, jasnozielonych. Na tych ścianach pełno zacieków. Świeże, po porze deszczowej tworzą nieskończone konstelacje i kolaże plam, mozaik, fantastycznych map, esów-floresów. Ciasno zabudowane śródmieście. Ruch, tłoczno, gwar, życie toczy się na ulicy. Ulica to jezdnia oddzielona od pobocza otwartym ściekiem-rynsztokiem. Nie ma chodników. Na jezdni samochody wmieszane w tłum ludzi. Wszystko to posuwa się razem - przechodnie, auta, rowery, wózki tragarzy, jakieś krowy i kozy. Na poboczu, za ściekiem, wzdłuż całej ulicy - życie domowe i gospodarcze. Kobiety ubijają maniok, pieką na węglach bulwy taro, gotują jakieś potrawy, handlują gumą do żucia, herbatnikami i aspiryną, piorą i suszą bieliznę. Na widoku, jakby obowiązywał nakaz, żeby o ósmej rano wszyscy opuszczali domy i przebywali na ulicy. W rzeczywistości przyczyna jest inna: mieszkania są małe, ciasne, ubogie. Duszno, nie ma wentylacji, powietrze jest ciężkie, zapachy mdłe, nie ma czym oddychać. Poza tym, spędzając dzień na ulicy, można brać udział w życiu towarzyskim. Kobiety cały czas rozmawiają ze sobą, krzyczą, gestykulują, a potem śmieją się. Stojąc tak nad garnczkiem czy miednicą mają świetny punkt obserwacyjny. Mogą widzieć sąsiadów, przechodniów, ulicę, przysłuchiwać się kłótniom i plotkom, śledzić wypadki. Cały dzień człowiek jest wśród ludzi, jest w ruchu i na świeżym powietrzu. Po tych ulicach jeździ czerwony ford z głośnikiem na dachu. Ochrypli, donośny głos zachęca do przyścia na wiec. Atrakcją wiecu będzie Kwame Nkrumah - Osagyefo, premier, przywódca Ghany, przywódca Afryki, wszystkich uciskanych ludów. Fotografie Nkrumaha są wszędzie - w gazetach (codziennie), na plakatach, na chorągiewkach, na perkalowych, do kostek sięgających spódnicach. Energiczna twarz mężczyzny w średnim wieku, uśmiechnięta albo poważna, w takim ujęciu, które powinno sugerować, że przywódca patrzy w przyszłość. - Nkrumah to zbawiciel! - mówi mi z zachwytem w głosie młody nauczyciel Joe Yambo. -

Słyszałeś, jak przemawia? Jak prorok! Otóż tak, słyszałem. Przyjechał na wiec, który odbywał się na tutejszym stadionie. Z nim ministrowie - młodzi, ruchliwi, sprawiali wrażenie ludzi rozbawionych, takich, którzy się cieszą. Impreza zaczęła się od tego, że kapłani z butelkami dzinu w ręce polewali tym alkoholem podium - to była ofiara dla duchów, nawiązanie z nimi kontaktu, prośba o ich życzliwość, ich dobroć. Na takim wiecu są, oczywiście, dorośli, ale jest także mnóstwo dzieci - od niemowląt noszonych przez matki na plecach, poprzez takie co ledwie raczkują, aż po maluchy i szkolną dzieciarnię. Młodszymi opiekują się starsze, tymi starszymi - jeszcze starsze. Ta hierarchia wieku jest bardzo przestrzegana, a posłuszeństwo - absolutne. Czterolatek ma pełną władzę nad dwulatkiem, sześciolatek nad czterolatkiem. Przy czym dzieci zajmują się dziećmi, starsze są odpowiedzialne za młodsze, także dorośli mogą poświęcić się swoim sprawom, na przykład słuchać uważnie Nkrumaha. Osagyefo przemawiał krótko. Powiedział, że najważniejsze to zdobyć niepodległość - reszta przyjdzie niejako sama, wszelkie dobro wyniknie właśnie z tej niepodległości. Postawny, o zdecydowanych ruchach, miał kształtne, wyraziste rysy twarzy i duże, żywe oczy, które przesuwały się po morzu czarnych głów z taką skupioną uwagą, jakby chciał je wszystkie dokładnie policzyć. Po wiecu, ci z podium mieszały się z tłumem, zrobił się ruch, tłoczno, nie było właściwie widać żadnej ochrony, obstawy, policji. Joe dopchał się do młodego człowieka (mówiąc mi po drodze, że to minister) i spytał go, czy mógłbym przyjść do niego jutro. Tamten, w ogólnie panującym gwarze nie bardzo słysząc o co dokładnie chodzi, powiedział, trochę na odczepnego - dobrze! dobrze! Nazajutrz odnalazłem stojący wśród królewskich palm nowy budynek Ministerstwa Oświaty i Informacji. Był to piątek. W sobotę, w swoim hoteliku, opisałem ów dzień poprzedni: Droga wolna, ani policjanta, ani sekretarki, ani drzwi. Odchyłam wzorzystą zasłonkę i wchodzę. Gabinet ministra w ciepłym półmroku. On sam stoi przy biurku i porządkuje papiery. Te zmiąć i do kosza. Te wygładzić i do teczki. Szczupła, drobna postać, koszulka gimnastyczna, krótkie spodenki, sandały, kwiecista kente przez lewe ramię, nerwowe ruchy. To Kofi Baako, minister oświaty i informacji. Jest najmłodszym ministrem w Ghanie i w całej Wspólnocie Brytyjskiej. Ma trzydzieści dwa lata i swoją tekę piastuje od trzech lat. Jego gabinet znajduje się na drugim piętrze gmachu ministerstwa. Tu hierarchii stanowisk odpowiada drabina pięter. Im wyższa osobistość, tym wyższe piętro. Bo na górze jest przewiew, a w dole powietrze kamienne, nieruchome. Więc na parterze duszą się drobni urzędnicy, nad nimi dyrektorzy departamentów mają już leciutki cug, a u samej góry chłodzi ministrów właśnie ten wymarzony powiew. Do ministra może przyjść kto chce. I kiedy chce. Jeśli kto ma sprawę, przyjeżdża do Akry, dopyta się, gdzie tu minister np. od rolnictwa, idzie, odchyła zasłonkę, siada przed urzędową osobą i wyłuszcza, co go trapi. Nie zastanie osoby w urzędzie, to znajdzie ją w domu. Nawet i lepiej, bo tam dostanie obiad i coś do napicia. Ludzie czuli dystans wobec białej administracji. Ale teraz są swoi, można się nie krępować. Mój rząd, to musi mi pomóc. Żeby mógł, musi wiedzieć w czym. Żeby wiedział, muszę przyjść i wyjaśnić. Najlepiej samemu, osobiście i wprost. Nie ma końca tym interesantom. - Dzień dobry! - powiedział Kofi Baako. - Skąd to? - A z Warszawy. - Wiesz, mało brakowało, żebym tam był. Bo ja zjeździłem całą Europę: Francję, Belgię, Anglię, Jugosławię. W Czechosłowacji czekałem na wyjazd do Polski, ale Kwame przysłał telegram, że mam wrócić na zjazd partii, naszej rządzącej Convention People's Party. Siedzieliśmy przy stole, w jego gabinecie bez drzwi i okien. Zamiast tego były okiennice z rozsuniętymi szparami, przez które ciągnął słaby powiew. Niewielki pokój

zawałały papiery, akta, broszury. W kącie stała szafa pancerna, na ścianach wisiało parę portretów Nkrumaha, na półce stał głośnik u nas zwany kołchoźnikiem. Przez ten głośnik łomotały tam-tamy, aż w końcu Baako go wyłączył. Chciałem, żeby mi opowiedział o sobie, o swoim życiu. Baako ma ogromny mir wśród młodych. Lubią go za to, że jest dobrym sportowcem. Gra w nożną, w krykieta, jest mistrzem Ghany w ping-pongu. - Zaraz - przerwał - tylko zamówię Kumasi, bo jadę tam jutro na mecz. Zadzwoń na pocztę, żeby mu dali połączenie. Nie dali, kazali czekać. - Wczoraj byłem na dwóch filmach - mówi do mnie ze słuchawką przy uchu - chciałem zobaczyć, co grają. Puszczają takie filmy, na które szkolniacy nie powinni chodzić. Muszę wydać zarządzenie, aby młodzieży zabronić oglądania takich rzeczy. A dzisiaj od rana wizytowałem w mieście stoiska z książkami. Rząd ustala niskie ceny na szkolne podręczniki. A mówią, że sprzedawcy te ceny podnoszą. Poszedłem sprawdzić. Tak, sprzedają drożej niż powinni. Znowu zadzwonił na pocztę. - Słuchajcie, czym wy się tam zajmujecie? Ile mam czekać? Może nie wiecie, kto dzwoni? Kobiety głos w słuchawce odpowiedział: - Nie. - A ty kto jesteś? - zapytał Baako. - Dyżurna telefonistka. - No to ja jestem ministrem oświaty i informacji, Kofi Baako. - Dzień dobry, Kofi! Zaraz dostaniesz połączenie. Już rozmawiał z Kumasi. Patrzyłem na jego książki leżące w małej szafce: Hemingway, Lincoln, Koestler, Orwell. Popularna historia muzyki, Słownik amerykański - wydanie kieszonkowe, kryminały. - Czytanie to moja pasja. W Anglii kupiłem sobie Encyclopaedia Britannica i teraz czytam po kawałku. Nie mogę jeść nie czytając, książka musi leżeć przede mną otwarta. Po chwili: - Jeszcze większe hobby to fotografia. Zdjęcia robię zawsze i wszędzie. Mam ponad dziesięć aparatów fotograficznych. Kiedy idę do sklepu i widzę nowy aparat, zaraz muszę kupić. Dzieciom sprawiłem projektor i wieczorem wyświetlam im filmy. Ma czworo dzieci, od dziewięciu do trzech lat. Wszystkie chodzą do szkoły, to najmłodsze też. Nie jest to nic osobliwego, jeżeli trzyletni berbecz zostaje uczniakiem. Zwłaszcza kiedy łobuzuje, matka oddaje go do szkoły, żeby mieć spokój. Sam Kofi Baako poszedł do szkoły mając trzy lata. Ojciec jego był nauczycielem i wolał mieć chłopca na oku. Kiedy skończył szkołę, wysłano go do gimnazjum w Cape Coast. Został nauczycielem, potem urzędnikiem. W końcu 1947 roku Nkrumah wraca po studiach w Ameryce i w Anglii do Ghany. Baako słucha, o czym mówi ten człowiek. Mówi o niepodległości. Wtedy Baako pisze artykuł "Moja nienawiść do imperializmu". Zostaje wyrzucony z pracy. Ma wilczy bilet, nigdzie go nie chcą zatrudnić, obija się po mieście. Następuje spotkanie z Nkrumahem. Kwame powierza mu stanowisko naczelnego "Cape Coast Daily Mail". Kofi ma dwadzieścia lat. Pisze artykuł "Wołamy o wolność" i idzie do więzienia. Poza nim aresztują Nkrumaha i kilku aktywistów. Siedzą trzynaście miesięcy, w końcu zostają uwolnieni. Dzisiaj grupa ta stanowi rząd Ghany. Teraz mówi o sprawach ogólnych: - Tylko trzydzieści procent ludzi w Ghanie umie czytać i pisać. Chcemy przez piętnaście lat zlikwidować analfabetyzm. Są trudności: brak nauczycieli, książek, szkół. Szkoły są dwojakiego rodzaju: misyjne i państwowe. Ale wszystkie podlegają rządowi i jest jedna polityka oświatowa. Poza tym: za granicą kształcą się pięć tysięcy studentów. Z nimi jest tak, że często wracają i już nie mają z ludem wspólnego języka. Patrz na opozycję. Przywódcy opozycji to wychowankowie Oxfordu i Cambridge. - Czego chce opozycja? - A bo ja wiem? Uważamy, że opozycja jest potrzebna. Przywódca opozycji w parlamencie otrzymuje pensję od rządu. Pozwoliliśmy zjednoczyć się tym wszystkim opozycyjnym partyjkom, grupom i grupkom w jedną partię, żeby byli silniejsi. Stoimy na stanowisku, że każdy, kto chce, ma prawo w Ghanie stworzyć partię polityczną, z

tym, aby nie opierała się o kryterium rasy, religii, czy plemienia. Każda partia może u nas używać wszystkich środków konstytucyjnych, aby zdobyć władzę polityczną. Ale, rozumiesz, przy tym wszystkim nie wiadomo, czego opozycja chce. Zwołują więc i krzyczą: my mamy Oxford, a taki Kofi Baako nie skończył nawet gimnazjum. On jest dziś ministrem, a ja niczym. Ale jak zostanę ministrem, to Baako będzie dla mnie za głupi, żebym go zrobił bodaj gońcem. Ludzie tego gadania nie słuchają, bo takich Kofi Baaków jest tutaj więcej niż wszystkich opozycjonistów razem wziętych. Powiedziałem, że będę się zbierał bo czas na obiad. Spytał, co robię wieczorem. Miałem jechać do Togo. - Co tam - machnął ręką - przyjdź na zabawę. Dzisiaj Radio robi zabawę. Nie miałem zaproszenia. Poszukał kawałka kartki i napisał: "Przyjać Ryszarda Kapuścińskiego, dziennikarza z Polski, na Waszą zabawę - Kofi Baako, Minister Oświaty i Informacji". - Masz, ja tam też będę, zrobimy trochę zdjęć. Warta u bram gmachu Radia oddała mi wieczorem sprężyste honory i zasiadłem przy specjalnym stoliku. Zabawa była w pełnym biegu, kiedy zajechał pod parkiet do tańca (było to w ogrodzie) szary peugeot, z którego wysiadł Kofi Baako. Był ubrany tak samo jak w ministerstwie, tylko pod pachą trzymał czerwony dres, bo tej nocy jechał do Kumasi, mógł zmarznąć. Znali go tu świetnie. Baako jest ministrem szkół, wyższych uczelni, prasy, radia, wydawnictw, muzeów, wszystkiego, co jest nauką, kulturą, sztuką i propagandą w tym kraju. Rychło znaleźliśmy się w tłumie. Usiadł, żeby wypić coca-cole. Zaraz poderwał się. - Chodź, pokażę ci moje aparaty. Otworzył bagażnik samochodu i wyciągnął walizkę. Położył ją na ziemi, uklęknął i otworzył. Zaczęliśmy wyjmować aparaty i rozkładać je na trawie. Było ich piętnaście. Wtedy podeszło dwóch chłopaków, trochę podpitych. - Kofi - zaczął jeden z pretensją - kupiliśmy bilet, a tu nie pozwalają nam zostać, bo nie mamy marynarek. To po co sprzedali nam bilet? Baako wstał, żeby odpowiedzieć. - Słuchajcie, ja jestem za wielkim człowiekiem do takich spraw. Tu jest mnóstwo małych facetów, niech oni załatwiają te małe sprawy. Ja mam na głowie zagadnienia państwowe. Ta dwójka odpłynęła chybotliwie, a myśmy poszli robić zdjęcia. Wystarczyło, że pokazał się obwieszony aparatami, już wołano go od stolików prosząc o zdjęcie. - Kofi, zrób nam. - Nam! - I nam też! Krążył, wybierając miejsca, gdzie były co ładniejsze dziewczęta, ustawiał je, kazał się śmiać i strzelał fleszem. Znał je po imieniu: Abena, Ekwa, Esi. One witały się podając mu rękę, nie wstając, wruszając ramionami, co jest tu wyrazem zalotnej kokieterii. Baako szedł dalej, zrobiliśmy wtedy dużo zdjęć. Spojrzał na zegarek. - Muszę jechać. Chciał zdążyć na mecz. - Przyjdź jutro, to wywołamy zdjęcia. Peugeot błysnął światłami i zniknął w mroku, a zabawa wirowała czy raczej - kołysała i kłębiła się do świtu. Droga do Kumasi Co przypomina dworzec autobusowy w Akrze? Najbardziej przypomina tabor wielkiego cyrku, który zatrzymał się na krótki postój. Jest kolorowo i rozbrzmiewa muzyka. Autobusy są podobne raczej do wozów cyrkowych niż do luksusowych chaussonów, które suną po autostradach Europy i Ameryki. Te w Akrze to jakby ciężarówki o drewnianych nadwoziach, które mają dach oparty na słupkach. Dzięki temu, że nie ma ścian, w czasie jazdy chłodzi nas zbawienny przewiew. Przewiew jest w tym klimacie wartością wielce poszukiwaną. Jeżeli chcemy wynająć mieszkanie, pierwsze pytanie do właściciela będzie: "Ale czy jest tu przewiew?". Na to otworzy on szeroko okna i zaraz obejmuje nas życzliwie prąd ruchomego powietrza: oddychamy głębiej, czujemy ulgę - zaczynamy znów żyć. Na Saharze pałace władców mają najbardziej wymyślne konstrukcje - pełne otworów, szczelin, zakosów i korytarzy, tak pomyślanych, ustawionych i zbudowanych, żeby dawały możliwie najlepszy przewiew.

W południowy upał u wylotu takiego orzeźwiającego ciągu leży na macie władca i z rozkoszą oddycha nieco chłodniejszym w tym miejscu powietrzem. Przewiew jest rzeczą wymierną finansowo: najdroższe domy budowane są tam, gdzie jest najlepszy przewiew. Powietrze, kiedy stoi nieruchomo, nie ma wartości, ale wystarczy, że się ruszy - od razu nabiera ceny. Autobusy są jaskrawo, wzorzyście, różnobarwnie pomalowane. Na szoferkach i burtach krokodyle szerzą ostre zęby, prężą się węże gotowe do ataku, na drzewach hasają stada pawianów, sawanną pędzą ścigane przez lwa antylopy. Wszędzie zatrząsienie ptaków... a także łańcuchy, bukiety kwiatów. Kicz, ale jakże pełen fantazji i życia. Najważniejsze są jednak napisy. Biegną ozdobione girlandami kwiatów, duże, z daleka widoczne, ponieważ mają być zachętą albo przestrogą. Dotyczą Boga, ludzi, powinności i zakazów. Duchowy świat Afrykanina (świadomy jestem, że używając tego określenia, bardzo upraszczam) jest bogaty i złożony, a jego życie wewnętrzne przenika głęboka religijność. Wierzy on, że istnieją jednocześnie trzy różne, choć powiązane ze sobą światy. Pierwszy to ten, który go otacza, a więc namacalna i widoczna rzeczywistość, na którą składają się żywi ludzie, zwierzęta i rośliny, a także przedmioty martwe - kamienie, woda, powietrze. Drugi - świat przodków - tych, którzy zmarli przed nami, ale zmarli jak gdyby nie całkowicie, nie do końca, nie ostatecznie. Owszem, w sensie metafizycznym istnieją nadal, a nawet potrafią brać udział w naszym życiu realnym, wpływać na nie, kształtować je. Dlatego utrzymanie dobrych stosunków z przodkami jest warunkiem pomyślnego życia, a czasem nawet życia w ogóle. Wreszcie, świat trzeci to przebogie królestwo duchów; duchów, które istnieją niezależnie, ale zarazem żyjąca każdym byciem, w każdej istności, w każdej rzeczy, we wszystkim i wszędzie. Na czele tych trzech światów stoi Istota Najwyższa, Byt Najwyższy, Bóg. Dlatego wiele napisów na autobusach przenika pryncypialna transcendencja: "Bóg jest wszędzie", "Bóg wie, co robi", "Bóg jest tajemnicą". Są też napisy bardziej przyziemne, ludzkie: "Uśmiechaj się", "Powiedz mi, że jestem piękna", "Kto się czubi, ten się lubi" itd. Wystarczy pojawić się na placu, na którym tłoczą się dziesiątki autobusów, a już otoczy nas gromada przekrzykujących się dzieci z pytaniem - dokąd chcemy jechać: do Kumasi, do Takoradi czy do Tamale? - Do Kumasi. Te, które łowią pasażerów jadących do Kumasi, podają nam rękę i podskakując z radości, prowadzą do odpowiedniego autobusu. Cieszą się, ponieważ za to, że znalazły pasażera, dostaną od kierowcy banana albo pomarańczę. Wchodzimy do autobusu i zajmujemy miejsce. W tym momencie może dojść do starcia dwóch kultur, do zderzenia i konfliktu. Stanie się tak wówczas, jeżeli pasażer to przybysz, który nie zna Afryki. Człowiek taki zacznie rozglądać się, wiercić i pytać "Kiedy odjedzie autobus?". "Jak to - kiedy?" - odpowie zdumiony kierowca. - Kiedy zbierze się tyle ludzi, aby cały zapelnili". Europejczyk i Afrykanin mają zupełnie różne pojęcia czasu, inaczej go postrzegają, inaczej się do niego odnoszą. W przekonaniu europejskim czas istnieje poza człowiekiem, istnieje obiektywnie, niejako na zewnątrz nas, i ma właściwości mierzalne i linearne. Według Newtona czas jest absolutny: "Absolutny, prawdziwy, matematyczny czas płynie sam przez się i dzięki swej naturze, jednostajnie, a nie zależnie od jakiegokolwiek przedmiotu zewnętrznego". Europejczyk czuje się sługą czasu, jest od niego zależny, jest jego poddanym. Żeby istnieć i funkcjonować, musi przestrzegać jego żelaznych, nienaruszalnych praw, jego sztywnych zasad i reguł. Musi przestrzegać terminów, dat, dni i godzin. Porusza się w trybach czasu, nie może poza nimi istnieć. One narzucają mu swoje rygory, wymagania i normy. Między człowiekiem i czasem istnieje nierozstrzygalny konflikt, który zawsze kończy się klęską

człowieka - czas człowieka unicestwienia. Inaczej pojmują czas miejscowi, Afrykańczycy. Dla nich czas jest kategorią dużo bardziej luźną, otwartą, elastyczną, subiektywną. To człowiek ma wpływ na kształtowanie czasu, na jego przebieg i rytm (oczywiście, człowiek działający za zgodą przodków i bogów). Czas jest nawet czymś, co człowiek może tworzyć, bo np. istnienie czasu wyraża się poprzez wydarzenia, a to, czy wydarzenie ma miejsce czy nie, zależy przecież od człowieka. Jeżeli dwie armie nie stoczą bitwy, to bitwa ta nie będzie miała miejsca (tzn. czas nie przejawia swojej obecności, nie zaistnieje). Czas pojawia się w wyniku naszego działania, a znika, kiedy go zaniechamy albo w ogóle nie podejmiemy. Jest to materia, która pod naszym wpływem może zawsze ożyć, ale popadnie w stan hibernacji i nawet niebytu, jeżeli nie udzielimy jej naszej energii. Czas jest istnością bierną, pasywną i przede wszystkim - zależną od człowieka. Całkowita odwrotność myślenia europejskiego. W przełożeniu na sytuacje praktyczne oznacza to, że jeżeli pojedziemy na wieś, gdzie miało po południu odbyć się zebranie, a na miejscu zebrania nie ma nikogo, bezsensowne jest pytanie: "Kiedy będzie zebranie?". Bo odpowiedź jest z góry wiadoma: "Wtedy, kiedy zbiorą się ludzie". Toteż Afrykanin, który wsiada do autobusu, nie pyta, kiedy autobus odjedzie, tylko wchodzi, siada na wolnym miejscu i od razu zapada w stan, w jakim spędza znaczną część swojego życia - w stan martwego wyczekiwania. - Ci ludzie mają fantastyczną zdolność czekania! - powiedział mi mieszkający tu od lat Anglik. - Zdolność, wytrwałość, jakiś inny zmysł! Gdzieś w świecie krąży, płynie tajemnicza energia, która, jeżeli zbliży się i nas wypełni, da nam siłę, aby uruchomić czas - coś zacznie się dziać. Dopóki jednak to nie nastąpi, trzeba czekać - wszelkie inne zachowanie jest złudą i donkiszoterią. Na czym polega owo martwe czekanie? Ludzie wchodzą w ten stan świadomości tego, co nastąpi: starają się więc umieścić najwygodniej, w miejscu możliwie najlepszym. Czasem kładą się, czasem siedzą wprost na ziemi, na kamieniu albo w kucki. Przestają mówić. Gromada martwo czekających jest niema. Nie wydaje głosu, milczy. Następuje rozluźnienie mięśni. Sylwetka wiotczeje, osuwa się, kurczy. Szyja nieruchomieje, głowa nie porusza się. Człowiek nie rozgląda się, niczego nie wypatruje, nie jest ciekaw. Czasem ma przymknięte oczy, ale nie zawsze. Raczej oczy są otwarte, ale wzrok nieobecny, bez iskry życia. Ponieważ godzinami obserwowałem całe tłumy będące w stanie martwego oczekiwania, mogę stwierdzić, że zapadają w jakiś głęboki fizjologiczny sen: nie jedzą, nie piją, nie oddają moczu. Nie reagują na bezlitośnie prażące słońce, na natrętne, żarłoczne muchy obsiadające ich powieki, ich usta. Co się w tym czasie dzieje w ich głowach? Nie wiem, nie mam pojęcia. Nie myślą? Śnią? Wspominają? Układają plany? Medytują? Przebywają w zaświatach? Trudno powiedzieć. Wreszcie, po dwóch godzinach czekania, pełny autobus rusza z dworca. Na wyboistej drodze, potrząsani, pasażerowie budzą się do życia. A to ktoś sięga po biskopota, a to obiera banana. Ludzie rozglądają się, wycierają spocone twarze, dokładnie składają mokre chustki. Szofer cały czas coś mówi, jedną ręką trzyma kierownicę, drugą gestykułuje. Wszyscy raz po raz zanoszą się śmiechem, on najgłośniejszy, inni ciszej; może tylko z grzeczności, bo tak wypada? Jedziemy. Ci ze mną w autobusie to dopiero drugie, a często i pierwsze pokolenie szczęśliwców, którzy w Afryce jadą. Przez tysiące lat Afryka chodziła pieszo. Ludzie nie znali tu pojęcia koła ani nie umieli go sobie przyswoić. Chodzili, wędrowali, a to, co trzeba było nosić, nosili na plecach, na ramionach, a zwykle - na głowach. Skąd się wzięły statki na jeziorach w głębi kontynentu? Stąd, że były rozbierane w portach oceanicznych na części, części przenoszono na głowach i składano na brzegach

jeziora. W częściach, w głąb Afryki przenoszono miasta, fabryki, urządzenia kopalń, elektrowni, szpitali. Cała cywilizacja techniczna XIX wieku została przeniesiona do wnętrza Afryki na głowach jej mieszkańców. Mieszkańcy północnej Afryki, czy nawet Sahary, mieli więcej szczęścia: mogli używać zwierzęcia jucznego - wielbłąda. Ale wielbłąd czy koń nie mogły zadomowić się w Afryce na południe od Sahary - ginęły dziesiątkowane przez muchę tse-tse, a także z powodu innych śmiertelnych chorób wilgotnego tropiku. Problem Afryki to sprzeczność między człowiekiem a środowiskiem, między ogromem przestrzeni afrykańskiej (ponad trzydzieści milionów kilometrów kwadratowych!) a bezbronnym, bosonogim, ubogim człowiekiem - jej mieszkańcem. W którą stronę obrócić się - wszędzie daleko, wszędzie pustkowia, bezludzie, bezkres. Trzeba było iść setki, tysiące kilometrów, żeby spotkać innych ludzi (nie można powiedzieć - innego człowieka, ponieważ pojedynczy człowiek nie mógłby w tamtych warunkach przeżyć). Żadna informacja, wiedza, zdobycze techniki, dobra, towary, doświadczenia innych - nie przenikały, nie znajdowały drogi. Nie istniała wymiana jako forma uczestniczenia w kulturze światowej. Jeżeli pojawiała się, to wyłącznie jako przypadek, wydarzenie, święto. A bez wymiany nie ma postępu. Najczęściej mało liczne grupy, klany, ludy żyły w izolacji, zagubione, rozrzucone na bezkresnych, wrogich obszarach, śmiertelnie zagrożone malarią, suszą, upałami, głodem. Z drugiej strony - bytowanie i poruszanie się w małych grupach pozwalało im uciekać z miejsc zagrożenia, np. z rejonów suszy lub epidemii, i w ten sposób przetrwać. Ludy te stosowały tę samą taktykę, jaką dawniej obierała lekka kawaleria na polach bitewnych. Jej zasady to ruchliwość, unikanie frontalnej konfrontacji, omijanie i przechytrzanie zła. To sprawiało, że tradycyjnie Afrykanin był człowiekiem w drodze. Nawet jeżeli wiódł żywot osiadły, mieszkał na wsi - też był w drodze, bo cała wieś, od czasu do czasu, również wędrowała: a to skończyła się woda, a to ziemia przestała rodzić, innym razem - wybuchła epidemia, więc - w drogę, w poszukiwaniu ocalenia, w nadziei na lepsze. Dopiero życie w miastach wniosło w tę egzystencję więcej stabilizacji. Ludność Afryki to była gigantyczna, splątana, krzyżująca się i pokrywająca cały kontynent sieć w ciągłym ruchu, w nieustannym falowaniu, zbiegająca się w jednym miejscu i rozprzestrzeniająca w innym, bogata tkanina, barwny arras. Ta przymusowa ruchliwość ludności sprawiła, że w głębi Afryki nie ma starych miast, tak starych, jak bywają w Europie czy na Bliskim Wschodzie, które by istniały do dzisiaj. Podobnie - znowu w przeciwieństwie do Europy i Azji - bardzo dużo społeczności (niektórzy twierdzą, że wszystkie) zajmuje dziś tereny, na których kiedyś nie mieszkaly. Wszyscy są przybyszami z innych stron, wszyscy imigrantami. Ich wspólnym światem jest Afryka, ale w jej obrębie wędrowali i przemieszczali się przez wieki (w różnych miejscach kontynentu ten proces trwa do dzisiaj). Stąd uderzająca cecha tej cywilizacji - jej tymczasowość, prowizorka, brak ciągłości materialnej. Chata dopiero wczoraj sklecona, a dzisiaj już jej nie ma. Pole uprawiane jeszcze trzy miesiące temu - dziś już leży odłogiem. Ciągłość, która jest tu żywa i spaja poszczególne społeczności - to ciągłość tradycji rodowych i obrządków, głęboki kult przodków. Stąd, bardziej niż wspólnota materialna czy terytorialna, Afrykańczyka łączy z najbliższymi wspólnota duchowa. Autobus coraz głębiej wjeżdża w gęsty, wysoki las tropikalny. Biologia w strefach umiarkowanych wykazuje dyscyplinę i porządek: tu mamy lasy sosnowy, tam rosną dęby, gdzie indziej - brzozy. Nawet w lasach mieszanych panuje przejrzystość i stateczność. Natomiast w tropiku biologia żyje w stanie szaleństwa, w ekstazie najdzikszego płodzenia i mnożenia. Uderza nas tu

buńczuczna i rozpychająca się obfitość, ta nieustająca erupcja bujnej, dyszącej masy zieleni, z której każda cząstka - drzewo, krzew, liana, pnącze - rozrastając się, napierając na siebie, stymulując i podbechtując, tak się już poszczepiała, zawężliła i zwarła, że tylko ostra stal i to z nakładem pracy katorżniczej, może przecinać w niej przejścia, ścieżki, tunele. Ponieważ nie było pojazdów kołowych, w przeszłości na tym ogromnym kontynencie nie było również dróg. Kiedy na początku XX wieku sprowadzono pierwsze samochody, nie bardzo miały gdzie jeździć. Szosa bita lub asfaltowa jest w Afryce rzeczą nową, liczy kilkadziesiąt lat. I ciągle na wielu obszarach jest rzadkością. Zamiast dróg jezdnych, były ścieżki. Dla ludzi, dla bydła, zwykle wspólne. Ta ścieżkowi forma komunikacji tłumaczy, dlaczego ludzie mają tu zwyczaj chodzić gęsiego; nawet jeżeli idą dziś szeroką szosą, to też gęsiego. Dlatego idąca gromada milczy - gęsiego trudno prowadzić dyskusję. Trzeba być wielkim specjalistą od geografii tych ścieżek. Kto jej nie zna - zabłądzi; a jeżeli będzie błdził długo bez wody i jedzenia - zginie. Rzecz w tym, że różne klany, plemiona i wioski mogą mieć swoje krzyżujące się ścieżki i kto o tym nie wie, może chodzić po tych ścieżkach - myśląc, że one go dobrze prowadzą - a one go zaprowadzą na manowce i w śmierć. Najbardziej tajemnicze i niebezpieczne są ścieżki w dżungli. Człowiek ciągle zahacza o jakieś kolce i gałęzie, nim dojdzie do celu, jest cały podrapany i opuchnięty. Warto mieć kij, bo jeżeli na ścieżce będzie leżał wąż (co się zdarza często), trzeba go wypłoszyć, właśnie najlepiej kijem. Innym problemem są talizmany. Ludzie tropikalnego lasu, żyjąc w niedostępnej głuszy, są z natury nieufni i przesądni. Dlatego na ścieżkach rozwieszają przeróżne talizmany, aby płoszyły wszelkie złe duchy. Kiedy natrafi się na wiszącą w poprzek ścieżki skórę jaszczurki, główkę ptaka, pęczek trawy lub ząb krokodyla - nie wiadomo, co robić: ryzykować i iść dalej czy raczej zawrócić, bo za tym znakiem ostrzegawczym może kryć się coś naprawdę złego. Co jakiś czas nasz autobus zatrzymuje się na poboczu. Bo ktoś chce wysiąść. Jeżeli wysiada młoda kobieta z dzieckiem albo z dwojgiem dzieci (rzadki to widok - młoda kobieta bez dziecka), wówczas scena, którą zobaczymy, będzie pełna zręczności i gracji. Najpierw kobieta perkalową chustą przytroczy sobie dziecko do pleców (ono cały czas śpi, nie reaguje). Następnie kucnie i postawi swoją nieodłączną miskę albo miednicę pełną wszelkiego jedzenia i innych towarów - na głowie. Teraz wyprostuje się i zrobi taki ruch ciałem jak linoskoczek, kiedy stawia pierwszy krok na linie nad przepaścią: balansując, chwytą równowagę. W lewą rękę bierze plecioną matę do spania, a prawą prowadzi za rączkę drugie dziecko. I tak - idąc od razu bardzo równym, jednostajnym krokiem - wchodzi na ścieżkę leśną wiodącą w świat, którego nie znam i może nigdy nie zrozumieć. Mój sąsiad w autobusie. Młody człowiek. Buchalter w jakiejś firmie w Kumasi, której nazwy nie dosłyszałem. - Ghana jest niepodległa! - mówi przejęty, zachwycony. - Jutro cała Afryka będzie niepodległa! - zapewnia. - Jesteśmy wolni! I podaje mi rękę w geście, który ma oznaczać: teraz Czarny może Białemu podać rękę bez żadnych kompleksów. - Widziałeś Nkrumahę? - pyta zaciekawiony. - Tak? To jesteś szczęśliwym człowiekiem! Wiesz, co zrobimy z wrogami Afryki? Śmieje się ha-ha, ale dokładnie nie mówi, co zrobimy. - Teraz najważniejsza jest oświata. Oświata, wykształcenie, zdobywanie wiedzy. Tacy jesteśmy nierozwinięci, tacy nierozwinięci! Myślę, że cały świat przyjdzie nam z pomocą. Musimy być z rozwiniętymi krajami równi! Nie tylko wolni - ale i równi! Na razie oddychamy wolnością. I to jest raj. To jest wspaniale! Ten jego entuzjazm jest tu powszechny. Entuzjazm i duma, że Ghana stoi na czele ruchu, daje przykład,

przewodzi całej Afryce. Mój drugi sąsiad, siedzący po lewej stronie (autobus ma trzy miejsca w rzędzie), jest inny: zamknięty w sobie, małomówny, wyłączony. Od razu zwraca uwagę, ponieważ ludzie tutaj są z reguły otwarci, chętni do rozmowy, skorzy do opowiadań i wygłaszania wszelkich opinii. Dotąd powiedział mi tylko tyle, że nie pracuje i że ma z pracą trudności. Jakie - nie mówi. W końcu jednak - kiedy wielki las kurczy się już i maleje, co oznacza, że powoli dojeżdżamy do Kumasi - decyduje się coś mi wyznać. Otóż - ma kłopoty. Jest chory. Nie jest zawsze, bez przerwy chory, ale czasami, okresami - jest. Był już u różnych rodzimych specjalistów, ale żaden mu nie pomógł. Sprawa polega na tym, że w głowie, pod czaszką, ma zwierzęta. Nie to, że widzi te zwierzęta, że o nich rozmyśla lub się ich boi - nie. Nic podobnego. Chodzi o to, że te zwierzęta są w jego głowie, one tam żyją, biegają, pasą się, polują albo po prostu śpią. Jeżeli są to zwierzęta łagodne, jak antylopy, zebry czy żyrafy, znosi je dobrze, są nawet przyjemne. Ale czasem przychodzi głodny lew. Jest głodny, jest wściekły - więc ryczy. I wtedy ryk tego lwa rozsadza mu czaszkę. Struktura klanu Do Kumasi przyjechałem bez żadnego celu. Na ogół uważa się, że mieć określony cel to dobra rzecz, bo wtedy człowiek czegoś chce i do czegoś zdąża; z drugiej jednak strony taka sytuacja nakłada na niego końskie okulary: widzi tylko swój cel i nic więcej. Tymczasem to więcej - szerzej - głębiej, może być znacznie ciekawsze i ważniejsze. Przecież wejście w inny świat to wejście w jakąś tajemnicę, a ona może kryć w sobie tyle labiryntów i zakamarków, tyle zagadek i niewiadomych! Kumasi leży wśród zieleni i kwiatów, na łagodnych wzgórzach. Jest jak wielki ogród botaniczny, w którym pozwolono osiedlić się ludziom. Wszystko wydaje się tu życzliwe człowiekowi - klimat, roślinność, inni ludzie. Poranki są olśniewająco piękne, choć trwają tylko kilka minut. Jest noc i z tej nocy nagle wypływa słońce. Wypływa? Ten czasownik sugeruje przecież pewną powolność, pewien proces. Ono zostaje wyrzucone przez kogoś w górę jak piłka! Od razu widzimy ognistą kulę tak blisko nas, że odczuwa się pewien lęk. W dodatku kula sunie w naszą stronę, coraz bardziej. Zbliża się. Widok słońca działa jak strzał startera: od razu miasto rusza z miejsca! Jak gdyby przez całą noc wszyscy czaili się w swoich blokach startowych i teraz, na sygnał, na ten słoneczny strzał ruszyli i pognali do przodu. Żadnych stadiów pośrednich, żadnych przygotowań. Od razu ulice pełne ludzi, sklepy otwarte, dymią ogniska i kuchnie. Kumasi jest jednak ruchliwe w inny sposób niż Akra. Ruch w Kumasi jest miejscowy, regionalny, jakby zamknięty w sobie. Miasto jest stolicą królestwa Ashanti (stanowiącego część Ghany) i czujnie strzeże swojej inności, swojej barwnej i żywej tradycji. Tu można spotkać przechadzających się ulicą wodzów rodowych albo zobaczyć obrządek wywodzący się z pradawnych czasów. Tu również żyje, wybujały w tej kulturze, świat magii, czarów i zaklęć. Droga z Akry do Kumasi to nie tylko pięćset kilometrów od wybrzeża Atlantyku w głąb Afryki, to także podróż do tych obszarów kontynentu, na których mniej jest śladów i znamion kolonializmu niż w pasie przybrzeżnym. Albowiem rozległość Afryki, niedostatek spławnych rzek i brak jezdnych dróg, a także ciężki, zabójczy klimat, były co prawda przeszkodą w jej rozwoju, ale zarazem stanowiły naturalną obronę przed inwazją; sprawiły, że kolonialiści nie mogli przeniknąć zbyt głęboko. Trzymali się brzegów morskich, swoich statków i uzbrojonych fortyfikacji, swoich zapasów żywności i chininy. Jeżeli w XIX wieku ktoś - jak Stanley - odważył się przewędrować kontynent ze wschodu na zachód, to wyczyn taki był na świecie tematem prasy i literatury przez wiele lat. Dzięki tym przeszkodom komunikacyjnym wiele kultur i zwyczajów afrykańskich mogło przetrwać do naszych

czasów w nie zmienionej postaci. Formalnie, ale tylko formalnie, kolonializm panuje w Afryce od czasu konferencji w Berlinie (1883-85), na której kilka państw Europy (głównie Anglia i Francja, a także Belgia, Niemcy i Portugalia) podzieliło między siebie cały kontynent - aż do czasu wyzwolenia się Afryki w drugiej połowie XX wieku. Faktycznie jednak penetracja kolonialna zaczęła się znacznie wcześniej, bo już w XV wieku, i rozkwitała przez następnych pięćset lat. Najbardziej haniebną i brutalną fazą tego podboju był trwający ponad trzysta lat handel niewolnikami afrykańskimi. Trzysta lat obław, łapanek, pościgów i zasadzek, organizowanych, często z pomocą afrykańskich i arabskich współników, przez białych ludzi. Miliony młodych Afrykanów zostało wywiezionych - w koszmarnych warunkach, upychani w lukach statków - za Atlantyk, aby tam w pocie czoła budować bogactwo i potęgę Nowego Świata. Afryka - prześladowana i bezbronna - została wyludniona, zniszczona, zrujnowana. Opustoszały całe połacie kontynentu, jałowy busz zarósł kwitnące i słoneczne krainy. Ale najbardziej bolesne i trwałe ślady pozostawiła ta epoka w pamięci i świadomości Afrykanów: wieki pogardy, upokorzenia i cierpień wytworzyły w nich kompleks niższości i gdzieś w głębi serca osadzone poczucie krzywdy. W momencie kiedy wybuchła II wojna światowa, kolonializm przeżywa apogeum. Jednakże przebieg tej wojny, jej symboliczna wymowa w rzeczywistości zapoczątkowały klęskę i koniec tego systemu. Jak i dlaczego tak się stało? Wiele wyjaśni krótka wyprawa do mrocznej krainy myślenia w kategoriach rasy. Otóż centralnym tematem, esencją, rdzeniem stosunków między Europejczykami i Afrykanami, główną formą, jaką te stosunki przybierają w epoce kolonialnej, jest różnica ras, koloru skóry. Wszystko, każda relacja, zależność, konflikt przekłada się na język pojęć: Biały - Czarny; przy czym, oczywiście, Biały jest lepszy, wyższy, silniejszy niż Czarny. Biały to - sir, master, sahib, bwana kubwa, niekwestionowany pan i władca, zesłany przez Boga, aby rządził Czarnymi. Wpajano Afrykaninowi, że Biały jest nietykalny, niezwyciężony, że Biali stanowią jednolitą, zwartą siłę. To była ideologia podpierająca system kolonialnej dominacji, ideologia, która gruntowała przekonanie, że wszelkie jego kwestionowanie czy kontestacja nie mają żadnego sensu. I nagle Afrykanie, których werbowano do armii brytyjskiej i francuskiej, widzą, że w tej wojnie, w której uczestniczą w Europie, Biali bije Białego, że strzelają do siebie, że jedni drugim burzą miasta. Jest to rewelacja, zaskoczenie, szok. Żołnierze afrykańscy w armii francuskiej widzą, że ich władczyni kolonialna - Francja - jest pokonana i podbita. Żołnierze afrykańscy w armii brytyjskiej widzą, jak stolica imperium - Londyn - jest bombardowana, widzą Białych ogarniętych paniką, Białych, którzy uciekają, o coś proszą, płaczą. Widzą Białych obdartych, głodnych, wołających o chleb. A w miarę, jak posuwają się na wschód Europy i razem z białymi Anglikami biją białych Niemców, napotykają to tu, to tam kolumny odzianych w pasiaki białych ludzi, ludzi-szkielety, ludzi-strzępy. Wstrząs, jakiego doznawał Afrykanin, kiedy obrazy wojny Białych przesuwają się przed jego oczyma, był tym silniejszy, że mieszkańcom Afryki (poza małymi wyjątkami, a w wypadku np. Konga belgijskiego - bez wyjątku) nie wolno było do Europy, czy w ogóle poza ich kontynent, jeździć. O życiu Białych mogli sądzić tylko na podstawie luksusowych warunków, jakie mieli Biali w koloniach. Jeszcze i to: mieszkaniec Afryki, w połowie XX wieku, nie ma żadnych źródeł informacji poza tym, co powie mu sąsiad albo szef wioski czy kolonialny administrator. Wie on więc o świecie tyle, co sam zobaczy w najbliższej okolicy albo co usłyszy od innych w czasie wieczornej pogawranki przy ognisku. Tych wszystkich kombatantów II wojny, którzy wrócili potem z Europy do

Afryki, spotkamy wkrótce w szeregach różnych ruchów i partii walczących o niepodległość swoich krajów. Liczba tych organizacji rośnie teraz szybko, powstają jak grzyby po deszczu. Mają różne orientacje, stawiają sobie odmienne cele. Ci z kolonii francuskich wysuwają na razie ograniczone postulaty. Nie mówią jeszcze o wolności. Chcą tylko, aby wszystkich mieszkańców kolonii uczynić obywatelami Francji. Paryż odrzuca ten postulat. Owszem, obywatelem Francji zostanie ten, kto zostanie wykształcony w kulturze francuskiej, wzniesie się do jej poziomu - tzw. *évolué*. Ale tacy okażą się wyjątkami. Ci z kolonii brytyjskich są bardziej radykalni. Inspiracją, impulsem i programem są dla nich śmiałe wizje przyszłości kreślone przez potomków niewolników, intelektualistów afro-amerykańskich w drugiej połowie XIX i pierwszej - XX wieku. Sformułowali oni doktrynę, którą nazwali panafryzmem. Jej główni twórcy to: działacz Alexander Crummwell, pisarz W.E.B. Du Bois i dziennikarz Marcus Garvey (ten ostatni z Jamajki). Różnili się, ale w dwóch punktach byli zgodni: 1) że wszyscy Czarni na świecie - w Ameryce Południowej i w Afryce - tworzą jedną rasę, jedną kulturę i że powinni być dumni ze swojego koloru skóry; 2) że cała Afryka powinna być niepodległa i zjednoczona. Ich hasło brzmiało "Afryka dla Afrykanów!". W trzecim, równie ważnym punkcie programu, W.E.B. Du Bois głosił pogląd, że Czarni powinni pozostać w tych krajach, w których mieszkają, natomiast Garvey - że wszyscy Czarni, gdziekolwiek są, powinni powrócić do Afryki. Jakiś czas sprzedawał on nawet fotografię Hajle Sellasje, utrzymując, że jest to wiza powrotna. Umarł w 1940 roku nigdy nie zobaczywszy Afryki. Entuzjastą panafryzmu stał się młody działacz i teoretyk z Ghany - Kwame Nkrumah. W 1947 roku, po skończeniu studiów w Ameryce, wrócił do kraju. Założył partię, do której przyciągnął kombatantów II wojny, a także młodzież, i na jednym z wieców rzucił w Akrze bojowe hasło: "Niepodległość teraz!". Wtedy, w tamtej kolonialnej Afryce zabrzmiało to jak wybuch bomby. Ale w dziesięć lat później Ghana stała się pierwszym na południe od Sahary niepodległym krajem Afryki, a Akra - od razu prowizorycznym, nieformalnym centrum wszelkich ruchów, pomysłów i działań dla całego kontynentu. Panowała tu gorączka wyzwolenia i można było spotkać ludzi z całej Afryki. Przyjeżdżało też mnóstwo dziennikarzy ze świata. Sprowadzała ich ciekawość, niepewności nawet lęk stolic europejskich - czy aby Afryka nie wybuchnie, czy nie poleje się tu krew Białych, a nawet czy nie powstaną armie, które, wyposażone w broń, jaką podrzucą im Sowieci, nie spróbują - w odruchu zemsty i nienawiści - ruszyć na Europę? Rano kupiłem miejscową gazetę "Ashanti Pioneer" i poszedłem szukać redakcji. Doświadczenie uczy, że w takiej redakcji można przez godzinę dowiedzieć się więcej, niż chodząc przez tydzień do różnych instytucji i notabli. Tak było i tym razem. W małym obskurnym pomieszczeniu, w którym woń przejrzałego mango łączyła się w przedziwny sposób z zapachem farby drukarskiej, powitał mnie wylewnie - jakby czekając na tę wizytę nie wiedząc od kiedy - pogodny, korpulentny człowiek ("Ja też jestem reporterem" - powiedział na wstępie) - Kwesi Amu. Przebieg i atmosfera powitania mają istotne znaczenie dla dalszych losów znajomości, dlatego przykładają tu wielką wagę do sposobu, w jaki się witają. Najważniejsze to od samego początku, od pierwszej sekundy okazać wielką, żywiołową radość i serdeczność. Więc najpierw wyciągamy rękę. Ale nie tak formalnie, powściągliwie, wiotko, lecz przeciwnie - biorąc duży, energiczny zamach tak, jakbyśmy chcieli witanemu nie tyle podać spokojnie rękę, co mu ją urwać. Jeżeli jednak zachowuje on rękę w całości i na miejscu, to dlatego, że znając cały obrządek i reguły powitania, on również ze swojej strony nabiera dużego i energicznego zamachu i

kieruje swoją rozpędzoną rękę w stronę naszej rozpędzonej ręki. Obie te, naładowane ogromną energią kończyny spotykają się teraz w pół drogi i wpadając na siebie ze straszliwym impetem redukują, a nawet znoszą do zera, przeciwnie działające siły. Jednocześnie, kiedy nasze wprawione w ruch ręce pędzą sobie naprzeciw, wydobywamy z siebie pierwszą, donośną, przeciąglą kaskadę śmiechu. Ma ona oznaczać, że cieszymy się ze spotkania i że jesteśmy do spotkanej osoby dobrze usposobieni. Teraz następuje długa lista okolicznościowych pytań i odpowiedzi w rodzaju: "Jak się masz? Czy jesteś zdrow? Jak się czuje twoja rodzina? Czy wszyscy zdrowi? A dziadek? A babcia? A ciocia? A wujek?" - itd., itd., bo rodziny są tu liczne i rozgałęzione. Zwyczaj każe, żeby każdą z pomyślnych odpowiedzi kwitować kolejną kaskadą donośnego i żywiołowego śmiechu, która powinna wywołać podobną, a nawet jeszcze bardziej homerycką kaskadę u pytającego. Często widzimy dwóch (albo więcej) ludzi stojących na ulicy i zanoszących się śmiechem. Nie oznacza to, że opowiadają sobie dowcipy. Oni się po prostu witają. Natomiast jeżeli śmiechy zamilkną - to albo zakończył się akt powitania i można przejść do meritum rozmowy, albo, zwyczajnie, spotykający się uciekli, żeby zmęczonym trzewiom dać przez chwilę odpocząć. Kiedy już odbyliśmy z Kwesi cały huczny i wesoły rytuał powitania, zaczęliśmy rozmowę o królestwie Ashanti. Ashanti opierali się Anglikom do końca XIX wieku i tak na dobrą sprawę nigdy im się do końca nie poddali. A i teraz, w warunkach niepodległości, trzymają się oni na dystans od Nkrumaha i popierających go ludzi z wybrzeża, których kultury nie cenią sobie najwyżej. Są bardzo przywiązani do swojej przebogatej historii, swoich tradycji, wierzeń i praw. W całej Afryce każda większa społeczność ma własną, odrębną kulturę, oryginalny system wierzeń i obyczajów, swój język i tabu, a wszystko to niezmiernie skomplikowane, arcyzawile i tajemnicze. Dlatego wielcy antropolodzy nigdy nie mówili "kultura afrykańska" czy "religia afrykańska", wiedząc, że nic takiego nie istnieje, że istotą Afryki jest jej nieskończona różnorodność. Widzieli kulturę każdego ludu jako świat odrębny, jedyny, niepowtarzalny. W ten też sposób pisali: E.E. Evans-Pritchard wydał monografię o Nuerach, M. Gluckman - o Zulu, G.T. Basden - o Ibo itd. Tymczasem umysł europejski skłonny do racjonalnej redukcji, do szufladkowania i uproszczeń, chętnie wpycha wszystko co afrykańskie do jednego worka i zadowala się łatwymi stereotypami. - Wierzmy - powiedział mi Kwesi - że człowiek składa się z dwóch elementów. Z krwi, którą dziedziczy po matce, i z ducha, którego dawcą jest ojciec. Silniejszym z tych elementów jest pierwiastek krwi, dlatego dziecko należy do matki i jej klanu - nie do ojca. Jeżeli klan żony każe jej zostawić męża i wracać do rodzinnej wioski, zabiera ona ze sobą wszystkie dzieci (bo żona co prawda mieszka w wiosce i w domu męża, ale jest tam tylko niejako w gościnie). Ta szansa powrotu do swojego klanu sprawia, że jeżeli mąż ją porzuci, kobieta ma gdzie się podziać. Może też sama się wynieść, jeżeli będzie on dla niej despotą. Ale są to sytuacje skrajne, bo zwykle rodzina jest silną i żywotną komórką, w której wszyscy mają zwyczajowo wyznaczone role i każdy zna swoje powinności. Rodzina jest zawsze liczna - to kilkadziesiąt osób. Mąż, żona (żony), dzieci, kuzyni. Jeżeli jest to możliwe, rodzina zbiera się często i wspólnie spędza czas. Wspólne spędzanie czasu jest jedną z największych wartości, którą wszyscy starają się szanować. Ważne jest, by mieszkać razem albo blisko siebie: jest dużo prac, które można wykonać tylko zbiorowo - inaczej nie ma szansy na przeżycie. Dziecko wychowuje się w rodzinie, ale w miarę, jak dorasta, widzi, że granice jego świata społecznego sięgają dalej, że obok żyją inne, widzi, że obok żyją inne rodziny i że wiele tych rodzin razem stanowi

klan. Klan tworzą ci wszyscy, którzy wierzą, że mieli wspólnego praprzodka. Jeżeli wierzę, że kiedyś ty i ja mieliśmy tego samego praprzodka - to należymy do jednego klanu. Z tego przekonania wynikają niesłychanie ważne konsekwencje. Np. mężczyźni i kobiety z tego samego klanu nie wolno mieć kontaktów seksualnych. Jest to objęte najostrejszym tabu. W przeszłości za jego naruszenie oboje byli skazywani na śmierć. Ale i dziś jest to ciężkie wykroczenie, które może rozgniewać duchy przodków i ściągnąć na klan masę nieszczęść. Na czele klanu stoi wódz. Wybiera go zgromadzenie klanu, któremu przewodzi rada starszych. Starsi to szefowie wsi, wodzowie podklanów, funkcyjni wszelkiego rodzaju. Może być kilku kandydatów i wiele głosowań, bo ten wybór ma znaczenie: pozycja wodza jest ważna. Od momentu wyboru wódz staje się osobą świętą. Odtąd nie wolno mu chodzić boso. Ani bezpośrednio siadać na ziemi. Nie wolno go dotknąć ni powiedzieć o nim złego słowa. Że idzie wódz - widać z daleka po rozpiętym parasolu. Wielki wódz ma ogromny, zdobny parasol, który trzyma specjalny sługa; mniejszy wódz chodzi z normalnym parasolem kupionym u Araba na targu. Wódz klanu to funkcja o wyjątkowym znaczeniu. Sednem wiary ludzi Ashanti jest kult przodków. Klan obejmuje ogromną liczbę istot, ale tylko część możemy widzieć i spotkać, tę część, która żyje na ziemi. Inni - większość - to przodkowie, którzy częściowo odeszli, ale w rzeczywistości nadal uczestniczą w naszym życiu. Patrzą na nas, obserwują nasze zachowanie. Są wszędzie, wszystko widzą. Mogą nam pomóc, ale mogą też ukarać. Obdarzyć szczęściem albo skazać na zagładę. Decydują o wszystkim. Dlatego utrzymanie dobrych stosunków z przodkami jest warunkiem pomyślności całego klanu i każdego z nas. A właśnie za jakość i temperaturę tych stosunków odpowiada wódz. Jest on pośrednikiem i łącznikiem dwóch integralnych części klanu: świata przodków i świata żywych. To on komunikuje żywym, jaka jest wola i decyzja przodków w danej sprawie, on również błaga ich o przebaczenie, jeżeli żywi naruszyli obyczaj lub prawo. To przebaczenie można uzyskać, składając przodkom ofiary: kropiąc ziemię wodą lub winem palmowym, odkładając im jedzenie, zabijając owcę. Wszystko to jednak może nie wystarczyć - przodkowie będą gniewać się dalej, co oznacza dla żywych ciągle niepowodzenia i choroby. Największy gniew wywołują: kazirodztwo, zabójstwo, samobójstwo, napad, obrażanie wodza, czarownictwo. - Samobójstwo? - zdziwiłem się. - Jak można ukarać kogoś, kto popełnił samobójstwo? - Prawo nasze nakazywało obciąć mu głowę. Samobójstwo było złamaniem tabu, a naczelną zasadą kodeksu klanowego jest to, że każde przewinienie musi być ukarane. Jeżeli zdarzy się przewinienie, które nie spotka się z karą - klan pogrąży się w katastrofie, stanie w obliczu zagłady. Siedzieliśmy na werandzie jednego z wielu tutejszych barów. Piliśmy fantę; firma najwyraźniej ma tu monopol na sprzedaż. Za kontuarem, oparłszy głowę na rękach, drzemała młoda barmanka. Było gorąco i sennie. - Wódz - ciągnął Kwesi - ma mnóstwo innych obowiązków. Rozstrzyga spory i rozwiązuje konflikty, jest więc również i sędzią. Ważne, a na wsiach ważne szczególnie, jest to, że wódz przydziela rodzinom ziemię. Nie może on tej ziemi dać ani sprzedać, ponieważ ziemia jest własnością przodków. Oni są w niej, w jej wnętrzu. Wódz może ją tylko przydzielić pod uprawę. Jeżeli pole wyjałowije, wyznaczy on rodzinie inny kawałek gruntu, a ten będzie odpoczywał, nabierał sił na przyszłość. Ziemia jest święta. Ziemia daje ludziom życie, a to, co daje życie, jest święte. Wódz cieszy się najwyższym szacunkiem. Jest otoczony radą starszych i nie może zdecydować o niczym bez zasięgnięcia jej opinii i bez jej zgody. Tak rozumiemy demokrację. Rano każdy z członków rady odwiedza dom wodza, aby pozdrowić gospodarza. W ten sposób wie on, że rządzi dobrze i ma poparcie.

Jeżeli tych rannych wizyt nie było, znaczyłoby to, że stracił zaufanie i musi odejść. Stanie się tak wówczas, jeśli popełni jedno z pięciu przewinień. Są nimi: pijaństwo, obżarstwo, konszachty z czarownikami, zły stosunek do ludzi i rządzenie bez zasięgania opinii rady starszych. Musi też odejść, jeżeli oślepnie, zarazi się trądem lub postrada zmysły. Kilka klanów tworzy związek, który Europejczycy nazywają plemieniem. Ashanti to połączenie ośmiu klanów. Na czele stoi król - Ashantehene, otoczony radą starszych. Związek taki łączą nie tylko wspólni przaprzodkowie. Jest on także wspólnotą terytorialną, kulturową i polityczną. Czasem taki lud jest potężny, wielomilionowy, większy niż niejeden naród europejski. Długo wahałem się, ale w końcu poprosiłem go: - Powiedz mi coś o czarownictwie. - Wahałem się, ponieważ jest to temat, o którym mówi się tu z niechęcią, a często po prostu pomija milczeniem. - Już nie wszyscy to wierzą - odpowiedział Kwesi. - Ale dużo ludzi - tak. Wielu po prostu boi się nie wierzyć. Moja babcia uważa, że czarownice istnieją i nocą spotykają się na wysokich drzewach stojących pojedynczo w polu. Ale czy babcia widziała kiedyś czarownicę? - pytałem ją. - To jest niemożliwe - odpowiadała z przekonaniem. Nocą czarownice osnuwają całą ziemię pajęczą nicią. Jeden koniec nici trzymają w ręku, drugi jest umocowany do wszystkich drzwi na świecie. Jeżeli ktoś próbuje drzwi otworzyć i wyjść na zewnątrz - porusza pajęczynę. Czarownice to czują i w popłochu znikają w ciemnościach. Rano można tylko zobaczyć strzępy pajęczyn zwisające z gałęzi i z klamek drzwi. Ja, Biały W Dar es-Salaam kupiłem starego land-rovera od Anglika, który wracał już do Europy. Był rok 1962, kilka miesięcy wcześniej Tanganika uzyskała niepodległość i wielu Anglików ze służby kolonialnej straciło posady, stanowiska i nawet domy. W ich pustoszejących klubach coraz to ktoś opowiada, jak wszedł rano do swojego pokoju w ministerstwie, a tam zza jego biurka uśmiecha się ktoś z miejscowych: - Przepraszam. Bardzo mi przykro! Ta okolicznościowa zmiana warty nazywa się afrykanizacją. Jedni witają ją z aplauzem, jako symbol wyzwolenia, innych ten proces oburza. Wiadomo, kto się cieszy, a kto jest przeciwny. Londyn i Paryż, żeby zachęcić swoich urzędników do pracy w koloniach, stwarzały chętnym do wyjazdu wspaniałe warunki życia. Drobnym, skromnym urzędnikiem na pocztę w Manchesterze po przyjeździe do Tanganiki dostawał willę z ogrodem i basenem, samochody, służbę, urlopy w Europie itd. Biurokracja kolonialna żyła naprawdę świetnie. I oto mieszkańcy kolonii z dnia na dzień otrzymują niepodległość. Przejmują w nie zmienionej postaci państwo kolonialne. Nawet dbają o to, żeby nic tu nie zmienić, ponieważ to państwo daje biurokratom fantastyczne przywileje, których nowi właściciele oczywiście nie chcą się zrzec. Wczoraj jeszcze ubodzy i poniżani, dzisiaj są już wybrańcami, mają i wysokie pozycje, i pełną kiesę. Ta kolonialna geneza państwa afrykańskiego - w którym europejski urzędnik płacony był ponad sens i miarę, a system ten został bez zmian przejęty przez miejscowych - sprawiła, że w niepodległej Afryce walka o władzę przyjęła od razu niesłychanie zacięty i bezlitosny charakter. W jednej chwili, od jednego zamachu, powstaje tam nowa klasa rządząca - burżuazja biurokratyczna, która niczego nie wytwarza, nie produkuje, lecz tylko rządzi społeczeństwem i korzysta z przywilejów. Prawo XX wieku, prawo zawrotnego pośpiechu, zadziało i w tym wypadku - niegdyś na powstanie klasy społecznej trzeba było dziesięcioleci, nawet wieków, tu wystarczyło kilka dni. Francuzi, którzy z przymrużeniem oka przyglądali się owej walce o miejsca w nowej klasie, nazwali ten fenomen la politique du ventre (polityką brzucha), tak ściśle bowiem stanowisko polityczne było związane z krociowymi korzyściami materialnymi. Ale to jest Afryka i

szczęśliwy nuworysz nie może zapomnieć o starej tradycji klanowej, a jeden z jej naczelnych kanonów brzmi: dziel się wszystkim, co masz, ze swoimi pobratymcami, z innym członkiem klanu, czyli, jak się tu mówi, kuzynem (w Europie więz z kuzynem jest dosyć już słaba i odległa, w Afryce kuzyn z linii matki jest ważniejszy niż mąż). A więc - masz dwie koszule - daj mu jedną, masz miskę ryżu - daj mu połowę. Kto łamie tę zasadę, skazuje się na ostracyzm, na wygnanie z klanu, na budzący zgrozę status jednostki odosobnionej. To w Europie indywidualizm jest wartością cenioną, w Ameryce nawet najbardziej cenioną; w Afryce - indywidualizm jest synonimem nieszczęścia, przekleństwa. Tradycja afrykańska jest kolektywistyczna, bo tylko w zgodnej gromadzie można było stawiać czoło piętrzącym się tu nieustannie przeciwnościom natury. A jednym z warunków przetrwania gromady jest właśnie dzielenie się najmniejszą drobiną tego, co posiadam. Kiedyś otoczyła mnie tu gromada dzieci. Miałem jeden cukierek, który położyłem na dłoni. Dzieci stały nieruchomo, wpatrzone. Wreszcie najstarsza dziewczynka wzięła cukierek, ostrożnie rozgryzła go i sprawiedliwie rozdała wszystkim po kawałku. Jeżeli ktoś w miejsce Białego został ministrem i otrzymał jego wille z ogrodem, jego pensję i samochody, wieść o tym szybko dotrze do miejsca, skąd ów wybraniec losu pochodzi. Wiadomość lotem błyskawicy obiegnie okoliczne wioski. Radość i nadzieja wstąpią w serca jego kuzynów. Wkrótce zaczną się ich pielgrzymka do stolicy. Tu bez trudu odnajdą wyróżnionego pociotka. Zjawia się przed bramą jego domu, pozdrowią go, rytualnie pokropią dżinem ziemię, aby podziękować przodkom za tak szczęśliwy obrót losu, a następnie rozgospczą się w willi, na podwórzu, w ogrodzie. Wkrótce zobaczymy, jak w cichej rezydencji, w której mieszkał starszy Anglik z małomówną żoną, zrobiło się rojno i gwarno. Przed domem od rana pali się ognisko, kobiety ubijają kassawę w drewnianych młotkach, tłum dzieci baraszkuje na klombach i rabatach. Wieczorem cała liczna rodzina zasiada na trawniku do kolacji - bo choć zaczęło się nowe życie, zwyczaj pozostał dawny, z czasów odwiecznej biedy: je się tylko raz dziennie, wieczorem. Kto ma bardziej ruchliwe zajęcie, a mniej respektu dla tradycji, próbuje zmylić trop. Raz spotkałem w Dodomie ulicznego sprzedawcę pomarańczy (niski jest z tego dochód), który w Dar es-Salaam przynosił mi do domu te owoce. Ucieszyłem się i spytałem, co tu robi, pięćset kilometrów od stolicy. Musiał uciekać przed kuzynami, wyjaśnił. Dzielił się z nimi długo, ale w końcu miał już tego dosyć i czmychnął. - Przez jakiś czas będę miał trochę grosza - cieszył się. - Dopóki mnie nie znajdą! Wspomnianych wypadków awansu niepodległościowego nie ma jeszcze w owym czasie tak dużo. W dzielnicy Białych - nadal dominują Biali. Bo Dar es-Salaam, podobnie jak inne miasta tej części kontynentu, składa się z trzech oddzielonych od siebie dzielnic (najczęściej wodą albo pasmem pustej ziemi). A więc najlepsza, najbliższej morza położona dzielnica należy oczywiście do Białych. To Oyster Bay: wspaniałe wille, tonące w kwiatkach ogrody, puszyste trawniki, równe, wysypane szutrem alejki. Tak, tu żyje się naprawdę luksusowo, tym bardziej że samemu nie trzeba robić: o wszystko troszczy się cicha, czujna, dyskretnie poruszająca się służba. Tu człowiek przechadza się tak, jak prawdopodobnie robi to w raju: wolno, luźno, zadowolony, że tu jest, zachwycony pięknem świata. Za mostem, za laguną, znacznie dalej od morza, tłoczy się kamienna, ruchliwa, handlowa dzielnica. Jej mieszkańcy to Hindusi, Pakistańczycy, Goańczycy, przybysze z Bangladeszu i Sri Lanki, wszyscy łącznie nazywani tu Azjatami. Choć jest wśród nich kilku wielkich bogaczy, ogół żyje sobie średnio, bez żadnego zbytku. Zajęci są handlem. Kupują, sprzedają, pośredniczą, spekulują. Liczą, ciągle liczą,

przeliczają, kręcą głowami, kłócą się. Dziesiątki, setki sklepów na oścież otwartych, ich towar wywalony na chodnik, na ulicę. Tkaniny, meble, lampy, garnki, lusterka, świecidełka, zabawki, ryż, syropy, przyprawy - wszystko. Przed sklepem na krześle siedzi Hindus, jedna stopa oparta na siedzeniu krzesła, cały czas dłubie w palcach tej stopy. Każdej soboty po południu mieszkańcy tej dusznej i ciasnej dzielnicy ruszają nad morze. Ubierają się wtedy odświętnie - kobiety w złożone sari, mężczyźni w schludne koszule. Jadą samochodami. Wewnątrz tłoczy się cała rodzina, jedni u drugich na kolanach, na ramionach, na głowie: dziesięć - piętnaście osób. Zatrzymują samochód nad spadzistym brzegiem morza. O tej porze przypływ bije potężną, ogłuszającą falą. Otwierają okna. Wdychają zapach morza. Wietrzą się. Po drugiej stronie tej wielkiej wody, którą widzą przed sobą, leży ich kraj, którego czasem już nawet nie znają - Indie.

Przebywają tu kilkanaście minut, może pół godziny. Potem kolumna zatłoczonych wozów odjeżdża i na brzegu robi się znowu pusto. Im dalej od morza, tym większy upał, susza i kurz. Tam właśnie na piasku, na nagiej, jałowej ziemi stoją lepianki dzielnicy afrykańskiej. Poszczególne jej części mają nazwy dawnych wiosek niewolników sułtana Zanzibaru - Kariakoo, Hala, Magomeni, Kinondoni. Nazwy są różne, ale standard glinianych domów jednakowo biedny, a życie ich mieszkańców liche, bez szansy poprawy. Dla ludzi z tych dzielnic wolność polega na tym, że mogą teraz swobodnie chodzić po głównych ulicach tego stutysięcznego miasta, a nawet zapuszczać się do dzielnicy Białych. Niby nigdy nie było to zakazane, bo Afrykanin mógł zawsze tam się pojawić, ale musiał mieć jasny, konkretny cel: musiał iść do pracy albo wracać z pracy do domu. Oko policjanta łatwo rozróżniało chód kogoś, komu spieszo było do zajęć, od jakiegoś bezcelowego, podejrzanego wałęsania się. Każdy, w zależności od koloru skóry, miał tu przypisaną rolę i wyznaczone miejsce. Ci, którzy pisali o apartheidzie, podkreślali, że był to system wymyślony i obowiązujący w Południowej Afryce, państwie rządzone przez białych rasistów. Ale teraz przekonałem się, że apartheid jest zjawiskiem dużo bardziej uniwersalnym, powszechnym. Jego krytycy mówili, że jest to system wprowadzony przez zakutych Burów, aby rządzić niepodzielnie i trzymać Czarnych w gettach, zwanych tam bantustanami. Ideologowie apartheidu bronili się: jesteśmy za tym, głosili, żeby wszyscy ludzie mieli coraz lepiej i mogli się rozwijać, ale żeby w zależności od koloru skóry i przynależności etnicznej rozwijali się oddzielnie. Była to oszukańcza myśl, bowiem, kto znał realia, wiedział, że za ową zachętą, aby się wszyscy jednakowo rozwijali, krył się głęboko niesprawiedliwy stan rzeczy: z jednej strony Biali mieli najlepsze gleby, przemysł i bogate dzielnice miast, po drugiej natomiast stronie wegetowali Czarni, stłoczeni na marnych, półpustynnych skrawkach ziemi. Idea apartheidu była przewrotna do tego stopnia, że z czasem jej największe ofiary zaczęły upatrywać w niej pewne korzyści, jakąś szansę na niezależność, wygodę bycia u siebie. Afrykanin mógł bowiem powiedzieć: - Nie tylko ja, Czarny, nie mogę do ciebie wejść, również ty, Biały, jeżeli chcesz pozostać cały i nie czuć zagrożenia, lepiej nie wchodź do mojej dzielnicy! Do takiego miasta przyjechałem na kilka lat jako korespondent Polskiej Agencji Prasowej. Krążąc po jego ulicach, szybko zorientowałem się, że jestem w sieciach apartheidu. Przede wszystkim ponownie odżył we mnie problem koloru skóry. Jestem Biały. W Polsce, w Europie, nigdy się nad tym nie zastanawiałem, nie przychodziło mi to do głowy. Tutaj, w Afryce, stawało się to wyznacznikiem najważniejszym, a dla prostych ludzi - jedynym. Biały. Biały, czyli kolonialista, grabieżca, okupant. Podbiłem Afrykę, podbiłem Tanganikę, wyciąłem

w pień plemię tego, który akurat stoi przede mną, jego przodków. Zrobiłem go sierotą. W dodatku sierotą upokorzonym i bezsilnym. Wiecznie głodnym i chorym. Tak, kiedy patrzy teraz na mnie, to właśnie musi myśleć: Biały, ten, który mi wszystko zabrał, bił dziadka batem po plecach, gwałcił moją matkę. Masz go teraz przed sobą, przypatrz mu się! Nie umiałem rozwiązać we własnym sumieniu problemu winy. W ich oczach, jako Biały, byłem winny. Niewolnictwo, kolonializm, pięćset lat krzywdy - to przecież sprawka Białych. Białych? A więc i moja. Moja? Nie potrafiłem rozbudzić w sobie tego oczyszczającego, wyzwolenczego uczucia: poczuć się winnym. Okazać skruczę. Przeprzić. Przeciwnie! Z początku próbowałem kontratakować: - Wyście byli skolonizowani? My, Polacy, też! Przez sto trzydzieści lat byliśmy kolonią trzech obcych państw. Zresztą też Białych. Śmiali się, pukali w czoło, rozchodzili. Gniewałem ich, ponieważ podejrzewali, że chcę ich oszukać. Wiedziałem, że, mimo wewnętrznego przeświadczenia o mojej niewinności, dla nich - jestem winny. Ci bosonodzy, głodni i niepiśmienni chłopcy mieli nade mną przewagę etyczną, tę, którą daje przeklęta historia swoim ofiarom. Oni, Czarni, nigdy nikogo nie podbijali, nie okupowali, nie trzymali w niewoli. Mogli patrzeć na mnie z poczuciem wyższości. Byli z rasy czarnej, ale czystej. Stałem wśród nich słaby, nie mając już nic do powiedzenia. Wszędzie było mi źle. Biały kolor skóry, choć uprzywilejowany, też trzymał mnie w klatce apartheidu. W tym wypadku co prawda ze złota, ale jednak w klatce Oyster Bay. Piękna dzielnica. Piękna, ukwiecona i - nudna. Owszem, można tu było chodzić wśród wysokich kokosowych palm, podziwiać kłębiące się bugenwille i eleganckie, delikatne tunbergie, porośnięte gęstym wodorostem skały. Ale co więcej? Co poza tym? Mieszkańcami dzielnicy byli urzędnicy kolonialni, którzy myśleli jedynie, aby doczekać końca kontraktu, kupić na pamiątkę skórę krokodyla czy róg nosorożca i wyjechać. Ich żony rozmawiały albo o zdrowiu dzieci, albo o minionym lub zbliżającym się party. A ja miałem codziennie wysyłać korespondencję! O czym? Skąd brać materiał? Wychodziła tu jedna mała gazeta - "Tanganyika Standard". Odwiedziłem jej redakcję, ale ludzie, których tam zastałem, byli właśnie Anglikami z Oyster Bay. I też już się pakowali. Wybrałem się do dzielnicy hinduskiej. Ale co w niej robić? Gdzie pójść? Z kim rozmawiać? Panuje zresztą straszny upał i nie da się długo chodzić: nie ma czym oddychać, nogi słabną, cała koszula mokra. Właściwie po godzinie takiej włóczęgi ma się wszystkiego dosyć. Pozostaje tylko jedno pragnienie: gdzieś usiąść, koniecznie usiąść w cieniu, najlepiej pod wiatrakiem. W takich chwilach myśli się: czy mieszkańcy Północy wiedzą, jakim skarbem jest to szare, zgrzebne, wiecznie zachmurzone niebo, które ma jednak wielką, cudowną zaletę - nie ma na nim słońca? Moim głównym celem były oczywiście przedmieścia afrykańskie. Miałem zapisane jakieś nazwiska. Miałem adres lokalu rządzącej partii - TANU (Tanganyika African National Union). Nie mogłem odnaleźć tego miejsca. Wszystkie uliczki jednakowe, piasek po kostki, dzieci nie dają przejść, cisną się rozbawione, natarczywie ciekawe - Biały w tych niedostępnych obcym zaułkach to jednak sensacja i widowisko. Z każdym krokiem traci się pewność siebie. Długo czuję na sobie uważny, odprowadzający wzrok mężczyzn siedzących beczynnie przed domami. Kobiety nie patrzą, odwracają głowy: to muzułmanki, ubrane w czarny, zarzucony luźno strój bui-bui, zakrywający dokładnie całą figurę i część twarzy. Paradoks sytuacji polegał na tym, że nawet gdybym spotkał kogoś z miejscowych Afrykanów i chciał dłużej z nim porozmawiać, nie mielibyśmy gdzie pójść. Dobra restauracja była dla Europejczyków - podła dla Afrykanów. Jedni nie bywali u drugich, nie było zwyczaju. Każdy czuł się źle, jeżeli znalazł się w miejscu

niezgodnym z regułami apartheidu. Mając już mocny, terenowy wóz, mogłem ruszyć w drogę. Był powód: na początku października sąsiadujący z Tanganiką kraj - Uganda - uzyskiwał niepodległość. Fala niepodległościowa szła przez cały kontynent: w jednym tylko - 1960 roku siedemnaście krajów Afryki przestało być koloniami. I proces ten, choć już na mniejszą skalę, trwał dalej. Z Dar es-Salaam do głównego miasta Ugandy - Kampali, w którym miały się odbyć uroczystości, pędząc od świtu do nocy z możliwie maksymalną prędkością, potrzeba trzech dni jazdy. Połowa trasy to asfalt, druga połowa - to drogi gruntowe, laterytowe, zwane afrykańską tarką, bo mają nawierzchnię karbowaną, po której można jechać tylko z wielką szybkością, po szczytach karbów, tak jak to jest pokazane w filmie "Cena strachu". Pojechał ze mną Grek, trochę makler, a trochę korespondent różnych gazet w Atenach - Leo. Wzięliśmy cztery zapasowe koła, dwie beczki benzyny, beczkę wody, jedzenie. Wyjechaliśmy o świcie, kierując się na północ, mając poprawę rękę niewidoczny z drogi Ocean Indyjski, a po lewej najpierw masyw Nguru, a potem cały czas step Masajów. Wzdłuż drogi, po obu stronach, zielono i zielono. Wysokie trawy, gęste, zwelnione krzewy, rozłożyste parasole drzew. I tak aż do góry Kilimandżaro i do dwóch leżących koło niej miasteczek - Moshi i Arushy. W Arushy skręciliśmy na zachód, w stronę Jeziora Wiktorii. Po dwustu kilometrach zaczęły się problemy. Wjechaliśmy na ogromną równinę Serengeti, największe na świecie skupisko dzikich zwierząt. Wszędzie, gdzie spojrzeć, olbrzymie stada zebra, antylop, bawołów, żyraf. Wszystko to pasie się, hasa, bryka, cwałuje. A jeszcze tuż przy drodze nieruchome lwy, trochę dalej - gromada słoni, a jeszcze dalej, na linii horyzontu, wielkimi susami pomykający lampart. Nieprawdopodobne to wszystko, niewiarygodne. Jakby widziało się narodziny świata, ten szczególny moment, kiedy jest już ziemia i niebo, kiedy są - woda, rośliny i dzikie zwierzęta, a jeszcze nie ma Adama i Ewy. A więc właśnie ten świat ledwie narodził się, świat bez człowieka, a to znaczy - także i bez grzechu, widzi się tutaj, w tym miejscu, i jest to naprawdę wielkie przeżycie. `nv Serce kobry Z tego nastroju uniesienia i ekstazy szybko sprowadziły nas na ziemię realia i zagadki naszej drogi. Pierwsze, najważniejsze pytanie: którądy jechać? Bo oto, kiedy znaleźliśmy się na wielkiej równinie, nasz szeroki dotąd szlak zaczął się nagle rozwidlać, rozgałęziać w kilka wyglądających identycznie polnych dróg idących jednak w zupełnie różnych kierunkach. I żadnego drogowskazu, napisu, strzałki. Gładka jak stół, porośnięta wysoką trawą równina, bez gór i rzek, bez naturalnych punktów i znaków, tylko z tą nie kończącą się, coraz bardziej nieczytelną, splątaną, zagmatwaną siatką polnych dróg. Nie było tu nawet skrzyżowań, tylko co kilka kilometrów, a czasem nawet co kilkaset metrów, nowe i nowe rozgałęzienia, sploty i węzły, z których podobne do siebie odnogi chaotycznie rozchodziły się w najprzeróżniejszych kierunkach. Spytałem Greka, co robić, ale on, rozglądając się niepewnie, odpowiedział mi tym samym pytaniem. Długo jechaliśmy na chybił trafił, wybierając te drogi, które zdawały się prowadzić na zachód (a więc do Jeziora Wiktorii), ale wystarczyło przejechać kilka kilometrów, kiedy nagle, bez żadnego powodu, wybrana odnoga zaczynała skręcać, w nie wiadomo jakim kierunku. Zupełnie zagubiony, zatrzymałem wóz, zastanawiając się - którądy teraz? - tym bardziej że nie mieliśmy ani dokładnej mapy, ani nawet kompasu. Wkrótce też pojawiła się nowa trudność, bo przyszło południe, czas największego upału, kiedy świat pogrąża się w martwocie i w ciszy. O tej porze zwierzęta chroni się w cieniu drzew. Ale stada bawołów nie mają gdzie się ukryć. Są zbyt wielkie, zbyt liczne. Każde z nich może liczyć tysiąc sztuk. Takie stado w godzinie największego upału po prostu nieruchomieje,

zamiera. I to na przykład zamiera właśnie na drodze, którą chcemy jechać. Zbliżamy się: przed nami stoi tysiąc ciemnych, granitowych posągów, mocno osadzonych w ziemi, skamieniałych. Potężna siła drzemie w tym stadzie, potężna i - jeżeli eksploduje gdzieś przy nas - śmiertelna. To siła górskiej lawiny, tyle że rozpalonej, oszalałej, napędzanej spienioną krwią. Bernhard Grzimek opowiada, jak latając małym samolotem, miesiącami śledził w Serengeti zachowanie bawołów. Samotny bawół w ogóle nie reagował na warkot pikującego samolotu: spokojnie pasł się dalej. Inaczej było, kiedy Grzimek nadlatywał nad duże stado. Wystarczyło, że znalazł się w nim jakiś nadwrażliwiec, jakiś histeryk i mimoza, który na dźwięk motoru zaczął się rzucać, chciał uciekać. Całe stado natychmiast wpadało w panikę i przerażone ruszało przed siebie. A tu stoi przede mną takie właśnie stado. Co robić? Zatrzymać się i stać? Stać - jak długo? Zawrócić? Już za późno: boję się zawrócić, bo może rzucą się za nami. To piekielnie szybkie, zaciekle i wytrwale zwierzęta. Robię znak krzyża i wolno, wolno, na pierwszym biegu, na półsprzęgle, wjeżdżam w stado. Jest ono wielkie, ciągnie się prawie po horyzont. Obserwuję byki, które są na czele. Te, które stoją na drodze samochodu, zaczynają ospale, z namysłem usuwać się na tyle, aby wóz mógł jechać. Przy czym nie usuwają się nawet na centymetr więcej, niż jest to konieczne, i land-rower cały czas szoruje o ich boki. Jestem cały mokry. To jest tak, jakby się jechało zaminowaną drogą. Kątem oka spoglądam na Leo. Ma zamknięte oczy. Metr po metrze, metr po metrze. Całe stado stoi w milczeniu. Nieruchome. Setki par mrocznych, wyłupiastych oczu w masywnych łbach. Te oczy zawilgłe, tępe, bez wyrazu. Trwa ten przejazd długo, ta przeprawa zda się nie mieć końca, ale wreszcie jesteśmy znowu na bezpiecznym brzegu - stado zostało w tyle, jego mocna, ciemna plama na tle zielonej powierzchni Serengeti staje się mniejsza i mniejsza. Im bardziej mijał czas, im dalej jechaliśmy, krążąc i błędząc, tym większy czułem niepokój. Od rana nie spotkaliśmy żadnych ludzi. Nie natrafiliśmy też ani na szosę, ani bodaj na jakiś drogowskaz. Upał był przerażający, nasilał się z każdą minutą, jakby trasa, czy nawet wszystkie możliwe trasy, prowadziła prosto w słońce i jakbyśmy jadąc nieuchronnie zbliżali się do momentu, w którym spłonimy jako ofiary złożone na jego ołtarzu. Rozpalone powietrze zaczęło drgać i falować. Wszystko stawało się płynne, każdy obraz poruszony i rozmyty jak na nieostrym filmie. Horyzont oddalił się i zatarł, jakby podlegał oceanicznemu prawu przyptyków i odpływów. Szare, zakurzone parasole akacjowców poruszały się rytmicznie i zmieniały miejsce - zdawało się, że niosą je jacyś obląkańcy, którzy snują się tu, nie wiedząc, gdzie się podziać. Ale najgorsze było to, że drgnęła i zaczęła się poruszać owa pogmatwana siatka dróg, która od kilku godzin trzymała nas w swojej zdradliwej i duszącej matni. Widziałem, jak ta sieć, cała ta zawiła geometria, której co prawda nie umiałem rozszyfrować, ale która była jakimś stałym nieruchomym elementem na powierzchni sawanny, teraz sama szamocze się i dryfuje. Dokąd dryfuje? Dokąd ciągnie nas uwikłanych i miotających się w jej splotach? Gdzieś sunęliśmy, Leo, samochód i ja, nasze drogi, sawanna, bawoły i słońce, w jakąś nieznana, świecąca, rozjarzoną przestrzeń. Nagle zgasł silnik i samochód gwałtownie stanął. To Leo, widząc, że coś się ze mną dzieje, przekręcił kluczyk w stacyjce. - Daj - powiedział - poprowadzę dalej. - Jechaliśmy tak, aż zelżał upał i wtedy zobaczyliśmy daleko dwie afrykańskie chatki. Podjechaliśmy. Były to puste domki, bez drzwi i okien. We wnętrzu stały drewniane prycze. Domki te najwyraźniej nie należały do nikogo, miały po prostu służyć przygodnym podróżnikom. Nie wiem, jak znalazłem się na pryczy. Byłem ledwie żywy. Słońce szumiało mi w głowie. Żeby opanować senność, zapaliłem

papierosa. Nie smakował mi. Chciałem go zgasić i kiedy odruchowo spojrzałem na moją rękę kierującą się w stronę podłogi, zobaczyłem, że chciałem go zgasić na głowie leżącego pod pryczą węża. Zamarłem. Zdrętwiałem do tego stopnia, że zamiast szybko cofnąć rękę z żarzącym się papierosem, trzymałem ją nadal nad głową węża. W końcu jednak zdałem sobie sprawę z sytuacji: byłem więźniem śmiercionośnego gada. Wiedziałem jedno: nie ma mowy, żeby się ruszyć. Rzuci się i ugryzie. Była to kobra egipska, szarżółta, leżała na glinianej podłodze zwinięta w regularny kłębek. Jej jad szybko przynosi śmierć, a w naszej sytuacji - bez żadnych leków, w miejscu, z którego do szpitala mógł być dzień drogi - byłaby to śmierć niechybna. Być może w tym momencie kobra znajdowała się w stanie jakiejś katalepsji (podobno typowy dla tych gadów stan beczucia i letargu), bo nie ruszała się, leżała nieruchomo. Boże Świąty, co robić? - myślałem gorączkowo, zupełnie już oprzytomniały. - Leo - szepnąłem głośno - Leo, wąż! Leo był wewnątrz wozu, właśnie wyjmował bagaże. Milczeliśmy, nie wiedząc, jak postąpić, a nie było czasu, bo jeśli kobra przebudzi się z katalepsji, zaraz rzuci się do ataku. Ponieważ nie mieliśmy żadnej broni, żadnej maczety, nic, postanowiliśmy, że Leo zdejmie z wozu jeden kanister i będziemy nim próbowali zadusić kobrę. Był to pomysł ryzykowny, ale zaskoczeni tą nieoczekiwaną sytuacją nie umieliśmy nic innego wymyślić. Coś trzeba było robić. Nasza beczyność dawała inicjatywę kobrze. Mieliśmy ze sobą kanistry z angielskiego demobilu, duże, o mocnych, wystających kantach. Leo, który był potężnym mężczyzną, wziął jeden z nich i zaczął skradać się do chatki. Kobra nic, leżała nieruchomo. Leo, trzymając za uchwyty kanister, uniósł go w górę i czekał. Stojąc tak, obliczał, przymierzał, celował. Leżałem nieruchomo na pryczy, napięty, gotowy. I wtedy, nagle, w sekundzie Leo, trzymając przed sobą kanister, rzucił się całym ciężarem na węża. W tym momencie ja z kolei przygniotłem kolegę swoim ciałem. Były to sekundy, w których ważyło się nasze życie - wiedzieliśmy o tym. Ale właściwie pomyśleliśmy o tym później, bo w momencie, kiedy kanister, Leo i ja runęliśmy na węża - wewnątrz chatki zamieniło się w piekło. Nigdy nie przypuszczałem, że w jakimś stworzeniu może być tyle siły. Tyle strasznej, monstrualnej, kosmicznej siły. Sądziłem, że krawędź kanistra przetnie węża łatwo, ale gdzie tam! Szybko uświadomiłem sobie, że mamy pod spodem nie węża, ale stalową, rozedrganą, rozwibrowaną sprężynę, której ani złamać, ani skruszyć nie sposób. Kobra rzucała się i biła w podłogę z taką rozszalałą wściekłością i furją, że wewnątrz lepianki zrobiło się ciemno od kurzu. Biła ogonem z taką energią i siłą, że gliniana podłoga kruszyła się i rozpryskiwała, oślepiając nas tumanami pyłu. W pewnym momencie pomyślałem ze zgrozą, że nie damy rady, że gad wyśliźnie się nam i obolały, ranny, rozjuszony, zacznie nas kasać. Jeszcze mocniej przygniotłem kolegę. Ten pojękiwał, leżąc piersiami na kanistrze, nie miał czym oddychać. Wreszcie, ale trwało to długo, całą wieczność, uderzenia kobry zaczęły tracić impet, wigor, częstotliwość. - Popatrz - odezwał się Leo - krew. - W istocie, szczeliną podłogi, przypominającej teraz porozbijane naczynie gliniane, sączyła się powoli wąska strużka krwi. Kobra słabła, słabły też drgania kanistra, które czuliśmy cały czas i którymi dawała nam znać o swoim bólu i nienawiści, drgania trzymające nas w ciągłym przerażeniu i panice. Ale teraz, kiedy było już po wszystkim, kiedy stanęliśmy z Leo na nogi, a kurz w lepiance zaczął rzednąć i opadać i kiedy spojrzałem znowu na tę wsiąkającą szybko strużkę krwi, zamiast zadowolenia i radości, poczułem w sobie pustkę, a nawet więcej - poczułem smutek, że to serce, które leżało na samym dnie piekła, w którym przedziwnym zbiegiem okoliczności byliśmy jeszcze przed chwilą wszyscy, że to serce

przestało bić. Nazajutrz trafiliśmy na szeroki, rdzawy, laterytowy szlak, który głębokim łukiem okalał Jezioro Wiktorii. Szlakiem tym, po kilkuset kilometrach jazdy przez zieloną, bujną, dorodną Afrykę, dotarliśmy do granicy Ugandy. Właściwie nie było granicy. Przy drodze stała prosta budka, miała nad drzwiami wypalony na desce napis: "Uganda". Była pusta i zamknięta. Takie granice, za które przelewa się krew, miały powstać dopiero później. Pojechaliśmy dalej. Była już noc. Wszystko, co w Europie nazywa się zmierzchem i wieczorem, trwa tu ledwie kilka minut, nawet właściwie nie istnieje. Jest dzień i zaraz potem noc, jakby ktoś jednym przekręceniem kontaktu momentalnie wyłączył prądnicę słońca. Tak, noc jest od razu czarna. W jednej chwili jesteśmy wewnątrz jej najbardziej mrocznego jądra. Jeżeli zastanie nas ona idących przez busz, musimy natychmiast stanąć: nic nie widać, jakby ktoś znienacka wcisnął nam worek na głowę. Tracimy orientację, nie wiemy, gdzie jesteśmy. W takich ciemnościach ludzie rozmawiają ze sobą, zupełnie się nie widząc. Chcą się nawoływać, nie wiedząc, że stoją obok siebie. Ciemność rozdziela i przez to tym bardziej wzmacnia pragnienie, aby być razem, w gromadzie, we wspólnocie. Pierwsze godziny nocy to najbardziej towarzyski czas w Afryce. Nikt nie chce wtedy być sam. Sam? To nieszczęście, to potępienie! Dzieci też nie idą tu spać wcześniej. W krainę snu wkraczamy razem - całą rodziną, klanem, wioską. Jechaliśmy przez Ugandę już uśpioną, niewidoczną za zasłoną nocy. Gdzieś w pobliżu musiało być Jezioro Wiktorii, gdzieś królestwa Ankole i Toro, pastwiska Mubende, Wodospady Murchinsona. Wszystko to na dnie nocy czarnej jak sadza. Nocy pełnej ciszy. Reflektory samochodu przenikały ciemność głęboko, w ich świetle wirował oszalały rój muszek, gzów i moskitów, które pojawiały się jakby znikąd, przez ułamek sekundy odgrywały na naszych oczach swoją życiową rolę - opętańczy taniec owada - i następnie ginęły bezlitośnie miażdżone przez maskę pędzącego wozu. Tylko od czasu do czasu w tej jednolitej masie ciemności pojawia się świetlna oaza, jarząca się z daleka, jarmarczno kolorowa buda: to sklepik hinduski, duka. Znad stosów biszkoptów, paczek herbaty, papierosów i zapalek, znad puszek sardynek i kostek mydła wystaje oświetlona luną jarzeniówek i lamp głowa właściciela - nieruchomo siedzącego Hindusa, który z cierpliwością i nadzieją oczekuje na spóźnionych klientów. Blask tych sklepików, który jak gdyby pojawiał się i gasł na nasze zawołanie, rozświetlał nam, niby samotne latarnie na pustej ulicy, całą drogę do Kampali. Kampala przygotowywała się do święta. Za kilka dni - 9 października - Uganda miała otrzymać niepodległość. Skomplikowane gry i przetargi toczyły się do ostatniej chwili. Wszystko w polityce wewnętrznej Afryki i jej poszczególnych państw jest zawile i poplątane. Bierze się to stąd, że europejscy kolonialisci pod wodzą Bismarcka na konferencji w Berlinie, dzieląc między sobą Afrykę, upchali około dziesięciu tysięcy królestw, federacji i bezpaństwowych, ale samodzielnych związków plemiennych, jakie istniały na tym kontynencie w połowie XIX wieku, w granicach zaledwie czterdziestu kolonii. Tymczasem wiele z tych królestw i związków plemiennych miało za sobą długą historię wzajemnych konfliktów i wojen. I oto, nie pytane o zdanie, znalazły się nagle w obrębie jednej i tej samej kolonii, podlegając tej samej (obcej zresztą) władzy, wspólnemu prawu. A teraz zaczęła się epoka dekolonizacji. Stare stosunki międzyetniczne, które obca władza tylko zamroziła lub je zwyczajnie ignorowała, nagle odżyły, stały się znowu aktualne. Pojawiła się szansa wyzwolenia, tak, ale wyzwolenia pod takim warunkiem, że wczorajsi przeciwnicy i wrogowie utworzą jedno państwo, którego będą zgodnymi gospodarzami, patriotami i obrońcami. Dawne metropolie kolonialne i przywódcy ruchów wyzwoleniczych Afryki przyjęli zasadę,

że jeżeli w jakiejś kolonii wybuchną krwawe konflikty wewnętrzne - terytorium takie nie uzyska niepodległości. Proces dekolonizacji miał dokonywać się - jak to określano - metodami konstytucyjnymi, przy okrągłym stole, bez wielkich politycznych dramatów, przy zachowaniu rzeczy najważniejszych: aby obrót bogactw i towarów między Afryką i Europą odbywał się bez zbytnich zakłóceń. Sytuacja, w jakiej miał się dokonać skok do królestwa wolności, stawiała wielu Afrykanów wobec trudnego wyboru. Zderzały się w nich bowiem dwie pamięci, dwie lojalności, które prowadziły ze sobą bolesny, trudny do rozstrzygnięcia spór. Z jednej strony była to głęboko zakodowana pamięć historii własnego klanu i ludu, wiedza o sojusznikach, jakich znajdowały one w potrzebie, i wrogach, jakich należało darzyć nienawiścią, z drugiej zaś, chodziło przecież o to, aby wejść do rodziny niepodległych, nowoczesnych społeczeństw, czego warunkiem było właśnie wyzbycie się wszelkiego etnicznego egoizmu i zaślepienia. Taki właśnie problem istniał w Ugandzie. W obecnych granicach był to kraj młody, mający zaledwie kilkadziesiąt lat. Ale na części jego terytorium znalazły się cztery stare królestwa: Ankole, Buganda, Bunyoro i Toro. Historia ich wzajemnych ans i konfliktów była tak barwna i bogata jak dzieje walk Celtów z Sasami czy Gibelinów z Gwelfami. Najsilniejsze z nich było królestwo Bugandy, którego stolica - Mengo - stanowiła jedną z dzielnic Kampali. Mengo jest jednocześnie nazwą wzgórza, na którym stoi pałac królewski. Kampala bowiem, miasto nadzwyczajnej urody, pełne kwiatów, palm, mangowców i poinsecji, położone jest na siedmiu łagodnych, zielonych wzgórzach, z których część schodzi prosto do jeziora. Kiedyś kolejno na tych wzgórzach powstawały pałace królewskie: jeżeli umierał król, pozostawiano opuszczony pałac, a nowy budowano na wzgórzu następnym. Chodziło o to, aby zmarłemu nie przeszkadzać w dalszym sprawowaniu władzy, co czynił on nadal, co prawda już z zaświatów. W ten sposób władzę miała cała dynastia, a aktualny król był tylko jej dyżurnym, tymczasowym przedstawicielem. W 1960 roku, dwa lata przed wyzwoleniem, ludzie nie uważający się za podwładnych króla Bugandy utworzyli partię UPC (Uganda People's Congress), która wygrała pierwsze wybory. Na jej czele stał młody urzędnik Milton Obote; poznałem go jeszcze w Dar es-Salaam. Dziennikarze, których oczekiwano w Kampali, mieli mieszkać w barakach stojącego nieco za miastem starego szpitala (nowy - dar królowej Elżbiety - oczekiwał właśnie na otwarcie). Przyjechaliśmy pierwsi, baraki, białe i schludne, stały jeszcze puste. W głównym, frontowym budynku dostałem klucz do pokoju. Leo pojechał na północ zobaczyć Wodospady Murchinsona. Zazdrościłem mu, ale musiałem zostać, żeby zebrać materiał do reportażu. Odnalazłem swój barak, który stał na zboczu, daleko, wśród bujnych cynamonowców i tamaryndów. Wejście do mojego pokoju było na końcu długiego korytarza. Wszedłem, postawiłem walizkę i torbę, zamknąłem drzwi. I w tym momencie zobaczyłem, że stojące tam łóżko, stół i szafka unoszą się do góry i wysoko, pod sufitem, zaczynają coraz szybciej wirować. Straciłem przytomność. Wewnątrz góry lodowej Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem biały duży ekran, a na jego jasnym tle twarz czarnej dziewczyny. Jej oczy przez moment wpatrywały się we mnie, potem, razem z twarzą, zniknęły. Za chwilę na ekranie pojawiła się głowa Hindusa. Musiał on nachylić się nade mną, bo raptem zobaczyłem ją w zbliżeniu, jakby wielokrotnie powiększoną. - Dzięki Bogu, żyjesz - usłyszałem. - Ale jesteś chory. Masz malarię. Malarię mózgową. Natychmiast oprzytomniałem, chciałem nawet usiąść, ale poczułem, że nie mam siły, że leżę zupełnie bezwładnie. Malaria mózgową (która po angielsku nazywa się cerebrał malarial) jest postrachem tropikalnej Afryki. Kiedyś - zawsze kończyła się fatalnie. Ale i teraz jest groźna, a często - śmiertelna. Jadąc tu,

pod Aruszą mijaliśmy cmentarz jej ofiar, ślad epidemii, która przeszła tamtędy przed kilku laty. Próbowałem rozejrzeć się wokół siebie. Biały ekran nade mną był sufitem pokoju, w którym leżałem. Znajdowałem się w otwartym właśnie Mulago Hospital jako jeden z jego pierwszych pacjentów. Dziewczyna była pielęgniarką o imieniu Dora, a Hindus - lekarzem, doktorem Patelem. Powiedzieli mi, że dzień wcześniej przywiozła mnie tu karetka pogotowia, którą wezwał Leo. Leo był na północy, obejrzał Wodospady Murchinsona i po trzech dniach wrócił do Kampali. Wszedł do mojego pokoju i zobaczył, że leżę nieprzytomny. Pobiegnął na portiernię, żeby wezwać pomoc, ale był to właśnie dzień, kiedy ogłoszono niepodległość Ugandy, całe miasto tańczyło, śpiewało, nurzało się w piwie i winie palmowym, pogubiony Leo nie bardzo wiedział, jak interweniować. W końcu sam pojechał do szpitala i sprowadził karetkę. Tak oto znalazłem się tu, w separacie, w której wszystko jeszcze pachniało świeżością, spokojem i ładem. Pierwszym sygnałem nadciągającego ataku malarii jest wewnętrzny niepokój, który zaczynamy odczuwać nagle i bez wyraźnego powodu. Coś się z nami stało, coś niedobrego. Jeżeli wierzymy w duchy - wiemy co: to wszedł w nas zły duch, ktoś rzucił na nas czary. Ten duch obezwładnił nas i przygwoździł. Toteż wkrótce ogarnia nas otępienie, marazm, ociężałość. Wszystko nas drażni. Przede wszystkim drażni światło, nienawidzimy światła. Drażnią nas inni - ich hałaśliwe głosy, ich odrażający zapach, ich szorstki dotyk. Ale nie mamy dużo czasu na te odrazy i wstręty. Bo szybko, a czasem nagle, bez żadnych wyraźnych znaków ostrzegawczych, przychodzi atak. Jest to nagły, gwałtowny atak zimna. Zimna podbiegunowego, arktycznego. Oto ktoś wziął nas, nagich, rozpalonych w piekle Sahelu i Sahary, i rzucił wprost na lodowatą wyżynę Grenlandii i Spitsbergenu, między śniegi, wichry i zamiecie. Co za wstrząs! Co za szok! W sekundę robi się nam zimno, przeraźliwie, przeszywająco, upiornie zimno. Zaczynamy dygotać, trząść się, szamotać. Od razu czujemy jednak, że nie jest to dygot, jaki znamy z wcześniejszych doświadczeń, ot, kiedy zmarzliśmy zimą na mrozie, lecz że są to miotające nami wibracje i konwulsje, które za chwilę rozerwą nas na strzępy. I żeby jakoś ratować się, zaczynamy błagać o pomoc. Co przynosi w takich chwilach największą ulgę? Właściwie jedyne, co może nam doraźnie pomóc: że ktoś nas okryje. Ale nie tak, po prostu, okryje kocem, derką lub kołdrą. Chodzi o to, żeby to okrycie przygniatało nas swoim ciężarem, żeby zamykało nas w jakiejś ściskającej formie, żeby nas miażdżyło. Właśnie o takiej sytuacji bycia miażdżonym marzymy w tej chwili. Tak chcielibyśmy, żeby przetoczył się nad nami walec drogowy! Kiedyś miałem silny atak malarii na biednej wsi, gdzie nie było żadnych ciepłych okryć. Chłopi położyli na mnie wieko jakiejś skrzyni i siedzieli na nim cierpliwie, czekając aż minie moje najgorsze dygotanie. Najbardziej biedni są ci, którzy mają atak malarii i nie ma czym ich okryć. Widzimy ich często przy drogach, w buszu lub w lepiankach, jak leżą na ziemi półprzytomni, oblani potem, zamroczeni, a ich ciałami targają rytmiczne fale owych malarycznych konwulsji. Ale nawet otuleni tuzinem kocy, kurtek i płaszczy szczękamy zębami i jęczymy z bólu, ponieważ czujemy, że to zimno nie przychodzi z zewnątrz - na dworze jest czterdziestostopniowy upał! - lecz, że mamy je wewnątrz, w sobie, że te Grenlandie i Spitsbergeny są w nas, że wszystkie kry, tafle i góry lodowe płyną przez nas, przez nasze żyły, mięśnie i kości. I może myśl ta napełniłaby nas lękiem, gdybyśmy byli w stanie zdobyć się jeszcze na wysiłek odczuwania czegokolwiek. Ale myśl owa przychodzi w chwili, kiedy po kilku godzinach szczyt ataku stopniowo mija i zaczynamy bezwładnie zapadać w stan krańcowego wycieńczenia i bezsily. Atak malarii jest nie tylko bólem, ale jak każdy ból -

jest też przeżyciem mistycznym. Wchodzimy w świat, o którym jeszcze przed chwilą nic nie wiedzieliśmy, tymczasem ono zaczął się istnieć obok nas, aż w końcu zawładnął nami, staliśmy się jego częścią: odnajdujemy w sobie jakieś lodowate zapadliska, przeпаście i otchłanie, których obecność napełnia nas cierpieniem i strachem. Ale ta chwila odkryć mija, duchy opuszczają nas, wynoszą się i znikają, a to, co zostaje na miejscu, pod górą najdziwniejszych okryć, jest naprawdę godne pożałowania. Człowiek tuż po silnym ataku malarii jest ludzkim strzępem. Leży w kałuży potu, nadal gorączkuje, nie może poruszyć ręką ani nogą. Wszystko go boli, ma zawroty głowy i nudności. Jest wyczerpany, słaby, zwiotczały. Taki człowiek niesiony przez kogoś na rękach sprawia wrażenie, jakby nie miał kości ani mięśni. I minie wiele dni, zanim znowu stanie na nogi. Co roku malaria nęka w Afryce dziesiątki milionów ludzi, a tam, gdzie grasuje najczęściej - na terenach podmokłych, nisko położonych, bagiennych - zabija co trzecie dziecko. Są różne rodzaje malarii, niektóre, łagodne, przechodzi się jak grypę. Ale nawet one wyniszczają każdego, kto padnie ich ofiarą. Raz - dlatego, że w tym zabójczym klimacie z trudem znosi się najłżejszą niedyspozycję, dwa - ponieważ Afrykanie często są niedożywieni, wycieńczeni, głodni. Wielekroć spotykamy tu ludzi sennych, apatycznych, odrętwiałych. Na ulicach, przy drogach, godzinami siedzą albo leżą, nic nie robią. Mówimy do nich, a oni nas nie słyszą, patrzymy na nich, a mamy wrażenie, że nas nie widzą. Nie wiadomo, czy nas lekceważą, czy to leżące beczynnienie lenie i nieroby, czy właśnie męczy ich i dobija przyrwy malarii. Nie wiemy, jak się zachować, co o tym myśleć. W szpitalu Mulago leżałem dwa tygodnie. Ataki powracały, ale coraz mniej intensywne i męczące. Robili mi punkcje, dostałem mnóstwo zastrzyków. Codziennie przychodził doktor Patel, badał mnie, mówił, że kiedy wyzdrowieję, pozna mnie ze swoją rodziną. Ma zamożną rodzinę, są właścicielami kilku dużych sklepów w Kampali i na prowincji. Stać ich było, aby wykształcić go w Anglii, skończył medycynę w Londynie. W jaki sposób jego przodkowie znaleźli się w Ugandzie? Jego dziadek i tysiące młodych Hindusów zostało w końcu XIX wieku przywiezionych przez Anglików do Afryki Wschodniej, aby budowali linię kolejową z Mombasy do Kampali. Był to nowy etap ekspansji kolonialnej - wchodzenie w głąb kontynentu, podbój i opanowanie jego wnętrza. Jeżeli ktoś obejrzy stare mapy Afryki, zwróci uwagę na jedno - zaznaczone są na nich dziesiątki, setki nazw portów, miast i osad położonych wzdłuż linii brzegowych, reszta zaś, cała olbrzymia, niezmierzona reszta, a więc dziewięćdziesiąt dziewięć procent powierzchni tej części świata, jest niemal czystą, gdzieśgdzie tylko rzadko oznakowaną, białą plamą. Europejczycy trzymali się wybrzeży, swoich portów, trakti i statków, niechętnie i sporadycznie zapuszczając się w głąb. Brakowało bowiem dróg, bali się wrogich sobie ludów i tropikalnych chorób - malarii, śpiączki, żółtej febrы, trądu. I choć siedzieli na wybrzeżach ponad cztery wieki, cały czas panował wśród nich duch prowizorki, ciasne myślenie o doraźnej korzyści i łatwej zdobyczy. W rezultacie, ich porty były tylko przyssawkami na organizmie Afryki, miejscami wywozu niewolników, złota i kości słoniowej. Wszystko wywieźć, i to jak najmniejszym kosztem. Toteż wiele tych przyczółków Europy przypominało najbiedniejsze dzielnice starego Liverpoolu czy Lizbony. W Luandzie, która należała do Portugalii, przez czterysta lat Portugalczycy nie zbudowali studni z wodą pitną, ani nie oświecili ulic latarniami. Budowanie linii kolejowej do Kampali było już symbolem nowego, bardziej gospodarskiego myślenia w metropoliach kolonialnych. Zwłaszcza w Londynie i w Paryżu. Teraz, kiedy Afryka była już podzielona między państwa Europy, mogły one spokojnie inwestować w tych

częściach swoich kolonii, których bogate i rodne gleby dawały obietnicę krociowych dochodów z plantacji kawy, herbaty, bawełny, ananasów albo - w innych miejscach - z kopalń diamentów, złota czy miedzi. Brakowało jednak środków transportu. Dawny sposób - że tragarze wszystko przynosili na głowach, teraz już nie wystarczał. Trzeba było budować drogi, linie kolejowe i mosty. Tak, ale kto miał to robić? Białego robotnika nie sprowadzano: Biały był panem, nie mógł pracować fizycznie. Z początku miejscowy afrykański robotnik także nie wchodził w grę: po prostu nie istniał. Tutejszej ludności nie było czym zachęcić do pracy zarobkowej, gdyż nie znała jeszcze pojęcia pieniądza (handel, który odbywał się tam wiekami, miał charakter wymienny, na przykład za niewolników płacono bronią palną, bryłami soli, perkalikami). Z czasem Anglicy wprowadzili system pracy przymusowej: wódz plemienia miał dostarczyć tylu a tylu ludzi do pracy darmowej. Umieszczano ich w obozach. Miejsca, gdzie na mapie Afryki były duże zagęszczenia tych gułagów, wskazywały, że kolonializm osiedlił się tam na dobre. Nim jednak to nastąpiło, szukano doraźnych rozwiązań. Jedno z nich polegało na sprowadzaniu do Afryki Wschodniej tanich robotników z innej kolonii brytyjskiej - z Indii. W ten sposób dziadek doktora Patela znalazł się najpierw w Kenii, a następnie w Ugandzie, w której później osiedlił się na stałe. W czasie jednej ze swoich wizyt doktor opowiedział mi, że kiedy w miarę budowy szlak kolejowy zaczął oddalać się od wybrzeży Oceanu Indyjskiego i wchodził na rozległe obszary porośnięte gęstym buszem, wśród pracujących Hindusów powiało grozą: zaczęły ich atakować lwy. Lew, który jest w sile wieku, nie gustuje w polowaniu na ludzi. Ma on swoje zwyczaje łowcze, swoje ulubione smaki i kulinarne preferencje. Przepada za mięsem antylop i zebr. Lubi też żyrafę, choć tę trudno mu upolować, bo jest wysoka i duża. Nie gardzi wołowiną, dlatego na noc pasterze zamykają swoje stada krów wewnątrz ogrodzeń, które budują w buszu z kolczastych gałęzi. Takie ogrodzenie - nazywa ją je goma - nie zawsze jest skuteczną przeszkodą, bo lew to wspaniały skoczek i może przelecieć nad gomą albo zręcznie przejść pod tą zaporą. Lew poluje nocą, zwykle w stadzie, urządzając podchody i zasadzki. Tuż przed polowaniem następuje w stadzie podział ról. Część, zajmująca się nagonką, napędza swoje osaczone ofiary w paszczę myśliwych. Najbardziej aktywne są lwice, one najczęściej atakują. Samce są pierwsze do uczutowania: żłopią najświeższą krew, zżerają najlepsze kęsy, wylizują tłusty szpik. Lwy spędzają dzień na trawieniu i drzemce. Leżą ospale w cieniu akacjowców. Jeżeli ich nie podrażnić - nie będą atakować. Nawet kiedy się do nich przybliżymy, wstaną i odejdą dalej. Jest to jednak ryzykowny manewr, bo skok tego drapieżnika trwa ułamek sekundy. Kiedyś w drodze przez Serengeti trzasnęła nam opona. Odruchowo wyskoczyłem z wozu, żeby ją wymienić. I nagle zorientowałem się, że dookoła, w wysokiej trawie, obok krwawych strzępów antylop leży kilka lwic. Przyglądały się nam, ale się nie ruszyły. Siedzieliśmy z Leo zamknięci w wozie, czekaliśmy, zastanawiając się, co zrobią. Po kwadransie podniosły się i płowe, zgrabne, piękne - spokojnie odeszły w busz. Kiedy lwy wychodzą na łów, ogłaszają to potężnym rykiem, który niesie się po całej sawannie. Głos ten wprawia zwierzyń w przerażenie i panikę. Te surmy bojowe nie są w stanie poruszyć tylko słoni: słonie nie boją się nikogo. Reszta czmycha, gdzie może, albo stoi sparaliżowana strachem i czeka, aż z ciemności wyłoni się drapieżnik i zada śmiertelny cios. Lew jest sprawnym i groźnym myśliwym przez około dwadzieścia lat. Potem zaczyna się starzeć. Jego mięśnie słabną, jego szybkość maleje, jego skoki są coraz krótsze. Trudno mu dogonić płochliwą antylopę, rączę i czujną zebrową. Chodzi głodny, staje się ciężarem dla stada. To dla niego niebezpieczny moment - stado nie toleruje

słabych i chorych, może więc stać się jego ofiarą. Coraz częściej boi się, że młodsze go zagryzą. Stopniowo odłącza się od stada, wlecze się w tyle, w końcu zostaje sam. Doskwiera mu głód, a nie może już dogonić zwierzyny. I wtedy pozostaje mu jedno: polowanie na ludzi. Taki lew nazywa się tu pospolicie - pożeraczem człowieka (man-eater) i staje się postrachem okolicznej ludności. Czai się przy potokach, do których kobiety idą prać bieliznę, przy ścieżkach, kiedy dzieci idą do szkoły (bo głodny poluje również w dzień). Ludzie boją się wychodzić z lepianek, ale on i tam ich atakuje. Jest nieustraszony, bezlitosny i ciągle silny. Takie właśnie lwy, mówił dalej doktor Patel, zaczęły napadać na Hindusów budujących linię kolejową do Kampali. Mieszkali oni w płóciennych namiotach i drapieżniki łatwo rozszarpywały płótno, a z gromady śpiących wywlekały coraz to nową ofiarę. Ludzi tych nikt nie ochraniał, nie mieli też broni palnej. Zresztą walka z lwem w ciemnościach afrykańskich nie daje żadnej szansy. Dziadek doktora i jego towarzysze słyszeli nocami krzyki rozszarpywanych ofiar, gdyż lwy bez lęku uczładowały w pobliżu namiotów, a potem, najedzone, zniknęły w ciemnościach. Doktor zawsze znajdował dla mnie czas i chętnie rozmawiał, tym bardziej że jeszcze kilka dni po ataku nie mogłem czytać, druk rozmazywał mi się, litery pływały, jakby unosiły się i kołysały na niewidocznych falach. Kiedyś pyta mnie: - Widziałeś już dużo słoni? - Och - odpowiadam - setki! - A wiesz - mówi - kiedy dawno temu pojawili się tu Portugalczycy i zaczęli skupować kość słoniową, zwróciło ich uwagę, że Afrykanie nie mają tej kości zbyt dużo. Dlaczego? Przecież kły są materiałem bardzo odpornym i trwałym, więc skoro trudno im upolować żywego słonia - na ogół robili to, wpędzając zwierzę do wykopanego wcześniej dołu - niechże zabiorą kły słoniom, które dawniej padły i leżą nieżywe. Podsunęli tę ideę swoim afrykańskim pośrednikom. Ale w odpowiedzi usłyszeli rzecz zdumiewającą: że martwych słoni nie ma, że nie ma ich cmentarzy. To była zagadka, która zaczęła Portugalczyków intrygować. Jak giną słonie? Gdzie leżą ich szczątki? Gdzie są ich cmentarzyska? Chodziło o kły, o kość słoniową, o wielkie pieniądze, jakie za nią płacono. To, jak umierają słonie, było sekretem, którego Afrykanie długo strzegli przed Białymi. Słoń jest zwierzęciem świętym i taka też jest jego śmierć. A wszystko, co święte, otacza nieprzenikniona tajemnica. Największy podziw budziło zawsze to, że w świecie zwierząt słoń nie ma wrogów. Nikt nie mógł go pokonać. Mógł umrzeć (dawniej) tylko śmiercią naturalną. Następowala ona zwykle o zmierzchu, kiedy słonie przychodziły do wodopoju. Stawały na brzegu jeziora lub rzeki, każdy daleko zapuszczał trąbę i pił. Ale przychodził czas, kiedy stary, zmęczony słoń nie mógł już unieść trąby i żeby napić się, musiał coraz dalej wchodzić do jeziora. Jego nogi grzęzły w mule głębiej i głębiej. Jezioro wciągało go do swojego przepastnego wnętrza. Jakiś czas bronił się, szamotał, próbował wydostać się z mułu i cofnąć na brzeg, ale jego własna masa była zbyt wielka, a ssąca siła dna tak paraliżująca, że zwierzę w końcu traciło równowagę, padało i znikało pod wodą na zawsze. - Otóż tam właśnie - kończył doktor Patel - na dnie naszych jezior, są odwieczne cmentarzyska słoni. Doktor Doyle Moje mieszkanie w Dar es-Salaam to dwa pokoje, kuchnia i łazienka na piętrze domu, który stoi wśród palm kokosowych i bujnych, pierzastych bananowców niedaleko Ocean Road. W jednym pokoju stoją stół i krzesła, w drugim - łóżko, nad którym rozpięta jest moskitiera; jej uroczysta obecność - bo przypomina ona wyglądem białą, powłóczysty welon ślubny - ma raczej dobrze usposabiać lokatora, niż odstraszać moskity: moskit zawsze się wślisznie. Małe te i namolne agresory muszą ustalać wieczorem jakiś wykańczający ich ofiary plan działania, ponieważ, jeśli na

przykład jest ich dziesięć, nie atakują wszystkie razem - co pozwoliłoby rozprawić się z nimi za jednym zamachem i mieć spokój na resztę nocy - lecz szturmują w pojedynkę: najpierw startuje jakby zwiadowca z misją rozpoznawczą, a reszta najwyraźniej przygląda się, co będzie dalej. Ten, wypoczęty po przespanym dniu, zamęcza nas teraz swoim opętaniem bzykaniem, aż w końcu, zaspani i wściekli urządzamy polowanie, zabijamy napastnika i już kładziemy się spokojnie, że możemy znowu spać, kiedy, ledwie zgasiliśmy światło, następny zaczyna swoje pętle, spirale i korkociągi. Po długich, wieloletnich (a raczej wielonocnych) obserwacjach moskitów doszedłem do wniosku, że w stworzeniu tym musi tkwić głęboko osadzony instynkt samobójczy, jakaś nieopanowana potrzeba samozagłady sprawiająca, że miast widząc śmierć swojej poprzedniczki (bo atakuje nas i przenosi malarię żeńska odmiana moskita), zniechęcić się i ze wszystkiego zrezygnować, one - odwrotnie - najwyraźniej podniecone i desperacko zdeterminowane, rzucają się, następna i następna, w nieuchronną i rychłą śmierć. Ilekroć wracam do mojego mieszkania z dłuższej podróży, wprowadzam w życie, które w nim zastaję, wielkie zamieszanie i dyskomfort. Bo pod moją nieobecność wcale nie stało ono puste. Ledwie bowiem zamykałem za sobą drzwi, a już brał je w swoje posiadanie liczny, ruchliwy i wścibski świat owadzi. Ze szpar w podłodze i w ścianach, z framug i z kątów, spod listew i parapetów wychodziły na światło dzienne armie mrówek i stonóg, pajaków i chrząszczy, wylatywały chmary much i ciem, pomieszczenia zapelniały się najprzeróżniejszym drobiazgiem, którego ani opisać, ani nazwać nie jestem w stanie, a wszystko to poruszało skrzydełkami, mełło żuchwami i drobiło odnóżami. W największy podziw wprawiała mnie zawsze pewna odmiana czerwonych mrówek, które pojawiały się nagle nie wiadomo skąd, maszerowały w doskonale równym rzędzie i w perfekcyjnie zgranym rytmie, wchodziły na moment do jakiejś szafki, zjadały, co tam było słodkiego, po czym opuszczały swoje żerowisko i idąc w równie idealnym co przedtem szyku, znikaly bez śladu, właściwie nie wiadomo gdzie. Tak było i teraz, kiedy wróciłem z Kampali. Na mój widok część towarzystwa wyniosła się bez namysłu i zwłoki, natomiast druga część - z niechęcią i dąsami. Napilem się soku, przejrzałem listy i gazety, poszedłem spać. Rano z trudem wstałem z łóżka - nie miałem siły. W dodatku była to już sucha pora, a więc czas straszliwych, zabójczych upałów, które zaczynały się od samego rana. Przełamując słabość, napisałem kilka depesz o sytuacji w Ugandzie w pierwszych tygodniach niepodległości i zawiozłem je na pocztę. Depesze oddawałem na poczcie. Urzędnik, który je odbierał, wpisywał mi do zeszytu datę i godzinę. Następnie były one przesyłane dalekopisem do naszego biura w Londynie, a stamtąd do Warszawy: tak wypadło najtaniej. Zdumiewała mnie wprawa miejscowych teletypistów - przepisywali oni na taśmę teleksową polski tekst, nie robiąc żadnego błędu. Spytałem ich kiedyś, jak to jest możliwe. Ponieważ, odpowiedzieli mi, uczono nas przepisywać nie słowa czy zdania, tylko literę po literze. Stąd wszystko nam jedno, w jakim języku jest napisana depesza, jeśli chodzi o nas, przesyłamy nie sens, lecz znaki. Mimo że minęło już trochę czasu, od kiedy wyjechałem z Kampali, zamiast lepiej, było ze mną coraz gorzej. To resztki malarii, tłumaczyłem sobie, i na dodatek nieznośne temperatury pory suchej. Ale choć wewnątrz siebie zacząłem teraz czuć jakieś nieznane mi dotąd intensywne ciepło, myślałem, że jest to zewnętrzny upał, który we mnie osiada i stąd promieniuje na mój organizm. Cały byłem mokry od potu, ale przecież inni też chodzili mokrzy - pot ratował ludzi przed spalaniem na buzującym stosie lata. Minał miesiąc tej mizernej i oklapłej egzystencji, kiedy pewnej nocy obudziłem się, bo poczułem, że poduszka jest mokra. Zapaliłem

światło i zamarłem: poduszka była we krwi. Pognałem do łazienki i spojrzałem w lusterko: całą twarz miałem wymazaną krwią. W ustach czułem coś lepkiego, co miało słonawy smak. Umyłem się, ale już nie mogłem zasnąć do rana. Pamiętałem, że na jednym z domów przy głównej ulicy - Independence Avenue - była tabliczka z nazwiskiem lekarza - Johna Lairda. Poszedłem tam. Doktor, wysoki, szczupły Anglik, kręcił się zaaferowany po pokoju zastawionym skrzyniami i paczkami. Za dwa dni już wracał do Europy, ale dał mi nazwisko i adres kolegi, do którego powinienem się zgłosić. Niedaleko, koło dworca kolejowego, jest przychodnia miejska, tam go zastanę. Kolega nazywa się Ian Doyle i jest, dodał, Irlandczykiem (jakby w medycynie, w każdym razie w tym kraju, liczyły się nie tyle specjalności, co narodowości). Przychodnia mieściła się w starym baraku, w którym Niemcy mieli koszary w czasach, kiedy Tanganika była ich kolonią. Przed budynkiem koczował apatyczny tłum Afrykanów przypuszczalnie cierpiących na wszystkie możliwe choroby. Dotarłem do wnętrza i dopytałem się o doktora Doyle'a. Przyjął mnie zmęczony, sterany mężczyzna w średnim wieku, od pierwszej chwili bardzo serdeczny i ciepły. Sama jego obecność, uśmiech, życzliwość podziałały na mnie jak balsam. Powiedział mi, żebym przyjechał po południu do Ocean Road Hospital, bo tylko tam jest rentgen. Wiedziałem, że jest ze mną źle, ale winiłem za wszystko malarię. Chciałem bardzo, aby doktor potwierdził moją diagnozę. Kiedy wyszliśmy z oddziału, w którym był rentgen - Doyle sam mnie prześwietlał - położył mi rękę na ramieniu i zaczął przechadzać się ze mną po łagodnym, porośniętym wysokimi palmami wzgórzu. Było tu przyjemnie, bo palmy dawały cień, a od oceanu ciągnął lekki wiaterek. - Tak - powiedział w końcu Doyle i uściśnął mi lekko ramię - to jest definitywnie gruźlica. I zamilkł. Nogi ugięły się pod mną i stały się nagle tak ciężkie, że żadnej nie mogłem unieść. Stanęliśmy. - Weźmiemy cię do szpitala - powiedział. - Nie mogę iść do szpitala - odparłem. - Nie mam pieniędzy. (Miesiąc pobytu w szpitalu kosztował więcej niż moja kwartalna pensja). - Musisz więc wracać do kraju - powiedział. - Nie mogę wrócić do kraju - odparłem. Czułem, jak trawi mnie gorączka, chciało mi się pić i było mi słabo. Od razu zdecydowałem się powiedzieć mu wszystko. Człowiek ten od początku budził moje zaufanie i wierzyłem, że mnie zrozumie. Powiedziałem, że ten pobyt w Afryce jest moją życiową szansą. Że coś takiego w moim kraju zdarzyło się po raz pierwszy: nigdy jeszcze nie mieliśmy stałego korespondenta w czarnej Afryce. Że stało się to dzięki wielkim staraniom redakcji, która jest jednak biedna, bo chodzi o kraj, gdzie każdy dolar liczy się na wagę złota, że jeżeli powiadomię Warszawę o mojej chorobie, nie będą w stanie płacić za mnie szpitala, tylko każą mi wracać, i że praktycznie już więcej tu nie przyjadę. I że to, co było marzeniem mojego życia - praca w Afryce - rozwieje się na zawsze. Doktor słuchał tego wszystkiego w milczeniu. Chodziliśmy dalej między palmami, wśród krzewów i kwiatów, pośród całego piękna tropiku, które jednak było dla mnie w tej chwili pięknem zatrutym kłeską i rozpaczą. Długo trwała cisza, Doyle rozważał coś, nad czymś zastanawiał się, w końcu powiedział: - Właściwie jest tylko jedno wyjście. Byłeś rano w miejskiej przychodni. W niej leczą się ubodzy Afrykanie, bo ona jest bezpłatna. Warunki są tam niestety ponure. Bywam tam rzadko, bo jestem jedynym ftyzjatrą na cały ten duży kraj, w którym gruźlica jest powszechną chorobą. Twój przypadek jest dosyć typowy: silna malaria tak osłabia organizm, że potem człowiek łatwo zapada na inną chorobę, często właśnie na gruźlicę. Od jutra wpiszę cię na listę pacjentów przychodni. To mi wolno. Przedstawię cię personelowi. Będiesz codziennie przyjeżdżać na zastrzyk. Spróbujemy, zobaczymy. Personel doktora Doyle'a to było dwóch ludzi, właściwie

do wszystkiego: sprząтали, robili zastrzyki, a głównie kierowali ruchem chorych, jednych wpuszczali, innych, nie wiadomo dlaczego, przeganiali już od progu baraku (podejrzenie o korupcję nie wchodziło w grę - tu nikt nie miał pieniędzy). Starszy i tegi miał na imię Edu, młodszy, niski i muskularny - Abdullahi. W wielu społecznościach afrykańskich, imię nadaje się dziecku w związku z jakimś wydarzeniem, które miało miejsce w dniu jego narodzin. Edu - to skrót od education, bo w dniu, kiedy Edu przyszedł na świat, w jego wiosce otworzono pierwszą szkołę. Stąd też tam, gdzie chrześcijaństwo i islam jeszcze nie zdomowały się na dobre, bogactwo imion nadawanych ludziom było nieskończone. W tym wyrażała się poezja dorosłych, którzy nadawali swoim dzieciom imiona w rodzaju Rzeński Poranek (jeżeli urodziło się o świcie) lub Cień Akacjowca (jeżeli przyszło na świat pod drzewem akacji). W społeczeństwach, które nie znały pisma, utrwalano za pomocą imion ważniejsze wydarzenia z dawnej lub aktualnej historii. Jeżeli dziecko urodziło się, kiedy Tanganika uzyskiwała niepodległość, nazywano je Niepodległość (w języku swahili - Uhuru). Jeśli rodzice byli entuzjastami prezydenta Nyerere, mogli dać dziecku takie właśnie imię - Nyerere. W ten sposób od wieków powstawała historia nie tyle pisana, co mówiona, o szczególnie silnym, bo bardzo osobistym stopniu identyfikacji: tożsamość z moją społecznością wyrażam przez fakt, że imię, które posiadam, głosi chwałę jakiegoś czynu zapisanego w pamięci ludu, którego jestem częścią. Wprowadzenie chrześcijaństwa i islamu zredukowało ten bujny świat poezji i historii do kilkudziesięciu imion z Biblii i Koranu. Odtąd byli już tylko Jamesowie i Patrickowie lub Ahmedowie i Ibrahimowie. Złoci to byli ludzie - Edu i Abdullahi. Szybko zawarliśmy przyjaźń. Staralem się stworzyć wrażenie, że moje życie jest w ich rękach (w rzeczywistości tak to właściwie było), a oni tym faktem przejmowali się w stopniu najwyższym. Rzucali wszystko, kiedy trzeba mi było pomóc. Przyjeżdżałem do nich codziennie po szesnastej, kiedy kończył się południowy upał, przychodnia była już zamknięta, a obydwoj zamykali stare, drewniane podłogi, wzniecając nieprawdopodobne tumany kurzu. Wszystko dalej działało się tak, jak polecił doktor Doyle. W szklanej szafce w jego pokoju stała ogromna metalowa puszka (dar Duńskiego Czerwonego Krzyża), w której były szare, duże pastylki o nazwie PAS. Tych brałem dwadzieścia cztery dziennie. W czasie kiedy odliczałem je do torebki, Edu wyjmował z wrzątku masywną, metalową strzykawkę, nakładał igłę i wyciągał z butelki dwa centymetry streptomycyny. Następnie robił szeroki zamach, jakby chciał rzucić oszczepem, i wbijał we mnie igłę. Robilem - bo to już z czasem stało się rytuałem - podskok i wydawałem przenikliwy syk, na co Edu i przyglądający się wszystkiemu Abdullahi wybuchali homeryckim śmiechem. Nic tak nie wiąże ludzi w Afryce jak wspólne obśmianie czegoś naprawdę zabawnego, na przykład tego, że Biały podskakuje do góry z powodu takiego głupstwa jak zastrzyk. Toteż później zacząłem dzielić z nimi tę zabawę i choć zwijałem się z bólu, jaki powodowała igła wbita przez Edu ze strasliwym impetem, razem z nimi pękałem ze śmiechu. W tym zaburzonym, paranoicznym świecie nierówności rasowej, w którym o wszystkim decyduje kolor skóry (a nawet jego odcienie) - moja choroba, mimo że fizycznie znosiłem ją fatalnie, dawała mi nieoczekiwaną korzyść, bo czyniąc mnie tak osłabionym i ułomnym, obniżała mój prestiżowy status Białego jako kogoś ponad, kogoś super i przez to stwarzała Czarnym większe szanse zrównania. Teraz można mnie było traktować za pan brat, bo co prawda nadal byłem Białym, ale jednak już Białym pomniejszonym, wybrakowanym i felernym. W moich stosunkach z Edu i Abdullahim pojawił się ten rodzaj serdeczności, który jest możliwy tylko między równymi.

Byłby on nie do pomyślenia, gdyby zetknęli się ze mną jako silnym, zdrowym, władczym Europejczykiem. Przede wszystkim zaczęli mnie zapraszać do swoich domów. Z wolna stałem się bywalcem afrykańskich dzielnic miasta i poznałem ich życie jak nigdy przedtem. W tradycji afrykańskiej gość cieszy się najwyższymi względami. Powiedzenie "gość w dom, Bóg w dom" ma tu znaczenie właściwie dosłowne. Gospodarze długo przygotowują się na tę okazję. Robią porządki, szykują najlepsze potrawy. Mówię o domu takiego człowieka jak Edu - posługacza w miejskiej przychodni. Kiedy go poznałem, jego status był stosunkowo dobry. Dobry, bo Edu miał stałą pracę, a takich jest niewielu. Większość ludzi w mieście pracuje dorywczo i rzadko albo przez długie okresy nie pracuje wcale. Właściwie największą zagadką miast Afryki jest - z czego te tłumy ludzi żyją. Z czego i jak? Bo nie znaleźli się tu, ponieważ miasto ich potrzebowało, lecz dlatego, że wyrzuciła ich ze wsi bieda. Bieda, głód i beznadzieja tamtej wegetacji. Są to więc szukający ratunku i ocalenia uciekinierzy, przekłęci przez los, uchodźcy. Jeżeli zobaczymy grupę takich ludzi, którzy z okolic dotkniętych suszą i głodem dotarli wreszcie do granic miasta, ujrzymy w ich oczach przerażenie i panikę. Tu, wśród tych slumsów i lepierek, będą szukać swojego eldorado. Co teraz zrobią? Jak postąpią? Oto Edu i kilku kuzynów z jego klanu. Należą do żyjącego w głębi kraju ludu Sangu. Dawniej pracowali na wsi, ale ich ziemia przestała rodzić, więc kilka lat temu przyszli do Dar es-Salaam. Ich pierwszy krok: odnaleźć ludzi z Sangu. Albo ludzi z innych społeczności, z którymi Sangu łączą więzi przyjaźni. Afrykanin zna dobrze całą tę geografie międzyplemiennych przyjaźni i nienawiści, równie żywotnych jak te istniejące dziś na Bałkanach. Po nitce do kłębka dotrą wreszcie do domu swojego ziomka. Dzielnicą nazywa się Kariakoo, a jej rozkład jest w miarę planowy - prosto wytyczone piaszczyste ulice. Monotonna i schematyczna zabudowa: dominują tu tzw. swahili house - rodzaj sowieckich komunałek - w jednym parterowym budynku jest osiem - dwanaście izb, w każdej mieszka jedna rodzina. Kuchnia jest wspólna, ubikacja i pralnia też wspólne. Ciasnota panuje niewiarygodna, bo rodziny są tu wielodzietne, każdy dom to przedszkole. Cała rodzina śpi razem na glinianej podłodze pokrytej cienkimi matami z rafii. Przed takim domem Edu i jego pobratymcy stają w pewnej odległości i Edu woła: - Hodi! Ponieważ w takich dzielnicach albo w ogóle nie ma drzwi, albo są zawsze otwarte, a wejść bez pytania nie można, więc już z daleka woła się właśnie: - Hodi! Co jest równoznacznikiem pytania: - Czy mogę wejść? Jeżeli ktoś jest wewnątrz, odpowiada: - Karibu! To znaczy: - Proszę wejść. Witam. I Edu wchodzi. Teraz zacznie się tasiemcowa litania rytualnych pozdrowień. Jednocześnie jest to pora rekonesansu. Bo obie strony starają się ustalić, jakie to właściwie łączy ich pokrewieństwo. Skupieni i poważni wchodzą teraz w arcygęsty las drzew genealogicznych, z jakich składa się każda wspólnota klanowa i plemienna. Rozeznać się w tym komuś z zewnątrz - nie sposób, ale dla Edu i jego towarzyszy jest to ważny moment spotkania: bo bliski kuzyn - to duża pomoc, daleki - znacznie mniejsza. Ale i w tym drugim wypadku nie odejdą z kwitkiem. Na pewno znajdą tu dach nad głową. Na podłodze zawsze będzie trochę miejsca, bo mimo że jest ciepło, na dworze, na podwórku trudno spać - zamęczają moskity, gryzą pająki, szczypawki i wszelkie tropikalne insekty. Nazajutrz zacznie się dla Edu jego pierwszy dzień w mieście. I choć jest to dla niego nowe otoczenie, nowy świat, idąc ulicami Kariakoo nie budzi zdziwienia, nie wywołuje sensacji. Inaczej ze mną. Jeżeli czasem wejdę w odległe od centrum, głębokie i rzadziej uczęszczane zaułki tej dzielnicy, małe dzieci będą uciekać ile sił w nogach i

chować się po kątach. To dlatego, że jeżeli coś kiedyś napsocą, matki mówią im: - Bądźcie grzeczne, bo inaczej zje was mzungu! (Mzungu - to w języku swahili: Biały, Europejczyk). Kiedyś w Warszawie opowiadałem dzieciom o Afryce. W czasie tego spotkania wstał mały chłopczyk i spytał: - A czy widział pan wielu ludożerców? - Nie wiedział, że kiedy któryś z Afrykanów wróci z Europy i będzie opowiadał w Kariakoo o Londynie, Paryżu i innych miastach zamieszkałych przez mzungu, afrykański rówieśnik tego chłopczyka z Warszawy też może wstać i zapytać: - A czy widziałeś tam wielu ludożerców? Zanzibar Jechałem na zachód - z Nairobi do Kampali. Zaczynał się niedzielny poranek, droga była pusta, prowadziła przez ziemię sfałdowaną, pagórkowatą. Przede mną promienie słońca tworzyły na szosie jeziora światła, połyskujące, rozwibrowane. Kiedy podjeżdżałem bliżej, światło znikało, przez moment asfalt był szary, potem wpadał w czerń, ale za chwilę zapalało się następne jezioro i za jakiś czas - znowu następne. Podróż zamieniała się w rejs przez krainę rozjarzonych wód, które raptownie zapalały się i gasły jak błyski reflektorów w zwariowanej dyskotecie. Po obu stronach szosy pięła się bujna zieleń, eukaliptusowe lasy, rozległe plantacje "Tea and Bond Co.", to tu, to tam mignął stojący wśród cyprysów i cedrów biały dworek angielskiego farmera. Nagle daleko, daleko, na końcu szosy zobaczyłem świetlistą kulę, która zaczęła gwałtownie rosnąć i zbliżać się do mnie. Ledwie zdążyłem zjechać na pobocze, kiedy koło mnie przemknęła kolumna motocykli i samochodów, w środku jechał czarny mercedes, zobaczyłem, że siedzi w nim Jomo Kenyatta. Kenyatta rzadko bywał w swoim biurze premiera w Nairobi, większość natomiast czasu spędzał w Gatundu - prywatnej rezydencji położonej o 160 kilometrów od stolicy. Jego ulubioną rozrywką było tam oglądanie zespołów tanecznych różnych ludów kenijskich, które przyjeżdżały umilać czas swojemu przywódcy. Mimo hałasu, jaki czyniły bębny, piszczałki i okrzyki tancerzy, Kenyatta, siedząc w fotelu, wsparty o łaskę - zapadał w drzemkę. Ożywał dopiero wówczas, kiedy po skończonym pokazie tancerze wychodzili na palcach i zapadała cisza. Ale Kenyatta tu, teraz? W niedzielę rano? Jego wozy pędzące z taką szaloną szybkością? Coś musiało się stać nadzwyczajnego! Bez namysłu zawróciłem i pognałem śladem kolumny. Po kwadransie byliśmy w mieście. Wozy zajechały pod gmach Urzędu Premiera - nowoczesny dwunastopiętrowiec na City Square w centrum Nairobi; natomiast mnie policja zastawiła drogę - musiałem się zatrzymać. Zostałem sam, na pustej ulicy, nie było nikogo, żeby zasięgnąć języka. W każdym razie nie wyglądało na to, żeby coś działo się w samym Nairobi: miasto było senne, niedzielnie rozlazłe, puste. Pomyślałem, że byłoby dobrze zajrzeć do Feliksa - on mógł coś wiedzieć. Feliks Naggar był szefem biura Agence France Presse w Afryce Wschodniej. Mieszkał w willi w Ridgeways - ekskluzywnej, supereleganckiej dzielnicy Nairobi. Feliks to była cała instytucja. Wiedział wszystko, sieć jego informatorów rozciągała się od Mozambiku po Sudan, od Kongo do Madagaskaru. Sam rzadko wychodził z domu. Albo nadzorował swoich kucharzy - prowadził najlepszą kuchnię w Afryce - albo siedział w hallu przed kominkiem i czytał kryminały. Cały czas trzymał w ustach cygaro. Nigdy go nie wyjmował, może tylko na moment, żeby przełknąć kęs pieczonego homara albo spróbować łyżeczkę pistacjowego sorbetu. Od czasu do czasu dzwonił telefon. Naggar podnosił słuchawkę, zapisywał coś na skrawku papieru i szedł na koniec domu, gdzie przy dalekopisach siedzieli jego pomocnicy (byli to najbardziej przystojni młodzi Hindusi, jakich mógł znaleźć w Afryce). Dyktował im tekst depezy płynnie, jednym ciągiem, bez żadnej poprawki. I wracał albo do kuchni - mieszać w garnkach, albo przed kominek - czytać kryminały. Właśnie teraz zastałem go

siedzącego w fotelu; jak zawsze - z cygarem i z kryminałem. - Feliks - wrzasnąłem od progu - coś się dzieje, bo Kenyatta wrócił właśnie do Nairobi! I opowiedziałem mu o kolumnie rządowej, którą spotkałem, jadąc do Ugandy. Naggar pobiegł do telefonu i zaczął wydzwaniać na wszystkie strony. A ja włączyłem jego radio. Był to zenith, odbiornik telekomunikacyjny, fenomenalny, o którym marzyłem od lat. Odbierał kilkaset stacji, nawet radiostacje okrętowe. Z początku łąpałem same transmisje z nabożeństw, niedzielne kazania i muzykę organową. Reklamy, audycje w niezrozumiałych językach, wołania muezinów. Aż nagle, przez szum i trzaski, przebił się ledwie dosłyszalny głos: ...tyrania sułtana Zanzibaru skończyła się raz na zawsze... rządy krwiopijców, które... podpisany sztab generalny rewolucji, marszałek polny... Nowe szумы i trzaski, odpływające, luźne słowa i rytmy modnego tu zespołu Mount Kenya. To było wszystko, ale wiedzieliśmy najważniejsze - przewrót w Zanzibarze! Musiało się to stać dzisiejszej nocy. Teraz wyjaśniło się, dlaczego Kenyatta wrócił w pośpiechu do Nairobi. Rewolta mogła ogarnąć Kenię i całą Afrykę Wschodnią. Mogła przemienić ją w drugą Algierię, w drugie Kongo. Ale w tej chwili, dla nas - dla Feliksa i dla mnie - decydujące było jedno: dostać się na Zanzibar. Zaczęliśmy od telefonu do East African Airways. Powiedzieli, że najbliższy samolot na Zanzibar odlatuje w poniedziałek. Zarezerwowaliśmy miejsca. Jednakże zadzwonili po godzinie, że lotnisko na Zanzibarze jest zamknięte i że loty zostały wstrzymane. Co robić, jak dostać się na Zanzibar? Jest samolot, który leci wieczorem do Dar es-Salaam. Stamtąd na wyspę już blisko - czterdzieści kilometrów oceanem. Nie ma wyboru, decydujemy się lecieć do Dar i stamtąd dotrzeć na wyspę. Tymczasem do domu Feliksa zjechała się reszta stacjonujących w Nairobi korespondentów. Było nas czterdziestu. Amerykanie, Anglicy, Niemcy, Rosjanie, Włosi. Wszyscy postanowili lecieć tym samym samolotem. W Dar es-Salaam zajęliśmy hotel Imperial. Stary hotel z wielką werandą, z której widać było zatokę. Na jej wodach kołysał się biały jacht sułtana Zanzibaru. Młody sułtan - Seyyid Jamshid bin Abdulla bin Khalifa bin Harub bin Thwain bin Said - uciekł tym jachtem, zostawiając pałac, skarbiec i czerwonego rolls-royce'a. Ludzie z załogi jachtu opowiadali nam o wielkiej rzezi na wyspie. Wszędzie leżą zabici. Ulicami płynie krew. Dzicz rabuje, gwałci kobiety, podpala domy. Nie ma ocalenia dla nikogo. Na razie Zanzibar był odcięty od świata. Ich radio ogłaszało co godzina, że każdy samolot, który będzie próbował lądować na wyspie, zostanie zestrzelony. I że zatopią łódź czy statek, jeżeli się zbliży. Ostrzegali w ten sposób, ponieważ musieli obawiać się interwencji. Słuchaliśmy tych komunikatów skazani na bezczynność, na nie kończące się wyczekiwanie. Jeszcze rano otrzymaliśmy wiadomość, że w stronę Zanzibaru płyną brytyjskie okręty wojenne. Tom z Reutersa zacierał ręce, liczył, że przewiozą go helikopterem na okręt i wyląduje na wyspie z pierwszym oddziałem piechoty morskiej. Wszyscy myśleliśmy o jednym - jak dostać się na wyspę? Byłem w najgorszej sytuacji, bo nie miałem pieniędzy. W takich wypadkach, jak rewolucje, przewroty i wojny, wielkie agencje nie liczą się z wydatkami. Płacą tyle, ile trzeba, żeby zdobyć wiadomość z pierwszej ręki. Korespondent AP, AFP czy BBC wynajmie samolot, wynajmie statek, kupi samochód potrzebny mu tylko na kilka godzin - wszystko to, byle dostać się na miejsce wydarzenia. W takiej konkurencji nie miałem szans, mogłem liczyć tylko na okazję, na łut szczęścia. W południe blisko hotelu podpłynęła łódź rybacka. Przywiozła kilku dziennikarzy amerykańskich, mieli twarze czerwone od słońca, spalone na raka. Rano próbowali tą łodzią dostać się na wyspę, byli już blisko, ale z brzegu zaczęli do nich tak gęsto strzelać, że musieli zrezygnować

i zawrócić: droga morska była zamknięta. Po obiedzie pojechałem na lotnisko zobaczyć, co się tam dzieje. W holu było pełno dziennikarzy, leżały stopy kamer i walizek. Większość reporterów drzemała w fotelach, inni popijali w barze piwo, spoceni, znużeni upałem, tropikalnie rozmemłani. Odleciał samolot do Kairu i wokół zrobiło się cicho. Przez pas startowy przechodziło stado krów. Poza tym żadnego śladu życia w tej przestrzeni rozgrzanej i martwej, w tej bezludnej pustce na końcu świata. Myślałem już wracać do miasta, kiedy nagle pojawił się Naggar, zatrzymał mnie i odprowadził na bok. Rozejrzał się, czy aby nikt go nie słyszy, i choć w tym miejscu byliśmy sami, powiedział szeptem, bardzo tajemniczo, że on i Arnold (operator NBC) wynajęli awionetkę i opłacili pilota, który zgodził się polecieć na Zanzibar, ale nie mogą się ruszyć, bo lotnisko jest tam nadal zamknięte. Byli właśnie na wieży kontrolnej i rozmawiali z wieżą lotniska na Zanzibarze, pytając, czy będą mogli przylecieć, ale tamci odpowiedzieli, że nie i że otworzą ogień. Mówiąc o tym wszystkim, Naggar był zdenerwowany, bo zauważyłem, że wyrzucił ledwie zapalone cygaro i pośpiesznie wyciągnął nowe. - Jak myślisz - powiedział - co by można zrobić? - Jaki to samolot? - spytałem. - Cessna - odparł - czteroosobowa. - Feliks - powiedziałem - a jeżeli uda mi się załatwić zgodę na lądowanie, to weźmiesz mnie za darmo? - Oczywiście! - zgodził się od razu. - Dobrze. Potrzebuję jednej godziny. Kiedy to wszystko mówiłem, wiedziałem, że blefuję, ale później okazało się, że nie był to tak już zupełny blef. Wskoczyłem w samochód i pognałem do miasta. W samym centrum, w połowie Independence Avenue, stoi czteropiętrowy, szalowany budynek, który okalają cieniste, ażurowe balkony - New Africa Hotel. Na jego dachu znajduje się wielki taras. Jest tam kontuar barowy i stoi kilka stolików. Oto miejsce, w którym konspiruje dziś Afryka. Tu spotykają się uciekinierzy, zbiegowie i emigranci z różnych stron kontynentu. Przy jednym stoliku zwykle siadają Mondlane z Mozambiku, Kaunda z Zambii, Mugabe z Zimbabwe. Przy innym - Karume z Zanzibaru, Chisiza z Malawi, Nujoma z Namibii itd. Tanganika jest w tych stronach pierwszym niepodległym państwem, więc tu ciągną ludzie z wszystkich kolonii. Wieczorem, kiedy robi się chłodniej i górą wieje od morza orzeźwiający wiaterek, taras wypełnia się ludźmi, którzy dyskutują, ustalają plany działania, obliczają siły i szanse. Staje się on centrum dowodzenia, prowizorycznym mostkiem kapitańskim. My, korespondenci, zachodzimy tu często, żeby się czegoś dowiedzieć. Znamy już wszystkich liderów, wiemy, do kogo warto się przysiąść. Wiemy, że pogodny, otwarty Mondlane rozmawia chętnie, a tajemniczy, zamknięty Chisiza nawet nie otworzy ust. Na tarasie zawsze słychać było dochodzącą z dołu muzykę. Dwa piętra niżej pan Henryk Subotnik z Łodzi prowadzi nocny lokal Paradise. Kiedy wybuchła wojna, Subotnik znalazł się w Związku Radzieckim, a następnie, przez Iran, dotarł statkiem do Mombasy. Tu zachorował na malarię i zamiast dołączyć do armii Andersa i wylądować w Europie, znalazł się ostatecznie w Tanganice. W jego lokalu zawsze panuje tłok, ścisk i jest hałas. Klientów przyciąga tu uroda czekoladowej Miriam, pięknej striptizerki z odległych Seszelów. Jej popisowy numer to obieranie i zjadanie, w specjalny sposób, banana. - Czy wie pan, panie Henryku - spytałem Subotnika, którego akurat zastałem w barze - że na Zanzibarze jest zawierucha? - Czy wiem? - zdziwił się. - Wiem wszystko! - Panie Henryku - spytałem znowu - a czy pan myśli, że Karume tam jest? Abeid Karume był na Zanzibarze przywódcą Afro-Shirazi Party. Choć partia ta, skupiająca czarną, afrykańską ludność wyspy, zdobyła w ostatnich wyborach większość, rząd stworzyła popierana przez Londyn partia mniejszości arabskiej - Zanzibar Nationalist Party. Oburzeni tym faktem

Afrykanie zrobili rewoltę i obalili rząd Arabów. Oto co właśnie stało się przed dwoma dniami na wyspie. - Czy Karume tam jest? - Subotnik roześmiał się w taki sposób, że wiedziałem jedno: jest tam na pewno. I tylko to mi było potrzebne. Wróciłem na lotnisko. Klucząc z Feliksem, tak aby nikt nie zobaczył, dokąd idziemy, dotarliśmy do wieży kontrolnej. Feliks poprosił jednego z dyżurnych, aby połączył nas telefonicznie z wieżą kontrolną lotniska na Zanzibarze. Kiedy po tamtej stronie odezwał się czyjś głos, wziąłem słuchawkę i spytałem, czy mogę rozmawiać z Karume. Nie było go w pobliżu, ale miał tam być lada moment. Odłożyłem słuchawkę i postanowiliśmy czekać. Po kwadransie zadzwonił telefon. Poznałem jego tubalny, zachrypnięty głos. Przez dwadzieścia lat Karume pływał po świecie jako zwykły marynarz i teraz, nawet jeśli mówił coś komuś na ucho, grzmiał tak donośnie, jakby przekrzykiwał ryk sztormującego oceanu. - Abeid - powiedziałem - mamy tu mały samolot i jest nas trzech: Amerykanin, Francuz i ja. Chcieliśmy do was przylecieć. Czy jest to możliwe? Nie będziemy pisać żadnych świństw, to obiecuję. Przysięgam - żadnych kłamstw. Czy mógłbyś sprawić, żeby do nas nie strzelali, kiedy będziemy lądować? Zapadła długa cisza, nim ponownie usłyszałem jego głos. Powiedział, że mamy zgodę i że będą czekać na lotnisku. Pobiegliśmy do samolotu i po chwili byliśmy już w powietrzu, nad morzem. Siedziałem obok pilota, a z tyłu - Feliks i Arnold. W kabinie panowało milczenie. Na pewno byliśmy radzi, że udało się przełamać blokadę i że na wyspie będziemy pierwsi, ale zarazem tak naprawdę nie wiedzieliśmy jednak, co nas czeka. Z jednej strony doświadczenie uczyło mnie, że takie kryzysowe sytuacje wyglądają z daleka gorzej i groźniej, niż okaże się potem z bliska. Nasza wyobraźnia bowiem łaknie i łapczywie chłonie każdą odrobinę sensacji, najslabszy sygnał zagrożenia czy najlżejszy zapach prochu, aby natychmiast rozmnożyć te oznaki do monstrualnych, obezwładniających rozmiarów. Z drugiej jednak strony wiedziałem też, że wszelkie wybuchy społeczne, te chwile, kiedy spokojna i ocieężała woda zaczyna burzyć się i kipieć, to momenty ogólnego chaosu, bezhołowia, szalonego zamętu. Łatwo wtedy zginąć z powodu bałaganu, przez pomyłkę, bo ktoś czegoś nie dosłyszał lub w porę nie zauważył. W takich dniach przypadek przeżywa wielkie chwile, staje się prawdziwym panem i władcą historii. Kilkadziesiąt minut lotu i zbliżamy się do lotniska. Zanzibar: biała, kamienna, kunsztownie rzeźbiona brosza starego, arabskiego miasta, a dalej lasy palmy kokosowej, olbrzymie, rozgałęzione drzewa goździkowe i pola kukurydzy, pola kassawy, a to wszystko obramowane świecącym piaskiem plaż z wyżłobieniami seledynowych zatok, w których kołyszą się flotylle łódek rybackich. Już kiedy jesteśmy blisko ziemi, widzimy uzbrojonych ludzi rozstawionych po obu stronach pasa startowego. Uczucie ulgi, ponieważ nie mierzą do nas, nie strzelają. Jest ich kilkudziesięciu i od razu widać, że są lichy, byle jak ubrani, że są półnaczy. Pilot podprowadza maszynę do głównego budynku. Nie ma Karume, ale są jacyś ludzie, którzy przedstawiają się jako jego pomocnicy. Mówią, że zawiozą nas do hotelu i proszą, żeby samolot od razu odleciał. Dwoma policyjnymi wozami jedziemy do miasta. Droga jest pusta, widać mało ludzi, mijamy jakieś zniszczone domy, jeden rozbity, wybebeszony sklepik. Do miasta wjeżdża się przez okazałą masywną bramę, za którą zaraz zaczynają się wąskie uliczki, tak wąskie, że ledwie mieści się w nich samochód. Jeżeli ktoś idzie naprzeciw, musi wejść do bramy i przeczekać, aż przejedziemy. Ale w tej chwili miasto jest głucho, drzwi do domów pozamykane albo wyrwane z framug, okiennice zatrzaśnięte. Oberwany szyld z napisem: "Maganlal Yejchand Shah", rozbita wystawa sklepu Noorbhai Aladin and Sons, podobnie otwarty i pusty sklep sąsiedni M.M. Bhagat and Sons,

Agents for Favre Leuba-Genewa. Idzie kilku bosonogich chłopców, jeden z nich ma karabin. - To nasz problem - mówi jeden z przewodników. Ma na imię Ali. Pracował na plantacji goździków. - Mieliliśmy tylko kilkadziesiąt starych karabinów, odebranych policji. Bardzo mało broni automatycznej. Główne uzbrojenie to maczety, noże, łomy, pałki, kije, siekiery, młotki. Zresztą sami zobaczycie. Dostaliśmy pokoje w opustoszałej dzielnicy arabskiej w Zanzibar Hotel. Dom tak zbudowany, że zawsze dawał chłód i cień. Usiedliśmy w barze, żeby odetchnąć. Jacyś nieznani nam ludzie przychodzili nas zobaczyć i pozdrowić. W pewnej chwili weszła drobna, rześka staruszka. Zaczęła nas rozpytywać: a co my tu, a po co, a skąd. Kiedy doszła do mnie i powiedziałem jej, skąd jestem, kobieta chwyciła mnie za rękę, znieruchomiała i zaczęła płynnie deklamować: Pogodą rana lśni polana. Ę Cisza opieszcza smukłość drzew, Ę Dygotem liści rozszeptana. Ę Ędźbła trawy kloni lekki wiew. Ę Naggar, Arnold, nasza obstawa, wszyscy ci bosonodzy bojownicy, którzy już zdążyli zapełnić hol recepcyjny hotelu, stali zaskoczeni. Tak cicho jest i słodko wszędy Ę I tak przedziwny wkoło świat, Ę Jakbyś przed chwilą przeszła tędy, Ę Musnąwszy trawy skrajem szat. Ę - Staff? - zapytałem z wahaniem. - Oczywiście, że Staff. Leopold Staff! - powiedziała triumfująco. - Nazywam się Helena Trembecka. Z Podola. Mam tu obok hotel. Nazywa się Pigalle. Niech pan przyjdzie. Zastanie pan Karume i tych wszystkich jego ludzi, bo dają im piwo za darmo. Co stało się na Zanzibarze? Dlaczego jesteśmy tu, w hotelu, pilnowanym przez kilku bosonogich zapaleńców z maczetami? (co prawda ich dowódca ma karabin, ale nie jestem pewien, czy w magazynku jest jakiś nabój). Otóż, jeśli ktoś spojrzy uważnie na dokładną mapę Afryki, zauważy, że kontynent ten jest otoczony licznymi wyspami. Niektóre są tak małe, że rejestrują je tylko drobiazgowo mapy nawigacyjne, ale inne są już na tyle duże, że można je odnaleźć w zwykłych atlasach. Po zachodniej stronie kontynentu leżą: Dżalita i Kerkena, Lampione i Lampedusa, Wyspy Kanaryjskie i Zielonego Przylądka, Goree i Fernando Po, Książęca i Świętego Tomasza, Tristana da Cunha i Annobon, a po stronie wschodniej - Szaduan i Gifatun, Szuakin i Dahlak, Sokotra, Pemba i Zanzibar, Mafia i Amiranty, Komory, Madagaskar i Maskareny. W rzeczywistości wysp tych jest znacznie, znacznie więcej, można ich naliczyć dziesiątki, jeśli nie setki, bo wiele z nich rozgałęzia się w całe archipelagi, inne są otoczone przedziwnym światem koralowych łań i piaszczystych mielizn, który ukazuje nam całe swoje olśniewające bogactwo barw i kształtów tylko w godzinach odpływów. Tych wysp i przylądków są takie krocie, iż można by wyobrazić sobie, że w wypadku Afryki dzieło stworzenia zostało jakby zaniechane, nie dokończony i to, co jest dziś widocznym i dotykającym kontynentem, jest tylko wyłoniącą z oceanów częścią Afryki geologicznej, której reszta pozostała na dnie, i że te wyspy to są właśnie jej wystające ponad powierzchnię wody szczyty. Ten fenomen geologiczny miał swoje historyczne następstwa. Bo od dawna Afryka była jednocześnie postrachem i pokusą. Z jednej strony wśród cudzoziemców budziła lęk, istniała nie poznana i niezdobytą. Wiekami skutecznie broniły jej wnętrza - ciężki, tropikalny klimat, nieuleczalne kiedyś, zabójcze choroby (malaria, ospa, śpiączka, trąd itd.), brak dróg i transportu, a także, jakże często, zaciekle opór jej mieszkańców. Ta nieprzystępność Afryki zrodziła mit jej tajemniczości: conradowe jądro ciemności zaczynało się już u słonecznych wybrzeży kontynentu, po zejściu ze statku na ląd. Ale zarazem Afryka wabiła, przyciągała mirażem sutych zdobyczy, obfitego łupu. Kto wyprawiał się ku jej brzegom, przystępował do gry najbardziej ryzykownej, ostatecznej, na śmierć i życie: jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku ponad połowa Europejczyków, którzy tu docierali,

umierała na malarię, ale jednocześnie wielu z tych, co przeżyli, wracało już jako posiadacze nagłych i wielkich fortun - ładunków złota, kości słoniowej i przede wszystkim - czarnych niewolników. I tu właśnie z pomocą międzynarodowce żeglarzy, kupców i rabusiów przychodzą owe rozsiane u wybrzeży kontynentu tuziny wysp. Stają się one dla nich punktami zaczepienia, ostoją, przystanią i faktorią. Są przede wszystkim bezpieczne: leżą dostatecznie daleko, aby Afrykanie nie mogli dosięgnąć ich na swoich chybotałych, dłubanych w kadłubach drzew - czółnach, natomiast są dość blisko lądu, aby nawiązać i utrzymywać z nimi kontakt. Rola tych wysp wzrasta szczególnie w epoce handlu niewolnikami - albowiem wiele z nich zamieniono w obozy koncentracyjne, w których więziono niewolników w oczekiwaniu na statki, jakimi byli przewożeni do Ameryki, Europy i Azji. Handel niewolnikami: trwa czterysta lat, zaczyna się w połowie XV wieku, a kończy? Oficjalnie - w drugiej połowie XIX wieku, ale bywa też, że później, np. w Nigerii Północnej dopiero w 1936 roku. Ten handel zajmuje centralne miejsce w dziejach Afryki. Miliony (różnie liczą: 15-30 milionów ludzi) porwano i wywieziono w strasznych warunkach za Atlantyk. Szacują, że w czasie takiej podróży (trwała ona dwa - trzy miesiące) wymierała z głodu, duchoty i pragnienia blisko połowa niewolników, czasem ginęli na statku wszyscy. Ci, co przeżyli, pracowali później na plantacjach trzciny cukrowej i bawełny w Brazylii, na Karaibach, w Stanach Zjednoczonych, budując bogactwo tamtej półkuli. Handlarze niewolników (głównie Portugalczycy, Holendrzy, Anglicy, Francuzi, Amerykanie, Arabowie i ich afrykańscy wspólnicy) wyludnili kontynent i skazali go na apatyczną wegetację: jeszcze w naszych czasach duże połacie tego lądu były opustoszałe i zamienione w pustynię. Afryka do dziś nie podniosła się z tego nieszczęścia, z tego koszmaru. Ale handel niewolnikami miał także swoje zgubne skutki psychologiczne. Zatruił wśród mieszkańców Afryki stosunki międzyludzkie, rozkrzewił nienawiść, rozmnożył wojny. Silniejsi starali się obezwładnić słabszych i sprzedawać ich na targu, królowie handlowali poddanymi, zwycięzcy - jeńcami, sądy - skazanymi. A także handel ów zostawił w psychice Afrykanina skazę może najgłębszą i boleśniej trwałą - kompleks niższości: ja, Czarny, to znaczy ten, którego Biały handlarz, okupant, oprawca może porwać z domu lub z pola, zakuć w dyby, zagnać na statek, wystawić na sprzedaż, potem pędzić batogiem do upiornej harówki. Ideologią handlarzy niewolników był pogląd, że Czarny to nie-człowiek, że ludzkość dzieli się na ludzi i podludzi i że z tymi ostatnimi można zrobić, co się chce, najlepiej - wykorzystać ich pracę, a potem unicestwić. W notatkach i zapiskach tych handlarzy wyłożona jest (co prawda w prymitywnej formie) cała późniejsza ideologia rasizmu i totalitaryzmu, z jej tezą - rdzeniem, że Inny - to wróg, więcej - to nie-człowiek. Cała ta filozofia obsesyjnej pogardy i nienawiści, podłości i zdziczenia, nim zainspirowała budowę Kołymy i Oświęcimia, została wieki wcześniej sformułowana i zapisana przez kapitanów "Marthy" i "Progreso", "Mary Ann" czy "Rainbow" w ich kabinach, kiedy patrząc przez okno na lasy palmowe i rozgrzane plaże, czekali w swoich statkach, uciepionych wysp Sherbro, Kwale czy Zanzibar, na załadunek kolejnej partii czarnych niewolników. `nv Zanzibar (cd.) W tym handlu, właściwie planetarnym, bo brały w nim udział Europa, obie Ameryki, wiele krajów Bliskiego Wschodu i Azji - Zanzibar jest smutną, czarną gwiazdą, ponurym adresem, przeklętą wyspą. W jej stronę ciągną latami, ba, wiekami, karawany niewolników świeżo pojmanych we wnętrzu kontynentu, w Kongu i Malawi, w Zambii, Ugandzie i Sudanie. Często powiązani sznurami, żeby nie zbiegli, służą zarazem jako tragarze - niosą do portu, na statki cenny towar - tony kości słoniowej, oleju palmowego, skór

dzikich zwierząt, drogich kamieni, hebanu. Przewiezieni łodziami z lądu na wyspę są wystawiani na targu - na sprzedaż. Targ nazywa się Mkunazini i jest to położony niedaleko mojego hotelu plac, na którym stoi dziś katedra anglikańska. Ceny - różne: od jednego dolara za dziecko, do dwunastu - za młodą, piękną dziewczynę. Dość drogo, skoro w Senegambii Portugalczycy dostawali za jednego konia - dwunastu niewolników. Najzdrowszych i najsilniejszych pędzą następnie z Mkunazini do portu: to blisko, kilkaset metrów. Stąd, na statkach specjalnie przeznaczonych do przewozu niewolników, popłyną albo do Ameryki, albo na Bliski Wschód. Ciężko chorych, za których nikt nie chciał dać nawet kilku centów, kiedy kończy się ruch na targu - wyrzucają na kamienisty brzeg: tu zjadają ich grasujące stadami dzikie psy. Natomiast ci, którym uda się z czasem wyzdrowieć i nabrać sił, zostaną na Zanzibarze i jako niewolnicy będą pracować u Arabów - właścicieli wielkich plantacji drzew goździkowych i palm kokosowych. Wielu wnuków tych niewolników weźmie udział w rewolucji. Wczesnym rankiem, kiedy wiatr od morza jest jeszcze rześki i względnie chłodny, ruszyłem do miasta. Tuż za mną poszli dwaj młodzi ludzie z maczetami. Ochrona? Straż? Policja? Nie próbowałem się z nimi porozumieć. Proste i liche maczety, które posiadali, stwarzały im wyraźnie problem. Jak je nieść? Z dumą i groźnie czy raczej nieśmiało i skrycie? Maczeta była dotąd narzędziem wyrobnika, pariasa, oznaką niskiego stanu, a oto od kilku dni stała się symbolem prestiżu i władzy. Kto miał ją przy sobie, musiał należeć do klasy zwycięskiej, pokonani bowiem chodzili z pustymi rękoma, bezbronni. Z hotelu wchodzi się od razu w wąskie uliczki, typowe dla starych arabskich miast. Trudno mi powiedzieć, dlaczego ci ludzie tak ciasno i tłoczno budowali, tak się cisnęli, że jedni drugim musieli siedzieć na głowie. Żeby nigdzie za daleko nie chodzić? Żeby łatwiej obronić miasto? Nie wiem. Z drugiej strony ta masa spiętrzonego w jednym miejscu kamienia, to nagromadzenie ścian, nawarstwienie krużganków, wnęk, okapów i dachów, pozwalało przetrzymać i zachować, jak w lodowatym skarbcu - cień, odrobinę chłodu i przewiewu w godzinach najstraszniejszego upału w czasie południa. Z podobną przezornością i wyobraźnią planowano ulice. Są bowiem wytyczone i rozmieszczone w ten sposób, że którakolwiek się pójdzie i w jakimkolwiek kierunku i tak ostatecznie trafi się na brzeg morza, na szeroki bulwar, gdzie jest przestronniej i przyjemniej niż w zagęszczonym śródmieściu. Miasto jest teraz puste i martwe. Jakiż kontrast z tym, jak wyglądało wcześniej, jeszcze kilka dni temu! Bo Zanzibar to było miejsce, w którym spotykało się pół świata. Wieki temu, na wyspie zamieszkaną przez tubylcze ludy osiedlili się muzułmańscy uchodźcy z irańskiego Szirazu, którzy z czasem zmieszali się z miejscową ludnością, stali się jej częścią, choć zachowali pewne poczucie odrębności: nie pochodzili z Afryki, lecz z Azji. Potem zaczęli napływać Arabowie z Zatoki Perskiej. Pokonali rządzących wyspą Portugalczyków i zdobyli władzę, którą sprawowali przez dwieście sześćdziesiąt lat. Zajęli dominujące pozycje w najbardziej dochodowych dziedzinach - handlu niewolnikami i kością słoniową. Stali się właścicielami najlepszych ziem i największych plantacji. Posiadali wielką flotę. Poważną pozycję w handlu zdobyli z czasem Hindusi i Pakistańczycy, a także Europejczycy - głównie Anglicy i Niemcy. Formalnie wyspą rządził sułtan - potomek Arabów z Omanu; faktycznie - była ona brytyjską kolonią (oficjalnie: protektoratem). Bujne, rodne plantacje Zanzibaru przyciągają ludzi z kontynentu. Znajdują tu pracę przy zbiorach goździków i kokosów. Coraz częściej też pozostają tu, zaczynają się osiedlać. W tym klimacie i w takim ubóstwie przenoszenie się z miejsca na miejsce nie jest trudne: w kilka godzin można postawić szałas i złożyć w nim cały swój dobytek:

koszulę, garnek, butelkę na wodę, kawałek mydła i matę. W ten sposób człowiek ma już dach nad głową i przede wszystkim - ma już swoje miejsce na ziemi i teraz zaczyna się rozglądać, co by tu zjeść. Z tym jest gorzej. Praktycznie pracę można dostać tylko na plantacji Araba - wszystko jest w ich rękach. Ten porządek rzeczy przybysz z kontynentu traktuje latami jako normalny, dopóki w okolicy nie pojawi się jakiś lider, jakiś agitator i nie powie mu, że ten Arab - to inny i że pojęcie innego ma swoje złowrogie, szatańskie konsekwencje, bo inny - to obcy, to krwio pijca i wróg. Świat, który ów przybysz postrzegał jako urządzony raz na zawsze przez bogów i przodków, teraz widzi jako krzywdzącą go i poniżającą rzeczywistość, którą - aby żyć dalej - trzeba zmienić. Na tym polega atrakcyjność etnicznej agitacji - na jej łatwości i przystępności: innego się widzi, każdy może go zobaczyć i zapamiętać jego wizerunek. Nie trzeba czytać książek, zastanawiać się, dyskutować: wystarczy zobaczyć. Na Zanzibarze ową dychotomię etniczną, coraz bardziej napiętą, tworzą z jednej strony panujący Arabowie (dwadzieścia procent ludności), z drugiej - ich poddani: czarni Afrykanie z wyspy i z kontynentu, a więc drobni farmerzy i rybacy, nieokreślona i płynna masa wyrobnicza, służba domowa, poganiacze osłów, tragarze. To, o czym piszę, dzieje się w chwili, kiedy jednocześnie i świat arabski, i czarna Afryka są w drodze do niepodległości. Ale co to oznacza na Zanzibarze? Tu Arabowie mówią: chcemy niepodległości (przez co rozumieją: chcemy pozostać u władzy). Afrykanie mówią to samo: chcemy niepodległości, ale nadają temu hasłu inny sens, a mianowicie - ponieważ jesteśmy większością, władza powinna przejść w nasze ręce. Oto kość niezgody i istota konfliktu. A jeszcze oliwy do ognia dolewają Anglicy. Ponieważ mają dobre stosunki z sułtanami Zatoki Perskiej (z których wywodzi się sułtan Zanzibaru), a boją się zrewoltowanej Afryki, ogłaszają, że Zanzibar jest częścią świata arabskiego, a nie afrykańskiego i przyznając mu niepodległość jednocześnie utwierdzają Arabów u władzy. Przeciw temu protestuje partia afrykańska - Afro-Shirazi Party, której przywódcą jest Abeid Karume, ale protestuje legalnie, przestrzegając prawa, ponieważ co prawda jest opozycją, ale opozycją parlamentarną. Tymczasem na Zanzibarze pojawia się młody człowiek z Ugandy - John Okello. Właśnie skończył dwadzieścia pięć lat. Jak to często w Afryce, ma czy udaje, że ma, wiele zawodów - jest kamieniarzem, murarzem, potem malarzem pokojowym. Półanalfabeta, ale obdarzony charyzmą, samorodek z poczuciem misji. Kieruje nim kilka prostych myśli, które przychodzą mu do głowy, kiedy łupie kamień albo układa cegłę: - Pan Bóg dał Zanzibar Afrykanom i obiecał mi, że teraz wyspa do nas wróci; - Musimy pokonać i wyrzucić Arabów, inaczej nie ustąpią i będą nas dalej uciskać; - Trzeba wiedzieć, po której stronie chleb jest posmarowany masłem: nie ma co liczyć na poparcie tych, co mają pracę, poprzeć sprawę mogą tylko głodni; - Nie będziemy wciągać do walki polityków takich jak Karume i inni. To wielcy ludzie i szkoda, jeśli przegramy, żeby ich zabili; - Zaczekamy, aż pójdą Anglicy. Anglikom nie damy rady. Jak zostaną tylko Arabowie, uderzymy następnego dnia. Te myśli tak go absorbują i pochłaniają, że musi często przebywać sam w lesie, bo tylko tam może się im spokojnie oddawać. Równocześnie jednak, już na rok przed niepodległością Zanzibaru, Okello na własną rękę zaczyna organizować swoją tajną armię. Jeżdżąc po wyspie, po wsiach i miasteczkach, tworzy oddziały, w których w sumie znajdzie się ponad trzy tysiące ludzi. Od razu rozpoczyna się szkolenie. Obejmuje ono trening w posługiwaniu się łukami, nożami, kijami i dzidami. Inne oddziały ćwiczą walkę z użyciem siekier, maczet, łańcuchów i młotów. Dodatkowe zajęcia obejmują naukę zapasów, boksu i rzucania kamieniami. W przededniu powstania Okello mianuje się

marszałkiem polnym, a kilku swoim najbliższym pomocnikom, najczęściej robotnikom plantacji i byłym policjantom, nadaje stopnie generałów armii. W trzy tygodnie po tym, jak książę Filip w imieniu królowej Elżbiety przekazuje wyspę w ręce rządu arabskiego, marszałek polny John Okello w ciągu jednej nocy zdobywana Zanzibarze władzę. Przed południem Feliks, Arnold i ja jedziemy z naszą obstawą do kwatery Arnold i ja jedziemy z naszą obstawą do kwatery marszałka polnego. Na dziedzińcu jakiegoś arabskiego domu (nie wiem, co to za dom), tłoczą się dziesiątki ludzi. Kobiety gotują na ogniskach kassawę i jarzyny, pieką kurczaki i baranie szaszłyki. Nasi przewodnicy popychają nas przez ten tłum - do wnętrza. Tłum rozstępuje się niechętnie, patrzy na nas podejrzliwie, ale i z ciekawością, w takich godzinach wszyscy Biali kryją się gdzieś po kątach. W wielkim, orientalnym holu siedzi w hebanowym fotelu Okello i pali papierosa. Ma bardzo ciemną karnację skóry, twarz masywną, o grubych rysach. Na głowę wciśnięta czapka policyjna, bo zdobyli magazyny policyjne, a w nich trochę karabinów i mundurów. Ta czapka ma jednak otok przepasany kawałkiem niebieskiego materiału (dlaczego akurat niebieskiego - nie wiem). Okello jest jakby nieobecny, w szoku, sprawia wrażenie, że nas nie widzi. Ludzie tłoczą się wokół niego, pchają się, napierają, wszyscy coś mówią, gestykulują, bałagan jest kosmiczny, nikt nie próbuje nad nim zapanować. O rozmowie, oczywiście, ani myśleć. Chodzi nam już tylko o jedno - żeby dał nam zgodę na dalszy pobyt na wyspie. Nasi przewodnicy mówią mu o tym. Okello kiwa przyzwalająco głową. Po chwili coś nagle trafia do niego, bo ciska papierosa i postanawia nas odprowadzić. Zarzuca na ramię stary karabin, a następny bierze do ręki. Drugą ręką poprawia najpierw pistolet wetknięty za pas, a potem bierze w nią inny pistolet. I tak uzbrojony po zęby pcha nas przed sobą, wyprowadza na dziedziniec, jak na rozstrzelanie. Jednym z objawów choroby, która mnie trawi, jest stała, wyczerpująca gorączka. Wzrasta ona wieczorem i wtedy ma się dziwne wrażenie, że to nasze kości promieniują tą wysoką temperaturą. Jakby ktoś w miejsce szpiku umieścił metalowe spirale i połączył je z prądem elektrycznym. Spirale rozgrzewają się do białości, a cały nasz szkielet, objęty niewidocznym, wewnętrznym pożarem, staje w ogniu. Nie można zasnąć. W takie wieczory, w Dar es-Salaam, leżę w pokoju i patrzę, jak polują jaszczurki. Te, które zwykle kręcą się po mieszkaniu, są małe, bardzo ruchliwe, o ceglanej albo jasnoszarej skórze. Zręczne i zwinne - łatwo biegają po ścianach i suficie. Nigdy nie poruszają się normalnym, spokojnym krokiem. Najpierw stoją sparaliżowane i nieruchome, aż nagle puszczają się pędem, dopadają jakiegoś sobie tylko wiadomego celu i znowu zamierają. Widzimy tylko po ich szybko pulsującym tułowi, że ten sprint, ten rzut ciała na niewidoczną taśmę tak je wyczerpał, iż muszą teraz naprawdę odetchnąć, wypocząć i nabrać sił przed następnym błyskawicznym szusem. Polowania zaczynają wieczorem, kiedy już w pokoju pali się światło. Obiektem ich zainteresowania i ataku są wszelkie owady - muchy, żuczki, mole, ćmy, ważki i przede wszystkim moskity. Jaszczurki zjawiają się nagle, jakby ktoś wystrzelił je z katapulty i przylepił do ściany. Rozglądają się, nie poruszają głową: mają oczy umieszczone na samodzielnych łożyskach, jak teleskopy astronomów, dzięki czemu widzą także wszystko przed i za sobą. Oto jaszczurka dostrzegła nagle moskita. Rusza w jego stronę. Moskit widzi niebezpieczeństwo, podrywa się i ucieka. Co ciekawe, nie ucieka nigdy w dół, w przepaść, na której dnie leżą deski podłogi, lecz wzbija się w powietrze, krąży zdenerwowany i zły, a potem biegnąc w górę i w górę, ląduje na suficie. Nie wie jeszcze i z pewnością nie przeczuwa, że ta decyzja będzie miała dla niego skutki śmiertelne. Bo raz

uczepiony sufitu, zawieszony głową na dół, traci orientację, poczucie kierunku, mylą mu się strony świata. W rezultacie, miast czmychać z pola zagrożenia, jakim dla niego jest sufit, zachowuje się tak, jakby wpadł w ślepą i bezwyjściową pułapkę. Teraz jaszczurka, która ma już moskita na suficie, może cieszyć się i oblizywać pyszczek; zwycięstwo jest blisko. Nie spoczywa jednak na laurach - nadal jest skupiona, czujna i pełna determinacji. Wpada na sufit i zaczyna teraz, biegając, zakreślać wokół moskita coraz mniejsze i mniejsze koła. Musi tu występować jakiś element magii, zaczarowania, hipnozy, bo moskit, mimo że mógłby ratować się ucieczką w przestrzeń, w której żaden napastnik nie zdołałby go dosięgnąć, daje się coraz szczelniej otaczać przez jaszczurkę, która dalej spokojnie posuwa się swoim rytmem: skok i - znieruchomienie, skok i - znieruchomienie. W pewnym momencie moskit zauważa z przerażeniem, że nie zostało mu już żadne pole manewru, że jaszczurka jest tuż-tuż i ta myśl go dodatkowo oszałamia i obezwładnia tak, że już, zrezygnowany i przegrany, daje się bez najmniejszego oporu połknąć. Wszelkie próby zaprzyjaźnienia się z jaszczurkami kończą się niczym. Są to stworzenia bardzo nieufne i płochliwe, które chodzą (czy raczej - biegają) swoimi drogami. To nasze niepowodzenie ma także pewien sens metaforyczny: potwierdza ono, że można żyć razem, pod jednym dachem, a jednak nie sposób się porozumieć, znaleźć wspólny język. Na Zanzibarze nie mogę patrzeć na harce jaszczurek, ponieważ wieczorem wyłączają tu światło i muszę w ciemnościach cierpliwie czekać, aż przyjdzie dzień. Trudne są te długie i puste godziny spędzone w półśnie na beczynnym wypatrywaniu pierwszego brzasku. Wczoraj o świcie (który nie jest tu nigdy błydy, lecz od razu purpurowy, kolorowy, ognisty) rozległ się na ulicy dźwięk małego dzwonka. Z początku odległy i przytłumiony, przybliżał się coraz bardziej, aż stał się wyrazisty, silny i wysoki. Wyjrzałem przez okno. W perspektywie wąskiej uliczki zobaczyłem Araba - sprzedawcę gorącej kawy. Na głowie miał haftowany czepek muzułmanina, z ramion zwisała mu luźno biała galabija. W jednej ręce niósł stożkowate, metalowe naczynie z dzióbkiem, w drugiej koszyk pełen porcelanowych filiżanek. Picie porannej kawy jest tu odwiecznym rytuałem, od którego - razem z modlitwą - muzułmanie zaczynają dzień. Dzwonek sprzedawcy kawy, który ulica po ulicy o świcie obchodził swój rewir, był ich tradycyjnym budzikiem. Na głos tej pobudki zrywali się i wychodzili przed domy czekać, aż pojawi się ów człowiek roznoszący świeżą, aromatyczną, mocną kawę. Picie porannej kawy to moment wymiany powitań i pozdrowień. Chwila wzajemnych zapewnień, że noc minęła szczęśliwie, i wyrażenia wiary, że zapowiada się - jeżeli Allah pozwoli! - dobry dzień. Kiedy tu przyjechaliśmy, sprzedawcy kawy nie było. A teraz, ledwie minęło pięć dni, pojawił się znowu: życie wchodziło w stare łożyska, wracała norma, wracała codzienność. Piękne i krzepiące w człowieku jest to uporczywe, heroiczne dążenie do normalności, jej poszukiwanie - niemal odruchowe i na przekór wszystkiemu. Bo zwykli ludzie traktują tu kataklizmy polityczne - zamachy stanu, przewroty wojskowe, rewolucje i wojny - jak zjawiska należące do świata natury. Podchodzą też do nich z tą samą apatyczną rezygnacją i fatalizmem. Jak do nawałnicy, jak do burzy. Nic nie można na nie poradzić, trzeba je przeczekać, schować się pod dachem i od czasu do czasu spoglądać w niebo - czy już zniknęły błyskawice, czy odchodzą chmury? Jeśli tak, to można wyjść na zewnątrz i wrócić do tego, co zostało na chwilę przerwane - do pracy, do podróży, do słońca. Przywracanie normalności jest w Afryce o tyle łatwe i może być szybkie, że tu wszystko jest wielce prowizoryczne, nietrwałe, lekkie i liche, że więc da się błyskawicznie zniszczyć wioskę, uprawę czy drogę, ale też potem prędko je odbudować. Zwykle

przed południem chodziliśmy na pocztę wysłać korespondencje. Było nas już dziesięciu, gdyż wpuszczono później jeszcze siedmiu dziennikarzy zagranicznych. Mały budynek poczty, zdobny we wzorzyste arabeski, miał swoją historię: stąd nadawali swoje depesze wielcy podróżnicy - Livingstone i Stanley, Burton i Speke, Cameron i Thomson. Stojące we wnętrzu dalekopisy przypominały zresztą tamten zamierzchły czas. Ich odsłonięte wnętrza wyglądały jak mechanizmy wielkich, starych zegarów na wieżach średniowiecznych ratuszy, tyle tu było kółek, trybów, przekładni i dźwigni. John z UPI, wysoki i wiecznie zaaferowany blondyn, po odebraniu i przeczytaniu depeszy, którą właśnie otrzymał, złapał się za głowę, a kiedy wyszliśmy z poczty, wziął mnie na bok i pokazał blankiet z alarmującym tekstem. Redakcja zawiadamiała Johna, że w Kenii, Tanganice i Ugandzie wybuchły w nocy bunt wojskowe i że musi natychmiast udać się do tych krajów. - Natychmiast! - zawołał John. - Natychmiast, ale jak? Wiadomość była zaskakująca. Bunt wojska! Wyglądało to poważnie, choć nie znaleźliśmy żadnych szczegółów. Ledwie tydzień temu - Zanzibar. Dziś już cała Afryka Wschodnia! Najwyraźniej kontynent wchodził w niespokojny okres zamieszek, rewolt, przewrotów. Ale my, mieszkańcy Zanzibar Hotel, mieliśmy teraz inny problem - jak stąd wyjechać? Dalszy pobyt nie miał zresztą sensu - ludzie Okello, marszałka polnego, nie chcieli wypuścić nas poza miasto na prowincję, do miejsc, w których toczyły się wcześniej walki i w których, podobno, trzymali wielu więźniów. A w samym mieście? Panował spokój, było sennie, dni upływały bez zdarzeń. Po powrocie do hotelu odbyliśmy naradę, na której John poinformował o swojej depeszy. Wszyscy chcieli wracać na kontynent, ale nikt nie wiedział jak. Wyspa była nadal odcięta od świata, nie istniała żadna komunikacja. Co gorsza, wyglądało na to, że miejscowi, ciągle bojąc się interwencji, trzymali nas jako zakładników. Karume, jedyny człowiek, który mógł nam pomóc, był nieuchwytny, najczęściej przebywał na lotnisku, ale teraz nawet tam go nie widywano. Właściwie jedynym wyjściem było próbować drogi morskiej. Ktoś przeczytał w przewodniku, że do Dar es-Salaam jest stąd 75 kilometrów. Z pewnością statkiem to przyjemna podróż, ale skąd wziąć statek? Łódź też nie wchodziła w grę. Nie można było wtajemniczać tutejszych właścicieli łodzi, bo albo siedzieli w więzieniach (jeżeli w ogóle żyli), albo baliby się czy mogliby donieść. Przede wszystkim istniało niebezpieczeństwo, że niedoświadczeni i przypadkowi ludzie marszałka polnego, rozproszeni wzdłuż całego brzegu, jeżeli zobaczą łódź, zaczną do niej strzelać - nikt nad nimi na dobrą sprawę przecież nie panował. W czasie naszej narady goniec przyniósł z pocztą nową depeszę. Redakcja ponaglała Johna: wojska zajęły już lotniska i budynki rządowe, a premierzy trzech krajów gdzieś zniknęli, być może ukrywają się, ale nie jest pewne, czy jeszcze żyją. Słuchaliśmy tych sensacji i - uwięzieni na wyspie - zaciskaliśmy zęby z bezradności i wściekłości. Tak naprawdę narada skończyła się niczym. Pozostało jedno: czekać. Dwóch Anglików - Peter z Reutersa i Aidan z Radia Tanganika - poszło do miasta szukać swoich pobratymców i próbować z ich pomocą znaleźć wyjście. Zdesperowani czepialiśmy się już każdej szansy. Pod wieczór Peter i Aidan wrócili i zwołali nową naradę. Znaleźli pewnego starego Anglika, który postanowił stąd wyjechać przy najbliższej okazji i chce sprzedać łódź motorową w dobrym stanie. Łódź stoi niedaleko, w porcie, w bocznym, ustronnym akwenie. Ten człowiek zaprowadzi nas tam wieczorem, bocznymi ścieżkami i pod osłoną ciemności. Ukryci w łodzi będziemy czekać do późnej nocy, aż zasną straż. Stary Anglik, stary kolonialista, powiedział: - Murzyn to jest Murzyn. Co jak co, ale spać to on musi. - Kiedy minie północ, uruchomimy silnik i zaczniemy uciekać.

Noce są teraz takie ciemne, że nawet gdyby próbowali strzelać, wątpliwe, czy w nas trafią. Kiedy skończyli, zapadło milczenie. Potem odezwały się pierwsze głosy. Jak to zwykle, znaleźli się zwolennicy i przeciwnicy pomysłu. Padały pytania, zaczęła się dyskusja. Z pewnością gdyby były jakieś inne możliwości, ta ucieczka łodzią wydałaby się zbyt ryzykowna i szaleńcza, ale byliśmy przyciśnięci do muru i desperacko przekonani, że za wszelką cenę, właśnie: za wszelką! musimy wydostać się z tej matni. Grunt palił się nam pod nogami i czas nagiął. Zanzibar? Z tą samą determinacją, z jaką próbowaliśmy się tu dostać, teraz chcieliśmy stąd wyjechać. Tylko Feliks i Arnold byli przeciw. Feliks uważał, że to głupota i że jest już za stary na takie przygody, a Arnold miał po prostu dużo cennego sprzętu filmowego, który bał się stracić. Żeby nie budzić podejrzeń, zgodzili się jednak zapłacić za nasz hotel, kiedy będziemy już na morzu. Wieczorem przyszedł drobny, siwy pan ubrany w tradycyjny strój brytyjskich urzędników kolonialnych: w białą koszulę, szerokie białe szorty i białe podkolanówki. Poszliśmy za nim. Ciemności były tak gęste, że ledwie migotała przed nami jego niewyraźna sylwetka: to pojawiając się, to znikając, jak zjawy. W końcu poczuliśmy pod nogami deski - z pewnością byliśmy na molo. Teraz szeptem stary powiedział, żebyśmy schodzili po stopniach do łodzi. Po jakich stopniach? Do jakiej łodzi? Nic nie było widać. Ale kolonialista nalegał, jego głos nabrał tonów rozkazujących, a poza tym, gdzieś w pobliżu mogli czaić się ludzie marszałka polnego. Mark, Australijczyk, duże, masywne chłopisko o szerokiej, pocziwej twarzy, schodził pierwszy, gdyż jeszcze w czasie narady utrzymywał, że umie żeglować i może poprowadzić łódź. On też miał klucz do łańcucha, którym łódź była przypięta do mola, i wiedział, jak uruchomić silnik. Kiedy Mark trafił stopą w dno łodzi, rozległ się plusk i wszyscy syknęli, żeby ciszej! Ciszej! Schodziliśmy teraz po kolei: Anglicy - Peter i Aidan, Niemiec - Thomas, Amerykanin - John, Włoch - Carlo, Czech - Jarek, i ja. Każdy po omacku starał się ustalić kształt łodzi, wyczuć ręką brzeg burty i to, jak są rozmieszczone grodzie, a następnie usiąść gdzieś na ławeczce albo po prostu rozłożyć się wygodnie na dnie. Stary Anglik szybko zniknął i zostaliśmy sami. Nie było widać żadnych świateł. Panowała głęboka i coraz bardziej przejmująca cisza. Czasem tylko można było usłyszeć plusk uderzającej o molo fali i gdzieś z daleka, z bardzo daleka, dobiegający szum niewidocznego oceanu. Żeby się nie zdradzić, siedzieliśmy w milczeniu, nie odzywając się słowem. John, który miał fosforyzujący zegarek, puszczał go od czasu do czasu w obieg - miniaturowy, świetlny punkcik przechodził z rąk do rąk: #22#/30, #23#/00, #23#/30. Trwaliśmy tak, na dnie ciemności, półsenni, odrętwiali i niespokojni. Aż zegarek Johna pokazał drugą w nocy. Wtedy Mark pociągnął linkę uruchamiającą silnik. Motor, jak zniecała ugodzony zwierz, warknął i zawył. Łódź zakołysała się, uniosła dziób i ruszyła przed siebie. Port Zanzibar znajduje się na zachodnim brzegu wyspy, tym, który jest najbliżej kontynentu. Logicznie więc, aby dotrzeć do kontynentu, trzeba było kierować się na zachód, a nawet w wypadku Dar es-Salaam na południowy zachód. Ale na razie chcieliśmy jednego - znaleźć się jak najdalej od portu. Mark uruchomił wszystkie moce silnika, łódź lekko drżała, ale sunęła szybko po spokojnej i gładkiej toni. Nadal panowała zupełna ciemność, a od strony wyspy nie słychać było żadnych strzałów. Ucieczka udała się, byliśmy bezpieczni. Ta świadomość wyrwała nas z odrętwienia, poprawiła nastroje. I tak płynęliśmy w tej błogości ponad godzinę, gdy nagle wszystko zaczęło się zmieniać. Gładka dotychczas toń wody poruszyła się niespokojnie i gwałtownie. Podniosły się fale, które teraz uderzyły o burtę, od razu silne i natarczywe. To

było tak, jakby ktoś potężną, mocarną pięścią walił ze złością w łódź. Była w tym wielka determinacja, wściekła furia, ślepa zjadłość, a zarazem zimna systematyczność. Jednocześnie zerwał się wicher i lunął deszcz, taki, jaki bywa tylko w tropikach: deszcz-wodospad, deszcz-ściana wody. Ponieważ nadal było ciemno, zupełnie straciliśmy orientację, gdzie jesteśmy, w jakim płyniemy kierunku. Ale nawet i to przestało być wkrótce ważne, ponieważ łodzią miotała coraz większa i wyższa fala, tak już groźna i rozszalała, że nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie za minutę, za chwilę. Najpierw łódź niosło z łoskotem w górę, tam nieruchomiała na moment na niewidocznym szczycie fali, a potem gwałtownie leciała w przepaść, w huczącą otchłań, w ryczący mrok. W pewnej chwili zalany wodą zgasł silnik. Zaczęło się piekło. Łodzią rzucało teraz na wszystkie strony, obracała się bezwładna i bezbronna w koło i tylko czekaliśmy przerażeni, że wywróci ją następna fala. Każdy trzymał się kurczowo burty. Ktoś krzyczał histerycznie, ktoś wołał Boga na pomoc, ktoś leżał na dnie, jęcząc i wymiotując żółcią. Nawałnica skapała nas wiele razy, kolejne ataki choroby morskiej wyrwały z nas już całe wnętrza i jeżeli coś jeszcze w nas istniało, to tylko zwierzęcy, lodowaty strach. Nie mieliśmy żadnych kół ani kamizelek ratunkowych, każda nadciągająca fala mogła nieść w sobie naszą śmierć. Silnik był martwy, nie dawał się uruchomić. Nagle Peter krzyknął przez wicher: - Olej! Skojarzył sobie, że taki silnik potrzebuje nie tylko benzyny, ale i zmieszanego z nią oleju. Zaczęli przeszukiwać z Markiem schowek. Znaleźli puszkę i dolali oleju do zbiornika. Mark kilka razy pociągnął za linkę i silnik zapalił. Wszyscy krzyknęli z radości, choć sztorm ciągle szalał. Ale przynajmniej błysnęła jakaś iskra nadziei. Świt był zrazu ponury, chmury wisiały nisko, ale deszcz ustawał i w końcu zrobiło się widno. Zaczęliśmy rozglądać się - gdzie jesteśmy? Wokół woda i woda, ogromna, ciemna, ciągle rozkołysana. Daleko - horyzont, który unosi się i opada, fąluje w jakimś miarowym, kosmicznym rytmie. Potem, kiedy słońce było już wysoko, dostrzegliśmy ciemną linię na horyzoncie. Łą! Popłynęliśmy w tamtym kierunku. Przed nami był płaski brzeg, palmy, grupa ludzi, a w tyle - chatki. Okazało się, że jesteśmy znowu na Zanzibarze, tylko hen powyżej miasta. Nie znając morza, nie wiedzieliśmy, że porwał nas wiejący o tej porze roku monsun, który na szczęście wyrzucił łódź tutaj, bo mógł ponieść nas do Zatoki Perskiej, Pakistanu lub Indii. Ale takiej podróży nie przeżyłby nikt - umarlibyśmy z pragnienia albo pozjadali się nawzajem z głodu. Wszyscy wyszli z łodzi i padli półżywi na piasek. Nie byłem w stanie uspokoić się i zacząłem rozpytywać zebranych ludzi, jak dostać się do miasta. Jeden z nich miał motocykli zgodził się mnie zawieźć. Pognaliśmy przez zielone, pachnące tunele, między krzewami bananowców, mangowcami i drzewami goździkowymi. Pęd rozgrzanego powietrza suszył na mnie koszulę i spodnie - były białe i słone od wody morskiej. Po godzinie dotarliśmy na lotnisko, gdzie liczyłem, że spotkam Karume i on pomoże mi dotrzeć do Dar. Nagle zobaczyłem, że na pasie startowym stoi mały samolot i że Arnold ładuje do kabiny swój sprzęt. W cieniu skrzydła stał Feliks. Kiedy podbiegłem do niego, spojrzał na mnie, przywitał się i powiedział: - Twoje miejsce jest wolne. Czeka na ciebie. Możesz wsiadać. Anatomia zamachu stanu Z notatnika, tak jak zapisałem w Lagos w 1966 r.: W sobotę 15 stycznia armia dokonała w Nigerii zamachu stanu. O godzinie 1#/#/00 w nocy we wszystkich jednostkach wojskowych na terenie kraju zarządzono alarm. Wyznaczone oddziały przystąpiły do wykonania swoich zadań. Trudność z przeprowadzeniem skutecznego zamachu stanu polegała na tym, że musiał on być dokonany w pięciu miastach jednocześnie: w Lagos, które jest stolicą federacji, oraz w stolicach czterech regionów Nigerii - w Ibadanie

(Nigeria Zachodnia), w Kadunie (Nigeria Północna), w Beninie (Nigeria Środkowo-Zachodnia) i Enugu (Nigeria Wschodnia). W kraju o powierzchni trzykrotnie większej niż Polska, zamieszkanym przez 56 milionów ludzi, zamachu dokonała armia licząca zaledwie osiem tysięcy żołnierzy. Sobota, godzina #2#/00 w nocy Lagos: patrole wojska (żołnierze w hełmach, w mundurach polowych, z automatami) zajmują lotnisko, radiostację, centralę telefoniczną i pocztę. Na polecenie wojska elektrownia wyłącza światło w dzielnicach afrykańskich. Miasto śpi, ulice są puste. Sobotnia noc jest bardzo ciemna, gorąca i duszna. Przy King George V Street zatrzymuje się kilka jeepów. Jest to mała uliczka na końcu wyspy Lagos (od której nazwę bierze całe miasto). Po jednej stronie znajduje się stadion. Po drugiej - stoją dwie wille. Jedna to rezydencja premiera federacji, sir Abubakara Tafawa Balewy. W drugiej mieszka minister finansów, chief Festus Okotie-Eboh. Wojsko otacza obie wille. Grupa oficerów wchodzi do rezydencji premiera, budzi go i wyprowadza ze sobą. Druga grupa aresztuje ministra finansów. Samochody odjeżdżają. W kilka godzin później oficjalny komunikat rządu poda, że premiera i jego ministra "uprowadzono w nieznanym kierunku". Dalsze losy Balewy są dziś nieznane. Mówi się, że przebywa uwięziony w koszarach. Wielu twierdzi, że został zabity. Ludzie utrzymują, że Okotie-Eboh również został zabity. Powtarzają, że nie był zastrzelony, ale "zakatrupiony na śmierć". Wersja ta może nie tyle odpowiada faktom, ile wyraża stosunek opinii do tego człowieka. Był to typ skrajnie antypatyczny, brutalny, żarłoczny. Monstrualnie olbrzymi, ociężały, zapasiony. Dorobi się na korupcji nieopisanej fortuny. Do ludzi odnosił się z najwyższą pogardą. Balewa to jego przeciwieństwo - sympatyczny, skromny, spokojny. Wysoki, szczupły, niemal ascetyczny, muzułmanin. Wojsko zajmuje port i otacza parlament. Patrole krążą ulicami uśpionego miasta. Jest #3#/00 w nocy Kaduna: na przedmieściu stolicy Nigerii Północnej stoi otoczona murem piętrowa rezydencja premiera tego regionu Ahmadu Bello. W Nigerii tytularnym szefem państwa jest dr Nnamdi Azikiwe. Szefem rządu - Tafawa Balewa. Ale rzeczywistym władcą kraju jest właśnie Ahmadu Bello. Przez całą sobotę Bello przyjmuje wizyty. Ostatnią, o godzinie #19#/00, składa mu grupa Fulani. W sześć godzin później, w zaroślach naprzeciw rezydencji, grupa oficerów ustawia dwa moździerze. Dowódcą tej grupy jest major Chukuma Nzeogwu. O trzeciej z moździerza pada strzał. Pocisk rozrywa się na dachu rezydencji. Wybuch pożar. Jest to sygnał do ataku. Oficerowie szturmują najpierw wartownię pałacu. Dwóch z nich ginie w walce z ochroną premiera, pozostali dostają się do płonącego pałacu. Na korytarzu spotykają Ahmadu Bello, który wybiegł z sypialni. Bello pada od kuli, która ugodziła go w skroń. Miasto śpi, ulice są puste. Jest #3#/00 w nocy Ibadan: pałac premiera Nigerii Zachodniej chiefa Samuela Akintoli stoi na jednym z łagodnych wzgórz, na którym rozłożone jest to parterowe miasto-wieś, "największa wieś świata", liczące półtora miliona mieszkańców. Od trzech miesięcy w tym regionie toczą się krwawe walki, w mieście obowiązuje godzina policyjna, pałac Akintoli jest silnie chroniony. Wojsko zaczyna szturm, wywiązuje się strzelanina, a potem walka wręcz. Grupa oficerów wdzierają się do pałacu. Akintola ginie na werandzie trafiony trzynastoma kulami. Jest #3/00 w nocy Benin: wojsko zajmuje radiostację, pocztę i inne ważne obiekty. Obsadza wyloty miasta. Grupa oficerów rozbraja policjantów chroniących rezydencję premiera regionu chiefa Denisa Osadebaya. Nie pada ani jeden strzał. Czasem przejedzie ulicą zielony jeep z kilkoma żołnierzami. Jest #3#/00 w nocy Enugu: rezydencja premiera Nigerii Wschodniej dra Michaela Okpary zostaje otoczona w ciszy i w sposób dyskretny. Wewnątrz, poza premierem, śpi jego gość, prezydent

Cypru arcybiskup Makarios. Dowódca zamachowców zapewnia obu dostojnikom swobodę poruszania się. W Enugu rewolucja jest uprzejma. Inne grupy wojska obsadzają radiostację, pocztę i zamykają wyloty miasta, które śpi. Zamach został przeprowadzony w pięciu miastach Nigerii jednocześnie i skutecznie. W ciągu kilku godzin mała armia stała się faktycznym władcą tego ogromnego kraju - mocarstwa Afryki. W ciągu jednej nocy śmierć, areszt albo ucieczka do buszu zakończyła setki karier politycznych. Sobota - rano, południe i wieczór Lagos budzi się, nic o niczym nie wiedząc. Zaczyna się normalny dzień miasta - sklepy są otwarte, ludzie idą do pracy. W samym śródmieściu wojska nie widać. Ale na poczcie mówią nam, że łączność ze światem jest przzerwana. Nie można nadawać depesz. Po mieście zaczynają krążyć pierwsze plotki. Najczęściej - że Balewa aresztowany. Że wojsko dokonało zamachu stanu. Jadę do koszar na Ikoyi (dzielnica Lagos). Z bramy wyjeżdżają jeepami patrole uzbrojone w automaty, w broń maszynową. Naprzeciw bramy zgromadził się już tłum ludzi, nieruchomy, milczący. Kobiety, które żyją z tego, że na ulicy gotują i sprzedają jakieś proste potrawy, rozkładają się tu dymiącym obozowiskiem. W drugim końcu miasta zbiera się parlament. Przed gmachem dużo wojska. Rewidują nas przy wejściu. Na trzystu dwunastu członków parlamentu przyszło zaledwie trzydziestu trzech. Pojawia się tylko jeden minister - R. Okafor. Proponuje, aby odłożyć obrady. Obecni posłowie domagają się wyjaśnień: Co się stało? Co się dzieje? Na to wchodzi na salę patrol - ośmiu żołnierzy, którzy rozpędzają zebranych. Radio nadaje muzykę. Żadnych komunikatów. Pojechałem do korespondenta AFP Dawida Laurella. Obaj jesteśmy bliscy płaczu. Są to dla dziennikarzy chwile pechowe: mają w ręku wiadomości światowej wagi, a nie mogą ich przekazać. Razem wybraliśmy się na lotnisko. Pilnuje go oddział marynarki wojennej. Jest pusto, nie ma pasażerów, nie ma samolotów. W drodze powrotnej zatrzymał nas wojskowy posterunek: nie chce nas wpuścić do miasta. Zaczyna się długa dyskusja. Żołnierze są uprzejmi, grzeczni, spokojni, przychodzi oficer i pozwala nam nam jechać. Wracamy przez dzielnice tonące w głębokich ciemnościach: nadal nie ma światła. Tylko handlarki palą przy swoich kramikach świeczki albo lampki oliwne, przez co z daleka ulice wyglądają jak cmentarne aleje w dniu Święta Zmarłych. Nawet w nocy, jest parno i tak duszno, że nie ma czym oddychać. Niedziela - nowa władza Nad miastem krążą helikoptery, ale poza tym dzień jest bardzo spokojny. Plan dokonania takiego przewrotu (tych zamachów wojskowych jest coraz więcej) jest zwykle dziełem małej, żyjącej w niedostępnych cywilom koszarach, grupy oficerów. Działają oni w ścisłej tajemnicy. Społeczeństwo dowie się o wszystkim po fakcie, najczęściej zresztą będą to tylko plotki i domysły. Tym razem sytuacja wyjaśnia się szybko. Tuż przed północą przemawia przez radio nowy szef państwa: generał major John Thomas Aguiyi-Ironsi, czterdziestojednoletni dowódca armii. Mówi, że wojsko "zgodziło się objąć władzę", że konstytucja i rząd zostają zawieszone. Władzą będzie teraz Najwyższa Rada Wojskowa. W kraju będą przywrócone prawo i porządek. Poniedziałek - przyczyny zamachu Na ulicach ogromna radość. Moi nigeryjscy znajomi, spotykając mnie, klepią po ramieniu, śmieją się, są w świetnych nastrojach. Idę przez rynek - tłumy tańczą, jakiś chłopak wystukuje rytm na blaszanej beczce. Przed miesiącem byłem świadkiem podobnego coup d'etat w Dahomeju - tam również ulica wiwatowała na cześć armii. Ostatnia seria przewrotów wojskowych jest w Afryce bardzo popularna, wywołuje entuzjazm. Do Lagos napływają pierwsze rezolucje poparcia i lojalności dla nowej władzy: "Dzień 15 stycznia, mówi rezolucja jednej z tutejszych partii - UPGA (United Progressive Grand Alliance), przejdzie do historii naszej wielkiej

republiki jako dzień, w którym po raz pierwszy zdobyliśmy prawdziwą wolność, choć już od pięciu lat Nigeria jest niepodległa. Oblędny pęd naszych polityków do bogacenia się hańbił imię Nigerii za granicą... W naszym kraju wyrosła kasta rządząca, która opierała swoją władzę na sianiu wzajemnej nienawiści, pchaniu brata przeciw bratu, na wykańczaniu wszystkich, którzy byli innego zdania niż oni... Witamy nową władzę tak, jakby była zesłana przez Boga, aby uwolnić naród od czarnych imperialistów, od tyranii i nietolerancji, od oszustw i zgubnych ambicji tych, którzy uważali, że reprezentują Nigerię... Nasza Ojczyzna nie może być miejscem dla wilków politycznych, którzy grabili kraj". "Powszechna anarchia i rozczarowanie mas - stwierdza rezolucja organizacji młodzieżowej Zikist Movement - uczyniła ten przewrót koniecznym. W latach niepodległości podstawowe prawa człowieka były przez rząd brutalnie gwałcone. Ludziom odmawiano prawa do życia w wolności i we wzajemnym poszanowaniu. Nie wolno im było mieć własnych opinii. Zorganizowany gangsteryzm polityczny i polityka fałszerstw zamieniły wszelkie wybory w farsę. Zamiast służyć narodowi, politycy zajmowali się rozkradaniem pieniędzy. Rosło bezrobocie i wyzysk, a mała klika stojących u władzy feudalnych faszystów nie znała granic w znęcaniu się nad ludnością". Tak w swojej krótkiej, powojennej historii w wiele krajów Afryki przeżywa już drugi etap. Etap pierwszy to była szybka dekolonizacja, zdobywanie niepodległości. Panował powszechny optymizm, entuzjazm, euforia. Ludzie byli przekonani, że wolność oznacza lepszy dach nad głową, większą miskę ryżu, pierwsze w życiu buty. Że nastąpi cud - rozmnożenie chleba, ryb i wina. Nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie - gwałtownie przybyło ludności, dla której zabrakło jedzenia, szkół i pracy. Szybko miejsce optymizmu zajęły rozczarowanie i pesymizm. Cała gorycz, wściekłość i nienawiść zwróciły się przeciw własnym elitom, które zajmowały się szybkim i zachłannym napychaniem kiesy. W kraju, w którym nie ma wielkiego prywatnego przemysłu, plantacje należą do cudzoziemców, a banki są własnością obcego kapitału, jedyną drogą zrobienia fortuny jest kariera polityczna. W sumie - bieda i rozczarowanie tych na dole, chciwość i żarłoczność tych na górze tworzą zatrutą, podminowaną atmosferę, którą wyczuwa wojsko; podając się za obrońcę skrzywdzonych i poniżonych, wychodzi z koszar i sięga po władzę. Wtorek - tam-tamy wzywają na wojnę Korespondencja z Nigerii Wschodniej zamieszczona dziś w wychodzącym w Lagos dzienniku "The Daily Telegraph": "Enugu. - Kiedy wiadomość o aresztowaniu premiera Nigerii Wschodniej dra Michaela Okpary dotarła do jego rodzinnego okręgu Bende, we wszystkich okolicznych wioskach - w Ohuku, Ibeke, Igberere, Akyi, Ohafia, Abiriba, Abam i Nkporo - zaczęły bić wojenne tam-tamy, wzywając bojowników plemienia na wojnę. Wojownikom powiedziano, że jacyś ludzie uprowadzili ich rodaka dra Okparę. Z początku wojownicy sądzili, że to dzieło agentów rządzącej koalicji i postanowili rozpocząć wojnę. Wszyscy właściciele oddali swoje wozy do dyspozycji wojowników. W ciągu kilku godzin stolica Nigerii Wschodniej - Enugu - została zajęta przez armię wojowników plemienia uzbrojonych po zęby w miecze, włócznie, łuki i tarcze. Wojownicy śpiewali pieśni wojenne. W całym mieście dudniły tam-tamy. W tym stanie rzeczy wyjaśniono dowódcom kolumn wojowników, że to armia przejęła władzę, a dr Okpara jest żywy, tyle że przebywa w areszcie domowym. Kiedy wojownicy zrozumieli to, co im powiedziano, wyrazili radość i zaczęli wracać do swoich wiosek". Czwartek, 20 stycznia - podróż do Ibadanu Pojechałem do Nigerii Zachodniej dowiedzieć się, co ludzie mówią o przewrocie. Na rogatkach Lagos żołnierze i policjanci kontrolują samochody i bagaże. Z Lagos do Ibadanu jest 150 kilometrów zielonej drogi, która biegnie między łagodnymi wzgórzami. W

ostatnich miesiącach, w czasie wojny domowej, zginęło na tej drodze wielu ludzi. Nigdy nie wiadomo, kogo spotka się za następnym zakrętem. W rowie leżą popalone samochody, najczęściej są to duże limuzyny z rządowymi numerami. Zatrzymałem się przy jednej - ciągle leżą w niej zwęglone kości. Wszystkie miasteczka przy drodze noszą ślady walk. Szkielety spalonych domów albo domy zrównane z ziemią, puste jamy wypatroszonych sklepów, potłuczone meble, ciężarówki wywrócone kołami do góry, zgłiszcza. Pusto, ludzie uciekli, rozproszyli się. Dotarłem do rezydencji Akintoli. Stoi ona na przedmieściu Ibadanu, w willowej, zalesionej dzielnicy ministerialnej, teraz zupełnie wymarłej. Imponujące, luksusowe i kiczowate wille ministrów zdemolowane i puste. Nawet służba gdzieś się wyniosła. Część ministrów zginęła, inni uciekli do Dahomeju. Przed rezydencją Akintoli stoi kilku policjantów. Jeden z nich bierze karabin i idzie pokazać mi rezydencję. Jest to duża, nowa willa. Przy samym wejściu na marmurowej posadzce werandy zakrzepła kałuża krwi. Obok leży jeszcze pokrwawiona galabija. Sterta rozspanych, podartych listów oraz dwa potrzaskane plastikowe automaty-zabawki, może wnuków Akintoli. Ściany posiekane kulami, cały dziedziniec pełen szkła, siatki w oknach powycinane przez żołnierzy w czasie zdobywania rezydencji. Akintola miał pięćdziesiąt pięć lat, był tęgim mężczyzną szerokiej, barokowo wytatuowanej twarzy. W ostatnich miesiącach nie wychodził już ze swojej rezydencji strzeżonej przez policję - bał się. Pięć lat temu był średnio zamożnym adwokatem. Po roku premierowania miał już miliony. Po prostu przelewał pieniądze z konta rządowego na prywatne. Gdzie się ruszyć, wszędzie stoją jego domy w Lagos, w Ibadanie, w Abeokucie. Miał dwanaście limuzyn, zresztą beczynnych, tyle że lubił na nie patrzeć, siedząc na balkonie. Jego ministrowie też dorobili się w krótkim czasie. Obracamy się tu w świecie bajecznych fortun zrobionych na polityce, ściślej - na gangsteryzmie politycznym, na rozbijaniu partii, fałszowaniu wyborów, zabijaniu przeciwników, strzelaniu do głodnych tłumów. Trzeba to wszystko zobaczyć na tle przynębiającej biedy, na tle kraju, którym Akintola rządził - spalonego, opustoszałego, zalanego krwią. Po południu wróciłem do Lagos. Sobota 22 stycznia - pogrzeb Balewy Komunikat Federalnego Rządu Wojskowego o śmierci byłego premiera Nigerii - sir Abubakara Tafawa Balewy: "W piątek rano wieśniacy z okolic Otta w pobliżu Lagos donieśli, że znaleźli w buszu zwłoki, które przypominały Tafawę Balewę. Znajdowały się one w pozycji siedzącej, oparte plecami o drzewo. Ciało było okryte obszerną, białą galabiją, a u stóp leżała okrągła czapka. Jeszcze tego dnia przewieziono ciało specjalnym samolotem do rodzinnego miasta Bauchi (w Nigerii Środkowej). Oprócz pilota i radiooficera w samolocie znajdowali się tylko żołnierze. Ciało Tafawa Balewy zostało pochowane na cmentarzu muzułmańskim w obecności dużej grupy ludzi". Dziennik "New Nigerian" pisze, że ludzie z Nigerii Północnej nie wierzą w śmierć swojego przywódcy Ahmadu Bello. Są pewni, że uciekł do Mekki, pod płaszczy Allaha. Dzisiaj mój przyjaciel, student nigeryjski Nizi Onyebuchi, powiedział mi: - Nasz nowy przywódca generał Ironsi to człowiek nadnaturalny. Ktoś strzelał do niego i kula zmieniła lot, nawet nie dotykając generała. Mój zaulek '67 Mieszkanie, które wynajmuję w Lagos jest ciągle okradane. I to nie tylko wówczas, gdy wyjadę gdzieś na dłużej - do Czadu, Gabonu czy Gwinei - ale nawet jeśli będzie to krótka podróż do pobliskiego miasta - Abeokuty lub Oshogbo - wiem, że kiedy wrócę, okno będzie wysadzone z futryny, meble powywracane, szafy ogołocone. Mieszkanie znajduje się w centrum miasta, na wyspie Lagos. Wyspa ta była kiedyś punktem wypadowym handlarzy niewolników i ta haniebna, mroczna proveniencja miasta zostawiła w jego atmosferze jakiś niespokojny,

gwałtowny element. Coraz to daje on znać o sobie. Oto jadę taksówką i rozmawiam z kierowcą, który nagle milknie i nerwowo rozgląda się po ulicy. - Co się stało? - pytam z zaciekawionym głosem - Very bad place! - odpowiada zniżonym głosem. Jedziemy dalej, on odpręża się i znowu spokojnie rozmawia. Ale oto brzegiem ulicy (w mieście nie ma chodników) idzie grupa ludzi, a na ich widok kierowca ponownie milknie, rozgląda się, przyspiesza. - Co się stało? - pytam. - Very bad people! - odpowiada i dopiero po przejechaniu kilometra wraca do przerwanej rozmowy. W głowie takiego kierowcy musi być odcisnięty plan miasta podobny do tych, jakie wiszą na ścianach komisariatów policji. Coraz to zapalają się na nim, błyskają i pulsują różnokolorowe światła ostrzegawcze, sygnalizujące miejsca zagrożeń, napadów i zbrodni. Tych znaków ostrzegawczych jest szczególnie dużo na planie śródmieścia, a więc właśnie tam gdzie mieszkam. Co prawda mógłbym sobie wybrać Ikoyi - bezpieczną i luksusową dzielnicę nigeryjskich bogaczy, Europejczyków i dyplomatów, ale jest to miejsce zbyt sztuczne, ekskluzywne, zamknięte i pilnie strzeżone. A ja chcę żyć w mieście afrykańskim, przy ulicy afrykańskiej, w afrykańskim domu. Jak inaczej mogę poznać to miasto? Ten kontynent? Ale zamieszkać Białemu w dzielnicy afrykańskiej nie jest wcale łatwo. Najpierw burzą się i protestują Europejczycy. Ktoś, kto ma takie jak ja zamiary, musi być pomyślnym, kimś niespełna rozumu. Próbuje więc perswadować, ostrzegając: zginiesz na pewno, a tylko forma tej śmierci może być różna - albo cię zabiją, albo sam umrzesz, tak straszne są tam warunki życia. Ale i strona afrykańska patrzy na mój pomysł bez entuzjazmu. Po pierwsze są trudności techniczne - gdzie mieszkać? Taka dzielnica to bieda i zatłoczenie, liche domki, lepianki i slumsy, duszno i brak światła, kurz, smród i robactwo. Gdzie się podziać? Gdzie znaleźć dla siebie osobny kąt? Jak się poruszać? Chociażby - sprawa wody. Wodę trzeba przynosić z drugiego końca ulicy, bo tam stoi pompa. Zajmują się tym dzieci. Rzadko - kobiety. Mężczyźni - nigdy. A tu biały pan stoi z dziećmi w kolejce do studni. Ha! Ha! Ha! To niemożliwe! Albo, powiedzmy, że masz swój pokój, w którym chcesz się zamknąć, żeby pracować. Zamknąć się? Coś takiego jest nie do pomyślenia. My żyjemy wszyscy razem w rodzinie, w gromadzie, dzieci, dorośli, starzy, nigdy się nie rozstajemy, nawet po śmierci nasze duchy pozostają wśród żywych, z tymi, którzy jeszcze są na świecie. Zamknąć się samemu w pokoju, tak żeby nikt nie mógł wejść? Ha! Ha! Ha! To niemożliwe! - A poza tym - tłumaczą mi łagodnie miejscowi - w naszej dzielnicy jest niebezpiecznie. Kręci się tu wielu złych ludzi. Najgroźniejsi są boma boys - gangi rozpasanych opryszków, które napadają, biją i rabują, straszna, pustosząca wszystko szarańcza. Szybko zwęszają, że zamieszkał tu jakiś samotny Europejczyk. A dla nich Europejczyk to bogacz. Kto cię wówczas obroni? A jednak uparłem się. Nie słuchałem przestrogi, byłem zdecydowany. Trochę może dlatego, że czasem zżymałem się na ludzi, którzy przyjeżdżają tu, mieszkają w "małej Europie" czy "małej Ameryce" (tj. w luksusowych hotelach) i wyjeżdżają, chwając się potem, że byli w Afryce, której w rzeczywistości nie widzieli na oczy. I oto nadarzyła się okazja. Poznałem Włocha Emilio Madere, który w zaułku niedaleko Massey Street miał nieczynny już składzik narzędzi rolnych (Biali powoli likwidowali swoje interesy), a przy nim - a raczej nad nim, dwupokojową służbówkę, pustą, bo nikt nie chciał w niej mieszkać. Był zadowolony, że chcę tę służbówkę wynająć. Któregoś wieczoru przywiózł mnie tu samochodem i pomógł wnieść rzeczy (wchodziło się na piętro po metalowych schodach, przymocowanych do ścian na zewnątrz budynku). Wewnątrz panował przyjemny chłód, bo Emilio jeszcze rano włączył klimatyzator. Była też czynna lodówka. Włoch życzył mi dobrej nocy i zniknął pośpiesznie, bo rano

leciał do Rzymu - po ostatnim przewrocie wojskowym bał się nowych zamieszek i chciał wywieźć część swoich pieniędzy. Zacząłem się rozpakowywać. Po godzinie zgasło światło. Od razu mieszkanie pogrążyło się w ciemnościach, a nie miałem żadnej latarki. Najgorsze jednak, że stanął klimatyzator i momentalnie zrobiło się gorąco i duszno. Otworzyłem okno. Do pokoju zaczął wpłwać pomieszany zapach zgniłych owoców, spalonej oliwy, mydlin i moczu. Choć morze musiało być gdzieś niedaleko, w tym zamkniętym i ciasnym zaułku nie czuło się żadnego przewiewu. Był marzec, miesiąc przygniatających upałów, noc wydawała się bardziej duszna i rozgrzana niż dzień. Wyrząłem przez okno. Na dnie zaułka, na plecionych matach albo wprost na ziemi, leżeli półnagzy ludzie. Kobiety i dzieci spały, kilku mężczyzn, opartych o ściany lepianek, wpatrywało się we mnie. Nie wiedziałem, co znaczą ich spojrzenia. Chcą mnie poznać? Pomóc mi? Zabić mnie? Pomyślałem, że w upale, jaki panuje w tym mieszkaniu, nie wytrzymam do rana i zszedłem na dół. Dwóch mężczyzn uniosło się, inni przyglądali się, nieporuszeni. Wszyscy byliśmy oblani potem, wszyscy śmiertelnie znużeni, samo istnienie w tym klimacie było już wielkim wysiłkiem. Spytałem ich, czy to jest tak często z tym brakiem światła. Nie wiedzieli. Spytałem, czy można to naprawić. Porozmawiali ze sobą w niezrozumiałym dla mnie języku. Jeden z nich gdzieś poszedł. Mijały minuty i kwadranse. W końcu wrócił, przyprowadzając dwóch młodych ludzi. Ci powiedzieli, że to światło mogą naprawić za dziesięć funtów. Zgodziłem się. Wkrótce w mieszkaniu było jasno, a klimatyzator znowu pracował. Po kilku dniach - znowu awaria, znowu dziesięć funtów, a potem piętnaście i dwadzieścia. A kradzieże? Z początku, kiedy wracałem do splądrowanego mieszkania, ogarniała mnie wściekłość. Być okradzionym, to przede wszystkim być upokorzonym, oszukanym. Ale tutaj przekonałem się, że odebrać kradzież tylko jako upokorzenie i oszustwo, to jednak pewien psychiczny luksus. Mieszkając wśród biedoty mojej dzielnicy, zrozumiałem, że kradzież, nawet drobna kradzież, może być wyrokiem śmierci. Zobaczyłem kradzież jako zabójstwo, jako morderstwo. W zaułku miała swój kąt samotna kobieta, której jedyną własnością był garnek. Żyła z tego, że u handlarek jarzyn brała na kredyt fasolę, gotowała ją, przyprawiała sosem i sprzedawała ludziom. Dla wielu z nich miska fasoli była jedynym posiłkiem dnia. I oto pewnej nocy obudził nas przejmujący krzyk. Cały zaułek poruszył się. Kobieta biegła w koło rozpaczająca, oszalała: złodzieje ukradli jej garnek, straciła jedyną rzecz, z której żyła. Wielu ludzi w zaułku ma tylko jakąś jedną rzecz. Ktoś ma koszulę, ktoś pangę, ktoś - nie wiadomo skąd? - kilof. Kto ma koszulę, może zatrudnić się jako stróż nocny (nikt nie zechce półnagiego stróża), kto ma pangę, może być wynajęty do ścinania zielska, ten z kilofem może kopać rowy. Inni mają na sprzedaż tylko swoje mięśnie. Ci liczą na to, że ktoś będzie ich potrzebować jako tragarzy lub posłańców. Ale we wszystkich tych wypadkach szanse na zatrudnienie są małe, bo konkurencja jest olbrzymia. Często zresztą są to tylko zajęcia dorywcze - na jeden dzień, na kilka godzin. Toteż mój zaułek, sąsiednie ulice i cała dzielnica są pełne bezczynnych ludzi. Budzą się rano i szukają wody, żeby obmyć twarz. Potem kto ma pieniądze, kupuje sobie śniadanie: szklankę herbaty i kawałek suchej bułki. Ale wielu ludzi nie je nic. Przed południem upał jest już trudny do zniesienia - trzeba poszukać miejsca, w którym jest cień. W miarę upływu godzin cień będzie się przesuwać razem ze słońcem, a razem z tym cieniem - człowiek, dla którego to jest jedynym zajęciem dnia: pełznąć za cieniem, chronić się w jego mrocznym, chłodnym wnętrzu. Głód. Bardzo chce się jeść, ale niczego nie ma. W dodatku z pobliskiego baru dolatuje zapach pieczonego mięsa. Dlaczego ci ludzie nie rzucają się na bar, przecież są

młodzi i silni? A jednak któryś z nich nie wytrzymał. Bo nagle rozlega się krzyk. To woła uliczna handlarka, której chłopak zwędził ze stolika kiść bananów. Ta okradziona i jej sąsiadki puściły się za nim i w końcu go złapały. Nie wiadomo, skąd znalazła się policja. Policjanci noszą tu wielkie, drewniane pały, którymi biją na odlew, okrutnie. Chłopak leży teraz na ulicy, skulony, zwinięty, zasłania się przed ciosami pałek. Od razu zrobiło się zbiegowisko, o które tu łatwo, bo ta masa beczynnych ludzi czyha na każde zdarzenie, zamieszanie, sensację, byle się rozerwać, coś zobaczyć, czymś zająć. Teraz cisną się bliżej i bliżej, tak jakby łoskot pałek i jęki bitego sprawiały im prawdziwą rozkosz. Krzykami i wrzaskiem zachęcają i judzą policjantów. Tu, jeżeli złapią złodzieja, chcą go od razu rozszarpać, zlinczować, posiekać. Chłopak postępuje, wypuścił już z ręki banany. Ci, którzy stoją najbliżej, rzucają się na nie, rozszarpują je między sobą. Potem wszystko wraca do normy. Handlarka zali się jeszcze i pomstuje, policjanci odchodzą, pobity, skatowany chłopak wlecze się do jakiejś kryjówki - obolały i głodny. Ludzie rozchodzą się, wszyscy wracają na swoje miejsca pod mury, pod ściany, pod daszki - do cienia. Zostaną tu, aż nadejdzie wieczór. Po upalnym i głodnym dniu jest się osłabionym i otepiałym. Ale pewne ogłuszenie, wewnętrzne odrętwienie jest nawet zbawienne - inaczej by człowiek nie przeżył: biologiczna, zwierzęca część jego natury zagryzłaby wszystko, co jeszcze w nim ludzkie. Wieczorem zaułek trochę się ożywia. Zbierają się jego mieszkańcy. Jedni przesiedzieli tu cały czas nękani atakami malarii. Inni - właśnie wracają z miasta. Niektórzy mieli szczęśliwy dzień: gdzieś pracowali albo spotkali krewniaka, który podzielił się z nimi swoim groszem. Ci będą jeść kolację - miskę kassawy z ostrym sosem z papryki, czasem do tego nawet gotowane jajko albo kawałek baraniny. Część dostanie się z tego dzieciom, które wpatrują się chciwie, jak mężczyźni połykają kęs po kęsie. Każda ilość jedzenia znika tu natychmiast i bez śladu. Zjada się wszystko, co jest, do ostatniego okruszka, nikt nie ma żadnych zapasów, nie miałby ich nawet gdzie przechować, w czym zamknąć. Żyje się doraźnie, bieżącą chwilą, każdy dzień jest przeszkodą trudną do pokonania, poza bieżący dzień wyobraźnia już nie sięga, nie snuje planów, nie marzy. Kto ma szylinga - idzie do baru. Barów jest pełno, w zaułkach, na skrzyżowaniach, na placach. Czasem są to ubogie pomieszczenia, mają ściany sklecone z falistej blachy, a zamiast drzwi - perkalowe zasłonki. A jednak mamy poczuć się, jakbyśmy weszli do lunaparku, znaleźli się na kolorowym festynie. Ze starego radia dobiega jakaś muzyka, pod sufitem świeci czerwona żarówka. Na ścianach wiszą wycięte z czasopism błyszczące fotosy filmowych aktorek. Za ladą stoi zwykle potężna, otyła madame - właścicielka. Sprzedaje jedyną rzecz, jaka jest w takim barze - pędzone przez siebie domowym sposobem piwo. Piwo może być rozmaite - bananowe albo kukurydziane, ananasowe, palmowe. Na ogół każda z tych kobiet specjalizuje się w warzeniu jednego gatunku piwa. Szklanka takiego trunku ma trzy zalety: a - zawiera alkohol, b - jako płyn zaspokaja pragnienie i c - ponieważ na dnie szklanki roztwór ten jest gęsty i zawiesisty, stanowi on dla głodnego namiastkę pożywienia. Toteż jeżeli ktoś w ciągu dnia zdobył tylko szylinga - najpewniej wyda go właśnie w barze. W moim zaułku rzadko zdomowi się ktoś na dłużej. Ludzie, którzy się tu przewijają, to wieczni koczownicy miasta, wędrowcy błądzący w chaotycznych i zakurzonych labiryntach ulic. Wynoszą się szybko i znikają bez śladu, ponieważ nic właściwie nie mieli. Idą dalej albo kuszeni mirażem jakiejkolwiek pracy, albo wystraszeni epidemią, która nagle wybuchła w zaułku, albo wypędzeni przez właścicieli lepierek i werand, którym nie mają czym płacić za zajmowane miejsce. Wszystko w

ich życiu jest tymczasowe, płynne i kruche. Jest i nie jest. Nawet jeśli jest - to na jak długo? Ta wieczna niepewność sprawia, że sąsiedzi z mojego zaułka żyją w ciągłym zagrożeniu, w nie słabnącym strachu. Rzucili wiejską biedę i przywędrowali do miasta w nadziei, że będzie im lepiej. Kto znalazł tu swojego kuzyna, mógł liczyć, że ten go wesprze, że umożliwi mu jaki taki start. Ale wielu z tych wczoraj szych wieśniaków nie znalazło nikogo z bliskich, żadnego współplemieńca. Często nawet nie rozumieli języka, który słyszeli na ulicy, nie wiedzieli, jak się rozpytać o cokolwiek. Żywiół miasta wchłonął ich, stał się ich jedynym światem, już nazajutrz nie umieli się z niego wydostać. Zaczęli budować sobie jakiś dach nad głową, jakiś kąt, jakieś miejsce własne. Ponieważ ci przybysze nie mieli pieniędzy, bo właśnie udali się do miasta, aby je zarobić (tradycyjna wieś afrykańska nie знаła pojęcia pieniądza), mogli tylko szukać dla siebie miejsca w dzielnicach slumsów. To niezwykle widok - budowa takiej dzielnicy. Najczęściej władze miasta wyznaczają na ten cel tereny najgorsze - bagna, grzęzawiska albo nagie pustynne piaski. Na takich gruntach ktoś stawia pierwszy szałas. Obok - ktoś drugi. Potem - następny. Tak spontanicznie powstaje ulica. Naprzeciw niej posuwa się inna ulica. Kiedy spotkają się - tworzą skrzyżowanie. Teraz te ulice zaczną rozchodzić się, kluczyć, rozgałęziać. Tak powstanie dzielnica. Na razie ludzie zdobywają materiał. Nie sposób dojść - skąd? Wykopują spod ziemi? Ściągają z obłoków? W każdym razie to pewne, że ta rzesza bez grosza niczego nie kupuje. Na głowach, na plecach, pod pachą znoszą kawałki blachy, desek, dykty, plastiku, tektury, karoserii, skrzynek i to wszystko składają, montują, zbijają i klepią w coś pośredniego między budą i szałasem, którego ściany układają się w spontaniczny arcybarwny, slumsowy kolaż. Żeby byto na czym spać, bo często podłoga to grząskie bagno albo ostre kamienie, wykładają owo pomieszczenie trawą słoniową, liśćmi bananowymi, rafią czy słomą ryżową. Te dzielnice, te monstrualne afrykańskie papier-mache są zrobione naprawdę z byle czego i to one, a nie Manhattan czy paryska Defence są najwyższym wytworem ludzkiej wyobraźni, pomysłowości i fantazji. Całe miasta postawione bez jednej cegły, metalowego pręta, metra kwadratowego szyby! Jak wiele wytworów żywiołowego happeningu, również dzielnice slumsów miewają krótki żywot. Wystarczy, że za bardzo rozprzestrzeniania się albo że miasto postanowi tam coś zbudować. Byłem raz świadkiem takiej zagłady, niedaleko mojego zaułka. Slumsy rozrosły się na brzegu wyspy. Rząd wojskowy uznał to za niedopuszczalne. Rankiem nadjechały ciężarówki z policją. Od razu zebrał się tłum. Teraz policjanci ruszyli na kolonię slumsów, przepędzając z nich mieszkańców. Podniósł się krzyk i zrobił się tumult. Na to nadjechały buldożery, wielkie, jaskrawożółte caterpillary. Za chwilę buchnęły w górę tumany pyłu i kurzu: maszyny szły naprzód, demolując ulicę po ulicy i zostawiając zasobą stratowaną, pustą ziemię. Tego dnia na jakiś czas zaułek zapełnił się uchodźcami ze zburzonego osiedla. Było tłoczno i gwarnie i jeszcze bardziej duszno. Któregoś dnia miałem gościa. Był to mężczyzna w średnim wieku w białym, muzułmańskim stroju. Na imię miał Sulejman i pochodził z północy Nigerii. Kiedyś pracował u Włocha jako stróż nocny. Znał zaułek i całą najbliższą okolicę. Zachowywał się nieśmiało, nie chciał usiąść w mojej obecności. Spytał, czy nie potrzebuje stróża nocnego, bo właśnie stracił pracę. Powiedziałem, że nie, ale zrobił na mnie dobre wrażenie i dałem mu pięć funtów. Po kilku dniach przyszedł znowu. Tym razem usiadł. Zrobiłem mu herbaty. Zaczęliśmy rozmawiać. Zwierzyłem mu się, że ciągle mnie okradają. Sulejman uznał to za rzecz zupełnie normalną. Kradzież jest formą - przykrą, to prawda - niwelowania nierówności. To dobrze, że mnie

okradają, stwierdził, nawet przyjazny gest z ich strony. W ten sposób dają mi znać, że jestem im użyteczny i że w związku z tym mnie akceptują. W gruncie rzeczy mogę się czuć bezpieczny. Czy coś mi tu kiedyś groziło? Przyznałem, że nie. A no właśnie! Będę tu bezpieczny tak długo, dopóki pozwolę się bezkarnie okradać. W momencie kiedy zawiadomię policję i zaczną ich ścigać - lepiej, abym się stąd wyniósł. Znowu przyszedł po tygodniu. Dostał herbaty, a potem powiedział tajemniczym głosem, że weźmie mnie na Jankara Market i tam zrobimy odpowiedni zakup. Jankam Market to rynek, na którym czarownicy, zielarze, wróżbiarze i zaklinacze sprzedają wszelkiego rodzaju amulety, talizmany, różdżki i cudowne lekarstwa. Sulejman chodził od stolika do stolika, patrzył, pytał. Wreszcie, od jednej kobiety kazał mi kupić pęk piór białego koguta. Były drogie, ale nie stawiałem oporu. Wróciliśmy do zaułka. Sulejman ułożył pióra, owinął je nitką i przywiązał do górnej framugi drzwi. Od tej chwili nigdy nic nie zginęło mi w mieszkaniu. Salim Nagle zobaczyłem w ciemnościach dwa rozjarzone ślepie. Były daleko i poruszały się gwałtownie, jakby należały do jakiegoś zwierzęcia miotającego się niespokojnie w klatce nocy. Siedziałem na kamieniu, na skraju oazy Ouadane, na Saharze, w Mauretanii, na północny wschód od stolicy tego kraju - Nouakchott. Od tygodnia próbowałem się stąd wydostać - na próżno. Do Ouadane trudno bowiem dojechać, ale jeszcze trudniej - wyjechać. Nie prowadzi tam wytyczona, bita droga, nie ma też stałego transportu. Co kilka dni, albo tygodni, przejeżdża tędy ciężarówka i jeżeli kierowca zabierze nas ze sobą - pojedziemy, jeżeli nie - będziemy tu tkwić nadal, oczekując następnej okazji, która nie wiadomo kiedy znowu się nadarzy. Maurowie, którzy siedzieli obok mnie, poruszyli się. Zaczynał się chłód nocy, który tu przychodzi nagle i po piekle słonecznego dnia przenika człowieka aż do bólu. Nie ma takiego kożucha czy takiej koldry, która mogłaby nas przed tym zimnem ochronić. Oni mieli natomiast tylko stare wystrzępione derki, w których tkwili szczelnie zakutani, nieruchomi jak posągi. W pobliżu wystawali z ziemi czarna rura zakończona okrytym rdzą i solą mechanizmem pompy ssąco-tłoczącej. Była to jedyna w tej okolicy stacja paliwowa i jeżeli jechał tędy samochód, musiał się w tym miejscu zatrzymać. W oazie nie ma żadnej innej atrakcji. Zwykle dni płyną tu jednostajne i niezmiennie, podobne do monotonii pustynnego klimatu: zawsze świeci to samo słońce, rozpalone i samotne na wymarłym, bezchmurnym niebie. Na widok odległych jeszcze świateł Maurowie zaczęli wymieniać między sobą jakieś uwagi. Nie rozumiałem ani słowa z ich języka. Być może mówili do siebie: no, nareszcie! Nareszcie jedzie! Doczekaliśmy się! Byłaby to zapłata za długie dni oczekiwania, cierpliwego wpatrywania się w zastygły, nieporuszony horyzont, na którym od dawna nie pojawiał się żaden ruchomy kształt, nic żywego, co mogłoby zwrócić uwagę i wyrwać człowieka z drętwoty beznadziejnego oczekiwania. Zresztą przejazd ciężarówki - samochody osobowe są zbyt słabe, aby tędy jeździć - też niczego w życiu tych ludzi nie zmieniał. Wóz stał zwykle chwilę i zaraz odjeżdżał. A jednak nawet ten krótki postój był dla nich niezmiernie potrzebny i ważny: urozmaicał życie, dawał temat do późniejszych rozmów, a przede wszystkim był materialnym dowodem istnienia jakiegoś innego świata i krzepiącym potwierdzeniem, że ów świat, skoro wysła do nich swojego mechanicznego zwiastuna, musi wiedzieć, że oni tu żyją. Może też prowadzili między sobą rutynowy spór na temat: dojedzie - nie dojedzie? Podróżowanie w tych zakątkach Sahary jest bowiem ryzykowną przygodą, nieustanną loterią, ciągłą niewiadomą. Po tych bezdrożach pełnych wyrw, dziur, zapadlisk, wystających kamieni i skał, piaszczystych wydm i barchanów, usypisk i łańcuchów śliskiego żwiru samochód posuwa

się w ślimaczym tempie kilku kilometrów na godzinę. W takiej ciężarówce każde koło ma własny napęd i każde, metr po metrze, to obracając się, to zatrzymując w piętrzących się nierównościach i załamaniach, szuka sobie niejako "na własną rękę" jakiegoś zaczepienia. Dopiero suma tych uporczywych wysiłków i zmagających, którym cały czas towarzyszy wycie utrudzonego i zgrzanego silnika, a także karkołomny chybot rozkołysanej platformy, pozwala poruszać się ciężarówce do przodu. Ale Maurowie wiedzieli także, że czasem ciężarówka utknie beznadziejnie, już będąc o krok od oazy, na samym jej progu. Dzieje się tak, kiedy burza naniesie na szlak góry piasku, które uniemożliwiają dalszą jazdę. Wówczas albo ludziom uda się odkopać drogę, albo kierowca poszuka objazdu, albo po prostu zawróci do bazy. Trzeba będzie czekać, aż nowy sztorm przesunie wydmy dalej i oczyści trasę. Tym razem jednak elektryczne ślepie zbliżały się coraz bardziej. W pewnym momencie ich blask zaczął odsłaniać ukryte w ciemnościach korony palm daktylowych, odrapane ściany lepierek i drzemące przy drodze kozy i owce, aż wreszcie ciągnący za sobą tumany pyłu ogromny berlier zatrzymał się przed nami w huku i łoskocie żelastwa. Berliery to francuskie ciężarówki przystosowane do jazdy po pustynnych bezdrożach. Mają one duże koła o szerokich oponach, a z maski wystaje do góry zamocowany wysoko filtr powietrza. Wielkie rozmiary i pękaty kształt filtru sprawiają, że z daleka ciężarówki te przypominają wyglądem przód starej, parowej lokomotywy. Z szoferki zszedł po drabinie kierowca - ciemny, bosonogi Maur w długiej do kostek galabii koloru indygo. Był, jak większość jego pobratymców - wysoki i potężnej budowy. Ludzie i zwierzęta o dużej masie ciała lepiej znoszą tropikalne upały, stąd mieszkańcy Sahary są z reguły ludźmi okazałego wyglądu. Działa tu także prawo doboru naturalnego - w skrajnie trudnych warunkach, jakie istnieją na pustyni, wieku dojrzałego dożywają tylko najmocniejsi. Kierowcę od razu otoczyli Maurowie z oazy. Zaczął się harmider głośnych powitań, pozdrowień, pytań i życzeń. Trwało to i trwało. Wszyscy przekrzykiwali się i wymachiwali rękoma, jakby uczestniczyli w targu na hałaśliwym rynku. W tej rozmowie z kierowcą po jakimś czasie zaczęli pokazywać na mnie. Wyglądałem żałośnie. Byłem brudny, zarośnięty i przede wszystkim wycieńczony koszmarnymi upałami saharyjskiego lata. - To będzie tak - ostrzegali mnie wcześniej doświadczony Francuz - jakby ktoś wbijał w ciebie nóż. W plecy, w głowę. W południe promienie słońca uderzają tam z siłą noża. Kierowca spojrzał na mnie i najpierw nie powiedział nic, ale potem pokazał ręką samochód i zawołał przyzwalająco: - Jalla! (Jazda! Właż!) Wdrapałem się do szoferki i zatrzęsnałem drzwiczki. Zaraz ruszyliśmy. W gruncie rzeczy nie wiedziałem, dokąd jedziemy. W świetle reflektorów przesuwiał się przed nami piasek, cały czas ten sam, iskrzący się różnymi odcieniami piasek, przetykany ławicami żwiru i odłamkami skał, koła coraz to podskakiwały na granitowych progach albo zapadały się w wyrwach i kamiennych szczelinach. W głębokiej, czarnej nocy widać było tylko dwie plamy światła, które ślizgały się po powierzchni pustyni, dwa jasne, wyraźnie obramowane kręgi. Poza tym nie widać było nic - nic zupełnie. Po jakimś czasie zacząłem podejrzewać, że jedziemy na oślep, na przelaj, wprost przed siebie, bo nigdzie nie było widać żadnych punktów orientacyjnych, żadnych znaków, palików czy innych śladów drogi. Próbowałem podpytać Maura. Pokazałem noc przed nami i spytałem: - Nouakchott? Ten spojrzał na mnie i roześmiał się: - Nouakchott!? - powiedział z takim rozmarzeniem, jakby chodziło o ogrody Semiramidy, piękne, ale dla nas, maluczkich, zbyt wysoko rozwieszone. Z tego wywnioskowałem, że nie jedziemy w kierunku, na którym mi zależy, ale nie wiedziałem, jak go zapytać, dokąd właściwie jedziemy. Bardzo chciałem nawiązać z nim kontakt, poznać się

bliżej. - Ryszard - powiedziałem pokazując na siebie. Z kolei pokazałem na niego. Zrozumiał. - Salim - odparł i znowu się roześmiał. Zapadło milczenie. Musieliśmy natrafić na jakąś gładką powierzchnię pustyni, bo berlier zaczął jechać łagodniej i szybciej (dokładnie, jak szybko, nie wiem, bo wszystkie zegary w wozie były zepsute). Jakiś czas jeszcze jechaliśmy nic do siebie nie mówiąc, aż w końcu zasnąłem. Obudziła mnie nagła cisza. Zgasł silnik i za chwilę ciężarówka zatrzymała się. Salim zaczął naciskać pedał gazu i coraz to przekręcał kluczyk w stacyjce. Akumulator działał, rozrusznik też, ale silnik milczał. Wstał dzień i było już jasno. Maur szukał w szoferce dźwigni otwarcia maski silnika. Od razu wydało mi się to dziwne i podejrzanе: jak to, kierowca nie umie otworzyć maski samochodu? W końcu doszedł, że maskę otwiera się zwalniając uchwyty, które są na zewnątrz. Wdrapał się na błotnik i zaczął przyglądać się silnikowi, ale patrzył na jego poplątaną konstrukcję, tak jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Czegoś dotykał, czymś próbował poruszyć, ale to wszystko było bardzo amatorskie. Przekręcał kluczyk w stacyjce, ale silnik milczał jak grób. Odnalazł skrzynię z narzędziami, ale niewiele w niej było rzeczy. Wyciągnął młotek, kilka kluczy i śrubokrętów. Po czym zabrał się do rozbierania silnika. Wyszedłem z szoferki. Wokół nas, jak okiem sięgnąć, była pustynia. Piasek, rozrzucone na nim ciemne kamienie. W pobliżu tkwiący w ziemi obły, czarny głaz - po południu, kiedy nagrzej się w słońcu, będzie promieniował z niego żar jak z hutniczego pieca. Krajobraz księżycowy, zamknięty poziomą, idealnie równą linią horyzontu - kończy się ziemia, a potem już tylko niebo i niebo. Żadnych gór. Żadnych wydm piaszczystych. Żadnego listka. I, oczywiście, żadnej wody. Woda! To jest to, co od razu przychodzi w takiej sytuacji na myśl. Ponieważ na pustyni pierwszą rzeczą, którą człowiek widzi, kiedy rano otwiera oczy, jest twarz jego wroga - rozpalona twarz słońca. Ten widok budzi w nim natychmiast odruch samozachowawczy - sięgnąć po wodę. Pić! Pić! Tylko w ten sposób choć trochę poprawi swoje szanse w odwiecznym, pustynnym zmaganiu - w rozpaczliwym pojedynku ze słońcem. Postanowiłem rozejrzeć się za wodą, bo ze sobą nie miałem nic - ani wody, ani jedzenia. W szoferce niczego nie znalazłem. Ale trochę wody było: do skrzyni ciężarówki, u dołu, pod spodem, po lewej i po prawej stronie przywiązane były sznurkami po dwa bukłaki. Każdy z nich to była skóra zdarta z kozy, dość marnie wyprawiona i potem zeszyta, tak że zachowała kształt zwierzęcia. Jedna z kozich nówek służyła za dzióbek do picia. Na chwilę odetchnąłem z ulgą, ale tylko na moment, zaraz zacząłem obliczać. Bez wody można przeżyć na pustyni jedną dobę, z wielkim trudem i to nie zawsze - dwie. Rachunek jest prosty: w tamtych warunkach człowiek może utracić w ciągu dnia około dziesięciu litrów potu i żeby żyć - musi wypić podobną ilość wody. Pozbawiony jej, zacznie zaraz odczuwać pragnienie. Prawdziwe, przeciągające się pragnienie w gorącym i suchym tropiku jest męczącym, destrukcyjnym uczuciem, trudniejszym do opanowania niż głód. Po kilku godzinach pragnienia człowiek staje się ospały i wiotki, zaczyna słabnąć i tracić orientację. Zamiast mówić - bełkoce, coraz bardziej nieskładnie. Jeszcze tego samego wieczoru, albo następnego dnia, dostanie wysokiej gorączki i szybko umrze. Pomyślałem, że jeżeli Salim nie podzieli się ze mną - umrę jeszcze dziś. Jeżeli nawet odda mi część wody, wystarczy nam zapasu tylko na jeden dodatkowy dzień - to znaczy umrzemy jutro, najpóźniej - pojutrze. Próbowałem zahamować gonitwę myśli i postanowiłem przypatrzeć się temu, co robi Maur. Umazany smarami i spocony Salim rozbierał silnik, rozkręcał śruby i zdejmował przewody, a wszystko to bez żadnego ładu i sensu, jak dziecko, które ze złością rozbija zabawkę, kiedy nie

chce funkcjonować. Na błotnikach, na zderzaku leżało pełno sprężyn, zaworów, uszczeltek i drutów, część z nich spadła już na ziemię. Zostawiłem go i poszedłem na drugi koniec ciężarówki, na tę jej stronę, gdzie był jeszcze cień. Usiadłem na ziemi i oparłem się o koło. `nv Salim (cd.) Salim. Nic nie wiedziałem o tym człowieku, w którego rękach było moje życie. W każdym razie - było na ten dzień. Jeżeli Salim odpędzi mnie od ciężarówki i od wody - a miał w ręku młotek i pewnie w kieszeni nóż, a poza tym znaczną przewagę fizyczną - jeżeli każe mi się stąd wynosić i iść przed siebie, w głąb pustyni - nawet nie dożyję nocy. A wydało mi się, że tak właśnie może postąpić - przecież w ten sposób przedłużył sobie życie albo w ogóle uratuje się, jeżeli w porę nadejdzie pomoc. Wyraźnie Salim nie był profesjonalnym kierowcą, w każdym razie kierowcą berliera. Także - nie znał dobrze tych stron. Zresztą czy można naprawdę dokładnie znać pustynię, na której kolejne burze i sztormy zmieniają nieustannie krajobraz, przesuwając góry piasku w coraz to inne miejsce i przestawiając dowolnie znaki orientacyjne? Ale często tu bywa tak, że jeżeli ktoś ma odrobinę pieniędzy, zaraz wynajmuje takiego, który ma ich jeszcze mniej i będzie za niego pracować, wykonywać zadania. Najpewniej kierowca tej ciężarówki wynajął Salima, aby ten odprowadził za niego wóz do jednej z oaz. Ale tu człowiek nigdy nie przyzna się, że czegoś nie wie albo nie umie. Jeżeli podejmiemy do kierowcy taksówki, pokażemy mu adres i spytamy, czy wie, gdzie to jest, bez chwili namysłu odpowie, że tak. Po czym zaczyna się jazda po całym mieście, w koło i w koło, bo oczywiście nie ma on pojęcia, dokąd jechać. Słońce podnosiło się wyżej i wyżej. Nieruchome, skamieniałe morze pustyni wchłaniało jego promienie, nagrzewało się i zaczynało płonąć. Zbliżała się godzina, kiedy wszystko stawało się piekłem - ziemia, niebo, my sami. Jorubowie wierzą, że jeżeli cień opuści człowieka, człowiek umrze. A tu wszystkie cienie zaczynały się kurczyć, maleć, blednąć. Zaczynały znikać. Zbliżały się przerażające godziny południa - pora świata, w której ludzie i przedmioty nie mają cienia, istnieją - nie istnieją, są już tylko rozświetloną, żarzącą się bielą. Myślałem, że ta chwila już nadeszła, kiedy nagle zobaczyłem przed sobą widok zupełnie inny. Martwy, nieruchomy horyzont, tak przytłoczony ciężarem upału, iż zdawało się, że nic nie może się na nim pojawić, nic zdarzyć - w jednej chwili ożył i zazielenił się. Jak okiem sięgnąć, widziało się tam daleko wysokie, dorodne palmy, całe gaje palmowe rosnące wzdłuż horyzontu, gęsto, bez żadnej przerwy. A również można było zobaczyć jeziora, tak, wielkie, błękitne jeziora, o żywej, falującej powierzchni. I także były tam krzewy dorodne, rozgałęzione, które miały zieleni świeżą, intensywną, soczystą, mocną. A wszystko to nieustannie drgało, mieniło się, pulsowało jakby za lekką mgłą, nieostre i nieuchwytnie. A jeszcze panowała w powietrzu - tu, wokół nas, i tam, na horyzoncie - głęboka, niczym nie zmacona cisza: nie wiał wiatr, a tamte gaje były bez ptaków. - Salim! - zawołałem - Salim! Spod skrzydeł otwartej maski wyłoniła się głowa. Spojrzał na mnie. - Salim! - powtórzyłem jeszcze raz i pokazałem ręką gaje i jeziora, cały przepyszny ogród pustyni, raj Sahary. Salim rzucił okiem w tamtą stronę - bez wrażenia. W mojej brudnej, zalanej potem twarzy musiał zobaczyć zdumienie, oszołomienie i zachwyt, ale także coś jeszcze, co go wyraźnie zaniepokoiło, bo podszedł do ciężarówki, odwiązał jeden bukłak, upił trochę i podał mi resztę bez słowa. Chwyciłem skórzany, szorstki worek i zacząłem pić. Zakręciło mi się w głowie i żeby nie upaść, oparłem się ramieniem o skrzynię berliera. Piłem przyssany do koziej nogi, ciągle wpatrzony w horyzont. Ale w miarę jak czułem, że zaspokajam pragnienie, że cichnie we mnie jakieś szaleństwo, zaczął mi sprzed oczu znikać zielony pejzaż. Jego barwy

płowiały i bladły, jego kształty kurczyły się i zacierały. Kiedy już opróżniłem worek do sucha, horyzont był ponownie płaski, pusty i martwy. Woda, wstrętne saharijskie woda, ciepła, zaśmiecona, gęsta od piachu i brudu, pozwoliła mi jeszcze żyć, ale odebrała mi widok raju. Największe jednak w tym dniu było to, że Salim sam dał mi pić. Przestałem się go bać. Czuję, że jestem bezpieczny, przynajmniej do momentu, kiedy zostanie nam ostatni łyk. Drugą połowę dnia przeleżeliśmy pod ciężarówką, w jej wąłym, płowym cieniu. W tym świetle otoczonym płonącymi horyzontami byliśmy z Salimem jedynym życiem. Przyglądałem się ziemi, którą miałem w zasięgu ręki, najbliższym kamieniom. Szukałem jakiejś żywej istoty, czegoś, co by drgnęło, ruszyło się, popęzło. Przypominałem sobie, że gdzieś na Saharze żyje mały żuczek, którego Tuaregowie nazywają Ngubi. Kiedy jest bardzo gorąco, Ngubiego mężczy pragnienie, chce mu się pić. Niestety, nigdzie nie ma wody, wokół jest tylko rozpalony piasek. Więc żeby się napić, żuczek wybiera jakieś wzniesienie, może to być pochyła fałdka piachu, i zaczyna pracować wdrapując się na jej szczyt. Ogromny to wysiłek, trud prawdziwie syzyfowy, ponieważ rozżarzony i sypki piasek ciągle osuwa się, spychając żuczka w dół, do początku jego katorżniczej drogi. Dlatego nie mija wiele czasu, kiedy żuczek zaczyna się pocić. Na końcu jego odwołka pęcznieje duża kropla potu. Wówczas Ngubi przerywa wspinaczkę, kuli się i zanurza swój pyszczek w owej kropce. Pije. W papierowej torebce Salim miał kilka herbatników. Wypiliśmy drugi bukłak wody. Zostały nam jeszcze dwa bukłaki. Myślałem coś napisać. Uświadomiłem sobie, że czasem ludzie coś w takich momentach piszą. Nie miałem siły. Właściwie nic mnie nie bolało. Tylko robiło się coraz bardziej pusto. W tej pustce narastała jakaś inna pustka. I nagle zobaczyłem w ciemnościach dwa rozjarzone ślepie. Były daleko i poruszały się gwałtownie. Potem nadciągnął szum motoru, zobaczyłem ciężarówkę, usłyszałem głosy w niezrozumiałym dla mnie języku. - Salim! - powiedziałem. Pochyliło się nade mną kilka ciemnych, podobnych do niego twarzy. Lalibela '75 Środkowa Etiopia to wielki, rozległy płaskowyż poprzecinany rozlicznymi urwiskami i dolinami. W porze deszczowej dnem tych głębokich rozpadlisk płyną wartkie, burzliwe rzeki. W miesiącach letnich część z nich wysycha i znika, odsłaniając suche, popękane dno, nad którym wiatr unosi czarne kłęby zetlałego w słońcu błota. Ponad tym płaskowyżem tu i tam wystają wysokie na trzy tysiące metrów góry, niczym jednak nie przypominające ośnieżonych, granitowych Alp, Andów czy Karpat. Są to góry ze zwiędzłego kamienia, w kolorze brązu i miedzi, zakończone u szczytu płasko i tak gładko, że zwieńczenia te mogłyby służyć za naturalne lotniska. Lecąc nad nimi samolotem, widzi się stojące tam biedne chatki, gliniane lepianki bez wody i światła. Od razu nasuwa się pytanie - jak ci ludzie tam żyją? Z czego? Co jedzą? Dlaczego tam są? W takich miejscach, w południe, ziemia musi mieć temperaturę kipiącego żużla, palić stopy, zamieniać wszystko w popiół. Kto skazał ich na to podniebne, upiorne wygnanie? Dlaczego? Za jakie winy? Nigdy nie miałem okazji wspiąć się do tych samotnych osad i szukać odpowiedzi. Nikt też tu, na płaskowyżu, nie umiał mi nic o tych ludziach powiedzieć. Najwyraźniej w ogóle nie wiedzieli o ich istnieniu. Ci podniebni nędzarze wegetowali gdzieś na marginesie ludzkości, rodzili się nie zauważeni przez nikogo i znikali, prawdopodobnie szybko, jako nieznane, anonimowe istoty. Ale i los tych, u podnóża gór, nie był dużo łatwiejszy i lepszy. - Jedź do Wollo - powiedział Teferi - jedź do Haragwe. Tu nie zobaczysz nic. Tam zobaczysz wszystko. Siedzieliśmy na werandzie jego domu w Addis Abebie. Przed nami był ogród otoczony wysokim murem. Wokół łagodnie szumiącej fontanny rosły bujne, amarantowe bugenwille i żółte, jaskrawe

forsycje. Miejsca wspomniane przez Teferiego leżały o kilkaset kilometrów stąd. Chodziło o prowincje, których mieszkańcy masowo umierali z głodu. Tu, na tej werandzie (z kuchni dobiegał zapach pieczonego mięsa), w ogóle nie można było sobie tego wyobrazić. Zresztą jak można to pojąć - "masowo umierać"? Człowiek zawsze umiera sam, moment umierania to najbardziej samotny moment jego życia. "Masowo umierać" to znaczy, że jakiś człowiek samotnie umiera. Tyle że w tym czasie, też samotnie, umiera jakiś inny człowiek. I równie samotnie - jeszcze jakiś inny. I że tylko tak się złożyły okoliczności - i to najczęściej bez ich woli - iż każdy z nich, przeżywając samotnie chwile swojego własnego, jedyne umierania, znalazł się w pobliżu wielu innych, którzy też w tym momencie umierają. Była połowa lat siedemdziesiątych. Afryka wkroczyła właśnie w swoje najbardziej mroczne dwudziestolecie. Wojny domowe, rewolty, zamachy stanu, rzezie i razem z tym głód, który zaczęły cierpieć miliony ludzi mieszkających na obszarze Sahelu (Afryka Zachodnia) i w Afryce Wschodniej (zwłaszcza w Sudanie, Czadzie, Etiopii i Somalii) - oto były niektóre objawy kryzysu. Skończyła się pełna obietnic i nadziei epoka lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W czasie jej trwania większość krajów kontynentu wyzwoliła się z kolonializmu i zaczęła niepodległy byt państwowy. W naukach politycznych i ekonomicznych tamtych lat dominował na świecie pogląd, że wolność niejako automatycznie przyniesie dobrobyt, że wolność od razu, od ręki przemieni dawną biedę w świat mlekiem i miodem płynący. Tak utrzymywali najwięksi mędrcy ówczesnych lat i zdawało się, że nie ma powodów, aby im nie wierzyć, tym bardziej że proroctwa te brzmiały tak kusząco! Tymczasem stało się inaczej. W nowych państwach Afryki rozpętała się walka o władzę, w której wykorzystano wszystko: konflikty plemienne i etniczne, siłę armii, pokusy korupcji, groźbę morderstwa. Zarazem państwa te okazały się słabe, niezdolne do wypełniania swoich podstawowych funkcji. A wszystko to działo się w warunkach, kiedy na świecie trwała zimna wojna, którą Wschód i Zachód przeniosły także na teren Afryki. Jedną z cech charakterystycznych tej wojny było zupełne ignorowanie problemów i interesów krajów słabych i zależnych, traktowanie ich spraw i dramatów wyłącznie jako funkcji własnych, wielkomocarstwowych interesów, odmawianie im jakiegokolwiek niezależnego znaczenia i wagi. Na to nakładała się tradycyjna już europocentryczna pyszałkowatość i arogancja w stosunku do kultur i społeczeństw nie-Białych. Stąd też ilekroć wracałem z Afryki, nie pytano mnie: "A jak tam Tanzańczycy w Tanzanii?", tylko: "A jak tam Rosjanie w Tanzanii?". I zamiast spytać o Liberyjczyków w Liberii, pytano: "A jak tam Amerykanie w Liberii?". (To zresztą i tak lepiej niż w przypadku niemieckiego podróżnika H.Ch. Bucha, który żalił mi się, że po morderczej wyprawie do najbardziej odległych społeczeństw Oceanii słyszał zawsze tylko jedno pytanie: "A co tam jadłeś?"). Nic nie sprawia Afrykańczykom większej przykrości niż takie przedmiotowe, instrumentalne ich traktowanie. Odbierają to jako poniżenie, degradację, policzek. Teferi był właścicielem przedsiębiorstwa transportowego. Miał kilka ciężarówek, zajeżdżonych, roztrzęsionych bedfordów, którymi przewoził bawełnę, kawę i skóry. Wozy te jeździły zarówno do Wollo, jak i Haragwe, zgodził się więc, abym z jego kierowcami tam pojechał. Była to dla mnie jedyna okazja, gdyż nie jeździły tam autobusy, nie latały samoloty. Podróżowanie po drogach Etiopii jest uciążliwe i często - ryzykowne. W porze suchej wóz ślizga się po żwirze na wąskiej półce wyrąbanej w ścianie stromej góry - droga biegnie skrajem kilkusetmetrowej przepaści. W porze deszczowej drogi górskie są w ogóle nieczynne. Te, przecinające równiny, zamieniają się w grząskie bagniska, w których można utknąć

na kilka dni. Latem na płaskowyżu, po kilku godzinach jazdy, człowiek jest czarny od pyłu. Ponieważ jednocześnie panuje gorąco i oblewa nas pot, pod koniec dnia spędzonego w drodze jesteśmy okryci grubym pancerzem brudu. Jest to pył składający się z ciupeknych, mikroskopijnych drobin, rodzaj gęstej rozgrzanej mgły, która przenika ubranie i wciska się we wszystkie zakamarki ciała. Długo nie można się później domyć. Najbardziej cierpią oczy. Kierowcy tych ciężarówek mają ciągle zapuchnięte i zaczerwienione oczy, skarżą się na bóle głowy i wcześniej ślepną. Podróżować można tylko w dzień. Od zmroku do świtu władzę nad drogami obejmują ruchliwe, grasujące bandy, nazwane tu shiftą, które zabierają wszystko. Shifta to grupa młodych bandytów, którzy działają do pierwszej wpadki. Schwytych wieszali dawniej od razu przy drodze. Później postęp polegał na tym, że rozprawiali się z nimi mniej spektakularnie. Jest to dosłownie walka na śmierć i życie, bo jeżeli ze swojej strony shifta porzuci ofiary gdzieś na bezludnym i bezwodnym pustkowiu, biedacy po prostu umrą z pragnienia. Toteż przy wyjeździe z miast stoją posterunki. Dyżurny policjant patrzy na zegarek albo po prostu na słońce i oblicza, czy przed zmrokiem zdążymy dojechać do następnego miasta (czy - do następnego policjanta). Jeżeli uzna, że nie, zawróci nas. Pojechałem więc ciężarówką, którą Teferi wysłał z Addis Abeby na północ, do prowincji Wollo, w okolice Dessie i Lalibeli, po ładunek skór. Czy ma sens obliczanie, ile ta trasa liczy kilometrów? Tutaj odległości mierzy się liczbą godzin i dni, jakich trzeba, aby pokonać odległość z punktu wyjściowego A do punktu docelowego B. Na przykład z Dessie do Lalibeli jest 120 kilometrów, ale przejazd tą drogą zajmie mi osiem godzin (i to jeżeli zdobędę dobry land-rower, w co więcej niż wątpię). W tym wypadku będę jechać do celu dzień, dwa albo i więcej. Tu nic nie wiadomo. Miejscowe ciężarówki - na ogół zardzewiała, zdezelowana rupieciearnia - na tych drogach-bezdrożach, w tym kurzu i upale, ciągle psują się, a po części zapasowe trzeba wracać aż do Addis Abeby. Dlatego droga jest zawsze niewiadomą: wyjeżdżamy - jedziemy - ale kiedy (i czy) dojedziemy albo kiedy (i czy) wrócimy, to są ciągle stojące przed człowiekiem znaki zapytania. Tam, gdzie jedziemy, panuje od dawna susza i bydło ginie z braku pastwisk i wody. Koczownicy sprzedają za grosze skórę ściągniętą z krowich szkieletów. Za te pieniądze utrzymują się jeszcze przez jakiś czas, a potem, jeśli nie trafią do obozu pomocy międzynarodowej, w tych wypalonych pustkowiach zginą bez śladu. O świcie zostawiliśmy za sobą miasto, otaczające je jasnozielone gaje eukaliptusowe, przydrożne stacje benzynowe i posterunki policji, i oto jesteśmy na tonącym w słońcu płaskowyżu, na szosie, która przez sto pierwszych kilometrów będzie pokryta asfaltem. Wóz prowadzi Sahlu - jak mi powiedział Teferi - zaufany, spokojny kierowca. Sahlu jest milczący i poważny. Żeby ocieplić atmosferę, trącam go w ramię, a kiedy odwraca się do mnie, uśmiecham się. Sahlu spogląda na mnie i też się uśmiecha, bardzo szczerze i trochę nieśmiało, niepewien, czy takie wzajemne uśmiechanie się nie stwarza między nami zbyt już przesadnej urawniłowki. Im dalej od miasta, tym kraj coraz bardziej bezludny i martwy. Gdzieś dzieci pędzą kilka wychudłych krów, gdzieś zgięte w pół kobiety dźwigają na plecach sterty suchych gałęzi. Chaty, które mijamy, wyglądają na puste, nikogo przy nich nie widać, żadnych ludzi, żadnego ruchu. Pejzaż nieruchomy, ciągle taki sam, narysowany raz na zawsze. W pewnej chwili na szosę wyszło dwóch mężczyzn. W rękach trzymali automaty. Młodzi, silni. Zobaczyłem, że Sahlu zszarzał. Miał skamieniałą twarz, a lęk w oczach. Zatrzymał samochód. Tamci bez słowa wsiedli na platformę i stuknęli ręką w dach szoferki, żeby jechać. Siedziałem skulony, starałem się nie okazywać, że umieram

ze strachu. Spoglądałem na Sahlu - trzymał kierownicę zeszywniały, zalekniony, ponury. Jechaliśmy tak może godzinę. Nic się nie działo. Było słonecznie, gorąco, a w szoferce - ciemno od kurzu. Nagle ci dwaj zaczęli łomotać w dach. Sahlu posłusznie zatrzymał wóz. Tamci bez słowa zeskoczyli z góry i idąc gdzieś z tyłu, za ciężarówką, zniknęli w polach, tak że ich nawet nie zobaczyliśmy. Po południu zajechaliśmy do miasteczka Debre Sina. Sahlu stanął na poboczu, od razu otoczyła nas gromada ludzi. Obdarci, wychudzeni, bosonodzy. Dużo młodych chłopców, dużo dzieci. Zaraz przedarł się do nas policjant, w czarnym mundurze, oberwanym, marynarka zapięta na jeden guzik. Znał trochę angielski i od razu powiedział: - Take everything with you. Everything! They are all thieves here! I zaczął pokazywać po kolei, tak jak stali stłoczeni wokół nas: - This is thief! This is thief! Podążyłem wzrokiem za palcem policjanta, który przesuwając się zgodnie z ruchem strzałki zegara, zatrzymując się na chwilę coraz to przed inną twarzą. - This is thief! - ciągnął policjant, a kiedy doszedł do roslęgo, dorodnego chłopaka, zadrżała mu ręka: - This is very big thief, sir! - wykrzyknął ostrzegawczo. Tamci spoglądali na mnie z ciekawością. Uśmiechali się. W ich twarzach nie było ani złości, ani cynizmu, tylko rodzaj zażenowania i nawet - pokory: - I have to live with them, sir - żalił się policjant nad sobą. I jakby szukając bodaj najmniejszej rekompensaty za swój przeklęty los, wyciągnął do mnie rękę i powiedział: - Can you help me, sir? I żeby tę prośbę lepiej uzasadnić, dodał: - We are all poor here, sir. Pokazał na siebie, na swoich złodziei, na koślawe lepianki Debre Sina, na lichą drogę, na świat. Poszliśmy w głąb miasteczka, na tutejszy rynek. Na placu stały stragany z jęczmieniem, prosem i fasolą, stragany z baraniną, a obok nich - z cebulą, pomidorami i czerwonym pieprzem. W innym miejscu był chleb i owczy ser, cukier i kawa. Puszki z sardynkami. Herbatniki i wafle. Było wszystko. Ale na rynku, który zwykle jest miejscem zatłoczonym, ruchliwym i gwarnym, panowała cisza. Straganiarki stały nieruchome i bezczynne, czasem tylko leniwie opędzając się od much. Muchy były wszędzie. Pieniły się czarnym, gęstym kłębem, rozdrażnione, szalejące, wściekłe. Uciekając przed tymi muchami, które od razu rzuciły się na nas, napotkaliśmy w bocznych uliczkach świat odmienny - opuszczony i już w agonii. Na ziemi, w brudzie i w kurzu leżeli wychudzeni ludzie. Byli to mieszkańcy okolicznych wiosek. Susza pozbawiła ich wody, a słońce spaliło uprawy. Przyszli tu do miasteczka w rozpaczliwej nadziei, że dostaną łyk wody i znajdą coś do jedzenia. Osłabieni i już niezdolni do żadnego wysiłku, umierali śmiercią głodową, która jest rodzajem śmierci najcięższej i najbardziej uległej. Mieli wółprzymknięte oczy, bez życia, bez wyrazu. Nie wiem, czy coś widzieli, czy gdzieś w ogóle patrzyli. Tuż koło miejsca, gdzie stałem, leżały dwie kobiety, ich wynędzniałe ciała dygotały wstrząsane malarią. Drżenie tych ciał było jedynym ruchem na tej uliczce. Pociągnąłem kierowcę za rękaw. - Chodźmy - powiedziałem. Wracaliśmy przez rynek z jego workami mąki, połciami mięsa i butlami wody mineralnej: wielki głód bowiem nie wynikał z braku żywności, lecz był skutkiem nieludzkiej relacji. Jedzenia w kraju starczało, ale kiedy przyszła susza, ceny poszły w górę i ubodzy chłopcy nie mieli za co jej kupić. Oczywiście rząd mógłby interweniować, mógłby odezwać się także świat, ale z powodów prestiżowych władza nie chciała przyznać, że w kraju panuje głód, i odmówiła przyjęcia pomocy. W owym czasie umarło w Etiopii milion ludzi, ale ukrywał to najpierw cesarz Hajle Sellasje, a potem ten, który pozbawił go tronu i życia - major Mengistu. Dzieliła ich walka o władzę, łączyło kłamstwo. Droga górzysta i pusta. Ani samochodów, ani stad bydła. Szkielety krów na szarej, spalonej na

popiół ziemi. W cieniu akacjowca kobiety z wielkimi glinianymi stągwiami czekają - a nuż będzie jechać do miasta cysterna z wodą i kierowca ulituje się, zatrzyma, na chwilę odkręci kran? Pod wieczór jesteśmy w Dessie. Potem dzień jazdy do Lalibeli. Cały czas górskie wąwozy, rozpalone jak wnętrza hutniczych pieców, puste, bez ludzi i roślin. Ale wystarczy zatrzymać się na moment, a już nas otoczą kłęby much. Jak gdyby właśnie na nas tu czekały! Bo to ich brzęczenie jest ogłuszające, triumfalne, zwycięskie: jesteście! Mamy was! Skąd tu tyle much? Skąd w ogóle jakieś życie? I wreszcie - Lalibela. Lalibela jest jednym z ośmiu cudów świata. A jeśli nie jest - powinna być. Trudno ją jednak zobaczyć. W porze deszczowej - nie ma żadnego dojazdu. W porze suchej - też trudno się tu dostać. Można samolotem - o ile leci. Z drogi nie widać nic. Ściślej - widzi się zwykłą wioskę. Z wioski wybiegają naprzeciw chłopcy-przewodnicy. Każdy błaga, żeby wybrać go na przewodnika, bo to jedyna szansa, żeby coś zarobić. Mój przewodnik nazywa się Tadesse Mirele i jest uczniem. Ale szkoła jest zamknięta, wszystko jest zamknięte - panuje głód. We wsi ludzie ciągle umierają. Tadesse mówi, że od kilku dni nic nie jadł, ale jest woda, więc pije wodę. Może gdzieś zdobył garść ziarna? Kawalek placka? Tak, przyznaje, garść ziarna. - Ale - i jest zmartwiony, kiedy to mówi - nic więcej. I zaraz prosi: - Sir! - Słucham cię, Tadesse. - Be my helper, please! I need a helper! Patrzy na mnie i wtedy widzę, że ma tylko jedno oko. Jedno oko w wymizerowanej, znękaney twarzy dziecka. W pewnej chwili Tadesse chwytą mnie za rękę. Myślałem, że chce mnie o coś prosić, ale on mnie przytrzymał, abym nie wpadł w przepaść. Bo oto, co zobaczyłem: stałem w miejscu, skąd widać było w dole, pode mną, wykuty w skale kościół. To znaczy, ten kościół był trzypiętrową bryłą wyciętą w wielkiej górze, w jej wnętrzu. A dalej, w tej samej górze, niewidoczny z zewnątrz, był wycięty następny kościół i następny. Jedenaście ogromnych kościołów. Ten fenomen architektury zbudował w XII wieku król Amharów - święty Lalibela, a Amharowie byli (i są) chrześcijanami obrządku wschodniego. Zbudował je wewnątrz góry tak, aby najeżdżający te ziemie muzułmanie nie mogli ich dostrzec z daleka. A nawet gdyby, to ponieważ stanowią one integralną część góry, muzułmanie nie mogliby ich zburzyć ani nawet ruszyć. Są tu kościoły Marii Dziewicy, Zbawiciela Świata, Świętego Krzyża i Świętego Jerzego, Marka i Gabriela, a wszystkie połączone podziemnymi tunelami. - Look, sir! - powiedział Tadesse, pokazując mi w dole dziedziniec przed kościołem Zbawiciela Świata. Ale i sam zobaczyłem ten widok wcześniej. Kilkanaście metrów poniżej miejsca, na którym staliśmy, kłębił się na dziedzińcu i schodach kościoła tłum kalek - żebraków. Choć nie lubię określenia kłębił się, nie umiem zastąpić go żadnym innym, bo ono najlepiej oddaje ten obraz. Ci ludzie w dole byli ściśnięci i poprzeplatani swoimi kalekimi kończynami, kikutami i szczudłami tak, że tworzyli jeden poruszający się i pełzający stwór, z którego jak macki wyciągały się w górę dziesiątki rąk, a tam, gdzie nie było rąk, stwór ów otwierał i wystawiał do góry usta, czekając, aby w nie coś wrzucić. I w miarę, jak przechodziliśmy od jednego kościoła do drugiego, w dole pełzała za nami owa spleciona, jęcząca, konająca istota, z której coraz to odpadał jakiś nieruchomy już, porzucony przez resztę, człon. Od dawna nie było tu pielgrzymów, którzy kiedyś rzucali im datki, a jednocześnie z tych kamiennych przepaści ci kalecy nie mieli się jak wydostać. - Have you seen, sir? - spytał mnie Tadesse, kiedy już wracaliśmy do wsi. A powiedział to takim tonem, jakby uważał, że to jedno naprawdę powinienem był zobaczyć. Amin Kiedyś myślałem napisać książkę o Aminie, a to dlatego, że Amin to jaskrawy przykład relacji między zbrodnią a niską kulturą. W Ugandzie byłem wiele razy, Amina widziałem

niejednokrotnie, mam biblioteczkę książek na jego temat i stosy własnych notatek. Jest on najbardziej znanym dyktatorem w historii współczesnej Afryki i jednym z najgłośniejszych w XX wieku na świecie. Amin pochodzi z małej społeczności Kakwa, której terytorium jest podzielone między trzy kraje: Sudan, Ugandę i Zair. Kakwa nie wie, do jakiego kraju należy, jest to im zresztą obojętne, myślą bowiem o czym innym - jak przeżyć mimo nędzy i głodu, które są stałą cechą tego zapadłego miejsca w Afryce, gdzie nie ma dróg, miast, światła ni ziemi uprawnej. Kto ma trochę inicjatywy, sprytu i szczęścia, ucieka stąd jak najdalej. Ale nie każdy kierunek jest dobry. Kto uda się na zachód, pogorszy jeszcze los, bo wpadnie w najgłębsze dżungle Zairu. Kto wyruszy na północ, też popełni błąd, bo trafi na piaszczyste i kamienne przedpola Sahary. Jedynie kierunek południowy stwarza szansę: Kakwa znajdzie tam urodzajne ziemie środkowej Ugandy - piękny i bujny ogród Afryki. Tam też właśnie, po urodzeniu syna, udaje się z niemowlęciem na plecach matka Amina. Trafia do drugiego po Kampali miasta (raczej miasteczka) Ugandy - Jinji. Jak tysiące innych wówczas, a miliony i miliony dziś, przychodzi do miasta w nadziei, że tu przeżyje, że będzie jej tam lepiej. Nie ma żadnego zawodu, żadnych znajomych ani żadnych pieniędzy. Różnie może zarabiać na życie: drobnym handlem, pędzeniem lokalnego piwa, prowadzeniem ulicznej, przenośnej garkuchni. Matka Amina żyje z tego, że ma garnek i gotuje w nim proso. Sprzedaje porcje na liściach banana. Dzienny zarobek: porcja proso dla siebie i syna. Ta kobieta, która dotarła z dzieckiem z biednej wioski Północy do miasta na bardziej zamożnym Południu, stała się częścią żywiołu stanowiącego dziś największy problem Afryki. Tworzą go ludzie, dziesiątki milionów ludzi, którzy opuścili wieś i zapełnili monstrualnie rozdęte miasta, nie znajdując w nich jednak określonego dla siebie miejsca ni zajęcia. W Ugandzie nazywają ich - bayaye. Zauważycie ich od razu, ponieważ to oni właśnie tworzą uliczny tłum, tak różny od europejskiego. W Europie człowiek na ulicy zmierza na ogół do określonego celu. Tłum ma kierunek i rytm, rytm często na cechowany pośpiechem. W mieście afrykańskim tylko część ludzi zachowuje się podobnie. Reszta nie idzie nigdzie: nie ma dokąd i po co. Snują się, przesiadują w cieniu, gapią się, drzemią. Nie mają co robić. Nikt na nich nie czeka. Najczęściej są głodni. Najmniejsze wydarzenie uliczne - kłótnia, bójka, schwytanie złodzieja - zgromadzi od razu tłum tych ludzi. Bo są tu wszędzie - bezczynni, nie wiadomo, na co oczekujący, nie wiadomo, z czego żyjący - gapie świata. Główna cecha ich statusu to wykorzenienie. Na wieś już nie wrócą, w mieście nie mają miejsca. Trwają. Jakoś istnieją. Jakoś - oto, co najlepiej określa ich sytuację, jej kruchość, jej niepewność: jakoś się żyje, jakoś śpi, jakoś czasem pożywa. Ta iluzoryczność i nietrwałość egzystencji powoduje, że bayaye czuje się stale zagrożony, że wiecznie prześladowuje go strach. Dodatkowo jego lęk potęguje to, że często jest on przybyszem, niechcianym imigrantem z innej kultury, religii, języka. Obcym, niepotrzebnym konkurentem do miski, która i tak jest pusta, do pracy, której i tak nie ma. Amin to typowy bayaye. Wyrasta na ulicach Jinji, miasteczka, w którym mieszczą się koszarzy batalionu brytyjskiej armii kolonialnej - King's African Rifles. Model tej armii wymyślił jeszcze w końcu XIX wieku generał Lugard, jeden z twórców Imperium Brytyjskiego. Lugard tworzył oddziały z najemników rekrutowanych z plemion obcych w stosunku do ludności, na której terytorium stacjonowały: nasłani okupanci, krótko trzymający miejscowych. Ideą Lugarda byli młodzi, rośli mężczyźni z ludów nilockich (sudańskich), które odznaczały się zapalem do wojaczki, wytrzymałością i okrucieństwem. Nazwano ich Nubians (Nubijczykami) - określenie, które w

Ugandzie budziło niechęć mieszaną z lękiem. Natomiast oficerami i podoficerami w tej armii byli przez długie lata wyłącznie Anglicy. Kiedyś jeden z nich zauważył szwendającego się w pobliżu koszar młodego, potężnego, herkulesowej budowy Afrykańczyka. Był to Amin. Szybko został zwerbowany do armii. Dla takich ludzi - bez zajęcia, bez perspektyw - służba w wojsku była losem wygranym na loterii. Miał ledwie cztery klasy szkoły podstawowej, ale dzięki opinii, że jest posłuszny i gorliwie stara się uprzedzić życzenia dowódców, zaczął szybko awansować. W dodatku zdobył sobie renomę jako bokser - został mistrzem Ugandy w wadze ciężkiej. W czasach kolonialnych wojsko było wykorzystywane do coraz to nowych, karnych ekspedycji. Przeciw powstańcom Mau-Mau, przeciw bojownikom Turkana albo niezależnemu ludowi Karamodžong. Amin wyróżniał się w tych akcjach: organizował zasadzki i natarcia, nie znał litości dla przeciwnika. Były lata pięćdziesiąte, zbliżała się epoka niepodległości. Przyszedł czas afrykanizacji, również w armiach. Ale brytyjscy i francuscy oficerowie chcąc nich zostać jak najdłużej. Żeby dowieść, że są niezastąpieni, spośród podwładnych Afrykańczyków awansują ludzi trzeciego rzutu, niezbyt lotnych, ale posłusznych, z dnia na dzień z kaprali i sierżantów robią pułkowników i generałów. Bokassa w Republice Środkowej Afryki, Soglo w Dahomeju, Amin w Ugandzie - mogą być przykładem. Kiedy jesienią 1962 roku Uganda staje się niepodległym państwem, Amin jest już - z brytyjskiej promocji - generałem i zastępcą dowódcy armii. Rozgląda się. Co prawda ma wysoką rangę i stanowisko, ale pochodzi z Kakwa - małej społeczności, która w dodatku nie jest traktowana jako rdzennie ugandyjska. Tymczasem większość armii to ludzie z plemienia Langi, z którego pochodzi premier Obote, i zbratanego z nim ludu Acholi. Langi i Acholi traktują Kakwa z wyższością, mając ich za ciemnych i zacofanych. Poruszamy się tu w paranoicznym, obsesyjnym świecie uprzedzeń, wstrętów i niechęci etnicznych - wewnątrzafrykańskich, jako że wszelkie rasizmy i szowinizmy występują nie tylko na liniach wielkich podziałów, np. na Białych i Czarnych, ale są równie, a często nawet bardziej ostre, zacięte i nieubłagane wewnątrz tej samej rasy, wśród ludzi o tym samym kolorze skóry. Wszak większość Białych zginęła na świecie nie z rąk Czarnych, ale właśnie Białych, a większość Czarnych zginęła w naszym stuleciu z rąk Czarnych, a nie Białych. Zaślepienie etniczne powoduje, że np. w Ugandzie nikogo nie będzie interesować, czy jakiś XY jest mądry, dobry, życzliwy czy odwrotnie - zły i wredny, lecz czy jest z plemienia Bari, Toro, Busoga czy Nandi. Tylko według tej przynależności będzie klasyfikowany i oceniany. Przez osiem pierwszych niepodległościowych lat władzę w Ugandzie sprawuje Milton Obote - człowiek niezwykle zarozumiały, pewny siebie, pyszałkowaty. Kiedy prasa ujawnia nagle, że Amin ukradł pieniądze, złoto i kość słoniową, którą dali mu na przechowanie ludzie z antymobutowskiej partyzantki w Zairze, Obote wzywa Amina, każe mu pisać wyjaśnienie, a sam przekonany, że nic nie może mu zagrozić, odlatuje na konferencję premierów Wspólnoty Brytyjskiej do Singapuru. Amin zdaje sobie sprawę, że kiedy premier wróci, zaraz poleci go aresztować, więc uprzedza ten krok, organizuje zamach wojskowy i przejmuje władzę. Teoretycznie Obote mógł być spokojny - Amin mu nie zagrażał, jego wpływy w wojsku były ograniczone. Ale Amin i ludzie, na których liczył, zastosowali od pierwszych godzin nocy 25 stycznia 1971, kiedy to zajęli koszary w Kampali, taktykę brutalnego i morderczego zaskoczenia - od razu zaczęli strzelać. I to w ściśle określony cel - w wojskowych z Langi i Acholi. Efekt zaskoczenia był paraliżujący: nikt nie zdążył stawić oporu. Już pierwszego dnia zginęły w koszarach setki ludzi. I rzeź trwała nadal. Odtąd Amin posługiwał się tą metodą zawsze: od razu strzelał. Przy

czym chodziło nie tylko o to, żeby strzelać do swoich wrogów. To było dla niego oczywiste i proste. Poszedł dalej: bez namysłu likwidował tych, o których sądził, że mogliby okazać się jego wrogami. A ponadto terror w państwie Amina polegał na powszechnie stosowanych torturach. Nim ktoś zginął, był poddawany męczarniom. Wszystko to dzieje się w prowincjonalnym kraju, w małym mieście. Izby tortur znajdują się w budynkach stojących w centrum. Okna są otwarte - bo to tropik. Kto przechodzi ulicą, może słyszeć krzyki, jęki, strzały. Kto wpadnie w ręce oprawców, zniknie. Szybko zaczęła rosnać kategoria tych, których w Ameryce Łacińskiej nazywano desaparecidos: tych, którzy zaginęli, zniknęli. Wyszedł z domu i nie wrócił. - Nani? - pytali potem policjanci, jeżeli ktoś z rodziny domagał się wyjaśnień. - Nani? (nani to znaczy w języku swahili "kto"; człowiek stawał się już tylko znakiem zapytania). Uganda zaczęła przemieniać się w tragiczny, ociekający krwią teatr jednego aktora - był nim Amin. W miesiąc po przewrocie Amin mianował się prezydentem, potem - marszałkiem, następnie - marszałkiem polnym i wreszcie - dożywotnim marszałkiem polnym. Coraz to przypinał sobie nowe orderzy, medale, odznaczenia. Ale lubił też chodzić w zwykłym mundurze polowym, żeby żołnierze mówili o nim: swój chłop. W zależności od ubioru jeździł różnymi samochodami. W garniturze na przyjęcia - ciemnym mercedesem, w dresie, na przejażdżkę - czerwonym maserati, a kiedy miał na sobie mundur polowy - wojskowym range-rollerem. Samochód ten wyglądał jak wóz z filmu science fiction: wystawał z niego las anten, jakieś druty, przewody, reflektory. W środku woził granaty, pistolety, noże. Jeździł tak uzbrojony, bo ciągle obawiał się zamachu. Przeżył ich kilka. Ginęli w nich wszyscy - jego adiutanci, jego obstwa. Amin tylko otrząpywał się z kurzu, poprawiał na sobie mundur. Aby zmylić ślady, jeździł też zupełnie przypadkowymi samochodami. Ludzie idący ulicą spostrzegali nagle, że za kierownicą jakiejś ciężarówki siedzi Amin. Nikomu nie ufał, toteż nikt z najbliższego otoczenia nie wiedział, gdzie dzisiejszej nocy Amin będzie spać, gdzie jutro będzie mieszkać. W mieście miał kilka rezydencji, nad Jeziorem Wiktorii - inne, na prowincji - jeszcze inne. Ustalenie, gdzie jest, było i trudne, i niebezpieczne. To on komunikował się ze swoimi podwładnymi, decydował, z kim będzie rozmawiać, kogo chce widzieć. Dla wielu zresztą takie spotkanie kończyło się tragicznie. Amin, jeżeli powziął na kogoś podejrzenie, zapraszał go do siebie. Był miły, serdeczny, częstował gościa coca-colą. Po wyjściu na zaproszonego czekali już oprawcy. Nikt się później nie dowiedział, co się z tym człowiekiem stało. Do podwładnych Amin zwykle telefonował. Także używał radia. Kiedy ogłaszał zmiany w rządzie lub na stanowiskach w armii - a zmian dokonywał nieustannie - mówił to przez radio. W Ugandzie była jedna radiostacja, jedna mała gazeta ("Uganda Argus"), jedna kamera, która filmowała Amina, jeden fotoreporter, który pojawiał się w czasie uroczystości. Wszystko było skierowane wyłącznie na postać marszałka. Przemieszczając się, Amin nie jako przenosił państwo ze sobą, poza nim nic się nie działo, nic nie istniało. Nie istniał parlament, nie było partii politycznych, związków zawodowych czy innych organizacji. Oczywiście nie istniała żadna opozycja - podejrzani o opozycję ginęli w mękach. Oparciem Amina była armia - tworzył ją na wzór kolonialny, jedyny, jaki znał. W większości byli to ludzie z małych społeczności zamieszkujących zagubione peryferie Afryki, tereny na granicy Ugandy i Sudanu. Mówili sudańskimi językami w odróżnieniu od rdzennej ludności kraju, która posługuje się językami bantu. Prości i nie wykształceni nie mogli się porozumieć. Ale też i o to chodziło. Żeby czuli się obco, byli izolowani i zależeli tylko od Amina. Kiedy nadjeżdżali ciężarówką,

powstawała panika, ulice pustoszały, wyludniały się wsie. Dzicy, rozjuszeni i najczęściej pijani żołnierze grabili, co się dało, i bili, kogo popadło. Bez żadnego powodu, nie wiadomo dlaczego. Na rynku zabierali sprzedawcom towar (jeżeli jakiś był, bo lata Amina to czasy pustych półek. Kiedy jechałem w tamtych latach do Kampali, ktoś mi doradzał - weź żarówkę! Bo w hotelu było światło, ale nie mieli żarówek). Chłopom zabierali plony, bydło, drób. Stale słyszało się tych żołnierzy, jak krzyczeli - Chakula! Chakula! (w swahili - jedzenie, jeść). Żarcie, wielkie żarcie, płat mięsa, kiść bananów, miska fasoli - to tylko mogło ich na chwilę uspokoić. Amin miał zwyczaj odwiedzać rozrzucone po całym kraju garnizony. Na placu odbywał się wówczas wiec żołnierzy. Marszałek przemawiał. Lubił mówić godzinami. Jako niespodziankę przywoził jakiegoś notabla - cywila lub wojskowego, którego posadzał właśnie o zdradę, o spisek, o zamach. Oskarżonego, związanego sznurami, już wcześniej pobitego i nieprzytomnego ze strachu, stawiano na podwyższeniu. Podniecony tym widokiem tłum wpadał w trans i wył - What shall I do with him? - starał się przekrzyczeć ich Amin. I kohorty skandowały: - Kill him! Kill him now! Wojsko było w stałej gotowości bojowej. Amin, który już dawniej nadał sobie tytuł Pogromcy Imperium Brytyjskiego, teraz postanowił, że będzie uwalniał tych braci, którzy jeszcze jęczeli w okowach niewoli kolonialnej. Zaczął więc serię uciążliwych i kosztownych manewrów. Wojsko ćwiczyło się w wyzwaniu Republiki Południowej Afryki. Jego bataliony szturmowały Pretorię i Johannesburg, artyleria ostrzeliwała pozycje nieprzyjaciela w Port Elizabeth i Durbanie. Amin obserwował te działania przez lornetkę z tarasu willi, która nazywała się Command Post, denerwowała go powolność batalionu z Jinji, który już dawno powinien zająć Cape Town. Wsiadał więc w samochód i ożywiony, przejęty jeździł z jednego punktu dowodzenia na drugi, besztiał oficerów, zagrzewał pododdziały do walki. Pociski wpadały do Jeziora Wiktorii, wzbijając kolumny wody i płosząc przerażonych rybaków. Był człowiekiem niespożytej energii, wiecznie pobudzonym, wiecznie w ruchu. Jeżeli jako prezydent zwoływał czasem posiedzenie rządu, był w stanie uczestniczyć w nim tylko krótko. Szybko nudził się, zrywał z krzesła i wychodził. Miał gonitwę myśli, mówił chaotycznie, nie kończył zdań. Po angielsku czytał z trudem, swahili znał średnio. Dobrze władał swoim narzeczem Kakwa, które jednak niewielu tu znało. Ale właśnie te niedostatki czyniły go popularnym wśród bayaye: był taki jak oni, krew z krwi, kość z kości. Amin z nikim się nie przyjaźnił, nie pozwalał też, aby ktoś znał go dłużej i bliżej: bał się, by ta znajomość nie pomogła innym w zorganizowaniu spisku lub zamachu. Zmieniał zwłaszcza szefów dwóch tajnych policji, które stworzył, żeby terroryzowały kraj - było to Public Safety Unit i State Research Bureau. W tej ostatniej służyli bayaye ze zbratanych ludów sudańskich - Kakwa, Lugbara, Madi i zbliżeni do nich Nubians. SRB siała postrach w Ugandzie. Siłą tej instytucji było to, że każdy z jej członków miał dostęp do Amina. Kiedyś błąkałem się po rynku w Kampali. Było pustawo, wiele straganów stało połamanych, porzuconych. Amin ogołocił i zrujnował kraj. Na ulicach nie widziało się ruchu, sklepy - Amin wcześniej odebrał je Hindusom - ziały zatechłą martwością albo były po prostu zabite deskami, dyktą, blachą. Nagle ulicą biegnącą od jeziora nadciągnęła gromada dzieci, wołając: - Samaki! Samaki! (w swahili - ryba). Zaraz zbiegli się ludzie, zapanowała radość, że będzie coś do jedzenia. Rybacy rzucili swoją zdobycz na stół i kiedy ludzie ją zobaczyli, nagle zaniemówili, znieruchomieli. Była ogromna i tłusta. To jezioro nie znało dawniej takich spasionych, wielkich ryb. A wszyscy wiedzieli, że siepacze Amina od dawna wrzucają do jeziora ciała swoich

ofiar. I że żywią się nimi krokodyle i mięsożerne ryby. Wokół stołu panowała cisza, kiedy niespodziewanie i przypadkowo nadjechała wojskowa ciężarówka. Żołnierze zobaczyli zbiegowisko, a także rybę na stole i zatrzymali się. Chwilę między sobą porozmawiali. Podjechali tyłem do stołu, zeskoczyli na ziemię i otworzyli klapę. My, którzy staliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że na podłodze skrzyni leżą zwłoki mężczyzny. I zobaczyliśmy, jak taszcza tę rybę do skrzyni, a na stół rzucają nam martwego, bosonogiego człowieka. I zobaczyliśmy, jak od razu odjeżdżają. I tylko usłyszeliśmy ich rubaszny, obłąkańczy śmiech. Rządy Amina trwały osiem lat. Według różnych źródeł dożyłotni marszałek wymordował 150-300 tysięcy ludzi. Następnie sam sprowokował swój upadek. Jedną z jego obsesji była nienawiść do prezydenta sąsiedniej Tanzanii Jukusa Nyerere. W końcu 1978 roku Amin zaatakował jego kraj. Armia Tanzanii odpowiedziała. Wojska Nyerere wkroczyły do Ugandy. Amin uciekł do Libii, potem osiadł w Arabii Saudyjskiej, która w ten sposób nagrodziła mu zasługi w szerzeniu islamu. Armia Amina rozproszyła się, część wróciła do domu, część żyła później z bandytyzmu. Straty armii Tanzanii w tej wojnie wyniosły - jeden czołg. Zasadzka Jechaliśmy z Kampali na północ Ugandy, w stronę granicy z Sudanem. Kolumnę wozów prowadził jeep z wystającym ponad szoferką cekaemem, za nim ciężarówka wiozła pluton żołnierzy, potem jechało kilka samochodów osobowych, a na końcu odkryta japońska półciężarówka, w której siedzieliśmy my - trzech dziennikarzy. Dawno nie podróżowałem w tak komfortowych warunkach, ochraniany przez pluton wojska, a w dodatku jeszcze i cekaem! Ale, oczywiście, nie o mnie tu chodziło. Była to bowiem wyprawa pojednawcza trzech ministrów rządu Museveniego, udająca się do grasujących na północy rebeliantów. Prezydent Joveri Museveni, wówczas u władzy od dwóch lat, tj. od roku 1986, ogłosił właśnie amnestię dla tych, którzy poddadzą się i dobrowolnie złożą broń. Chodziło o ludzi z armii Idi Amina, Milтона Obote i Tito Okello - trzech kolejnych dyktatorów, zbiegłych ostatnimi laty za granicę. Wszyscy jednak pozostawili swoje wojska. Teraz każde z nich, na swoją rękę, grabiło i mordowało, paliło wsie i rabowało bydło, pustoszyło i terroryzowało prowincje północne, a więc właściwie połowę kraju. Oddziały Museveniego były zbyt słabe, aby zbrojnie uporać się z rebeliantami. Prezydent wysunął więc hasło pojednania. Był w tym kraju pierwszym od dwudziestu pięciu lat przywódcą, który zwrócił się do przeciwników ze słowami zgody, porozumienia i pokoju. W naszym samochodzie, oprócz dwóch miejscowych reporterów i mnie, jedzie jeszcze trzech żołnierzy. Swoje kałasznikowy zawiesili na nagich ramionach (jest gorąco, więc zdjęli koszule). Nazywają się - Onom, Semakula i Konkoti. Najstarszy z nich - Onom - ma siedemnaście lat. Czasem czytam, że w Ameryce czy Europie dziecko strzeliło do innego dziecka. Że dziecko zabiło kogoś z rówieśników czy z dorosłych. Informacjom takim zwykle towarzyszą głosy przerażenia i grozy. Otóż w Afryce dzieci zabijają dzieci masowo, i to od lat, od bardzo dawna. Właściwie współczesne wojny na tym kontynencie to wojny dzieci. Tam, gdzie walki trwają już dziesięciolecia (jak w Angoli czy Sudanie), większość starszych już dawno wyginęła albo wymarła z głodu i epidemii - zostały dzieci i to one dalej prowadzą wojnę. W krwawym chaosie, jaki panuje w różnych krajach Afryki, pojawiły się dziesiątki tysięcy sierot - głodnych i bezdomnych. Szukają one, kto by je nakarmił i przygarnął. Najłatwiej znaleźć jedzenie tam, gdzie jest wojsko - żołnierze mają największą szansę zdobycia żywności: w tych krajach broń jest nie tylko orężem walki, to także sposób na przetrwanie, czasem jedyny, jaki istnieje. Opuszczone, osamotnione dzieci ciągną tam, gdzie stacjonuje wojsko, gdzie ma ono swoje koszary, obozy, punkty postoju. Tu

pomagają, pracują, stają się częścią armii, "synami pułku". Dostają broń i szybko przechodzą chrzest bojowy. Ich starsi koledzy (też zresztą dzieci!) często lenią się i kiedy zanosi się na bój z nieprzyjacielem, wysyłają tych malców na front, w ogień starcia. Te zbrojne potyczki dzieciarni są szczególnie zażarte i krwawe, bo dziecko nie ma w sobie instynktu samozachowawczego, nie czuje i nie rozumie grozy śmierci, nie zna lęku, który dopiero przyniesie dojrzałość. Wojny dzieci stały się możliwe także dzięki rozwojowi techniki. Ręczna broń maszynowa jest dziś lekka i krótka, jej nowe generacje coraz bardziej przypominają zabawki dzieciinne. Stary mauser był za duży, za ciężki, za długi dla dziecka. Małe dziecko miało za krótką rękę, aby swobodnie sięgnąć do spustu, za długa też była dla jego oka linia celowania. Współczesna broń rozwiązuje te problemy, usuwa te niedogodności. Jej rozmiary świetnie pasują do figury chłopca i raczej w rękach rosnącego, masywnego żołnierza pistolety owe wyglądają zabawnie i dzieciennie. Ten fakt, że dziecko jest w stanie posługiwać się tylko ręczną, krótkodystansową bronią (bo nie potrafi prowadzić ognia baterii artyleryjskiej czy pilotować bombowca), spowodował, że starcia w wojnach dziecięcych mają formę bezpośredniego zderzenia, bliskiego, niemal fizycznego, kontaktu, że malcy strzelają do siebie, będąc oddaleni o krok. Żniwo tych pojedynków jest zwykle straszne. Bo nie tylko giną ci, co padają zabici na miejscu. W warunkach, w jakich toczą się tamte wojny, umrą również ranni - z upływu krwi, z zakażenia, z braku lekarstw. Po całym dniu jazdy dotarliśmy do miasteczka Soroti. Po drodze mijaliśmy spalone wsie i osady - wszystkie doszczętnie ograbione. Żołnierze zabrali, co się dało - nie tylko to, co mieszkańcy mieli na sobie, nie tylko ich meble i sprzęty, narzędzia, którymi pracowali, i naczynia, w jakich jedli, ale także wszelkie rury, druty i gwoździe, wszystkie okna, drzwi i nawet dachy. Jak mrówki, objadając kość, nie zostawiają na niej grama mięsa, tak kolejne fale uciekających i rozbewziewionych maruderów oczyściły kraj ze wszystkiego, co dało się ruszyć z miejsca i zabrać ze sobą. Również Soroti było zniszczone. Stacja benzynowa rozbita, pompy zabrane. Ławki ze szkoły wywiezione. Z wielu domów zostały tylko szkielety, ale inne ocalały, zachował się również hotel, w którym zatrzymaliśmy się na noc. Czekala już tu na nas grupa miejscowych notabli, kupców, nauczycieli, wojskowych, otoczona tłumem ciekawskich. Zaczęły się powitania, poklepywania, śmiechy. Soroti to stolica ziem zamieszkałych przez dorodny lud nilo-chamicki - Iteso. Jest ich ponad milion. Dzielą się na wiele plemion i klanów. Zajmują się głównie hodowlą krów. Krowa to ich największy skarb. Jest ona nie tylko miernikiem bogactwa, ale posiada również właściwości mistyczne. Jej istnienie, jej obecność łączy człowieka z niewidocznym, wyższym światem. Iteso nadają krowom imiona i wierzą, że każda ma swoją osobowość, własny charakter. Chłopiec Iteso w pewnym wieku dostaje pod opiekę krowę. W czasie specjalnej uroczystości przejmuje również jej imię - odtąd będzie nazywać się tak jak ona. Dziecko bawi się ze swoją krową, spędza z nią wolne chwile, jest za nią odpowiedzialne. Wśród witających nas osób był mój znajomy jeszcze z lat sześćdziesiątych (wówczas minister) Cuthbert Obwanor. Ucieszyłem się tym spotkaniem, zaraz zaczęliśmy rozmawiać. Chciałem, aby pokazał mi okolicę, bo w tych stronach byłem po raz pierwszy. Poszliśmy na spacer. Zaraz jednak spacer okazał się dość kłopotliwy. Bo tu na widok idącego mężczyzny kobiety usuwają się z drogi i klękają. Klęcząc na obu kolanach, czekają, aż on nadejdzie. Zwyczaj nakazuje, aby je pozdrowił. One, odpowiadając, pytają - co mają dla niego uczynić? Jeżeli powie, że nic, poczekają, aż odejdzie, wstaną i pójdą w swoją stronę. Siedzieliśmy później z

Cuthbertem na ławce przed jego domem i sceny powtórzyły się: przechodzące kobiety podchodziły do nas, klękały i w milczeniu czekały. Bywało, że mój gospodarz zajęty rozmową nie zwracał na nie uwagi. Nie poruszone klęczały nadal. Wreszcie pozdrawiał je i życzył dobrej drogi, wtedy wstawały i bez słowa odchodziły. Mimo że był już wieczór, ciągle panowało gorąco, w powietrzu wisiała jakaś duszna, rozgrzana ociepność. Ukryte w głębokich zakamarkach nocy natarczywie i donośnie grały świerszcze. W końcu poszliśmy zaproszeni przez miejscowe władze do jedyne go czynnego tu baru. Nazywał się Club 2000. Na piętrze był salonik dla ważnych gości. Posadzono nas przy długim stole. Weszły kelnerki, młode, wysokie dziewczyny. Każda uklękła przy swoim gościu i powiedziała imię. Następnie wyszły i wniosły wielki gliniany dzban. Dymiło z niego rozgrzane, miejscowe piwo marwa, zrobione z ziaren milletu (millet to rodzaj prosa). Marwę pije się przez długą, wydrążoną trzcinę, która nazywa się epi. Teraz trzcina ta zaczyna krążyć od jednego do drugiego gościa. Każdy pociąga kilka łyków i oddaje ją następemu. Przez cały czas kelnerki dolewają do dzbanu albo wodę, albo nową porcję marwy: od tego - co dolewają i jak szybko krąży epi - zależy będzie stopień pijaństwa biesiadników. Problem polega na tym, że Soroti, jak i cała tu okolica, to jeden z obszarów o najwyższym natężeniu AIDS. Sięgając po epi, człowiek każdorazowo żegna się z życiem. (A było to jeszcze w latach, kiedy sądzono, że wirus HIV przenosi się przez ślinę). Ale jak postąpić? Odmówić? Coś takiego byłoby uznane za najbardziej poniżającą obrazę, za dowód, że się tymi ludźmi gardzi. Rano, nim jeszcze ruszyliśmy w dalszą drogę, przyjechało dwóch misjonarzy, Holendrów - Albert i Johan. Wymęczeni, okryci kurzem chcieli jednak znaleźć się w Soroti, żeby "zobaczyć ludzi z wielkiego świata": dla nich, mieszkających na tych pustkowiach ponad dziesięć lat, Kampala stała się już owym wielkim światem. Do Europy nie jeżdżą, nie chcą zostawiać kościoła i zabudowań misji (mieszkają gdzieś pod sudańską granicą). Boją się, że po powrocie zastaliby tylko gołe, spalone ściany. Tereny, na których pracują, to sucha latem, a zielona w porze deszczowej, rozległa, gorąca sawanna, wielka prowincja północno-wschodniej Ugandy, zamieszkała przez fascynujący wielu antropologów lud Karamodżong. Mieszkańcy Kampali mówią o swoich pobratymcach z Karamodżong (to jednocześnie nazwa miejsca, ludu i osoby) z niechęcią i zawstydzeniem. Karamodżong chodzą nago i obstają przy tym zwyczaju, uważając, że ciało ludzkie jest piękne (rzeczywiście, są to wspaniale zbudowani, rośli i szczupli ludzie). Ale ta ich opozycja ma i inne uzasadnienie: wszyscy Europejczycy, którzy dawniej do nich docierali, szybko zapadali na zdrowiu i umierali. Karamodżong wyciągnęli wniosek, że wobec tego ubiór powoduje choroby, że ubrać się to tyle, co wydać na siebie wyrok śmierci (a samobójstwo w ich religii to największy wyobrażalny grzech). Stąd zawsze panicznie bali się ubrania. Amin, który uważał, że chodzenie nago kompromituje Afrykańczyków, wydał dekret nakazujący im nosić ubrania, a schwytanych nago, jego wojsko rozstrzeliwało na miejscu. Prerażeni Karamodżong zdobywali, gdzie mogli, a to kawałek materiału, a to koszulę lub spodnie, robili z tego zawiniątko i nosili ze sobą. Na wiadomość, że gdzieś jedzie wojsko albo że w pobliżu kręci się jakiś agent rządu, ubierali się na ten moment, żeby później z ulgą znowu się rozebrać. Karamodżong są hodowcami krów i żywią się głównie ich mlekiem. Spokrewnieni z Iteso też uważają krowy za największy skarb i za istoty mistyczne. Wierzą, że Bóg dał im wszystkie krowy świata i że ich misją diejową jest odzyskanie tych krów. W tym celu permanentnie urządzają zbrojne wyprawy przeciwko sąsiednim ludom. Najazdy te (po angielsku - cattle-raiding) to połączenie wyprawy łupieżczej, misji

patriotycznej i obowiązku religijnego. Młody człowiek, aby zdobyć status mężczyzny, musi wziąć udział w cattle-raiding. Wyprawy te są głównym tematem rodzimych legend, opowieści, mitów. Mają one swoich bohaterów, swoją historię i mistykę. Ksiądz Albert opowiada, jak wygląda taka wyprawa. Karamodżong idą gęsiego, równym krokiem, w zwartym szyku. Posuwają się znanymi sobie ścieżkami wojny. Każdy oddział liczy dwustu - trzystu ludzi. Śpiewają pieśni albo rytmicznie wznoszą głośnie okrzyki. Ich wywiad przed tym ustalił już, gdzie pasą się stada krów należące do innego ludu. Ich celem jest porwanie tych stad. Kiedy docierają na miejsce, dochodzi do bitwy. Karamodżong to wyszkoleni, nieustraszeni wojownicy, dlatego zwykle zwyciężają i uprowadzają swoją zdobycz.

- Rzecz w tym - mówi ksiądz Albert - że dawniej te kolumny były uzbrojone w dzidy i w łuki. Kiedy dochodziło do potyczki, ginęło w niej kilka osób, reszta poddawała się lub uciekała. A dzisiaj? Dalej są to kolumny nagich mężczyzn, ale już uzbrojonych po zęby w broń maszynową. Natychmiast otwierają ogień, masakrują okoliczną ludność, granatami burzą ich wioski, sieją śmierć. Tradycyjne konflikty plemienne trwają nadal, te same od wieków, ale dziś pociągają za sobą nieporównanie większą liczbę ofiar. - Z nowoczesnej cywilizacji - kończy - nie ma tu nic, ani światła elektrycznego, ani telefonu czy telewizora. Jedyne, co z niej dotarło, to broń maszynowa. Pytam misjonarzy, jak wygląda ich praca, jakie mają problemy. - To bardzo trudny teren - przyznaje ksiądz Johan. - Ci ludzie pytają nas, ilu jest bogów w naszej religii i czy mamy specjalnego boga od krów. Tłumaczymy im, że Bóg jest tylko jeden. Są tym rozzarowani. Nasza religia jest lepsza, mówią, mamy specjalnego boga, który opiekuje się krowami. Krowy przecież są najważniejsze! Ruszyliśmy na północ przed południem, nasz wóz jako ostatni w kolumnie, ale nie ujechaliśmy daleko, kiedy usłyszałem wybuch, strzały, a potem przeraźliwe krzyki. Znajdowaliśmy się na wąskiej, pełnej dziur i kolein laterytowej drodze, która biegła między dwoma ścianami gęstej, wysokiej na dwa metry trawy słoniowej. Najwyraźniej wpadliśmy w zasadzkę. Siedzieliśmy skuleni wewnątrz samochodu, nie wiedząc, jak się zachować. Zostać wewnątrz? Wskoczyć? Zasadzka to najczęściej stosowana w Afryce forma walki. Ma ona dla tych, którzy ją organizują, wiele zalet. Zasadzający się wykorzystują przede wszystkim moment zaskoczenia: ludzie jadący drogą nie są w stanie przez cały dzień zachować uwagi i gotowości, w tym klimacie, na tych drogach, szybko męczą się i przysypiają. Po drugie - ci, którzy urządzają zasadzkę, są dla zbliżających się niewidoczni, a tym samym bezpieczni. Po trzecie - zasadzka to nie tylko pokonanie przeciwnika: przynosi ona również drogie zdobycze materialne - samochody, mundury, żywność, broń. Forma zasadzki odpowiada też tym, którym upał, głód i pragnienie (permanentny stan, w jakim żyją rebelianci i żołnierze) utrudniają dalekie marsze i szybkie przegrupowania. Natomiast w tym wypadku grupa uzbrojonych ludzi może zająć w buszu ocienione, wygodne miejsce i wylegiwać się spokojnie, aż ofiara sama wpadnie im w ręce. Stosują oni dwie różne taktyki - pierwsza nazywa się po angielsku hit and run (uderz i zwieź). Ta jeszcze daje zaskoczonym jakieś szanse oprzytomnienia i nawiązania walki oraz druga - hit and hit (uderz i uderz, tj. strzel i pójdz za strzałem), ta zwykle kończy się dla napadniętych zagładą. W końcu wyskoczyliśmy z samochodu i pobiegliśmy do przodu. Napastnicy trafili rakietą w ciężarówkę. Na platformie leżał martwy żołnierz, dwóch było rannych. Przednia szyba została wybita, z rękawa munduru jednego z konwojentów ciekła krew. Panował chaos, bałagan, bieganie ludzi wzdłuż kolumny tu i tam, bez ładu i sensu. Nikt nie wiedział, co stanie się za chwilę, za sekundę. Może nasi przeciwnicy stoją tuż obok, ukryci za gęstą, dwumetrową trawą, patrzą na naszą

histeryczną bieżnię, mierzą w nas, biorą spokojnie na cel? Przecież nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka, w czyich jesteśmy rękach. Odruchowo zacząłem wypatrywać, czy spomiędzy tej trawy nie widać skierowanych w naszą stronę łuf. Ciężarówka, na tylnym biegu, bo było tak wąsko, że nawet nie miała gdzie zawrócić, cofała się z powrotem do Soroti. My, po jakimś czasie, ruszyliśmy do przodu. Ale nasi oficerowie zdecydowali, że nie będziemy jechać samochodami, tylko posuwać się wolno, idąc za żołnierzami, którzy z bronią gotową do strzału otwierali naszą kolumnę. Będzie święto Uprosiłem Godwina, dziennikarza z Kampali, aby zabrał mnie do swojej rodzinnej wioski. Leży ona stosunkowo blisko - pięćdziesiąt kilometrów od miasta. Połowę tej trasy jedzie się główną szosą, która prowadzi na wschód, brzegiem Jeziora Wiktorii, do Kenii. Całe życie kraju toczy się po obu stronach takiej drogi - miejscami pełno tu sklepów, barów i hotelików otwartych dzień i noc. Zwykle rojno jest i gwarno, nawet w południe ruch nie całkiem ustaje. Na werandach, w podcieniach albo pod parasolami siedzą pochyleni nad swoimi maszynami krawcy, szewcy naprawiają buty i sandały, fryzjerzy strzygą i czeszą. Kobiety godzinami ubijają maniok, inne, obok, pieką na ruszcie banany albo sprzedają rozłożone na straganach suszone ryby, soczyste papaje czy zrobione z popiołu i baraniego tłuszczu domowe mydło. Co kilka kilometrów stoi warsztat naprawy samochodów czy rowerów, zakład wulkanizacyjny lub punkt sprzedaży paliw (w zależności od koniunktury jest to stacja z pompą albo po prostu stół, na którym czeka na klienta benzyna w butelkach lub w słoikach). Wystarczy, żeby jadąc, zatrzymać się gdzieś na chwilę. Od razu samochód otoczy tłum dzieci, a także inny tłum - miejscowych sprzedawczyń wszystkiego, czego może potrzebować podróżny: butelek coca-coli i tutejszego bimbrowego waragi, herbatników i biszkoptów (w paczkach i na sztuki), gotowanego ryżu i placków z sorghum (rodzaj prosa). Te sprzedawczynie to konkurentki swoich koleżanek, które stoją daleko, nie mogąc się ruszyć od straganów - muszą ich pilnować, bo wszędzie pełno złodziei. Drogi te to również miejsca ekumenicznej różnorodności i tolerancji. Oto mijamy ozdobny meczet, bogaty, bo jego budowę finansowała Arabia Saudyjska, a oto, dalej, znacznie skromniejszy kościółek, a jeszcze dalej - kilka namiotów Adwentystów Dnia Siódmego, którzy wędrując przez kontynent, ostrzegają o zbliżającym się końcu świata. A ta budowla ze stożkowatym dachem uplecionym z ryżowej słomy? To świątynia Najwyższego Boga Gandów - Katondy. Podróżując tymi drogami, co jakiś czas natkniemy się na szlaban (może to być wręcz kawałek drutu czy sznurka) i posterunek policji lub wojska. Zachowanie tych ludzi powie nam o aktualnej sytuacji w kraju, nawet jeżeli jesteśmy daleko od stolicy i nie słuchamy radia (gazeta tu nie dociera, a telewizji nie ma). Jeżeli żołnierze i policjanci od razu, ledwie się zatrzymamy, nie pytając o nic, krzyczą i biją - oznacza to, że w kraju zapanowała dyktatura albo toczy się wojna, jeżeli natomiast podchodzą do nas, uśmiechają się, podają rękę i mówią grzecznie: "Na pewno wiecie, że zarabiamy bardzo mało" - oznacza to, że jedziemy przez kraj stabilizowany, demokratyczny, w którym odbywają się wolne wybory i przestrzegane są prawa człowieka. Panem tego świata dróg, szlaków i traktów afrykańskich jest kierowca ciężarówki. Samochody osobowe są za słabe, aby poruszały się po tych wybojach i wertepach. Połowa z nich szybko utknęłaby gdzieś na trasie (zwłaszcza w porze deszczowej), a wiele innych od razu nadawałoby się do wyrzucenia. Ciężarówka natomiast dojedzie prawie wszędzie. Ma ona potężny silnik i szerokie opony, ma zawieszenie mocne jak Brooklyński Most. Kierowcy tych wozów wiedzą, jakim dysponują skarbem i w czym jest ich siła. W przydrożnym tłumie poznać ich od

razu po sposobie, w jaki się poruszają. Każdy z nich zachowuje się jak król. Często zresztą, zatrzymawszy się, nawet nie schodzą z wyżyn swojego fotela - wszystko i tak im przyniosą. Jeżeli ciężarówka stanie w jakiejś miejscowości, od razu przypadnie do niej gromada wymęczonych, błagających ludzi - to ci, którzy gdzieś chcą się dostać i nie mają jak. Koczują więc przy drodze, licząc na okazję, na tego, kto za jakąś opłatę zabierze ich ze sobą. Nikt nie liczy na litość. Kierowcy ciężarówek nie znają tego uczucia. Jeżdżą oni drogami, wzdłuż których w skwarze i ogniu tropiku nieustannie ciągną gęsiego obładowane tobołkami kobiety. Gdyby kierowca miał w sercu odrobinę litości i chciał im pomóc, musiałby się co chwilę zatrzymywać i nigdy nie dojechałby na miejsce. Dlatego stosunki między kierowcami a idącymi poboczem kobietami cechuje zupełny chłód - nie dostrzegają się i mijają obojętnie. Godwin pracuje do wieczora, więc nie możemy zobaczyć tego widowiska, jakim jest droga wyjazdowa z Kampali na wschód (podobnie zresztą wyglądają inne trasy podmiejskie). Jedziemy późno, właściwie nocą, kiedy ta sama droga wygląda zupełnie inaczej. Wszystko pogrążone jest w głębokich ciemnościach. Jedyne, co widać, to ciągnące się po obu stronach szosy świetliste linie chybotałych, wątych płomyków lampek i świec ustawionych przy straganach przez sprzedawców. Najczęściej zresztą nie są to nawet stragany czy stoiska, lecz rozłożone wprost na ziemi bieda-towary, rzeczy najdziwniej zestawione przez drobnych handlarzy: piramidka pomidorów obok pasty do zębów, płyn przeciw moskitom obok paczki papierosów, kamień zapalek i metalowe pudełko herbaty. Godwin mówi, że dawniej, w latach dyktatury, lepiej było koczować na dworze przy świecach, niż przebywać w jasno oświetlonych pomieszczeniach. Człowiek, widząc nadciągające wojsko, momentalnie gasił świecę i znikał w ciemnościach. Nim wojsko nadjechało, nie było już żywej duszy. Świeca jest dobra, bo widzi się wszystko, samemu nie będąc widocznym. Natomiast w oświetlonym pomieszczeniu jest odwrotnie i przez to bardziej niebezpiecznie. W końcu z głównej szosy zjechaliśmy w boczną, nierówną, pełną drogę. W świetle reflektorów widać było tylko wąski tunel pomiędzy dwoma ścianami gęstej, soczystej, nasyconej zieleni. To Afryka wilgotnego tropiku - bujna, rozkrzewiona, w nieustannym pączkowaniu, w rozmnożeniu i fermencie. Tym tunelem, pełnym załamań i zakrętów układających się w zawiły i chaotyczny labirynt, dotarliśmy do miejsca, w którym nagle wyrosła przed nami ściana domu. Tu kończyła się droga. Godwin zatrzymał wóz i wyłączył silnik. Zapanowała głęboka cisza. Było już tak późno, że milczały nawet świerszcze, a widocznie w pobliżu nie było psów. Odezwały się tylko moskity, takie złe i zniecierpliwione, jakby już nie mogły się nas doczekać. Godwin zastukał do drzwi. Otworzyły się i na dwór wysypał się tuzin zaspanych, półnagich dzieci. Potem wyszła wysoka, poważna, o ruchach pełnych godności i nawet namaszczenia kobieta - matka Godwina. Po wstępnych powitaniach zabrała wszystkie dzieci do jednej izby, a w drugiej rozłożyła nam na podłodze maty do spania. Rano wyrzałem przez okno. Zdawało mi się, że jestem w wielkim, tropikalnym ogrodzie. Palmy, bananowce, tamaryndy i krzewy kawowe - wszystko to rosło wokół, dom tonął w poplątanej, zbitej roślinności. Wysokie trawy i kłębiące się krzewy tak zewsząd napierały, tak się wszechwładnie panoszyły, że właściwie ludziom nie zostawało wiele miejsca. Podwórko Godwina było małe, nigdzie nie widziałem też drogi (poza tą, którą przyjechaliśmy) i przede wszystkim nie dostrzegłem żadnych domów, choć Godwin mówił mi, że jedziemy na wieś. W tym gęsto zarośniętym regionie Afryki wsie jednak nie są rozłożone wzdłuż drogi (której często po prostu nie ma), ale mają domy rozproszone na dużej przestrzeni i w znacznej od siebie odległości.

Łączą je tylko tonące w wiecznej gęstwinie, ukryte dla niewprawnego oka, ścieżki. Trzeba być mieszkańcem wsi albo znać ją dobrze, aby orientować się w układzie tych ścieżek, w ich przebiegu i połączeniach. Wybrałem się z dziećmi po wodę, bo noszenie wody jest ich zajęciem. Może dwieście metrów od domu płynął zarośnięty łopianami i szuwarem mały, ledwie ciurkający strumyk, w którym z trudem i dużą zwłoką chłopcy napełnili wiadra. Wiadra te niosą później na głowie w taki sposób, że nie uronią kropli wody. Ale idą skupieni i uważnie starają się zachować równowagę swoich drobnych, dziecięcych ciał. Woda w jednym z wiader jest przeznaczona na mycie poranne. Myje się twarz i to w taki sposób, żeby nie zmarnować dużo wody. Więc nabiera się jej garstkę z wiadra i następnie rozprawdza po twarzy - starannie i niezbyt energicznie, aby nie uciekła przez palce. Ręcznik nie jest potrzebny, bo od rana pali słońce i twarz szybko obsycha. Teraz każdy urywa kawałek gałązki z krzewu i rozgryza jej koniec na miazgę. Tworzy się z tego drewniany pędzelek. Tym pędzelkiem czyszczymy zęby długo i starannie. Są ludzie, którzy robią to godzinami, jest to dla nich zajęcie takie jak dla innych żucie gumy. Następnie, ponieważ to podwójne święto (jest niedziela i z miasta przyjechali goście), mama Godwina robi śniadanie. Normalnie na wsi jada się raz dziennie, wieczorem, a w porze suchej raz na dwa dni, o ile w ogóle nie przymiera się głodem. Na śniadanie jest herbata i kawałek placka z kukurydzianej mąki, a także miska matoke (potrawa z rozgotowanych zielonych bananów). Dzieci zachowują się jak pisklęta w gnieździe: chciwie wpatrują się w miskę matoke, a kiedy mama pozwala już jeść - połykają wszystko w sekundę. Cały czas jesteśmy na podwórzu. Obiektem, który tu od razu zwraca uwagę, jest leżąca pośrodku kamienna, prostokątna płyta - to grób przodków, masiro. W Afryce obyczaje grzebalne są bardzo różne. Niektóre ludy leśne składają zmarłych wprost w buszu - na pożarcie dzikim zwierzętom. Inne grzebią ciała w osobnych miejscach, na prostych, nieozdobnych cmentarzach. Są takie, które zakopują zmarłych pod podłogą domu, w którym się mieszka. Najczęściej jednak chowa się ich niedaleko domu - na podwórzach, w ogródkach, byle mieć ich w pobliżu, czuć ich krzepiącą obecność. Wiara w duchy przodków, w ich moc opiekuńczą, w ich czujną uwagę, zachętę i życzliwość jest ciągle żywa i stanowi źródło otuchy i ufności. Mając je koło siebie, czujemy się bardziej bezpieczni, kiedy nie wiemy, co robić, one pospieszają nam z radą i - co niezmiernie ważne - w porę powstrzymują przed zrobieniem błędnego kroku lub wejściem na złą drogę. Każdy więc dom, każde gospodarstwo ma dwa wymiary: ten widoczny, namacalny, i ten ukryty, tajemniczy, święty, a człowiek, jeżeli może, stara się swój dom rodzinny, swój prądom regularnie odwiedzać - tam nabiera siły i umacnia swoją tożsamość. Drugim obok grobu przodków obiektem na tym podwórzu jest pomieszczenie na kuchnię. Kuchnia to obudowane trzema ścianami z gliny zagłębienie w ziemi, w którym leżą trzy, ułożone w trójkąt, osmolone kamienie. Stawia się na nich garnek, a pali węglem drzewnym. Najprostsze urządzenie wymyślone jeszcze w neolicie, a przecież nadal pożyteczne. Był jeszcze ranek, panował względny, dający się tolerować upał, więc Godwin poszedł odwiedzać sąsiadów, godząc się wcześniej, abym mu towarzyszył. Ludzie mieszkają tu w glinianych, prostych domkach krytych falistą blachą, która w południe grzeje jak rozpalony rożen. W miejsce okien są po prostu otwory w ścianach, a drzwi są najczęściej z dykty lub blachy, luźno osadzone, bez framug, raczej symboliczne, bo nawet nie mają klamek ni zamków. Ktoś przyjeżdżający z miasta jest tu postrzegany jako wielkie panisko, krezus, lord. Choć miasto nie jest przecież tak daleko, należy już ono do innego, lepszego świata, do planety obfitości. Zresztą obie strony, ci z miasta i ci ze wsi, wiedzą o tym, dlatego

ten z miasta jest świadom, że nie może tu przyjechać z pustymi rękoma. Toteż przygotowania do wyjazdu na wieś pochłaniają ludziom miejskim dużo czasu i pieniędzy. Kiedy w mieście mój znajomy coś kupuje, zaraz objaśnia: - Muszę to wziąć ze sobą na wieś. - Chodzi ulicami, ogląda towary i rozważa: - To by było dobre na prezent, kiedy pojadę na wieś. Prezenty, prezenty. Jest to kultura nieustannego obdarowywania się prezentami. Ponieważ jednak Godwin nie zdążył zrobić zakupów, zostawiał swoim sąsiadom zwitki szylingów ugandyjskich, które dyskretnie wkładał im do kieszeni. Najpierw odwiedziliśmy Stone'a Singewendę i jego żonę Victę. Stone ma dwadzieścia sześć lat i siedzi w domu, bo czasem zatrudnia się na budowach, ale teraz nie może dostać pracy. Pracuje Victa: uprawia poletko manioku, z którego żyją. Victa co rok rodzi dziecko. Są cztery lata małżeństwem i mają czworo dzieci, a piąte w drodze. Zwyczaj jest tu taki, że gościa czymś się podejmuje, ale Victa i Stone nie częstują nas - nie bardzo mają czym. Inaczej ich sąsiad Simon, ten od razu stawia przed nami talerzyk orzeszków ziemnych. Ale Simon to człowiek zamożny: ma rower i dzięki temu zajęcie. Simon to bicycle trader. W kraju dużych dróg jest niewiele. I mało jest ciężarówek. Miliony ludzi mieszka na wsiach, do których nie ma dróg i nie docierają ciężarówki. Ci ludzie są najbardziej poszkodowani, są najbiedniejsi. Mieszkają daleko od rynku, zbyt daleko, aby donieść tam na głowie tych trochę bulw kassawy czy yamsu, kiść matoke (zielone banany) czy worek sorghum - a więc jarzyn i owoców rosnących w tej okolicy. Nie mogąc ich sprzedać, nie mają żadnych pieniędzy, tym samym nie mogą nic kupić - beznadziejne koło biedy zamyka się. Ale oto pojawia się ze swoim rowerem Simon. Jego rower ma zrobione domowym sposobem najprzeróżniejsze urządzenia - bagażniki, torby, spinacze, podpórki. Służy on bardziej do transportu niż do jeżdżenia. Tym rowerem, za drobną opłatą (drobną, bo cały czas poruszamy się tu w obrębie gospodarki groszowej), Simon (a takich jak on są tu tysiące) przewozi kobietom towar na targ (kobietom, bo drobny handel jest właśnie ich zajęciem). Simon mówi, że im dalej od dużej drogi, od ciężarówki i rynku - tym więcej biedy. Najgorzej jest tam, gdzie chłopci mają zbyt daleko, aby swój towar przydźwignąć na rynek. A ponieważ ludzie z Europy, zauważa Simon, bywa ją u nas tylko w miastach i jeżdżą wielkimi drogami, nawet nie wyobrażają sobie, jak wygląda nasza Afryka. Jednym z sąsiadów Simona jest Apollo - człowiek nieokreślonego wieku, chudy i małomówny. Stoi przed domem i na desce prasuje koszulę. Ma żelazko na węgiel drzewny, wielkie, stare i zardzewiałe. Jeszcze starsza jest koszula. Żeby ją opisać, należałoby posłużyć się językiem krytyków sztuki, kapryśnych postmodernistów, speców od suprematyzmu, visual-artu i ekspresjonizmu abstrakcyjnego. Toż to arcydzieło patchworku, informelu, kolażu i pop-artu, popis najwyższej wyobraźni owych pracowitych krawców, których mijaliśmy, jadąc tu szosą z Kampali. Koszula ta bowiem musiała mieć tyle razy łatanie dziury, tyle na niej naszytych jest skrawków i ścinków najprzeróżniejszej materii, barwy i tekstury, że już nie sposób dojść, jakiego koloru i z jakiego płótna zrobiona była owa pierwotna, wstępna prakoszula, która dała początek długiemu procesowi przeróbek i przekształceń, jakich efekt leży teraz przed Apollem na jego desce do prasowania. Baganda to ludzie ogromnie dbali o czystość i ubiór. W przeciwieństwie do swoich współziomków Karamodżong, którzy gardzą ubraniem, uważając, że jedynym pięknem jest nagie ciało ludzkie, Baganda ubierają się schludnie i starannie, zakrywając ręce do nadgarstków i nogi do kostek. Apollo mówi, że jest teraz dobrze, bo skończyła się wojna domowa, ale źle, bo spadły ceny kawy (są lata dziewięćdziesiąte), a oni uprawiają kawę, z tego żyją. Nikt nie chce jej

kupować, nikt po nią nie przyjeżdża. Kawa marnuje się, krzewy dziczeją, a oni nie mają pieniędzy. Wzdycha i uważnie przeprowadza żelazko przez łąki i ściegi jak żeglarz swoją łódź między zdradliwymi rafami. Kiedy tak stoimy i rozmawiamy, z bananowej gęstwy wychodzi krowa, za nią kilku rozbrykanych pastuszków, a na końcu zgarbiony wiejski starzec - Lule Kabbogozza. W 1942 roku Lule był na wojnie w Burmie - wymienia to jako jedyne wydarzenie w jego życiu. Potem już cały czas mieszkał w tej wsi. Teraz bieduje tak jak inni: - What I eat? - pyta sam siebie. - Cassava. Day and night cassava. Ale ma pogodne usposobienie i z uśmiechem pokazuje na krowę. Na początku roku zbiera się kilka rodzin, supła grosz i kupuje na targu krowę. Krowa pasie się na wsi, trawy jest dosyć. Kiedy przychodzą święta Bożego Narodzenia zarzynają krowę. Wszyscy schodzą się na tę okazję. Wszyscy patrzą, czy jest sprawiedliwie podzielona. Dużo krwi oddają na ofiarę przodkom (krowia krew - nie ma cenniejszej ofiary). Resztę od razu pieką i gotują. To jest ten jedyny raz w roku, kiedy wieś je mięso. Potem kupią następną krowę i za rok będzie nowe święto. Jeżeli znajdzie się w okolicy - zapraszają. Będzie pombe (piwo z bananów), będzie waragi. I dostanę tyle mięsa, ile będę chciał! `nv Wykład o Ruandzie Szanowni Państwo, tematem naszego wykładu jest Ruanda. Ruanda to mały kraj, tak mały, że na wielu mapach, jakie znajdziecie w książkach o Afryce, jest zaznaczony tylko kropką. Dopiero w objaśnieniach do owych map przeczytacie, że ten punkt w samym środku kontynentu to właśnie miejsce, gdzie leży Ruanda. Ruanda jest krajem górzystym. Dla Afryki charakterystyczne są raczej równiny i płaskowyże, tymczasem Ruanda to góry i góry. Pną się one do wysokości dwóch-trzech tysięcy metrów, a nawet wyżej. Dlatego często nazywa się ją Tybetem Afryki - zresztą nie tylko z powodu gór, ale także ze względu na jej niezwykłość, odrębność, inność. Ta inność, oprócz geografii, dotyczy także społeczeństwa. O ile bowiem ludność państw afrykańskich jest z reguły wieloplemienna (Kongo zamieszkuje trzysta plemion, Nigerię - dwieście pięćdziesiąt itd.), o tyle w Ruandzie mieszka tylko jedna społeczność, jeden naród Banyaruanda, dzielący się tradycyjnie na trzy kasty: kastę właścicieli stad bydła - Tutsi (14 procent ludności), kastę rolników - Hutu (85 procent) i kastę wyrobników i posługaczy - Twa (1 procent). Ów system kastowy (o pewnych analogiach do Indii) ukształtował się wieki temu, zresztą nadal trwa spór, czy stało się to w wieku XII czy dopiero w XV, nie ma bowiem na ten temat żadnych źródeł pisanych. Dość że od stuleci istniało tu królestwo rządzone przez monarchę zwanego mwami, a wywodzącego się z kasty Tutsi. Chronione przez góry królestwo to było państwem zamkniętym, nie utrzymującym z nikim stosunków. Banyaruanda ani nie organizowali podbojów, ani - podobnie jak kiedyś Japończycy - nie wpuszczali na swój teren cudzoziemców (stąd np. nie znali handlu niewolnikami, który był zmorem innych ludów afrykańskich). Pierwszym Europejczykiem, który dotarł do Ruandy w 1894 r. był Niemiec, podróżnik i oficer, hrabia G.A. von Götzen. Warto dodać, że już osiem lat wcześniej mocarstwa kolonialne, na konferencji w Berlinie dzieląc między siebie Afrykę, przyznały Ruandę właśnie Niemcom, o czym zresztą żaden Ruandyjczyk, łącznie z królem, nawet nie został powiadomiony. Przez te lata Banyaruanda żyli jako lud skolonizowany, w ogóle o tym nie wiedząc. Również później Niemcy mało się tą kolonią interesowali, a po I wojnie światowej utracili ją na rzecz Belgii. Belgowie też przez długi czas nie przejawiali tu większej aktywności. Do Ruandy było od wybrzeży morskich daleko, bo ponad 1500 kilometrów, ale przede wszystkim kraj nie przedstawiał większej wartości, bo nie znaleziono w nim właściwie żadnych ważnych surowców. Dzięki temu ukształtowany przed wiekami system

społeczny Banyaruanda mógł w tej górzystej twierdzy przetrwać w nie zmienionej postaci do drugiej połowy XX wieku. System ten miał szereg cech przypominających europejski feudalizm. Krajem rządził monarcha otoczony grupą arystokratów i rzeszą rodowej szlachty. Wszyscy oni tworzyli panującą kastę - Tutsi. Ich największym i właściwie jedynym bogactwem było bydło - krowy zebu, odmiana o długich, szablistych, pięknych rogach. Tych krów nie zabijano - były święte, nietykalne. Tutsi żywili się ich mlekiem i krwią (krew, z nacinanych dzidą tętnic szyjnych, toczono do naczyń mytych krowim moczem). Wszystkim tym zajmowali się mężczyźni, dostęp do krów był bowiem kobietom zabroniony. Krowa była miarą wszystkiego: bogactwa, prestiżu, władzy. Im kto miał więcej krów - tym był bogatszy. Im był bogatszy - tym miał więcej władzy. Najwięcej krów posiadał król, a jego stada otoczone były specjalną opieką. Główny punkt obchodów święta narodowego stanowiła co roku defilada krów przed trybuną królewską. Przed oczyma monarchy przechodziło ich wówczas milion. Trwało to godzinami. Krowy wzbijały chmury pyłu długo unoszące się nad królestwem. Rozmiary tych chmur świadczyły o dobrobycie monarchii, a sama uroczystość była wielokrotnie opiewana w patetycznej poezji Tutsi. - Tutsi? - słyszałem często w Ruandzie. - Tutsi siada na progu swojej chaty i patrzy, jak na stoku góry pasą się jego stada. Ten widok napędza go dumą i szczęściem. Tutsi nie są pasterzami ani koczownikami, nie są nawet hodowcami. Są właścicielami stad, panującą kastą, arystokracją. Natomiast Hutu to o wiele liczniejsza, podległa im kasta rolników (w Indiach nazywa się ich wajsiami). Między Tutsi i Hutu istniały stosunki lenne - Tutsi był seniorem, Hutu jego wasalem. Hutu stanowili klientelę Tutsi. Byli rolnikami żyjącymi z uprawy ziemi. Część zbiorów oddawali swojemu panu w zamian za opiekę i otrzymaną od niego w użytkowanie krowę (Tutsi mieli monopol na krowy. Hutu mógł je tylko dzierżawić od swojego seniora). Wszystko jak w feudalizmie - ta sama zależność, te same zwyczaje, ten sam wyzysk. Stopniowo, w połowie XX wieku, między obu kastami narasta dramatyczny konflikt. Przedmiotem sporu jest ziemia. Ruanda jest mała, górzysta i bardzo gęsto zaludniona. Jak to często bywa w Afryce, również w Ruandzie dochodzi do walki między tymi, którzy żyją z hodowli bydła, a tymi, którzy uprawiają ziemię. Ale zwykle przestrzenie na kontynencie są tak wielkie, że jedna ze stron może usunąć się na wolne tereny i zarzewie wojny wygasa. W Ruandzie takie rozwiązanie nie jest możliwe - brakuje miejsca, żeby się usunąć, żeby ustąpić. Tymczasem stada posiadane przez Tutsi rosną i potrzebują więcej i więcej pastwisk. Te nowe pastwiska można stworzyć tylko w jeden sposób: odbierając ziemię chłopom, tj. rugując Hutu z ich gruntów. Ale Hutu i tak już żyją w ciasnocie. Od lat ich liczebność szybko się powiększa. Na domiar złego ziemię, które uprawiają, są jałowe, bardzo liche. Bowiem góry Ruandy pokrywa bardzo cienka warstwa gleby, tak cienka, że kiedy co roku przychodzi pora deszczowa, ulewy zmywają jej duże połacie, a w wielu miejscach, gdzie Hutu mieli swoje poletka manioku i kukurydzy, połyskuje teraz naga skała. A więc z jednej strony potężne, napierające tabuny krów - symbol bogactwa i siły Tutsi - z drugiej ścisnięci, stłamszeni, wypierani Hutu: nie ma miejsca, nie ma ziemi, ktoś musi odejść albo zginąć. Oto jak wygląda sytuacja w Ruandzie w latach pięćdziesiątych, kiedy na scenę wkraczają Belgowie. Stają się oni teraz bardzo aktywni, bo Afryka przeżywa właśnie moment zapalny, podnosi się fala niepodległościowa, antykolonialna, trzeba więc działać, podejmować decyzje. Belgia należy do tych metropolii, które ów ruch emancypacyjny najbardziej zaskoczył. Bruksela nie ma więc pomysłu, a jej urzędnicy nie bardzo wiedzą, co robić. Jak to zwykle w takich wypadkach, ich odpowiedź jest jedna: opóźnić

rozwiązania, odwlekać. Dotychczas Belgowie rządzili Ruandą rękoma Tutsi, na nich się opierali i nimi wysługiwali. Ale Tutsi to najlepiej wykształcona i ambitna warstwa Banyaruanda i teraz to oni właśnie żądają niepodległości. I to natychmiast, na co Belgowie są zupełnie nie przygotowani! Więc Bruksela gwałtownie zmienia taktykę: porzuca Tutsi i zaczyna popierać bardziej uległych, pojednawczych Hutu. Zaczyna ich przeciw Tutsi podjudzać. Efekty tej polityki przychodzą szybko. Ośmieleni, zachęceni Hutu ruszają do walki. W 1959 roku w Ruandzie wybucha chłopskie powstanie. Właśnie w Ruandzie, jako jedynym kraju afrykańskim, ruch niepodległościowy przybrał formę społecznej, antyfeudalnej rewolucji. Z całej Afryki tylko Ruanda przeżyła swój szturm Bastylii, detronizację króla, żyrondę i terror. Gromady chłopów, rozjątrzony żywioł uzbrojonych w maczety, motyki i dzidy Hutu ruszył na swoich panów-władców Tutsi. Zaczęła się wielka rzeź, jakiej Afryka dawno nie widziała. Chłopi palili gospodarstwa swoich lordów, a im samym podrzynali gardła i łupali czaszki. Ruanda spłynęła krwią, stanęła w ogniu. Zaczął się masowy ubój bydła, chłopi, często po raz pierwszy w życiu, mogli się do woli najeść mięsa. Kraj w tym czasie liczył 2,6 miliona mieszkańców, w tym było trzysta tysięcy Tutsi. Przyjmuje się, że kilkadziesiąt tysięcy Tutsi zostało wówczas zamordowanych, a drugie tyle uciekło do krajów sąsiednich - Konga, Ugandy, Tanganiki i Burundi. Monarchia i feudalizm przestały istnieć, a kasta Tutsi utraciła swoją dominującą pozycję. Władzę przejęło teraz chłopstwo Hutu. Kiedy Ruanda uzyskała niepodległość w 1962 roku, ludzie z tej właśnie kasty utworzyli pierwszy rząd. Na jego czele stanął wówczas młody dziennikarz Gregoire Kayibanda. W tym czasie byłem w Ruandzie po raz pierwszy. Pamiętam Kigali, stolicę kraju, jako małą miścinę. Nie mogłem znaleźć, bo może nawet i nie było, żadnego hotelu. W końcu przygarnęły mnie siostry zakonne, Belgijki, dając mi nocleg w swoim schludnym szpitaliku, na oddziale położniczym. I Hutu, i Tutsi budzą się z tej rewolucji jak ze złego snu. I jedni, i drudzy przeżyli rzeź - jedni dokonując jej, a drudzy jako jej ofiary, a takie doświadczenie pozostawia w człowieku męczący i trwałe ślad. Uczucia Hutu są w tym momencie mieszane. Z jednej strony pokonali swoich panów, zrzucili feudalne jarzmo i po raz pierwszy zdobyli w kraju władzę, ale z drugiej, nie pobili jednak swoich lordów w sposób ostateczny, nie unicestwili ich do końca i ta świadomość, że przeciwnik został boleśnie zraniony, ale że żyje nadal i będzie szukać zemsty, posiała w ich sercach niepokonany i śmiertelny strach (pamiętajmy, że lęk przed zemstą jest głęboko zakorzeniony w mentalności afrykańskiej, że odwieczne prawo zemsty regulowało tu zawsze międzyludzkie, prywatne i klanowe, stosunki). A jest czego się bać. Bo choć Hutu zdobyli górską twierdzę Ruandy i ustanowili w niej swoje rządy, to jednak pozostała w niej piąta kolumna Tutsi (około stu tysięcy), a po drugie - i to może nawet jeszcze groźniejsze - twierdzę opasali swoimi obozami wygnani z niej wczoraj Tutsi. Metafora i obraz twierdzy nie są tu przesadą. Bo czy przyjdzie nam wjeżdżać do Ruandy od strony Ugandy czy Tanzanii, czy Zairu, zawsze będziemy mieli to samo wrażenie przekraczania bram wznoszącej się przed nami, ukształtowanej z wielkich, wspaniałych gór, twierdzy. Otóż teraz Tutsi, od wczoraj wygnaniec i tułacz, kiedy budzi się rano w obozie uchodźców i wychodzi przed swój nędzny namiot, ma przed oczyma widok gór Ruandy. O tej wczesnej porze dnia jest to widok przepiękny. Często sam zrywałem się o świcie tylko po to, żeby popatrzeć na ten unikalny pejzaż. Przed nami rozciągają się w nieskończoność góry wysokie, ale łagodne. Są szmaragdowe, fioletowe, zielone i całe w oprawie słońca. Nie ma w tym krajobrazie żadnej grozy i czerni

skalistych, targanych wichrami turni, urwisk i zrębów, nie czyhają na nas śmiercionośne lawiny, toczące się skały czy osuwające się rumowiska. Nie. Góry Ruandy promieniają ciepłem i życzliwością, kuszą urodą i ciszą, krystalicznym, bezwietrznym powietrzem, spokojem i doskonałością swoich linii i kształtów. Rankiem zielone doliny wypełnia przejrzysta mgła. Jest to właściwie jasna, połyskująca w słońcu, lekka i zwiewna zasłona, przez którą widać i eukaliptusy, i krzewy bananowców, i pracujących w polu ludzi. Ale Tutsi dostrzegał tam przede wszystkim swoje pasące się stada. Teraz, w obozie uchodźców, stada te, których przecież już nie posiada, a które były dla niego podstawą i sensem istnienia, urastają jego wyobraźni do mitu i legendy, stają się marzeniem, snem, obsesją. Tak zawiązuje się dramat ruandyjski, tragedia ludu Banyaruanda, iście palestyńska niemożność pogodzenia racji dwóch społeczności roszczących sobie prawa do tego samego skrawka ziemi, zbyt jednak małego i ciasnego, aby je pomieścić. Wewnątrz tego dramatu rodzi się, z początku jeszcze słaba i nieokreślona, ale z latami coraz bardziej wyraźna i natarczywa pokusa Endlösung - ostatecznego rozwiązania. Na razie jednak jeszcze do tego daleko. Są lata sześćdziesiąte, najbardziej obiecujące i optymistyczne lata Afryki. Panująca na kontynencie atmosfera oczekiwań i euforii sprawia, że nikt nie zwraca uwagi na krwawe wydarzenia w Ruandzie. Nie ma komunikacji i gazet, a zresztą - Ruanda? Gdzie to jest? Jak tam dojechać? W istocie, kraj ten wydaje się przez Boga i ludzi zapomniany. Cicho tu, martwo i - co szybko stwierdzamy - nudno. Przez Ruandę nie przebiega żadna większa trasa, nie ma dużych miast, rzadko tu w ogóle ktoś przyjeżdża. Kiedy lata temu powiedziałem swojemu koledze, reporterowi "The Daily Telegraph", Michaelowi Fieldowi, że byłem w Ruandzie, spytał: - I widziałeś prezydenta? - Nie - odpowiedziałem. - To po coś tam w ogóle jeździł? - wykrzyknął zdumiony. Wielu moich kolegów uważało, że jedyną ewentualną atrakcją w takim kraju może być prezydent. Jeżeli nie można się z nim spotkać, to po co tam, u licha, jeździć? Jest faktem, że w takim kraju to, co nas najbardziej uderzy u spotkanych tu ludzi, to głęboki prowincjonalizm ich myślenia. Bo nasz świat, niby - globalny, jest w gruncie rzeczy planetą wielu tysięcy najróżniejszych i nigdzie nie spotykających się prowincji. Podróż po świecie to wędrówka od prowincji do prowincji, a każda z nich jest samotnie i tylko dla siebie świecącą gwiazdą. Dla większości mieszkających tam ludzi rzeczywisty świat kończy się na progu ich domu, na krańcu ich wioski, najwyżej na granicy ich doliny. Świat dalej położony jest nierealny, nieważny i nawet nie potrzebny, natomiast ten, który mamy pod ręką, w zasięgu naszego wzroku, urasta nam do rozmiarów wielkiego i wszystko inne przesłaniającego kosmosu. Często człowiekowi miejscowemu i przybyszowi z daleka trudno znaleźć wspólny język, ponieważ każdy z nich używa do patrzenia na tę samą okolicę innej optyki. Przybysz posługuje się obiektywem szerokokątnym, który daje nam obraz oddalony, pomniejszony, ale za to o długiej linii horyzontu, a rozmówca miejscowy używał zawsze teleobiektywu czy nawet teleskopu wyolbrzymiającego najmniejszy szczegół. Ale dla tych, którzy są na miejscu, ich własne dramaty są prawdziwe, a tragedie bolesne i wcale niekoniecznie przesadzone. Podobnie i w Ruandzie. Rewolucja 1959 roku podzieliła naród Banyaruandy na dwa przeciwstawne obozy. Czas, jaki zacznie płynąć od tego momentu, będzie już tylko wzmacniać mechanizmy niezgody, zaostreć konflikt, raz po raz prowadzić do krwawych kolizji i - ostatecznie - do apokalipsy. Tutsi, którzy rozłożyli się w obozach wzdłuż granic, spiskują i kontratakują. W roku 1963 uderzają od południa, z sąsiedniego kraju, z Burundi, gdzie ich pobratymcy, burundyjscy Tutsi, sprawują rządy. Po dwóch latach - nowa

inwazja Tutsi. Armia Hutu powstrzymuje ją i w odwet organizuje w Ruandzie wielką, okrutną rzeź Tutsi. Ginie ich, rozsiekanych maczetami Hutu, dwadzieścia tysięcy, inni szacują, że pięćdziesiąt. Żaden postronny obserwator w te strony nie dociera, żadna komisja ani media. Pamiętam, że próbowaliśmy - grupa korespondentów - dostać się wówczas do Ruandy, ale nie zostaliśmy przez władze wpuszczeni. W Tanzanii zbieraliśmy tylko głosy tych, co stamtąd uciekli - były to głównie kobiety z dziećmi, przerażone, poranione, zagłodzone. Mężczyzn najczęściej zabijano w pierwszej kolejności, już z tych wypraw nie wracali. Wiele wojen w Afryce toczy się bez świadków, w skrytości, w miejscach niedostępnych, w ciszy, bez wiedzy świata, albo po prostu przez świat zapomnianych. Tak jest i w wypadku Ruandy. Latami trwają pograniczne walki, pogromy, masakry. Partyzanci Tutsi (zwani przez Hutu - karaluchami) palą wsie i mordują miejscową ludność. Ta z kolei, wspierana własnym wojskiem, urządza gwałty i rzezie. Życ w takim kraju - trudno. Bo ciągle jest dużo wiosek i miasteczek o ludności mieszanej. Jedni i drudzy mieszkają obok siebie, mijają się na drogach, pracują w jednym miejscu. A po cichu - spiskują. Bo w takim klimacie podejrzliwości, napięcia i lęku odradza się stara, plemienna, afrykańska tradycja tajnych sekt, sekretnych związków i mafii. Rzeczywistych i urojonych. Każdy do czegoś w skrytości należy, a także jest przekonany, że ten drugi, ten Inny, należy na pewno. I to, oczywiście, do przeciwnej, wrażej organizacji. Bliźniaczym krajem Ruandy jest jej południowy sąsiad - Burundi. Ruanda i Burundi mają podobną geografę, zbliżony typ społeczeństwa, wspólną, wielowiekową historię. Ich losy rozeszły się dopiero w 1959 roku: w Ruandzie zwyciężyła chłopska rewolucja Hutu, a jej liderzy objęli w państwie władzę, natomiast w Burundi Tutsi utrzymali i nawet umocnili swoje panowanie, rozbudowując armię i tworząc coś w rodzaju feudalnej dyktatury militarnej. Jednakże istniejący dawniej system naczyń połączonych między obu krajami - bliźniakami działał nadal i rzeź Tutsi przez Hutu w Ruandzie wywoływała w odwecie rzeź Hutu przez Tutsi w Burundi i vice versa. I tak, kiedy w 1972 roku, zachęceni przykładem swoich braci z Ruandy, Hutu z Burundi próbowali zrobić u siebie powstanie, mordując na początek kilka tysięcy Tutsi, ci w odpowiedzi zabili ponad sto tysięcy Hutu. Nie sam fakt masakry, bo powtarzały się one regularnie w obu krajach, ale jej zatrważające rozmiary wywołały poruszenie wśród Hutu z Ruandy, którzy postanowili jednak zareagować. Dodatkowo skłaniał ich do tego fakt, że w czasie owego pogromu kilkaset tysięcy (czasem podają, że milion) Hutu z Burundi schroniło się w Ruandzie, stwarzając dla tego biednego kraju, który raz po raz nawiedzały klęski głodu, wielki problem: jak wyżywić takie rzesze uchodźców. Wykorzystując tę krytyczną sytuację (mordują naszych pobratymców w Burundi; nie ma za co utrzymać miliona imigrantów), szef armii ruandyjskiej generał Juvenal Habyarimana dokonuje w 1973 roku zamachu stanu i ogłasza się prezydentem. Zamach ten ujawnił głębokie tarcia i konflikty dzielące społeczność Hutu. Pokonany (a następnie zagłodzony) prezydent Gregoire Kayibanda reprezentował klan Hutu z centrum kraju uznawany za umiarkowanie liberalny. Natomiast nowy władca pochodził z klanu mieszkającego w północno-zachodniej części Ruandy. Klan ten stanowił radykalne, szowinistyczne skrzydło Hutu (żeby uczynić ten obraz bardziej czytelnym, można powiedzieć, że Habyarimana to Radovan Karadžić ruandyjskich Hutu). Habyarimana będzie odtąd rządzić przez dwadzieścia jeden lat, tj. do swojej śmierci w 1994 r. Masywnej budowy, silny, energiczny, całą uwagę skupia na zbudowaniu żelaznej dyktatury. Wprowadza system jednopartyjny. Liderem partii jest on sam - Habyarimana. Członkami partii muszą

być wszyscy obywatele kraju od chwili urodzenia. Generał koryguje także panujący dotąd, zbyt uproszczony schemat wrogości: Hutu kontra Tutsi. Schemat ten wzbogaci teraz o dodatkowy wymiar, dodatkowy podział - na władzę i opozycję. Jeżeli będziesz lojalnym Tutsi, możesz zostać sołtysem i wójtem (choć już nie ministrem), jeżeli natomiast będziesz krytykować władzę, pójdziesz za kratki albo na szafot, choćbyś był stuprocentowym Hutu. I postępując w ten sposób, generał miał rację, ponieważ w opozycji do jego dyktatury byli nie tylko Tutsi, ale również ogromne rzesze Hutu, które szczerze go nienawidziły i zwalczały jak mogły. Konflikt w Ruandzie był nie tylko niezgodą kast, ale i ostrym zderzeniem między dyktaturą a demokracją. Oto dlaczego cały język, całe myślenie kategoriami etnicznymi są tak mylące i bałamutne. Zacierają one bowiem i gubią wszystkie najgłębsze wartości - wartość dobra przeciw złu, prawdy przeciw kłamstwu, demokracji przeciw dyktaturze, ograniczając się tylko do jednej, powierzchownej i drugorzędnej dychotomii, jednego kontrastu, opozycji: jest wart wszystkiego tylko dlatego, że to Hutu, albo - niewart niczego, bo to tylko Tutsi. A więc umacnianie dyktatury to było pierwsze zadanie, któremu poświęcił się Habyarimana. Równolegle z postępami na tym polu zaczęła przybierać na sile i druga tendencja - była nią coraz wyraźniejsza prywatyzacja państwa. Z latami Ruanda stawała się prywatną własnością klanu z Gisenyi (miasteczka, skąd pochodził generał), a ściślej - własnością żony prezydenta, Agathe, jej trzech braci, Sagatawy, Seraphina i Zeda, oraz grona kuzynów tych braci. Agathe i jej bracia należeli do klanu Akazu i ta nazwa stanowiła słowo-klucz, którym można było otworzyć wiele bram prowadzących do tajemniczych labiryntów Ruandy. Sagatawa, Seraphin i Zed mieli luksusowe pałace w okolicach Gisenyi, z których razem z siostrą i jej mężem generałem władali wojskiem, policją, bankami i administracją Ruandy. Ot, małe zagubione w górach na dalekim kontynencie państewko, rządzone przez żarłoczną rodzinę chciwych, despotycznych kacyków. Jak więc się stało, że to ono właśnie zyskało tak smutną sławę w opinii świata? Już była mowa o tym, że w 1959 roku dziesiątki tysięcy Tutsi, chcąc ratować swoje życie, uciekało z kraju. Potem latami szły ich śladem tysiące i tysiące następnych. Ludzie ci rozkładali się tuż przy granicy obozami w Zairze, Ugandzie, Tanzanii i Burundi. Tworzyli koczowiska nieszczęśliwych i niecierpliwych wygnańców żyjących jedną myślą - żeby powrócić do domu, do swoich (mitycznych już) stad. Życie w takich obozach jest apatyczne, biedne i rozpaczliwe. Z czasem jednak rodzą się tam i dorastają pokolenia młodych, którzy chcą coś zrobić, próbują o coś walczyć. Ich celem głównym jest oczywiście powrót do ziemi przodków. Ziemia przodków to pojęcie w Afryce święte, to miejsce pożądane i magnetyczne, źródło życia. Ale nie jest łatwo wyrwać się z obozu uchodźców, a nawet jest to przez miejscowe władze zabronione. Wyjątek stanowi Uganda, gdzie od lat trwa wojna domowa, panuje zamęt i bezhołowie. W latach osiemdziesiątych młody działacz Joveri Museveni zaczyna tam wojnę partyzancką z potwornym reżimem psychopaty i oprawcy Milтона Obote'a. Museveni potrzebuje ludzi. I szybko ich znajduje, bo oprócz jego ugandyjskich współbraci zaczynają zgłaszać się do partyzantki młodzi z obozów ruandyjskich: bojowi, żądni walki Tutsi. Museveni przyjmuje ich chętnie. W lesie, pod kierunkiem fachowych instruktorów, przechodzą w Ugandzie szkolenie wojskowe, a wielu z nich kończy za granicą szkoły oficerskie. W styczniu 1986 r. Museveni na czele swoich oddziałów wkracza do Kampali i obejmuje władzę. Wieloma tymi oddziałami dowodzą albo znajdują się w ich szeregach owi młodzi Tutsi, urodzeni już w obozach synowie wypędzonych z Ruandy ojców. Przez długi czas nikt nie zwraca uwagi na fakt, że w

Ugandzie wyrosła dobrze wyszkolona i doświadczona w walkach armia mścicieli Tutsi, którzy tylko myślą, jak by tu wziąć odwet za hańbę i krzywdy wyrządzone ich rodzinom. Na razie odbywają tajne zebrania, powołują organizację Narodowy Front Ruandy i przygotowują się do ataku. W nocy 30 września 1990 roku znikają z koszar armii ugandyjskiej i z przygranicznych obozów i o świcie wkraczają na terytorium Ruandy. W Kigali zaskoczenie władzy jest całkowite. Zaskoczenie i przerażenie. Habyarimana ma armię słabą i zdemoralizowaną, a od granicy z Ugandą do Kigali jest niewiele ponad 150 kilometrów i partyzanci mogą się zjawić w stolicy za dzień, dwa. Tak by z pewnością było, bo wojsko Habyarimany nie stawiało żadnego oporu, i może nie doszłoby nigdy do owej hekatombi, rzezi i ludobójstwa roku 1994, gdyby nie jeden telefon. Był to telefon generała Habyarimany do prezydenta Mitterranda o pomoc. Mitterrand był pod silną presją proafrykańskiego lobby. O ile większość metropolii europejskich radykalnie zerwała ze swoim dziedzictwem kolonialnym, o tyle w wypadku Francji jest inaczej. Po dawnej epoce pozostała jej bowiem duża, czynna i dobrze zorganizowana armia ludzi, którzy zrobili kariery w administracji kolonialnej, spędzili (nieźle!) życie w koloniach, a teraz w Europie są już obcy, czują się nieprzydatni i niepotrzebni. Jednocześnie wierzą głęboko, że Francja jest nie tylko krajem europejskim, ale także wspólnotą wszystkich ludów kultury i języka francuskiego, że, słowem, Francja to także globalna przestrzeń kulturalno-językowa: Francophonie. Filozofia ta przełożona na uproszczony język geopolityki mówi, że jeśli ktoś gdzieś na świecie atakuje kraj frankojęzyczny, to niemal tak, jakby uderzył w samą Francję. W dodatku urzędników i generałów z lobby proafrykańskiego uwiera jeszcze dotkliwie kompleks Faszody. Kilka słów na ten temat. Otóż w XIX wieku, kiedy kraje Europy dzieliły między siebie Afrykę, Londynem i Paryżem rządziła dziwaczna (choć wówczas rozumiała) obsesja, aby swoje posiadłości na tym kontynencie mieć ułożone w linii prostej i aby istniała między nimi terytorialna ciągłość. Londyn chciał mieć taką linię z północy na południe - z Kairu do Cape Town, a Paryż - z zachodu na wschód, tj. z Dakaru do Dżibuti. Jeżeli teraz weźmiemy mapę Afryki i wykreślimy na niej dwie prostopadłe linie, to skrzyżują się one w południowym Sudanie, w miejscu, gdzie nad Nilem leży mała rybacka wioska - Faszoda. Panowało wówczas w Europie przekonanie, że kto będzie miał Faszodę, ten zrealizuje swój ekspansjonistyczny ideał jednoliniowego kolonializmu. Między Londynem i Paryżem zaczął się wyścig. Obie stolicy wysłały w kierunku Faszody swoje ekspedycje militarne. Pierwsi dotarli Francuzi. 16 lipca 1898 roku, pokonując pieszo straszliwą trasę z Dakaru, doszedł do Faszody kapitan J.D. Marchard i zatknął tu francuską flagę. Oddział Marcharda składał się ze stu pięćdziesięciu Senegalczyków - dzielnych i oddanych mu ludzi. Paryż szalał z radości. Francuzów rozpierała duma. Ale w dwa miesiące później dotarli tu także Anglicy. Dowodzący ekspedycją lord Kitchener ze zdumieniem stwierdził, że Faszoda jest już zajęta. Nie zważając na to, wywiesił również flagę brytyjską. Londyn szaleje z radości. Anglików rozpiera duma. Oba kraje żyją teraz w gorączce nacjonalistycznej euforii. Z początku żadna strona nie chce ustąpić. Wiele wskazywało na to, że I wojna światowa rozpocznie się już wówczas, w 1898 roku - o Faszodę. W końcu (ale to długa historia) Francuzi musieli się wycofać. Zwyciężyła Anglia. Wśród starych, francuskich kolonów epizod Faszody jest ciągle bolesną raną i nawet dziś na wiadomość, że Anglophones gdzieś próbują się ruszyć, od razu rzucają się do ataku. Tak było i tym razem, kiedy Paryż dowiedział się, że anglojęzyczni Tutsi z terenów anglojęzycznej Ugandy wtargnęli na terytorium frankojęzycznej Ruandy, naruszyli

granice Francophonie. Kolumny Frontu Narodowego Ruandy zbliżały się już do stolicy, a rząd i klan Habyarimany pakował walizki, kiedy na lotnisko w Kigali samoloty przywiozły francuskich spadochroniarzy. Oficjalnie podają, że było ich dwie kompanie. Ale to wystarczyło. Partyzanci chcieli walczyć z reżimem Habyarimany, ale woleli nie ryzykować wojny z Francją: nie mieli szans. Przerwali więc ofensywę na Kigali, ale pozostali w Ruandzie, zajmując na stałe jej północno-wschodnie obszary. Kraj de facto został podzielony, z tym że obie strony traktowały to jako stan tymczasowy, prowizoryczny. Habyarimana liczył, że z czasem będzie na tyle silny, iż wyprze partyzantów, ci zaś, że kiedyś Francuzi wycofają się i wówczas reżim razem z całym klanem Akazu padną następnego dnia. Nic gorszego niż taki stan ni wojny, ni pokoju. Bo jedni szli do walki z nadzieją, że wygrają i spożyją owoce zwycięstwa. Tymczasem marzenie to nie spełnia się - ofensywę trzeba zawiesić. Jeszcze gorsze panują nastroje wśród zaatakowanych: co prawda przetrwali, ale zobaczyli widmo klęski, poczuli, że koniec ich panowania jest możliwy. Chcą więc ratować się za wszelką cenę. Między ofensywą z października 1990 a rzezią z kwietnia 1994 minie trzy i pół roku. W obozie rządzących Ruandą dochodzi do gwałtownych sporów między zwolennikami kompromisu i utworzenia koalicyjnego, narodowego rządu (ludzie Habyarimany plus partyzanci) a fanatycznym, despotycznym klanem Akazu kierowanym przez Agathe i jej braci. Sam Habyarimana kluczy, waha się, nie wie, co robić, i coraz bardziej traci wpływ na rozwój wypadków. Szybko i niepodzielnie górę bierze szowinistyczna linia klanu Akazu. Obóz Akazu ma swoich ideologów - to intelektualiści, uczeni, profesorowie wydziałów historii i filozofii ruandyjskiego uniwersytetu w Butare - Ferdinand Nahimana, Casimir Bizimungu, Leon Mugesira i kilku innych. To oni właśnie formułują ideologię, która uzasadni ludobójstwo jako właściwie jedyne wyjście, jedyny sposób własnego przetrwania. Teoria Nahimany i jego kolegów głosi, że Tutsi to najzwyczajniej obca rasa. To Niloci, którzy przyszlizli do Ruandy gdzieś z Nilu, podbili rodzimych mieszkańców tej ziemi - Hutu, zaczęli ich wyzyskiwać, niewolić i rozkładać od wewnątrz. Tutsi zawładnęli wszystkim, co jest w Ruandzie cenne: ziemią, bydłem, rynkami, a z czasem i państwem. Hutu zostali zepchnięci do roli podbitego narodu, który wiekami żył w nędzy, głodzie i poniżeniu. Ale naród Hutu musi odzyskać swoją tożsamość i godność, jako równy zająć miejsce wśród innych narodów świata. Czego jednak - zastanawia się w dziesiątkach wystąpień, artykułów i broszur Nahimana - uczy nas historia? Jej doświadczenia są tragiczne, napełniają przygnębiającym pesymizmem. Cała historia stosunków Hutu - Tutsi to czarne pasmo nieustających pogromów i rzezi, wzajemnego wyniszczania się, przymusowych migracji, rozjątzonej nienawiści. W małej Ruandzie nie ma miejsca na dwa tak na śmierć i życie skłócone i obce sobie narody. W dodatku ludność Ruandy przyrasta w zawrotnym tempie. W połowie wieku kraj miał dwa miliony mieszkańców, teraz, po pięćdziesięciu latach, mieszka w nim już blisko dziewięć milionów. Jakie jest więc wyjście z tego zakłętego kręgu, z tego okrutnego fatum, któremu winni są zresztą, jak samokrytycznie przyznaje Mugesira, sami Hutu: "W 1959 roku popełniliśmy fatalny błąd, pozwalając, żeby Tutsi uciekli. Powinniśmy wtedy działać: zetrzeć ich z powierzchni ziemi". Profesor uważa, że to ostatni moment, aby ten błąd naprawić. Tutsi muszą wrócić do swojej prawdziwej ojczyzny, gdzieś nad Nilem. Odeślijmy ich tam, nawołuje, "żywych albo martwych". Tak więc uczeni z Butare widzą jako jedyne wyjście - ostateczne rozwiązanie: ktoś musi zginąć, przestać istnieć raz na zawsze. I zaczynają się przygotowania. Armia, która liczyła pięć tysięcy ludzi, została

powiększona do 35 tysięcy żołnierzy. Drugą siłą uderzeniową staje się Gwardia Prezydencka, elitarne, nowoczesne i bogato wyposażone jednostki (instruktorów przysyła Francja, a broń i sprzęt - Francja, RPA i Egipt). Ale największy nacisk kładzie się na tworzenie masowej, paramilitarnej organizacji - Interahamwe (tzn. Uderzmy Razem). Należą do niej i odbywają w niej szkolenia wojskowe i ideologiczne ludzie ze wsi i miasteczek, bezrobotna młodzież i biedne chłopstwo, uczniowie, studenci i urzędnicy - olbrzymia rzesza, istne pospolite ruszenie, którego zadaniem będzie dokonać apokalipsy. Jednocześnie podprefekci i prefekci mają na polecenie rządu sporządzać i dostarczać listy przeciwników władzy, wszelkich ludzi podejrzanych, niepewnych, dwuznacznych, najróżniejszych malkontentów, pesymistów, sceptyków i liberałów. Organem teoretycznym klanu Akazu jest pismo "Kangura", ale głównym źródłem propagandy, a także rozkazów dla niepiśmiennego przecież w większości społeczeństwa jest Radio Mille Collines, które później, w czasie rzezi, nadawać będzie kilka razy dziennie apel: "Śmierć! Śmierć! Groby z ciałami Tutsi są wypełnione dopiero do połowy. Spieszcie się, aby zappełnić je do końca!". W połowie roku 1993 państwa afrykańskie wymusiły na Habyarimanie zawarcie porozumienia z Frontem Narodowym Ruandy (FNR). Partyzanci mieli wejść w skład rządu i parlamentu oraz stanowić czterdzieści procent armii. Ale taki kompromis był nie do przyjęcia dla klanu Akazu. Traciliby monopol władzy, a na to nie chcieli się zgodzić. Uznali, że wybiła godzina ostatecznego rozwiązania. 6 kwietnia 1994 roku "nieznani sprawcy" zestrzelili rakietą w Kigali podchodzący do lądowania samolot, w którym leciał wracający z zagranicy prezydent Habyarimana, zhańbiony podpisaniem kompromisu z wrogami. Było to hasłem do rozpoczęcia rzezi przeciwników reżimu - Tutsi przede wszystkim, ale także licznej opozycji Hutu. Kierowana przez ów reżim masakra bezbronnej ludności trwała trzy miesiące, a więc do momentu, kiedy wojska FNR opanowały cały kraj, zmuszając przeciwnika do ucieczki. Różnie szacują liczbę ofiar. Jedni podają - pół miliona, inni - milion. Tego dokładnie nikt nie obliczy. Przeraża najbardziej to, że wczoraj jeszcze niewinni ludzie wymordowali innych, zupełnie niewinnych ludzi, i to bez żadnego powodu, bez potrzeby. Zresztą gdyby to nawet nie był milion, tylko na przykład jeden niewinny, czy wówczas też nie byłby to dostateczny dowód, że diabeł jest wśród nas, tyle że wiosną 1994 roku przebywał akurat w Ruandzie? Pół miliona-milion zabitych to oczywiście tragicznie dużo. Ale z drugiej strony, znając piekielną siłę rażenia armii Habyarimany, jej helikoptery, cekaemy, artylerię i wozy pancerne, można było w ciągu trzech miesięcy systematycznego strzelania zgładzić o wiele więcej ludzi. A jednak tak się nie stało. Jednak w większości ginęli oni nie od bomb i cekaemów, tylko padali rozsiekani i zatłuczeni bronią najbardziej prymitywną - maczetami, młotami, dzidami i kijami. Bo też liderom reżimu nie tylko chodziło o cel - ostateczne rozwiązanie. Ważne było również, jak się do niego zmierza. Ważne było, aby po drodze do Najwyższego Ideału, jakim miało być unicestwienie wroga raz na zawsze, zawiązała się przestępcza wspólnota narodu, aby przez masowy udział w zbrodni powstało łączące wszystkich jedno poczucie winy, tak by każdy, mając na swoim koncie czyjąś śmierć, wiedział, że odtąd wisi nad nim nieodwołalne prawo odwetu, za którym dostrzeże on widmo swojej własnej śmierci. O ile w systemach hitlerowskim i stalinowskim śmierć zadawali oprawcy z instytucji wyspecjalizowanych - SS czy NKWD, a zbrodnia była dziełem wydzielonych formacji, działających w miejscach ukrytych, to w Ruandzie chodziło o to, żeby śmierć zadał każdy, żeby zbrodnia była produktem masowego, niejako ludowego i wręcz żywiołowego wystąpienia, w którym udział wzięliby wszyscy - aby

nie było rąk, które nie umoczyłyby się we krwi ludzi, uznanych przez reżim za wrogów. Dlatego potem wystraszeni i już pokonani Hutu uciekali do Zairu i tam błakali się z miejsca na miejsce, niosąc na głowach swój nędzny dobytek. Ludzie w Europie, oglądając w telewizorze te nie kończące się kolumny, nie mogli zrozumieć, jaka siła popycha tych wycieńczonych wędrowców, co każe tym szkieletom tak iść i iść, w karnych szeregach, bez przestanku i odpoczynku, bez jedzenia i picia, bez słowa i uśmiechu, pokornie, posłusznie i z pustką w oczach, przemierzać swoją upiorną drogę winy i męki. Czarne kryształowe nocy Na końcu drogi, którą jedziemy, widać staczającą się za horyzont kulę słońca. Kiedy za chwilę przestanie nas oślepiać i zniknie, od razu zapadnie noc i zostaniemy sam na sam z ciemnością. Kątem oka dostrzegam, że prowadzący toyotę Sebuya zaczyna się denerwować. W Afryce kierowcy unikają podróży nocą - ciemność ich niepokoi. Boją się jej tak bardzo, że często odmawiają jazdy po zachodzie słońca. Obserwowałem ich, kiedy mimo wszystko musieli nocą jechać. Zamiast patrzeć przed siebie, zaczynają się nerwowo rozglądać na boki. Ich twarze mają rysy napięte i wyostrome. Na skroniach pojawiają się krople potu. Mimo że drogi są wyboiste, pełne jam, wyrw i dołów, zamiast zwolnić, przyspieszają, pędzą na złamanie karku, byleby dotrzeć do miejsca, gdzie są ludzie, gdzie słyszeć gwar i świeci światło. Jadąc nocą, ni z tego, ni z owego wpadają w panikę, kręcą się, kurczą za kierownicą, jakby ktoś ostrzeliwał samochód. - Kuna nini? - pytam (w swahili: czy stało się coś złego?). Nigdy nie odpowiadają, tylko pędzą dalej w tumanach kurzu, w łoskocie żelastwa. - Hatari? - pytam po jakimś czasie (jakieś niebezpieczeństwo?). Dalej milczą, nie zwracają uwagi. Czegoś boją się, zmagają z jakimś demonem, którego nie widzę i nie znam. Dla mnie ta ciemność ma cechy określone i proste: jest mroczna, prawie czarna, upalna, bezwietrzna i - jeżeli staniemy i Sebuya wyłączy silnik - pełna ciszy. Ale jestem przekonany, że zdaniem Sebuyi na temat ciemności nie wiem właściwie nic. Nie wiem mianowicie, że dzień i noc to są dwie różne rzeczywistości, dwa światy. W dzień człowiek może jakoś radzić sobie z otoczeniem, może istnieć i trwać, nawet żyć spokojnie, natomiast noc czyni go bezbronnym, wystawia na pastwę wrogów, kryje w ciemnościach siły, które czyhają na jego życie. Dlatego lęk, który w ciągu dnia drzemie w sercu człowieka skryty i przytłumiony, w nocy przemienia się w gwałtowny strach, w prześladowającą go, napastującą zmołę. Jakże ważne jest, żeby być wówczas w gromadzie! Obecność innych przynosi nam ulgę, uspokaja nerwy, zmniejsza napięcie. - Hapa? (tutaj?) - pyta mnie Sebuya, kiedy widzimy przy drodze glinianą wioskę. Jesteśmy w zachodniej Ugandzie, niedaleko Nilu, i jedziemy w stronę Konga. Robi się ciemno i Sebuya jest już bardzo zdenerwowany. Widzę, że nie namówię go do dalszej jazdy, więc godzę się, abyśmy tu spędzili noc. Chłopi przyjęli nas bez entuzjazmu, nawet niechętnie, co jest w tych stronach dziwne i zaskakujące. Ale Sebuya wyciągnął plik szylingów i widok pieniędzy, tak przecież dla tych ludzi niezwykle i kuszący, zdecydował, że przygotowali nam zamiecioną i wyłożoną trawą lepiankę. Sebuya szybko zasnął, ale mnie zaraz obudziło ruchliwe i zaczepne robactwo. Pająki, karaluchy, chrząszcze i mrówki, mnóstwo jakichś drobnych, bezgłośnych i zajętych stworzeń, których często nie widać, ale czuje się jak pełzają, czepiają się, łaskoczą i szczypią - żaden sen nie jest możliwy. Długo przewracałem się z boku na bok, wreszcie już zmęczony i pokonany wyszedłem przed lepiankę i siadłem, opierając się o ścianę. Księżyc świecił jasno i noc była widna, srebrna. Panowała cisza, bo w tych stronach rzadko pojawia się samochód, a wszelka zwierzyna dawno już została wybita i zjedzona. Nagle usłyszałem jakieś szmery, stapania, potem trucht bosych

nóg. I cisza. Rozejrzałem się, ale nic z początku nie zobaczyłem. Za chwilę szmery i stapania powtórzyły się. I znowu cisza. Zacząłem przyglądać się kępom rzadkich krzaków, stojącym w oddali parasolowatym akacjom, sterczącym w buszu oddzielnym głazom. Wreszcie dostrzegłem przemykającą się grupę ośmiu mężczyzn, którzy nieśli na prostych, zrobionych z gałęzi, noszach okrytego jakąś płachtą człowieka. Ich sposób poruszania się zwracał uwagę. Ci ludzie nie szli przed siebie, lecz przemykali się, skradali, manewrowali. Przycupnęli za krakiem, rozglądali się i znowu podbiegali do następnej kryjówki. Krążyli, kluczyli, sunęli ukradkiem, jakby grali w podchody. Patrzyłem na ich przykulone, półnagie sylwetki, na nerwowe ruchy, całe to dziwaczne, sekretne zachowanie. W końcu zniknęli mi na dobre gdzieś za załomem skarpy, a wokół mnie była znowu cicha, jasna, nieporuszona noc. O świcie pojechaliśmy dalej. Spytałem Sebuyę, czy wie, jak nazywają się ludzie z wioski, w której spędziliśmy noc. - Nazywają się Amba - powiedział. I po chwili dodał: - Kabila mbaya (znaczy to mniej więcej: źli ludzie). Nie chciał powiedzieć nic więcej - tu ludzie omijają zło nawet jako temat rozmowy, wolą nie wkraczać na ten teren, nie wywoływać wilka z lasu. Jadąc, myślałem o nocnym zdarzeniu, którego byłem przypadkowym świadkiem. Te zagadkowe zygzaki i skręty tragarzy, ich niepokój i pośpiech, całe to nocne misterium kryło w sobie niedostępną mi tajemnicę. O coś musiało tu chodzić. Ale o co? Tacy ludzie jak Amba i ich pobratymcy głęboko wierzą, że światem rządzą siły nadnaturalne. Są to siły konkretne, duchy, które mają imiona, czary, które można określić. To one nadają bieg i sens zdarzeniom, rozstrzygają o naszym losie, decydują o wszystkim. Dlatego w tym, co się dzieje, nic nie jest przypadkowe, przypadek po prostu nie istnieje. Weźmy taki przykład. Sebuya jedzie samochodem, ma wypadek i ginie. Dlaczego właśnie Sebuya miał wypadek? Przecież tego dnia na całym świecie jechały miliony samochodów, które bezpiecznie dotarły do celu, a akurat Sebuya miał wypadek i zginął. Biali ludzie będą szukać różnych przyczyn. Na przykład - że zepsuły mu się hamulce. Ale takie myślenie do niczego nie prowadzi, nic nie objaśnia. Bo dlaczego właśnie Sebuya zepsuły się hamulce? Przecież tego samego dnia na całym świecie jechały miliony samochodów, które miały dobre hamulce, a właśnie Sebuya - złe. Dlaczego? Biali ludzie, których myślenie jest przecież szczytem naiwności, powiedzą, że Sebuya zepsuły się hamulce, bo zawczasu nie pomyślał, aby je sprawdzić i naprawić. Ale dlaczego właśnie Sebuya miał pomyśleć? Przecież tego samego dnia, miliony itd., itd. Widzimy więc, że sposób rozumowania białego człowieka prowadzi donikąd. Gorzej! Biały człowiek, ustaliwszy, że przyczyną wypadku i śmierci Sebuya były złe hamulce, sporządza o tym protokół i zamyka sprawę. Zamyka! Kiedy ona w tym momencie powinna się właśnie zacząć! Bo Sebuya zginął, gdyż ktoś na niego rzucił czary. To jest proste i oczywiste. Nie wiemy natomiast, kto był tym sprawcą, i to właśnie musimy teraz ustalić. Najogólniej - zrobił to czarownik. Czarownik to zły człowiek, zawsze działający w złej intencji. Istnieją dwa rodzaje czarowników (ale język polski tego nie rozróżnia). Pierwszy jest groźniejszy, bo to diabeł w ludzkiej skórze. Anglicy nazywają go - witch. Witch to groźna postać. Ani wygląd, ani zachowanie nie zdradzają jego szatańskiej natury. Nie nosi specjalnych strojów, ani nie ma czarnoksięskich instrumentów. Nie warzy mikstur, nie preparuje trucizn, nie wpada w trans i nie czyni zaklęć. Ten rodzaj czarownika działa siłą mocy psychicznej, z którą się rodzi. Jest ona cechą jego osobowości. To, że czyni źle i przynosi nieszczęścia, nie wynika z jego upodobań. Nie sprawia mu to przyjemności. On po prostu taki jest. Jeżeli jesteśmy blisko - wystarczy, że spojrzy. Czasem ktoś na nas patrzy uważnie,

przenikliwie i długo. Może to być czarownik, który właśnie rzuca na nas czary. Ale to, że będziemy daleko, wcale nie stanowi dla niego przeszkody. Może on rzucać czary z wielkiej odległości, choćby na drugi koniec Afryki albo nawet dalej. Drugi typ czarownika to odmiana bardziej łagodna, słabsza, mniej demoniczna. O ile witch urodził się już jako zło upostaciowane, jako diabeł wcielony, to sorcerer (bo tak nazywa się po angielsku ów słabszy typ) jest czarownikiem profesjonalistą, dla którego rzucanie czarów jest zawodem wyuczonym, rzemiosłem i źródłem utrzymania. Żeby skazać nas na chorobę czy zesłać na nas inne nieszczęście lub zadać nam śmierć, witch nie potrzebuje żadnych środków pomocniczych. Wystarczy, że skieruje w naszą stronę swoją piekielną, niszczycielską wolę zranienia i unicestwienia. Wnet choroba powali nas z nóg, a i rychło nastąpi śmierć. Sorcerer nie ma sam w sobie takich mocy destrukcyjnych. Żeby nas zniszczyć, musi uciec się do różnych zabiegów magicznych, tajemniczych obrzędów, rytualnych gestów. Na przykład jeżeli idziemy nocą przez gęsty busz i tracimy oko, to nie dlatego, że przypadkiem nadzialiśmy się na sterczącą a niewidoczną gałąź. Nic przecież nie dzieje się przypadkiem! To po prostu jakiś nasz wróg chciał się zemścić i poszedł w tej sprawie do czarownika. Czarownik ulepił z gliny figurkę - naszą podobiznę - i kolcem jałowca, umoczoną w kurzej krwi, wydlubał z niej oko. W ten sposób wydał na nasze oko wyrok - rzucił na nie czar. Wystarczy, żebyśmy kiedyś nocą przedzierali się przez gęsty busz i okiem nadziali się na gałąź, a będzie to dowód, że jakiś nasz wróg chciał się na nas zemścić i poszedł w tej sprawie itd. Ale teraz my musimy ustalić, kto był tym wrogiem, i pójść do czarownika, żeby tym razem zamówić u niego naszą zemstę. Jeżeli Sebuya zginął w wypadku, to dla jego rodziny najważniejsze będzie teraz ustalić nie to, czy hamulce były dobre, bo nie ma to przecież żadnego znaczenia, tylko czy czary, które spowodowały tę śmierć, rzucił czarownik-diabeł (witch), czy zwyczajny czarownik-rzemieślnik (sorcerer). Jest to zasadnicze pytanie i w tym kierunku pójdzie całe długie i zawile śledztwo, w które zostaną zaangażowani wróżowie, starcy, znachorzy itd. Wynik tego śledztwa będzie miał kapitalne znaczenie! Bo jeśli Sebuya zginął od czarów czarownika-diabła, to stała się tragedia dla rodziny i klanu, gdyż jego klątwa spada na całą zbiorowość i śmierć Sebui była ledwie zapowiedzią, wierzchołkiem góry lodowej: tylko czekać w rodzinie następnych chorób i zgonów. Jeżeli natomiast Sebuya zginął, bo tak chciał czarownik-rzemieślnik, to nie jest źle, bo rzemieślnik może razić i niszczyć tylko jednostki, tylko cele pojedyncze, więc rodzina i klan mogą spać spokojnie! Zło jest przekleństwem świata i dlatego czarowników, którzy są jego agentami, nosicielami i rozsadanikami, musimy trzymać jak najdalej od siebie i naszego klanu, ponieważ ich obecność zatrzuwa powietrze, rozsiewa zarazę i sprawia, że życie jest niemożliwe, że staje się swoim przeciwieństwem - śmiercią. Jeżeli umarł ktoś bliski, spłonął dom, padła krowa, wiję się z bólu albo leżę bezwładny, powalony atakiem malarii, wiem, co się stało: ktoś rzucił na mnie czary. Toteż jeśli mam siłę, to sam, a jeżeli jestem zbyt słaby, to moja wieś czy klan, zaczynamy poszukiwać winowajcy - czarownika. Ten czarownik, ex definitione, musi żyć i działać wśród innych, w innej wiosce, w innym klanie czy plemieniu. Nasza współczesna podejrzliwość i niechęć do Innego, do Obcego, bierze się jeszcze z owego lęku naszych plemiennych prapraprzodków, którzy widzieli w Drugim, w Obcoplemieńcu, nosiciela zła, źródło nieszczęścia. Przecież ból, pożar, zaraza czy susza i głód nie brały się same z siebie. Ktoś musiał je przynosić, zadawać, rozpleniać. Ale kto? Nie moi, nie najbliżsi, nie nasi - bo ci są dobrzy: życie jest możliwe tylko wśród

ludzi dobrych, a przecież - żyję. Winowajcami są więc Inni, Obcy. Dlatego szukając zemsty za nasze krzywdy i porażki, wchodzimy z nimi w zatargi, popadamy w konflikty, prowadzimy wojny. Słowem, jeżeli spotkało nas nieszczęście, jego źródło nie jest w nas, jest gdzie indziej, na zewnątrz, poza mną i moją społecznością, daleko, w Innych. Dawno już zapomniałem o Sebui, o naszej wyprawie do Konga i nocy spędzonej w wiosce Amba, kiedy lata później, w Maputo, wpadła mi w ręce książka o świecie czarów w Afryce Wschodniej, a w niej raport antropologa E.H. Wintera, w którym zdaje on sprawę z badań, jakie prowadził wśród Amba. Amba, stwierdza Winter, stanowią bardzo osobliwą społeczność. To prawda, że podobnie jak inne ludy kontynentu również oni traktują poważnie istnienie zła i groźbę czarów i z tego powodu boją się i nienawidzą czarowników. Ale w przeciwieństwie do powszechnego przekonania, że czarownicy żyją wśród innych, że działają na zewnątrz, z daleka, Amba utrzymują, że czarownicy są wśród nich, w ich rodzinach, w ich wioskach, że tworzą integralną część ludu. To przekonanie sprawia, że społeczność Amba rozpada się, bo przeżera je nienawiść, niszczy wzajemna podejrzliwość, unicestwia wspólny strach: brat boi się brata, syn - ojca, matka - własnych dzieci, jako że wszyscy mogą być czarownikami. Amba odrzucili tak wygodny i kojący pogląd, że wróg to ktoś obcy, to cudzoziemiec, człowiek innej wiary lub koloru skóry. Nie! Amba opętani masochistyczną myślą żyją w udręce i poniżeniu przekonani, że wróg jest wśród nich, że może w tej chwili być pod moim dachem, spać razem ze mną, jeść z tej samej miski. W dodatku, trudność szczególna jest w tym, że właściwie nie można określić, jak czarownik wygląda. Nikt go przecież nie widział. Wiemy o ich istnieniu dzięki temu, że widzimy skutki ich działań: spowodowali suszę, więc nie ma co jeść, coraz to wybuchają pożary, wielu ludzi jest chorych, ciągle ktoś umiera. Ergo, czarownicy nie spoczywają na chwilę, aby zwać nam na głowy nieszczęścia, klęski, tragedie. Amba są niepiśmienni i wątpliwe, żeby czytali książkę, której autor utrzymuje, że w miarę upływu czasu walka będzie się zaostrzać i pojawi się coraz więcej i więcej wrogów. A jednak sami, na drodze własnego doświadczenia, doszli do podobnej konkluzji. Nie mogli również wyczytać, że w jakimś innym punkcie świata wrogie otoczenie będzie starało się nasylać swoich agentów i rozsadzać zdrową społeczność od wewnątrz. A przecież w wypadku Amba tak właśnie się stało. Amba, którzy stanowili jednolitą, zwartą społeczność, żyją w małych wioskach rozrzuconych w rzadko zalesionym buszu i choć przyjęli, że czarownicy stanowią integralną część ich społeczności, często posądzają sąsiednią wioskę swoich pobratymców, że czarownik, który zesłał nieszczęście, żyje w utajeniu właśnie tam. Wtedy takiej wiosce, którą podejrzewają o zło, wypowiadają wojnę. Napadnięta wioska broni się, a z czasem przystąpi do wojny odwetowej, wówczas, w odpowiedzi, zagrożeni itd., itd. W rezultacie Amba toczą nieustanne wojny między sobą, które osłabiają ich do reszty i czynią bezbronnymi wobec zewnętrznych, obcoplemiennych agresorów. Są jednak tak zajęci sobą, że nie potrafią dostrzec tego zagrożenia. Sparaliżowani widmem wroga wewnętrznego, niepowstrzymanie staczają się w przepaść. Mimo dzielącej ich podejrzliwości i wrogości przygnębiające fatum, które nad nimi zaciążyło, łączy też ich we wspólnotę, sprawia, że potrafią być solidarni. Jeżeli na przykład przekonam się, że żyjący w mojej wiosce utajony czarownik nie daje mi żyć, wówczas przeniosę się do innej wioski i choćby moja wieś była z nią w stanie wojny, będę gościnnie przyjęty. Bo też czarownik może człowieka naprawdę zadreńczyć. Oł, chociażby na ścieżkach, po których chodzimy, zacznie rozkładać kamyczki, listki, piórka, patyczki, zdechłe muchy, włosy małpy lub skórki mango. Wystarczy, abyśmy na jedną z tych rzeczy

weszli - zaraz rozchorujemy się i umrzemy. A przecież na każdej ścieżce mogą leżeć podobne drobiazgi. Więc praktycznie nie można się ruszyć? Tak, nie można. Człowiek boi się nawet wyjść z lepianki, bo od razu na progu może leżeć kawałek kory baobabu albo zatruty kolec akacjowca. Czarownik chce nas zamęczyć na śmierć - oto, do czego dąży. W dodatku nie ma na niego lekarstwa, nie wiadomo, jak się bronić. Jedynym ratunkiem jest ucieczka. Oto dlaczego ludzie, których widziałem wówczas nocą, jak nieśli chorego na noszach, przemykali się chyłkiem, uciekali. Czarownik rzucił na chorego czary, a choroba była sygnałem, że szykuje on jego zgon. I dlatego krewni pod osłoną nocy próbowali schować gdzieś ofiarę, ukryć ją przed wzrokiem czarownika, aby w ten sposób uratować jej życie. Choć nikt nie wie, jak wygląda czarownik, dużo o nim wiemy. Porusza się tylko nocą. Uczestniczy w sabatach, na których zapadają na nas wyroki. Śpimy, a tam zdecydowano o naszym nieszczęściu, którego się nawet nie spodziewamy. Może on przenosić się w dowolne miejsce z wielką szybkością, nawet szybciej niż błyskawica. Pasjami lubi ludzkie mięso, przepada za ludzką krwią. Nie mówi, nie znamy jego głosu. Nie znamy rysów twarzy, kształtu głowy. Ale być może urodzi się kiedyś człowiek o takim wzroku i takiej sile woli, że usilnie wpatrując się w ciemności nocy, zobaczy, jak zaczynają one gęstnieć, tężeć, skupiać w czarne kryształy i jak coraz wyraźniej układają się one w milczącą i mroczną twarz czarownika. Ci ludzie, gdzie są? Ci ludzie, którzy tu powinni być - gdzie są? Pada deszcz i jest zimno. Chmury wiszą nisko - gęste, ciemne, nieruchome. Jak okiem sięgnąć - bagna, mokradła, rozlewiska. Jedyna droga, która tu prowadzi - też zalana wodą. Nasze wozy, choć to potężne terenówki, dawno ugrzęzły w błocie, zagrzebały się w czarnej, lepkiej mazi i stoją najdziwniej poprzecyłane, unieruchomione w koleinach, w kałużach, w wądołach. Musieliśmy wysiąść i dalej iść pieszo, moknąć w strumieniach ulewy. Idąc, mijamy wystającą wysoko skałę - na jej szczycie stado pawianów przygląda nam się uważnie i niespokojnie. W trawie przy drodze widzę człowieka - siedzi skulony, pokurczony, w malarycznych dreszczach - nie wyciąga rąk, nie żebrze, patrzy na nas wzrokiem, w którym nie ma ani prośby, ani nawet ciekawości. W tle, daleko, widać kilka zniszczonych baraków. Ale poza tym - pusto. I mokro - bo to pora deszczowa. To miejsce, gdzie jesteśmy, nazywa się Itang. Itang leży w zachodniej Etiopii, blisko granicy Sudanu. Od kilku lat znajdował się tu obóz 150 tysięcy Nuerów - uchodźców z wojny sudańskiej. Jeszcze kilka dni temu byli tu. A dzisiaj jest pusto. Gdzie poszli? Co się z nimi stało? Jedyne, co narusza martwość tych bagien, jedyne, co słyszeć, to rechot żab, jakiś obłądny, ropuszy wrzask, donośny, hałaśliwy, ogłuszający. Latem 1991 roku wysoki komisarz NZ do spraw uchodźców Sadako Ogata udała się do Etiopii odwiedzić obóz w Itang. Dostałem propozycję, żeby jej towarzyszyć. Rzuciłem wszystko i pojechałem, ponieważ była to rzadka okazja, by dotrzeć do takiego obozu. Warto wspomnieć, że z różnych przyczyn obozy te znajdują się na ogół w miejscach odległych i odosobnionych, do których dojazd jest trudny, a wstęp najczęściej wzbroniony. Życie w nich jest udręką, smutną wegetacją, ciągle na granicy śmierci. Jednak poza grupą lekarzy i pracowników różnych organizacji charytatywnych ludzie mało wiedzą na ten temat, ponieważ takie miejsca zbiorowego cierpienia świat skrupulatnie izoluje i nie chce o nich słyszeć. Uważałem zawsze za niemożliwe, żeby zobaczyć Itang. Aby się tam dostać, należy najpierw znaleźć się w Addis Abebie. Tam trzeba by wynająć (ale od kogo?) i opłacić (ale za co?) samolot do odległej o pięćset kilometrów Gambeli, jedynej miejscowości w pobliżu Itang, która ma lotnisko. To już granica z Sudanem, więc nieopisanie trudno byłoby zdobyć pozwolenie na lądowanie. Ale założmy, że mamy

samolot i nawet pozwolenie. Przylatujemy do Gambeli. Gdzie się udać? Do kogo pójść w tym biednym miasteczku, gdzie na rynku, w strugach ulewy, stoi nieruchomo kilku bosonogich Etiopczyków? Stoi, myśląc o czym? Czekając na co? A my skąd w Gambeli mamy wziąć samochód, kierowcę, ludzi do wyciągania wozu z błota, liny i łopaty? Skąd żywność? Ale założmy, że to wszystko mamy. Kiedy byśmy dojechali na miejsce? Czy wystarczyłby jeden dzień? Ile posterunków po drodze musielibyśmy przekonać, przebłagać, przekupić, aby pozwoliły nam jechać dalej? Aż w końcu, już u celu przy bramie, wartownik kazałby nam wrócić, bo w obozie akurat panuje epidemia cholery czy dyzenterii, albo nie ma komendanta, który musi dać zgodę, albo kogoś, kto mógłby tłumaczyć rozmowę z Nuerami, mieszkańcami obozu. Czy też, jak dzieje się to właśnie teraz, za bramą nie zobaczylibyśmy już nikogo, żywej duszy. Sudan to pierwszy kraj Afryki, który po II wojnie światowej uzyskał niepodległość. Wcześniej był brytyjską kolonią sztucznie, biurokratycznie zlepioną z dwóch członów: arabsko-muzułmańskiej Północy i "murzyńsko"-chrześcijańskiego (i animistycznego) Południa. Między tymi dwiema społecznościami istniał zadawniony antagonizm, wrogość i nienawiść, ponieważ Arabowie z Północy latami najeżdżali Południe, łapali jego mieszkańców i sprzedawali jako niewolników. Jak owe nieprzyjazne sobie światy mogły żyć w jednym, niepodległym państwie? Nie mogły - i o to właśnie Anglikom chodziło. W tamtych latach stare, europejskie metropolie były przekonane, że choć formalnie zrezygnują z kolonii, faktycznie i tak będą w nich rządzić, np. w Sudanie, stale godząc muzułmanów z Północy z chrześcijanami i animistami z Południa. Wkrótce jednak niewiele z tych imperialnych złudzeń pozostało. Jeszcze w 1962 roku w Sudanie wybuchła pierwsza wojna domowa między Południem i Północą (poprzedzona już wcześniejszymi buntami i powstaniem na Południu). Kiedy w 1960 roku jechałem na Południe po raz pierwszy, poza wizą sudańską musiałem mieć jeszcze wizę specjalną, na osobnym blankiecie. W Dżubie, największym mieście Południa, zabrał mi ją oficer służby granicznej. - Jak to! - zachnąłem się - przecież potrzebuję jej, żeby dojechać do granicy Konga, która jest dwieście kilometrów stąd. Oficer pokazał nie bez dumy na siebie: - To ja tu jestem granicą! - powiedział. W istocie, poza rogatkami miasta rozciągała się ziemia, nad którą już rząd w Chartumie nie miał wielkiej władzy. I tak jest do dzisiaj - Dżubę ochrania garnizon arabski z Chartumu, a prowincja jest w rękach partyzantów. Pierwsza wojna sudańska ciągnęła się dziesięć lat - do roku 1972. Potem, przez następne dziesięć lat, panował kruchy, nietrwały pokój, po czym, w 1983 roku, kiedy islamski rząd w Chartumie próbował narzucić całemu krajowi islamskie prawo (szaria), zaczęła się nowa, najstraszniejsza faza tej trwającej do dzisiaj wojny. Jest to najdłuższa i największa wojna w historii Afryki i prawdopodobnie największa w tej chwili na świecie, ale jako że toczy się na głębokiej prowincji naszej planety i bezpośrednio nikomu, np. w Europie czy Ameryce, nie zagraża, nie budzi większego zainteresowania. W dodatku teatry tej wojny, jej rozległe i tragiczne pola śmierci, są - z powodu trudności komunikacyjnych i drastycznych restrykcji Chartumu - praktycznie niedostępne dla mediów, większość ludzi na świecie nie ma najmniejszego pojęcia, że w Sudanie toczy się wielka wojna. A toczy się ona na wielu frontach i wielu płaszczyznach, z których konflikt Północy z Południem nie jest już dziś nawet najważniejszy. W dodatku może mylić, skrzywiać prawdziwy obraz rzeczywistości. Zaczniemy od północy tego olbrzymiego kraju (dwa i pół miliona kilometrów kwadratowych). Północ to w dużej części Sahara i Sahel, co kojarzy nam się z bezkresem piasku i rumowiskami zwietrzałych kamieni. W istocie północny Sudan to i piaski, i kamienie, ale nie tylko. Kiedy

lecimy z Addis Abeby do Europy i nadlatujemy nad tę część Afryki, mamy pod sobą widok niezwykły: daleko, daleko rozciąga się żółtozłota powierzchnia Sahary. I oto przez jej środek przebiega wielki, intensywnie zielony pas pól i plantacji leżących nad płynącym tu szerokimi, łagodnymi półkolami Nilem. Granica między głęboką ochrą Sahary i szmaragdem tych pól jest jakby wytyczona nożem: nie ma tu żadnych pasów pośrednich, żadnego stopniowania - kończy się ostatnia roślina plantacji i zaraz zaczynają się pierwsze grudki pustyni. Otóż, kiedyś te nadrzeczne pola dawały życie milionom arabskich fellachów i bytującym tam ludom koczowniczym. Ale potem, zwłaszcza od połowy XX wieku i już po niepodległości, rozwinął się proces rugowania fellachów przez ich bogatych pobratymców z Chartumu, którzy wspólnie z generalicją, przy pomocy armii i policji, wchodzili w posiadanie owych żyznych ziem nadnilańskich, tworząc na nich gigantyczne plantacje roślin eksportowych - bawełny, kauczuku, sezamu. Tak powstała silna klasa arabskich latyfundystów, która w aliansie z generalicją i elitą biurokratyczną objęła w 1956 roku władzę i sprawuje ją do dziś, prowadząc wojnę z "murzyńskim" Południem, które traktuje jak kolonię, i jednocześnie gnębiąc swoich etnicznych ziomków - Arabów z Północy. Wywłaszczeni, wyrzuceni, pozbawieni ziemi i stad Arabowie sudańscy gdzieś muszą podziąć się, coś z sobą zrobić, znaleźć źródło utrzymania. Część z nich władcy z Chartumu wcieli do coraz liczniejszej armii. Część w szeregi ogromnej policji i biurokracji. Ale reszta? Te rzesze bezrolnych i wykorzenionych? Resztę reżim będzie starał się kierować na Południe. Mieszkańców Północy jest około dwudziestu milionów, Południa - około sześciu. Ci ostatni dzielą się na dziesiątki plemion, mówiących wieloma językami, wyznających różne religie i kultury. W owym wieloplemiennym morzu Południa wyróżniają się jednak dwie wielkie społeczności, dwa ludy, stanowiące łącznie połowę mieszkańców tej części kraju. To Dinka i spokrewnieni z nimi (choć czasem i skłóceni) Nuerowie. I jednych, i drugich poznać na odległość: są wysocy, dwumetrowi, szczupli i mają bardzo ciemny odcień skóry. Piękna, postawna, pełna godności, a nawet trochę wyniosła rasa. Od lat antropolodzy zastanawiają się, skąd oni tacy wysocy i szczupli. Żywią się właściwie tylko mlekiem, czasem krwią swoich krów, które hodują, czczą i kochają. Krów tych zabijać nie wolno i nie wolno dotykać ich kobietom. Swoje życie Dinka i Nuer podporządkowali wymogom i potrzebom tych krów. Porę suszy spędzają z nimi w pobliżu rzek - Nilu, Ghazalu i Sobatu przede wszystkim, a w porze deszczowej, kiedy na odległych płaskowyżach zaczyna zielenić się trawa, zostawiają rzeki i ruszają z bydłem w tamte strony. W tym odwiecznym rytmie, w tej wahadłowej, niemal rytualnej wędrówce między brzegami rzek a pastwiskami na płaskowyżach Górnego Nilu upływa życie Dinki i Nuera. Żeby istnieć, muszą mieć przestrzeń, ziemię bez granic, otwarty, szeroki horyzont. Zamknięci - chorują, zamieniają się w szkielety, gasną, umierają. Nie wiem, od czego zaczęła się ta wojna. To było tak dawno! Jacyś żołnierze z armii rządowej ukradli Dinkom krowę? Dinka poszli tę krowę odbić? Zaczęła się strzelanina? Padli zabici? Jakoś tak to musiało wyglądać. Oczywiście krowa była pretekstem. Arabscy lordowie z Chartumu nie mogli się zgodzić, żeby pastuchy z Południa miały te same prawa co oni. Ludzie z Południa nie chcieli, żeby w niepodległym Sudanie zarządzili nimi synowie handlarzy niewolników. Południe domagało się secesji, własnego państwa. Północ postanowiła rebeliantów zniszczyć. Zaczęły się masakry. Podają, że do dziś wojna ta pochłonęła półtora miliona ofiar. Najpierw przez dziesięć lat działał na Południu żywiołowy, słabo zorganizowany ruch partyzancki Anya-Nya. Potem, w 1983 roku, zawodowy pułkownik John Garang, Dinka, zorganizował Sudańską Ludową Armie

Wyzwoleńczą (SPLA), która kontroluje większość obszarów Południa. To długa wojna, która nasila się, przygasa i znowu wybucha. Choć trwa tyle już lat, nie słyszałem, żeby ktoś próbował napisać jej historię. W Europie na temat każdej wojny są półki książek, archiwa pełne dokumentów, specjalne sale w muzeach. W Afryce nie ma nic podobnego. Wojna, nawet najdłuższa i największa, szybko tonie tu w niepamięci, popada w zapomnienie. Jej ślady znikają na drugi dzień: martwych trzeba od razu pogrzebać, na miejscu spalonych lepierek postawić nowe. Dokumenty? Nigdy ich nie było. Nie ma rozkazów na piśmie, map sztabowych, szyfrów, ulotek, odezw, gazet, korespondencji. Nie ma zwyczaju pisania wspomnień i pamiętników (zresztą najczęściej nie ma po prostu papieru). Nie ma tradycji i pisania historii. Poza wszystkim - kto miałby to robić? Nie ma zbieraczy pamiątek, muzealników, archiwistów, historyków, archeologów. I nawet lepiej, że na polach wojny nikt się tu taki nie kręci. Od razu wpadłby w oko policji, trafił do więzienia i - podejrzany o szpiegostwo - zostałby rozstrzelany. Tu historia pojawia się nagle, spada jak deus ex machina, zbiera swoje krwawe żniwo, porywa ofiary i znika bez śladu. Kim ona jest? Dlaczego właśnie na nas rzuciła swój potępieńczy urok? Niedobrze o tym myśleć. Lepiej w to nie wnikać. Wracając do Sudanu. Wojna, która zaczęła się tam, pod wzniosłymi hasłami, jako dramat młodego państwa (Północ: musimy utrzymać jedność kraju, Południe: walczymy o niepodległość), z czasem degeneruje się i staje wojną różnych kast militarnych przeciw własnemu narodowi, wojną uzbrojonych przeciw bezbronnym. Bo dzieje się to wszystko w kraju biednym, w kraju ludzi głodnych, w którym jeżeli ktoś sięga po broń, po maczetę i automat, to przede wszystkim żeby zagrabić pożywienie, żeby się najeść. To wojna o garść kukurydzy, o miskę ryżu. A wszelki rabunek jest tu tym łatwiejszy, że jesteśmy w kraju ogromnych przestrzeni i bezdroży, słabej komunikacji i łączności, małego i rozproszonego zaludnienia, a więc w warunkach, w których rozbój, łupież i bandytyzm uchodzą bezkarnie, choćby z braku jakiegokolwiek kontroli i nadzoru. Trzy są rodzaje sił zbrojnych, które prowadzą tę wojnę. Więc jest armia rządowa - instrument w rękach elity chartumskiej - dowodzona przez prezydenta, generała Omara al-Bashira. Z armią tą współdziałają liczne jawne i tajne policje, bractwa muzułmańskie, prywatne służby wielkich właścicieli. Przeciw tej sile rządzącej stoją partyzanci SPLA pułkownika Johna Garanga i różne formacje na Południu, które się od SPLA oderwały. I jest wreszcie trzecia kategoria ludzi uzbrojonych - to nieskończona liczba tzw. militias - paramilitarnych grup młodych ludzi (często dzieci) o proveniencji plemiennej, dowodzona przez różnych lokalnych czy klanowych watażków, którzy w zależności od sytuacji i korzyści będą współdziałać albo z armią, albo z SPLA (militias to w Afryce produkt ostatnich lat, zanarchizowana agresywna i rosnąca siła, która rozsadza państwa, armie, zorganizowane ruchy partyzanckie i polityczne). Przeciw komu te wszystkie wojska, oddziały i fronty, zagony, służby i zaciągi? Tak liczne i przez tyle lat walczące? Czasem przeciw sobie, ale najczęściej przeciw własnemu narodowi, a więc bezbronnym, a to w szczególności znaczy - kobietom i dzieciom. Ale dlaczego właśnie przeciw kobietom i dzieciom? Czyżby tymi uzbrojonymi mężczyznami kierował jakiś zoologiczny antyfeminizm? Oczywiście - nie. Atakują oni i grabią zgrupowania kobiet i dzieci, ponieważ to do nich kierowana jest pomoc ze świata, to dla nich przeznaczone są worki z mąką i ryżem, skrzynki sucharów i mleka w proszku, rzeczy, na które nikt w Europie nie zwróciłby większej uwagi, ale tu, między szóstym a dwunastym stopniem szerokości geograficznej, są cenniejsze nad wszystko. Zresztą nie zawsze owe skarby trzeba tym kobietom zabierać. Wystarczy

po prostu, kiedy samolot przywiezie żywność, otoczyć go, zabrać worki i skrzynki i zanieść lub zawieźć je do swojego oddziału. Od lat reżim w Chartumie posługuje się bronią głodu, aby unicestwić ludność Południa. Robi dziś z Dinkami i Nuerami to, co zrobił Stalin z Ukraińcami w 1932 roku: głodzi ich na śmierć. Ludzie nie głodują dlatego, że na świecie nie ma żywności. Jest jej pełno, w nadmiarze. Ale między tymi, którzy chcą jeść, a pełnymi magazynami stoi wysoka przeszkoda: gra polityczna. Chartum ogranicza loty z pomocą dla głodujących. Wiele samolotów docierających na miejsce jest grabionych przez miejscowych watażków. Kto ma broń, ten ma żywność. Kto ma żywność, ten ma władzę. Obracamy się tu wśród ludzi, którzy nie myślą o transcendencji i istocie duszy, o sensie życia i naturze bytu. Jesteśmy w świecie, w którym człowiek, czołgając się, próbuje wygrzebać z błota kilka ziaren zboża, żeby przeżyć do następnego dnia. Itang: Poszliśmy tam, gdzie stały baraki. Musiał to być szpitalik, teraz przez kogoś zdewastowany, zrujnowany. Przez kogo? Łóżka powywracane, stoły połamane, szafki pootwierane. Nowy aparat rentgenowski rozbity kamieniami, pogięty, jego dźwignie wyrwane, tablica z pokrętlami i zegarami - zmiażdżona. Mógł to być jedyny aparat do prześwietleń w promieniu pięciuset kilometrów. Teraz ktoś zrobił z niego bezużyteczny złom. Ale kto? I dlaczego? Obok agregat na prąd, też pognieciony, zdewastowany. Jedyne przedmioty techniki (poza, oczywiście, bronią) na wielkim obszarze - unieruchomione, do wyrzucenia. Szliśmy stamtąd groblą na jedyny suchy plac. Po obu stronach stała woda, cuchnęło zgnilizną, szalały moskity. Mokradła i mokradła, a na nich jakieś szalasy, w większości puste, ale w niektórych siedzą albo leżą ludzie. W wodzie? Tak, w wodzie, widzę to przecież. W końcu zebrano stu-dwustu ludzi. Ktoś kazał im stanąć w półkolu. Stali milczący, bez ruchu. Gdzie poszli inni, te sto pięćdziesiąt tysięcy, gdzie ruszyli jak jeden mąż w jedną noc? Do Sudanu. Dlaczego? Liderzy kazali. Ci z obozu to ludzie od lat głodni, już bez rozumienia, bez orientacji, bez woli. Dobrze, że ktoś jeszcze coś każe, że wie, iż są, coś od nich chce. Dlaczego nie wyszli z obozu z innymi? Nie można się dowiedzieć. Czy o coś proszą? Nie, o nic. Tak długo, jak będą dostawać pomoc, będą żyć. Jeżeli zabraknie pomocy - umrą. Ale wczoraj dostali pomoc. I przedwczoraj. Więc naprawdę nie jest źle i nie ma o co prosić. Jakiś starszy mężczyzna daje im znak do rozejścia. Jeszcze pytam, czy wolno zrobić zdjęcie? Oczywiście, że wolno. Tu wszystko wolno. Studnia Ktoś budzi mnie, czuję ostrożne, lekkie dotknięcie. Twarz, która pochyla się nade mną, jest ciemna, widzę nad nią biały turban, tak jasny, że niemal świecący, jakby pociągnięty fosforem. Jest jeszcze noc, ale wokół panuje ruch. Kobiety rozbierają szalasy, chłopcy układają chrust na ognisku. Jest pośpiech w tej krzątaninie, wyścig z czasem: zrobić jak najwięcej, nim pojawi się słońce i zacznie upaść. Trzeba więc szybko zwinać nocne koczowisko i ruszyć w drogę. Ci ludzie nie czują żadnego związku z miejscem, w którym są. Zaraz stąd pójdą, nie zostawiając śladu. W swoich dumkach, które śpiewają wieczorem, ciągle będzie powtarzać się refren: "Moja ojczyzna? Moja ojczyzna jest tam, gdzie pada deszcz". Ale do wieczora jeszcze daleko. Najpierw trzeba przygotować się do drogi. Więc przede wszystkim napoić wielbłądźce. To trwa długo, bo mogą one pochłoniąć ogromne ilości wody, niejako na zapas, czego nie potrafi ani człowiek, ani żadne inne stworzenie. Następnie doją je chłopcy, napęniając kwaskowym, gorzkawym mlekiem płaskie skórzane bukłaki. Potem piją ze studni owce i kozy. Jest ich może dwieście. Tych stąd doglądają kobiety. Na koniec piją ludzie - mężczyźni pierwsi, po nich kobiety i dzieci. Na horyzoncie pojawia się teraz pierwsza świetlista linia - zapowiedź dnia i wezwanie do porannej modlitwy.

Modlą się mężczyźni, obmywszy najpierw twarz garstką wody, przy czym to mycie wymaga takiego samego skupienia jak modlitwa: żadna kropla, podobnie jak żadne słowo boże, nie mogą być stracone. Kobiety rozdają teraz mężczyznom po czarce herbaty. Jest to herbata gotowana z cukrem i z miętą, gęsta jak miód i posilna, w porze suchej, kiedy brakuje jedzenia, musi ona wystarczyć za całodienne pożywienie, aż do następnej czarki - na kolację. Pojawia się słońce, robi się jasno, a to już najwyższa pora, żeby ruszać w drogę. Najpierw idzie stado wielbłądów prowadzone przez mężczyzn i chłopców. Potem w tumanach kurzu kotłują się owce i kozy. I zaraz za nimi kobiety i dzieci. W takiej kolejności zwyczajowo kroczy gromada ludzi i zwierząt, ale tym razem, na samym jej końcu, idą jeszcze Hamed ze swoim osłem, a także, na dokładkę, ja. Hamed to drobny kupiec z Berbery, w którego hoteliku nocowałem. Kiedy powiedział mi, że rusza ze swoimi kuzynami do brata w Las Anod, poprosiłem go, by mnie zabrał ze sobą. Ale gdzie jest Berbera? Gdzie Las Anod? Obie miejscowości leżą w północnej Somalii. Berbera - nad Zatoką Adeńską, a Las Anod na Płaskowyżu Haud. A więc moi współtowarzysze modlili się rano zwrócenie na północ, tj. w stronę Mekki, mając słońce po prawej stronie, podczas gdy teraz, kiedy ruszamy w drogę, jest ono po stronie lewej. Oto geografia tutejszego świata - zawiła, pomieszana, ale nie daj Boże coś tu pomylić, w miejscowych, pustynnych warunkach taka pomyłka oznacza śmierć. Kto był kiedyś w tych stronach, wie, że są to najgorętsze miejsca na ziemi. Ale tylko ktoś, kto je poznał, będzie wiedział, o czym mówię. Bo dzień w porze suchej, zwłaszcza jego godziny południowe są nie dającym się wytrzymać piekłem. Naprawdę smaży się w ogniu. Naprawdę wokół wszystko się pali. Nawet cień jest gorący, nawet wiatr - rozżarzony. Jakby przesuwiał się w pobliżu rozpalony, kosmiczny meteoryt swoim termicznym promieniowaniem zamieniał wszystko w popiół. O takiej porze ludzie, zwierzęta i rośliny nieruchomią, drętwieją. Zapada milczenie, zapada martwa, przejmująca cisza. Otóż teraz właśnie idziemy pustymi bezdrożami naprzeciw temu oślepiającemu zjawisku, jakim jest tu szczyt gorącego dnia, naprzeciw temu męczącemu doświadczeniu spiekoty i wyczerpania, przed którym w dodatku nie ma dobrego schronienia ni ucieczki. Nikt nie rozmawia, jakby całą uwagę i energię pochłaniał marsz, choć jest on przecież zajęciem codziennym, monotonną rutyną, sposobem życia. Tylko od czasu do czasu słychać uderzenia kija o grzbiet leniwej wielbłądzicy albo pokrzykiwania kobiet na niesforne kozy. Zbliża się jedenasta, kiedy kolumna zwalnia, a potem przystaje i rozprasza się. Każdy stara się teraz ukryć przed słońcem. Jedynym sposobem jest wejść pod rosnące tu gdzieś rozłożyste, rosochate akacjowce, których płaskie, postrzępione korony mają kształt parasola: tam jest cień, ukryta odrobina chłodu. Bo poza tymi drzewami wszędzie tylko piach i piach. Tu i tam jakieś pojedyncze, kolczaste, rozcapierzone krzaki. Kępy wypalonej, szorstkiej trawy. Wypustki szarych, kruchych mchów. I już tylko rzadko: wystające kamienie, zwietrzałe głazy, bezładne skalne usypiska. - Nie lepiej było zostać tam, przy studni? - pytam, skonany, Hameda. Ledwie jesteśmy w drodze trzeci dzień, a nie mam już siły dalej iść. Siedzimy oparci o sękaty pień drzewa, w wąskim kręgu cienia, tak kusym, że mieści się w nim jeszcze tylko głowa osiołka, a cały jego tułów smaży się w słońcu. - Nie - odparł - bo od zachodu idą Ogadeni, a nie mamy dość siły, żeby się im oprzeć. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że nasza wędrówka nie jest zwykłym przemieszczaniem się z miejsca na miejsce, ale idąc, uczestniczymy w walce, w nieustannych i niebezpiecznych manewrach, w zmaganiach i w starciach, które w każdej chwili mogą źle się zakończyć. Somalijczycy stanowią jeden, kilkumilionowy naród. Mają

wspólny język, historię i kulturę. To samo terytorium. I tę samą religię - islam. Około jednej czwartej tej społeczności mieszka na południu i zajmuje się rolnictwem, uprawiając sorgo, kukurydzę, fasolę i banany. Ale większość to właściciele stąd, nomadzi, koczownicy. Właśnie wśród nich teraz jestem, na wielkim półpustynnym obszarze, gdzieś między Berberą a Las Anod. Somalijszczyk dzieli się na kilka wielkich klanów (takich jak Issaq, Daarood, Dir, Hawiye), te z kolei na klany mniejsze, których są dziesiątki, a te na grupy krewniacze, których są setki, nawet tysiące. Układy, sojusze i konflikty w tych związkach i konstelacjach rodowych składają się na historię somalijskiej społeczności. `nv Studnia (cd.) Somalijszczyk rodzi się gdzieś w drodze, w szalasie-jurcie albo wprost pod odkrytym niebem. Nie będzie znał swojego miejsca urodzenia, nigdzie nie zostanie ono zapisane. Podobnie jak jego rodzice nie będzie pochodził z żadnej wsi ani miasta. Ma tylko jedną tożsamość - ustanawia ją związek z rodziną, z grupą krewniaczą, z klanem. Kiedy spotyka się dwóch nieznajomych, zaczynają od pytania: - Kim jestem? - Jestem Soba, z rodziny Ahmada Abdullaha, a rodzina ta należy do grupy Mussy Araye, a grupa ta jest z klanu Haseana Saída, a klan ten jest częścią związku klanowego Issaq itd. Po tej prezentacji ów drugi nieznajomy podaje z kolei szczegóły swojej przynależności, określa własne korzenie, a wymiana tych informacji trwa długo i jest niezmiernie ważna, bo obaj nieznajomi próbują ustalić, czy coś ich łączy, czy dzieli, czy padną sobie w objęcia, czy rzucą na siebie z nożami. Przy czym osobista relacja tych ludzi, prywatna sympatia czy antypatia nie mają znaczenia, ich wzajemny stosunek, przyjazny lub wrogi, zależy od układów, jakie istnieją w danej chwili między obu klanami. Człowiek, poszczególny, odrębny człowiek nie istnieje, liczy się tylko jako częśćka tego lub innego rodu. Kiedy chłopiec ma osiem lat, dostępuje wielkiego zaszczytu: będzie się odtąd razem z kolegami opiekować stadem wielbłądów - największym skarbem somalijskich nomadów. Wszystko wśród nich mierzy się wartością wielbłądów - bogactwo, władzę, życie. Życie przede wszystkim. Jeżeli Ahmed zabije kogoś z innego rodu, ród Ahmada musi zapłacić odszkodowanie. Jeżeli zabił mężczyznę - sto wielbłądów, jeżeli kobietę - pięćdziesiąt. Inaczej - wojna! Bez wielbłąda człowiek nie może istnieć. Żywi się mlekiem wielbłądzicy. Na jej grzbiecie przenosi swój dom. Tylko za jej cenę może stworzyć rodzinę: pozyskanie żony wymaga rekompensaty dla jej rodu - w wielbłądach. Wreszcie płacąc tymi zwierzętami odszkodowanie, ratuje swoje życie. Stado, jakie posiada każda grupa krewniacza, składa się z wielbłądów, owiec i kóz. Ziemi nie można tu uprawiać. To suchy gorący piasek, który nic nie rodzi. Więc tylko stado jest źródłem utrzymania i życia. Ale zwierzęta potrzebują wody i pastwisk. Tymczasem nawet w porze deszczowej jest ich mało, a w porze suchej większość pastwisk znika w ogóle, a sadzawki i studnie robią się płytkie albo zupełnie tracą wodę. Nastaje susza i głód, bydło pada, a wielu ludzi umiera. Teraz mały Somalijszczyk zaczyna poznawać swój świat. Uczy się go. Te pojedyncze akacjaowce, te stargane darnie, te samotne, słoniowate baobaby stają się znakami, które mówią mu, gdzie jest i którędy powinien iść. Te wysokie głazy, pionowe uskoki kamienne, sterczące nawisy skalne, dają mu wskazówki, pokazują kierunki, nie pozwalają zabłądzić. Ale ów pejzaż, który zrazu wydaje mu się już czytelny i znajomy, szybko pozbawia go tej pewności siebie. Bo okazuje się, że te same miejsca, te same labirynty i kompozycje otaczających go znaków wyglądają inaczej spalone przez suszę, a inaczej, kiedy w porze deszczowej pokryją się bujną zielenią, że te same szczeliny i zręby skalne będą miały inny kształt, głębię i barwę w poziomych promieniach porannego słońca, a inny w południe, w promieniach

pionowych. Wtedy ów malec zrozumie, że ten sam pejzaż kryje w sobie wiele różnych i zmieniających się kompozycji i że trzeba wiedzieć, kiedy i w jakiej kolejności następują one po sobie i co znaczą, co mu mówią, przed czym ostrzegają. I to jest pierwsza jego lekcja: że świat mówi i to mówi wieloma językami, których trzeba stale się uczyć. Ale w miarę, jak płynie czas, chłopiec odbiera i inną lekcję: poznaje swoją planetę, swoją mapę i wytyczone na niej szlaki i drogi, ich bieg, rysunek i kierunki. Bo choć na pozór wokół nie widać nic, tylko nagie bezludne pustkowia, w rzeczywistości ziemie te przecinają liczne szlaki i trakty, ścieżki i gościńce, co prawda niewidoczne na piasku i skałach, ale przecież głęboko odcisnięte w pamięci ludzi od wieków tamtędy wędrujących. I w tym miejscu zaczyna się wielka gra somalijska, gra o przetrwanie, o życie. Bo owe szlaki prowadzą od studni do studni, od pastwiska do pastwiska. Otóż w wyniku wiekowych wojen, konfliktów i przetargów każda grupa krewniacza, każdy związek i klan mają swoje tradycją uznane trasy, studnie i pastwiska. Sytuacja jest mniej więcej idealna, kiedy jest rok obfitych deszczów i bujnych pastwisk, a stada nie są liczne i na świat nie przybyło zbyt wielu ludzi. Ale niech tylko przyjdzie susza, która zdarza się przecież często, niech znikną trawy i wyczerpią się studnie! Cała ta misternie latami utkana siatka ścieżek i dróg, tak przebiegających, aby klany omijały się, nie stykały i nie wchodziły sobie w paradę, naraz traci ważność, gmatwa się, rozluźnia i pęka. Zaczyna się rozpaczliwe poszukiwanie studni, w których jeszcze jest woda, próba dotarcia do nich za wszelką cenę. Zewsząd ludzie pędzą stada do tych niewielu miejsc, gdzie jeszcze zachowała się odrobina trawy. Sucha pora staje się okresem gorączki, napięcia, furii i wojen. Najgorsze cechy wychodzą wówczas z ludzi: nieufność, podstęp, pazerność, nienawiść. Hamed mówi mi, że ich poezja często opowiada o dramacie i zagładzie tych klanów, które idąc przez pustynię, nie zdołały już dotrzeć do studni. Taka tragiczna wędrówka trwa całe dni, nawet tygodnie. Najpierw padają owce i kozy. Mogą one wytrzymać bez wody tylko kilka dni. Potem przychodzi kolej na dzieci. - Potem dzieci - mówi, ale nic nie dodaje. Ani jak reagują matki i ojcowie, ani jak wyglądają pogrzeby. - Potem dzieci - powtarza i znowu milknie. Jest teraz tak gorąco, że nawet mówienie przychodzi z trudem. Właśnie minęło południe i nie ma czym oddychać. - Potem giną kobiety - ciągnie po chwili. - Ci, co przeżyli, nie mogą się na dłużej zatrzymać. Gdyby za każdym zgonem stawiali, nigdy nie doszliby do studni. Jedna śmierć pociągnęłaby za sobą następne i następne. Klan, który był w drodze, który istniał, gdzieś by po drodze zniknął. Nikt by już nie ustalił, gdzie ci ludzie poszli. Miałem teraz wyobrazić sobie ten szlak, którego nie ma, to znaczy, którego nie widać, a na nim gromadę ludzi i zwierząt, coraz bardziej przeredzoną, coraz mniejszą i mniejszą. - Jeszcze przez jakiś czas żyją mężczyźni i wielbłądy. Wielbłąd może wytrzymać bez picia trzy tygodnie. I może daleko iść - pięćset kilometrów albo i dalej. Przez ten cały czas wielbłądzica będzie miała odrobinę mleka. Te trzy tygodnie są górną granicą życia dla mężczyzny i wielbłąda, jeżeli zostaną sami na ziemi. - Sami na ziemi! - wykrzyknął Hamed i był w tym głosie ton przerażenia, ponieważ właśnie to jest to, czego Somalijczyk nie potrafi sobie wyobrazić: znaleźć się samemu na ziemi. Człowiek i wielbłąd idą dalej w poszukiwaniu studni i wody. Idą coraz wolniej, z coraz większym wysiłkiem, ponieważ cały czas ziemia, po której się posuwają, stoi w ogniu słońca, zewsząd bije żar, wszystko wokół goreje, jarzy się - kamienie, piasek, powietrze. - Człowiek i wielbłąd giną razem - powiedział Hamed. Następuje to wówczas, kiedy człowiek nie znajduje już mleka - wymioną

wielbłądzy są puste. Są suche i popękane. Zwykle nomada i zwierzę mają jeszcze tyle sił, aby dowieść się do jakiegoś cienia. Znajduje się ich potem, jak leżą martwi w cieniu albo tam, gdzie się człowiekowi zdawało, że jest cień. - Wiem o tym - przerwałem Hamedowi - ponieważ sam to widziałem w Ogadenie. Jeździliśmy tam ciężarówkami po pustyni, aby szukać ginących nomadów i zabierać ich do obozu w Gode. Dla mnie szokujące było to, że ilekroć znajdowaliśmy umierających Somalijczyków i ginące z nimi wielbłądy, ludzie ci za nic nie chcieli rozstawać się ze swoimi zwierzętami, choć czekała ich pewna śmierć. Byłem tam z grupą młodych ratowników z organizacji humanitarnej Save. Siłą odrywali oni pasterza od wielbłąda - a były to już tylko dwa szkielety - i zabierali przeklinającego ich człowieka do obozu. Zresztą nie na długo. Ludzie ci dostawali dziennie trzy litry wody na wszystko: picie, gotowanie, pranie. I jako dzienne wyżywienie pół kilograma kukurydzy. Także raz w tygodniu woreczek cukru i kawałek mydła. Otóż Somalijczycy potrafili jeszcze robić z tego oszczędności, sprzedawać i kukurydzę, i cukier kręcącym się w obozie handlarzom, odkładać pieniądze na zakup nowego wielbłąda i uciekać na pustynię. Nie potrafili inaczej żyć. Hamed nie dziwi się temu. - Taka już nasza natura - mówi, nawet bez rezygnacji, a wręcz z odcieniem dumy. Natura to coś takiego, czemu nie wolno się sprzeciwiać, próbować ją poprawiać czy robić coś, aby się od niej uniezależnić. Natura jest dana przez Boga, więc jest doskonała. Susze, upały, puste studnie i śmierć w drodze też są doskonałe. Bez nich człowiek nie odczułby potem prawdziwej rozkoszy deszczu, boskiego smaku wody i życiodajnej słodczy mleka. Zwierzę nie umiałoby się cieszyć soczystą trawą, upajając zapachem łąki. Człowiek nie wiedziałby, co to takiego stanąć w strumieniu chłodnej, krystalicznej wody. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, że to po prostu znaczy być w niebie. Jest trzecia, upał zaczyna łagodnieć. Hamed podnosi się, ociera pot, poprawia turban. Idzie wziąć udział w zebraniu wszystkich dorosłych mężczyzn. Nazywa się ono szir. Somalijczycy nie mają żadnej władzy nad sobą, żadnej hierarchii. Jediną władzą jest takie właśnie zebranie, na którym każdy może zabrać głos. Na tym zebraniu wszyscy wysłuchają meldunków dostarczonych przez wywiad dziecięcy. Bo dzieci nie odpoczywają. Od rana szperają, penetrują okolicę: czy nie ma w pobliżu klanu o groźnej i wielkiej sile? Gdzie może być najbliższa studnia, do której mamy szansę dojść pierwsi? Czy możemy iść dalej spokojni, że nic nam nie grozi? Wszystkie te sprawy będą kolejno omówione. Szir to wielki rozgardiasz, kłótnie, krzyki, bałagan. Ale w końcu zostanie podjęta najważniejsza decyzja: którądy dalej iść. Wtedy staniemy w ustalonym od wieku porządku i ruszymy w drogę. Dzień we wsi Abdallah Wallo We wsi Abdallah Wallo pierwsze wstają dziewczęta i ledwie zacznie się świt - idą po wodę. To wieś szczęśliwa - woda jest blisko. Wystarczy zejść po piaszczystej, stromej skarpie w dół rzeki. Rzeka nazywa się Senegal. Na jej północnym brzegu leży Mauretania, a na południowym kraj o tej samej nazwie co rzeka - Senegal. Jesteśmy w miejscu, w którym kończy się Sahara, a zaczyna szeroki pas jałowej półpustynnej, gorącej sawanny, zwanej Sahelem, która, idąc na południe, w stronę równika, po kilkuset kilometrach przejdzie w wilgotny, malaryczny obszar lasów tropikalnych. Dziewczęta, po zejściu do rzeki, biorą wodę w wysokie, metalowe szafliki i plastikowe wiadra, które jedna drugiej osadzają później na głowie, i tak, gwarząc, wspinają się po sypkim zboczu z powrotem do wsi. Wschodzi słońce i jego promienie migocą na wodzie w naczyniach. Woda drga, kołysze się i połyskuje jak żywe srebro. Teraz wszystkie rozchodzą się do domów, na swoje podwórka. Od rana, od tej wyprawy do rzeki są już starannie i schludnie ubrane, zawsze tak samo. Ich strój to

szeroka, z wzorzystego perkalu suknia, luźna, sięgająca do ziemi i dokładnie okrywająca całe ciało. To wieś islamska - nic w ubiorze kobiety nie powinno sugerować, że chciałaby czymś kusić mężczyznę. Odgłos stawianych naczyń i plusk przyniesionej wody są jak dźwięk sygnaturki w wiejskim kościółku - wszystkich budzą do życia. Z lepianek, bo są tu tylko lepianki, wysypują się dzieci. Dzieci jest zatrzęsienie, jakby wieś była wielkim przedszkolem. Od razu, od progu, zaczyna się poranne siusianie tych malców, odruchowe, gdzie popadnie, na prawo i lewo, bez troski i wesołe albo jeszcze zaspane i naburmuszone. Ledwie z tym skończą, gnają do wiader i szaflików pić. Przy okazji dziewczynki, ale tylko dziewczynki, przecierają twarze. Chłopcom nie przychodzi to do głowy. Teraz dzieci rozglądają się za śniadaniem. To znaczy - tak sobie myślę, ale w rzeczywistości pojęcie śniadania tu nie istnieje. Jeżeli któryś z malców ma co jeść - je. Może to być kawałek bułki albo herbatnika, kawałek kassawy albo banana. Nigdy nie zjada tego sam, bo dzieci wszystkim dzielą się, zwykle najstarsza dziewczynka w grupie stara się, aby każdy dostał sprawiedliwie, choćby po małym okrucie. Reszta dnia będzie stałym poszukiwaniem jedzenia. Dzieci te bowiem są ciągle głodne. O każdej porzednia, w każdej chwili połkną natychmiast wszystko, co im się da. I zaraz zaczną rozglądać się za następną okazją. Teraz, kiedy wspominam poranki w Abdallah Wallo, uświadamiam sobie, że nie towarzyszyło im szczekanie psów czy gdakanie kur albo porykiwania krów. Tak, bo we wsi nie ma ani jednego zwierzęcia, nic ze stworzeń, które nazwalibyśmy żywym inwentarzem, bydłem, ptactwem, chudobą. I w związku z tym nie ma też obór, stajni, chlewów ni kurników. W Abdallah Wallo nie ma także roślin, nie ma zieleni, kwiatów ani krzewów, ogrodów ani sadów. Człowiek żyje tu sam na sam z nagą ziemią, z sypkim piaskiem i kruchą gliną. Jedyna żywa istota wśród rozpalonej, płonącej przestrzeni, cały czas zajęta walką o przetrwanie, o utrzymanie się na powierzchni. Jest więc człowiek i jest woda. Bo woda zastępuje tu wszystko. Z braku zwierząt to ona żywi i podtrzymuje nasze istnienie, z braku roślin, które dają cień - chłodzi, a jej plusk jest jak szelest liści, szmer krzewów i drzew. Jestem tu gościem Thiama i jego brata Yamara. Obaj pracują w Dakarze, gdzie ich poznałem. Co robią? Różnie. Połowa ludzi w afrykańskich miastach nie ma wyraźnych zatrudnień, stałych zajęć. Czymś handlują, pracują jako tragarze, czegoś pilnują. Wszędzie ich pełno, zawsze są do dyspozycji, do usług, do wynajęcia. Wykonują polecenia, biorą zapłatę i znikają bez śladu. A mogą też pozostać z wami na lata. To od was zależy, od waszych pieniędzy. Ich przebogate opowieści o tym, co już robili w życiu. Co robili? Tysiące rzeczy, właściwie wszystko! Trzymają się miasta, bo tu można łatwiej i lżej przeżyć, czasem nawet - coś zarobić. Jeżeli wpadł im jakiś grosz, kupują prezenty i jadą na wieś, do domu, do żony, dzieci, kuzynów. Właśnie spotkałem ich w Dakarze, kiedy wybierali się do Abdallah Wallo. Zaproponowali, żebym z nimi jechał. Ale musiałem jeszcze tydzień być w mieście. Jeżeli jednak zechcę przyjechać - czekają. Mogę dojechać na miejsce tylko autobusem. Muszę przyjść na dworzec o świcie, kiedy najłatwiej o miejsce. Więc po tygodniu - przyszedłem. Gare Routiere to wielki, płaski plac, pusty o tej wczesnej porze. Przy bramie pojawiło się od razu kilku wyrostków, żeby spytać, dokąd chcę jechać. Powiedziałem, że do Podor, bo wieś, do której jechałem, leżała właśnie w departamencie o tej nazwie. Zaprowadzili mnie mniej więcej na środek placu i tu pozostawili bez słowa. Ponieważ byłem sam w tym bezludnym miejscu, wnet zbiegła się gromada zmarzniętych (noc była chłodna) sprzedawców, która otoczyła mnie, próbując wcisnąć swoje towary, a to gumę do żucia, a to herbatniki, a to

grzechotki dla niemowlaków, a to papierosy na sztuki i na paczki. Nie chciałem niczego, ale stali dalej, nie mając nic innego do roboty. Biały człowiek jest takim dziwolągiem, takim zrzutkiem z innej planety, że można na niego patrzeć z ciekawością, właściwie bez końca. Ale po jakimś czasie pojawił się w bramie inny pasażer, a za nim następni, tak że handlarze ruszyli hurmem w ich stronę. W końcu nadjechał mały autobus marki Toyota. Wozy te mają dwanaście miejsc, ale tu zabierają ponad trzydziestu pasażerów. Trudno opisać liczbę i kombinację wszelkich dostawek, dospawań i ławeczek, jakie wypełniają wnętrze takiego pojazdu. Kiedy wóz jest pełny, żeby jedna osoba mogła wysiąść lub wsiąść, muszą to zrobić wszyscy pasażerowie, bowiem szczelność i dokładność dopasowań tych, którzy są we wnętrzu, równa się precyzji zegarka szwajcarskiego i każdy zajmujący miejsce musi liczyć się z tym, że przez najbliższe godziny nie będzie mógł ruszyć nawet palcem u nogi. Najgorsze są godziny oczekiwania, kiedy w nagrzanym, dusznym autobusie trzeba siedzieć, aż kierowca zbierze komplet pasażerów. W wypadku naszej toyoty trwało to cztery godziny i już właściwie mieliśmy ruszać, kiedy siadając do wozu kierowca o imieniu Traore - potężne, rozrośnięte, młode i krewkie chłopisko - stwierdził, że ktoś ukradł mu leżący na siedzeniu pakunek z sukienką dla dziewczyny. Kradzieże takie są właściwie codzienną praktyką na całym świecie, a jednak, nie wiem dlaczego, Traore wpadł w taką wściekłość, w taki szal, furję, a nawet obłęd, że wszyscy w autobusie skurczyliśmy się w obawie, że nas - niewinnych przecież! - rozszarpie i poćwiartuje. Jeszcze raz zauważyłem przy tej okazji, że w Afryce reakcja na złodzieja - choć kradzieży jest tu pełno, ma w sobie jakiś irracjonalny, graniczący z szaleństwem rys. Bo też okraść biedaka, który często ma tylko jedną miskę albo jedną podartą koszulę, jest rzeczywiście czymś nieludzkim, więc i jego reakcja na kradzież może wydawać się nieludzka. Tłum, jeżeli dopadnie złodzieja na rynku, na placu, na ulicy, może zabić go na miejscu, dlatego, paradoksalnie, zadaniem policji jest tu nie tyle ściganie złodziei, ile raczej ich obrona i ratunek. Droga prowadzi najpierw wzdłuż Atlantyku przez aleję baobabów tak potężnych, olbrzymich, wyniosłych, monumentalnych, jakbyśmy jechali wśród drapaczy chmur na Manhattanie. Tak jak słoń wśród zwierząt, tak baobab wśród drzew - nie mają sobie równych. Są z jakiejś innej ery geologicznej, z innego kontekstu, z innej natury. Do niczego nie przystają, z czym można je porównać. Żyją dla siebie, mają swój indywidualny program biologiczny. Za tym ciągnącym się przez wiele kilometrów lasem baobabów szosa skręca na wschód, w kierunku Mali i Burkina Faso. W miejscowości Dagana Traore zatrzymuje wóz. Jest tu kilka restauracyjek. W jednej z nich będziemy jeść obiad. Ludzie dzielą się na grupy sześćo-ośmioosobowe i siadają w lokalu na podłodze, wkoło. Wewnątrz koła chłopak z restauracji stawia miednicę wypełnioną do połowy ryżem suto polanym brunatnym, ostrym sosem. Zaczynamy jeść. Je się w ten sposób, że każdy, po kolei, sięga prawą ręką do miednicy, bierze garść ryżu, wyciska z niej nad miednicą sos i taką sprasowaną kluchę wkłada do ust. Je się powoli, z powagą, przestrzegając kolejności, aby nikt nie był pokrzywdzony. Jest wielki takt i umiar w tym rytuale. Przecież wszyscy są głodni, a ilość ryżu ograniczona, nikt jednak nie łamie porządku, nie przyspiesza, nie oszukuje. Kiedy miednica jest już pusta, chłopak wnosi wiadro wody, z którego każdy, znowu w kolejności, wypija duży kubek. Potem myje ręce, płaci, wychodzi i wsiada do autobusu. Za chwilę jedziemy znowu. Po południu jesteśmy w miejscowości, która nazywa się Mboumba. Tu wysiadam. Mam przed sobą dziesięć kilometrów polnej drogi przez suchą, wypaloną sawannę, gorący, sypki piasek i skwierczący, stężały upał. A

więc poranek w Abdallah Wallo. Dzieci rozbiegły się już po wsi. Teraz z lepianek wychodzą dorośli. Mężczyźni rozkładają na piasku dywaniki i zaczynają poranną modlitwę. Modlą się, zamknięci w sobie, wyłączeni, pośród ruchu innych - biegania dzieci, krzątania kobiet. O tej godzinie słońce już na dobre zapełnia horyzont, oświetla ziemię, wchodzi do wsi. Od razu też czuje się jego obecność, od razu jest gorąco. Teraz zaczyna się rytuał porannych wizyt i pozdrowień. Wszyscy wszystkich odwiedzają. Są to sceny podwórkowe, do mieszkań nikt nie wchodzi. Lepianki bowiem służą tylko do spania. Thiam, po modlitwie, zaczyna swój obchód od najbliższych sąsiadów. Podchodzi do nich. Zaczyna się wymiana wzajemnych pytań i odpowiedzi. - Jak spałeś? - A dobrze. - A twoja żona? - Też dobrze. - A dzieci? - Dobrze? - A kuzyni? - Dobrze. - A twój gość? - Dobrze. - A miałeś sny? - Miałem. Itd., itd. Trwa to bardzo długo, a nawet - im dłużej pytamy, im bardziej szczegółowa jest wymiana tych grzeczności, tym większy szacunek okazujemy drugiej stronie. O tej porze spokojnie przejść przez wieś nie sposób, bo z każdym spotkanym musimy wejść w ową nie kończącą się wymianę pytań - pozdrowień i to z każdym oddzielnie, nie można tego zrobić hurtem, hurtem byłoby niegrzecznie. Cały czas towarzyszyłem Thiamowi w tym obrzędzie. I trwało długo, zanim zatoczyliśmy pełne koło. Jednocześnie, jak zauważyłem, inni też krążyli po swoich porannych orbitach, ruch we wsi panował duży, zewsząd dobiegały owe sakramentalne: - Jak spałeś? I uspokajające, pozytywne: - Dobrze. - Dobrze. W czasie takiego obchodu wsi widzi się, że w tradycji i wyobrażeniu jej mieszkańców nie istnieje pojęcie przestrzeni podzielonej, zróżnicowanej, segmentowej. W całej wsi nie ma płotów, parkanów czy drutów, nie ma grodzień, siatek, rowów ni miedz. Przestrzeń jest jedna, wspólna, otwarta, nawet - przezroczysta: nie ma w niej rozwieszonych kurtyn, wzniesionych barier, zapór i murów, nikomu nie stwarza ona ograniczeń, nie stawia oporu. Teraz część ludzi idzie pracować w polu. Pola są daleko, nawet ich nie widać. Ziemia blisko wsi od dawna jest już wyczerpana, jałowa, bezpłodna, jest tylko piaskiem i pyłem. Dopiero kilometry dalej można coś posadzić, z nadzieją, że jeśli przyjdą deszcze - ziemia obrodzi. Człowiek ma jej tu tyle, ile zdoła uprawić, rzecz w tym, że uprawi jej niewiele. Motyka jest jedynym narzędziem, nie ma pługa, nie ma zwierząt pociągowych. Patrząc na tych, którzy idą na pola. Jako jedyne pożywienie na cały dzień niosą po butelce wody. Nim dojdą na miejsce, upał będzie już straszny. Co uprawiają? Maniok, kukurydzę, suchy ryż. Mądrość i doświadczenie tych ludzi każą im pracować mało i powoli, robić duże przerwy, oszczędzać się, odpoczywać. Są to bowiem ludzie słabi, źle odżywieni, bez energii. Jeżeli ktoś zacząłby pracować intensywnie, harować, wypruwać żyły - osłabnie jeszcze bardziej, a wycieńczony i bezsilny łatwo zapadnie na malarię, gruźlicę i setkę czyhających chorób tropikalnych, z których połowa kończy się śmiercią. Życie jest tu stałym wysiłkiem, nieustannie powtarzaną próbą znalezienia ciągle załamującej się, kruchej i chwiejnej równowagi między przetrwaniem a zagładą. Kobiety natomiast od rana przygotowują posiłek. Mówię - posiłek, gdyż pożywa się raz dziennie, a nie można też użyć określeń: śniadanie, obiad czy kolacja, ponieważ nie jest o żadnej ustalonej godzinie, tylko wówczas, gdy posiłek jest gotowy. Najczęściej przypada to na późne popołudnie. Je się raz dziennie i zawsze to samo. W Abdallah Wallo, jak w całej okolicy, jest to ryż polany ostrym, piekącym sosem. We wsi są biedni i bogaci, ale różnica między tym, co jedzą, nie polega na różnorodności potraw, tylko na ilości ryżu. Biedny będzie miał go odrobinę, bogaty - kopsałą miskę. Ale tak jest tylko w latach urodzaju. Długotrwała susza spycha wszystkich na to samo dno: biedni i bogaci jedzą

odrobinę, o ile po prostu nie umierają z głodu. Przygotowanie posiłku zajmuje kobietom większą część dnia, właściwie cały czas. Bo musi ona rano wyruszyć na poszukiwanie drewna. Drzewa nigdzie nie ma, zostało dawno wytrzebione i szukanie jakichś szczap, odłamków i patyków w sawannie jest zajęciem uciążliwym, zajmujący mnóstwo czasu. Kiedy kobieta przyniesie wreszcie wiązkę drewna, musi znowu wyruszyć z domu, aby przydźwigać banię wody. W Abdallah Wallo woda jest blisko, ale gdzie indziej często trzeba iść po nią kilometrami, a w porze suszy czekać godzinami, nim przywiezie ją cysterna. Mając opał i wodę, może zacząć gotować ryż. Nie zawsze: najpierw musi kupić go na rynku, rzadko ma w domu tyle pieniędzy, aby zrobić z niego zapas. I na to wszystko przychodzi pora południa, godziny takiego upału, że wszystko ustaje, drętwieje, zamiera. Zastyga również krzątania wokół ogniska i garnce. Cała wieś o tej porze pustoszeje, uchodzi z niej życie. Raz zdobyłem się na wysiłek i ruszyłem w południe od chaty do chaty. Była dwunasta. We wszystkich lepiankach, na glinianych podłogach, na matach, na pryczach leżeli ludzie milczący, znieruchomiali. Mieli twarze okryte potem. Wieś była jak okręt podwodny na dnie oceanu - istniała, ale nie dając żadnych znaków, bez głosu, bez ruchu. Po południu poszliśmy z Thiamem nad rzekę. Mętna, ciemnostalowa płynie między wysokimi, piaszczystymi brzegami. Nigdzie żadnej zieleni, plantacji, krzewów. Oczywiście, można by tu zbudować kanały, nawodnić pustynię. Ale kto ma to zrobić? Za jakie pieniądze? Po co? Rzeka płynie jakby dla siebie, nie zauważona, mało użyteczna. Zapusciliśmy się daleko w pustynię i kiedy wracaliśmy, zrobiło się ciemno. We wsi nie ma żadnego światła. Ognisk nikt nie pali, bo szkoda drewna. Nikt nie ma lampy. Nikt nie ma latarki. Kiedy jest noc, jak dziś, bez księżyca - nic nie widać. Słyszą tylko głosy, to tu, to tam, jakieś rozmowy i nawoływania, jakieś opowieści, których nie rozumiem, jakieś słowa coraz rzadsze, cichnące, bo wieś, korzystając z odrobiny chłodu, na kilka godzin milknie i zasypia. Zrywając się w ciemnościach Poranek i zmierzch - to najprzyjemniejsze godziny w Afryce. Słońce jeszcze nie pali albo już nie doskwiera - daje istnieć, daje żyć. Do wodospadu Sabeta - 25 kilometrów od Addis Abeby. Jazda samochodem przez Etiopię jest rodzajem nieustającego kompromisu: wszyscy wiedzą, że droga jest wąska, stara, zatłoczona ludźmi i pojazdami, ale wiedzą również, że muszą się na niej zmieścić i nie tylko zmieścić, ale także poruszać, przesuwać, dążyć do swoich przeznaczeń. Co chwilę przed każdym kierowcą, poganiaczem bydła czy przechodniem pojawia się przeszkoda, łamigłówka, problem do rozwiązania - jak przejechać nie zderzając się z samochodem jadącym naprzeciw, jak przepędzić swoje krowy, barany i wielbłądy nie depcząc dzieci i pełzających kalek, jak przejść nie wpadając pod ciężarówkę, nie nadziewając się na rogi byka, nie przewracając kobiety niosącej na głowie dwudziestokilogramowy ciężar itd., itp. A jednak nikt tu na nikogo nie krzyczy, nikt nie wścieka się, nikt nie złorzeczy, nie przeklina, nie wygraża - wszyscy cierpliwie i w milczeniu uprawiają swój slalom, kręcą piruety, robią uniki i zwody, manewrują i kluczą, kręcą się, tłoczą i przede wszystkim, i najważniejsze - posuwają naprzód. Jeżeli powstanie zator, ludzie wezmą zgodny i spokojny udział w jego rozładowaniu, jeżeli robi się ścisk, wszyscy milimetr po milimetrze będą taką sytuację rozwiązywać. Rzeka płynie po spękanych kamienistym dnie wartka, płytka, opada coraz niżej i niżej, aż osiąga ostry próg i z tego progu spada w przepaść. To jest właśnie ów wodospad Sabeta. Tam, gdzie rzeka toczy się jeszcze wysoko, w górze, mały, może ośmioletni Etiopczyk zarabia w ten sposób, że rozbiera się na oczach zwiedzających do naga i na gołej pupinie niesiony bystrą wodą zjeżdża po kamienistym dnie do progu przepaści. Kiedy

zatrzymuje się tuż nad huczącą w dole otchłanią, zgromadzeni wydają dwa okrzyki: najpierw - grozy i zaraz potem - ulgi. Chłopiec staje na nogi, odwraca się tyłem, wypina i pokazuje pupę turystom. Nie ma w tym geście żadnej pogardy, żadnej obrazy. Przeciwnie - jest duma i chęć uspokojenia nas, patrzących, że mając tak - popatrzcie! - solidnie wygarbowaną skórę na pośladkach, może zjeżdżać po najeżonym kanciastymi głazami dnie nie robiąc sobie żadnej krzywdy. Rzeczywiście - wygląda, że skóra jest twarda jak zelówki w alpinistycznych buciorach. Następnego dnia w więzieniu w Addis Abebie. Przed wejściem, pod blaszanym dachem kolejka ludzi czekających na widzenie. Ponieważ rząd jest zbyt biedny, aby umundurować policję, straż więzienną itd., ci ledwie ubrani, bosonodzy, młodzi ludzie, którzy kręcą się przy bramie - to strażnicy więzienia. Musimy uznać, że mają władzę, że decydują, czy nas wpuścić, musimy w to wierzyć, czekać, aż skończą dyskutować między sobą, prawdopodobnie o tym, czy pozwolić nam wejść. Stare, jeszcze przez Włochów zbudowane więzienie, było wykorzystywane przez promoskiewski reżim Mengistu do osadzania i torturowania opozycji, teraz zaś obecna władza trzyma tu za kratami ludzi z najbliższego otoczenia Mengistu - członków KC, ministrów, generałów armii i policji. Na bramie, wzniesiona jeszcze przez Mengistu, wielka gwiazda z sierpem i młotem, a wewnątrz więzienia, na dziedzińcu - popiersie Marksa (zwyczaj to sowiecki - u wejścia do gułagów wisiały portrety Stalina, a wewnątrz stały pomniki Lenina). Reżim Mengistu, po siedemnastu latach istnienia, upadł latem 1991. Sam lider w ostatniej chwili uciekł samolotem do Zimbabwe. Niezwykłe są losy jego wojska. Z pomocą Moskwy Mengistu zbudował najpotężniejszą armię w Afryce na południe od Sahary. Liczyła ona 400 tysięcy żołnierzy, miała rakiety i broń chemiczną. Wojnę przeciw tej armii prowadzili partyzanci z północnych gór (Erytrea, Tigre) i z południa (Oromo). Właśnie latem '91 zepchnęli oni wojska rządowe do Addis Abeby. Partyzanci: bosonodzy chłopcy, często dzieci, obdarcy, głodni, źle uzbrojeni. Europejczycy zaczęli uciekać z miasta, oczekując po wejściu partyzantów strasznej rzezi. Ale nastąpiło coś innego, coś, co mogłoby być tematem na niezwykle film pt. "Zagłada wielkiej armii". Na wiadomość, że ich wódz uciekł, ta potężna, uzbrojona po zęby armia załamała się w ciągu kilku godzin. Głodni, zdemoralizowani żołnierze w jednej chwili, na oczach osłupiałych mieszkańców miasta, przemienili się w żebraków. Trzymając kałasznikowa w jednej ręce, drugą wyciągali prosząc o jedzenie. Partyzanci zajęli stolicę właściwie bez walki. Żołnierze Mengistu porzuciwszy czołgi, wyrzutnie rakiet, samoloty, wozy pancerne i działa ruszyli (każdy już na własną rękę) piechotą, na mułach, autobusami do swoich wiosek, do domów. Jeżeli przypadkiem będziecie jechać przez Etiopię, w wielu wsiach i miasteczkach zobaczycie młodych, silnych, zdrowych mężczyzn siedzących beczynn timer na progach domów albo na stołkach ubogich przydrożnych barów - są to żołnierze wielkiej armii generała Mengistu, która miała zdobyć Afrykę, a rozpadła się w ciągu jednego dnia latem 1991. Więzień, z którym rozmawiam, nazywa się Shimelis Mazengia i był jednym z ideologów reżimu Mengistu, członkiem biura politycznego i sekretarzem KC do spraw ideologii, słowem - rodzajem etiopskiego Susłowa. Mazengia ma czterdzieści pięć lat, jest inteligentny. Odpowiada ważąc słowa, ostrożnie. Ubrany w jasny, sportowy dres. Tu wszyscy więźniowie ubrani są po "cywilnemu", rząd nie ma pieniędzy, aby sprawić im strój więzienny. Strażnicy, więźniowie - wszyscy są ubrani jednakowo. Spytałem jednego ze strażników, czy więźniowie, ponieważ wyglądają jak każdy człowiek na ulicy, nie próbują wykorzystać tego i uciec? Spojrzał na mnie zdumiony - uciec? Tu przynajmniej ma miskę zupy, a na wolności umierałby z głodu

jak cały naród. To są wrogowie, ale to nie są wariaci! - podkreślił. W ciemnych oczach niepokój, nawet lęk. Te oczy są w ciągłym ruchu, biegają, jakby schwytywane w potrzask gorączkowo szukały wyjścia. Mówi, że ucieczka Mengistu była zaskoczeniem dla nich wszystkich, tzn. dla najbliższego otoczenia wodza. Mengistu pracował dzień i noc, nie interesowały go dobra materialne, tylko władza absolutna. Panowanie - to mu wystarczało. Miał umysłowość sztywną, niezdolną do żadnego kompromisu. Masakry czerwonego terroru, które przez kilka lat pustoszyły kraj, określa jako "walkę o władzę". Utrzymuje, że "obie strony zabijały". Jak ocenia swój udział w najwyższych władzach reżimu, który upadł, powodując przy tym tyle nieszczęść, zniszczeń, śmierci (z rozkazu Mengistu rozstrzelano ponad 30 tysięcy ludzi, ale inni mówią - ponad 300 tysięcy)? Pamiętam, kiedy w końcu lat siedemdziesiątych jechało się rano przez Addis Abebę, na ulicach leżały zwłoki zamordowanych (żniwo conocne). Odpowiada filozoficznie: historia to zawiły proces. Historia robi pomyłki, kluczy, poszukuje, czasem zabrnę w ślepy zaułek. Dopiero przyszłość oceni, znajdzie właściwe miary. On i czterystu sześciu związanych ze starym reżimem (etiopska nomenklatura) są tu trzy lata, nie wiedząc, co dalej - dalsze więzienie? Proces? Rozstrzelanie? Wyjście na wolność? Ale i rząd zadaje sobie to samo pytanie - co z nimi zrobić? Siedzieliśmy w małym pokoiku, chyba była to dyżurka. Nikt nie przysłuchiwał się naszej rozmowie, nikt też nie nalegał, aby ją kończyć. Jak to w Afryce - panował bałagan, ludzie wchodzili i wychodzili, na sąsiednim stoliku bez przerwy dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał. Na zakończenie rozmowy powiedziałem, że chciałbym zobaczyć to miejsce, gdzie są zamknięci. Wprowadzili mnie na dziedziniec otoczony dwupiętrowym budynkiem z galeriami. Wzdłuż galerii ciągnęły się cele - wszystkie drzwi wychodziły na dziedziniec. Było tłoczno, kręcił się tu tłum więźniów. Spojrzałem na twarze. Były to brodate, za okularami twarze profesorów uniwersytetu, ich asystentów, ich studentów. Reżim Mengistu miał wśród nich wielu swoich zwolenników - byli to głównie wyznawcy albańskiej wersji socjalizmu w wydaniu Enwera Hodży. Kiedy nastąpiło zerwanie Tirany z Pekinem, etiopscy prohodźcy strzelali na ulicach Addis Abeby do etiopskich maoistów. Miesiącami ulicami miasta lała się krew. Po ucieczce Mengistu jego armia rozeszła się do domów - zostali akademicy. Wyłapali ich bez większych trudności i zamknęli na tym zatłoczonym dziedzińcu. Ktoś przywiózł z Londynu wydany tam latem '93 kwartalnik somalijski - "Hal-Abuur" (Journal of Somali Literature and Culture). Policzyłem: spośród siedemnastu autorów - czołowych intelektualistów Somalijskich - uczonych i pisarzy, aż piętnastu żyje za granicą. Oto jeden z problemów Afryki - jej inteligencja mieszka w większości poza Afryką - w USA, Londynie, Paryżu, Rzymie. Na miejscu, w ich krajach, pozostali: na dole - masy ciemnego, zahukanego, do ostatniej kropli potu wyzyskiwanego chłopstwa, na górze - skorumpowana biurokracja albo aroganckie żołdactwo (lumpenmilitariat - jak określa ich ugandyjski historyk Ali Mazrui). Jak Afryka może rozwijać się, uczestniczyć w wielkiej transformacji świata bez inteligencji? Bez własnej intelektualnej klasy średniej? W dodatku, jeżeli zdarzy się, że afrykańskiego akademika czy pisarza prześladowają w jego kraju, najczęściej nie szuka on schronienia w innym kraju na swoim kontynencie, ale od razu - w Bostonie, w Los Angeles, w Sztokholmie czy w Genewie. W Addis Abebie poszedłem na uniwersytet. Jest to jedyny uniwersytet w tym kraju. Zajrzałem do uczelnianej księgarni. Jest to jedyna księgarnia w tym kraju. Puste półki. Nie ma nic, ani żadnych książek, ani czasopism - nic. Tak wygląda sytuacja w większości państw Afryki. Kiedyś, pamiętam, była dobra księgarnia w Kampali,

dobra księgarnia (trzy nawet) w Dar es-Salaam. Teraz - nigdzie nic. Etiopia to kraj o powierzchni takiej jak Francja, Niemcy i Polska razem wzięte. W Etiopii mieszka ponad 50 milionów ludzi, za kilka lat - będzie ich ponad 60 milionów, za kilkanaście - ponad 80 itd., itd. Może wówczas? Ktoś? Choćby jedną? W wolnych chwilach chodzę do Africa Hall - wielkiej, dekoracyjnej budowli na jednym ze wzgórz, na których leży to miasto. Tu w maju 1963 odbyła się pierwsza afrykańska konferencja na szczycie. Tu widziałem Nassera, Nkrumaha, Hajle Sellasje, Ben Bellę, Modibo Keitę. Wielkie wówczas nazwiska. W hallu, w którym się spotykali, jacyś chłopcy grają teraz w ping-ponga, jakaś kobieta sprzedaje skórzane kurtki. Africa Hall - to prawo Parkinsona w nieskrępowanym i triumfalnym działaniu. Przed laty stał tu jeden budynek, teraz jest ich już kilka. Ilekroć przyjeżdżam do Addis Abeby, widzę za każdym razem to samo: wokół Africa Hall stawiają jakiś nowy gmach. Każdy następny, bardziej okazały i luksusowy niż poprzedni. W Etiopii zmieniają się systemy, najpierw feudalno-autokratyczny, potem - marksistowsko-leninowski, obecnie - federalno-demokratyczny; Afryka też się zmienia - ubożeje i biednieje, ale to wszystko nie ma żadnego znaczenia, niewzruszone i zwyczajne prawo stałej rozbudowy siedziby głównych władz Afryki - Africa Hall - działa bez żadnych uwarunkowań i uzależnień. Wewnątrz - korytarze, pokoje, sale obrad, gabinety zawałone papierami od podłogi po sufit. Papiery rozpychają szafy i segregatory, wysypują się z szuflad, wypadają z półek. Wszędzie biurka ciasno ustawione, za biurkami przepiękne dziewczyny z wszystkich krańców Afryki. Sekretarki. Szukam jednego dokumentu. Nazywa się "Lagos Plan of Action for the Economic Development of Africa 1980-2000". W 1980 roku zebrali się w Lagos przywódcy Afryki, żeby zastanowić się, jak wyjść z kryzysu, w jakim znalazł się kontynent. Jak uratować Afrykę? I uchwalili właśnie ów plan działania - biblię, panaceum, wielką strategię rozwoju. Szukam i pytam bez skutku. Większość w ogóle o żadnym planie działania nie słyszała. Inni słyszeli, ale nic bliżej nie wiedzą. Inni słyszeli, bliżej wiedzą, ale nie mają tekstu. Mogą dać mi uchwałę o tym, jak podnieść uprawę orzeszków arachidowych w Senegalu. Jak tępić muchę tse-tse w Tanzanii. Jak ograniczać suszę w Sahelu. Ale jak ratować Afrykę? Takiego planu nie mają. W tymże Africa Hall kilka rozmów. Jedna - z Babasholą Chinsmanem. To wicedyrektor Agencji Rozwoju ONZ. Młody, energiczny, pochodzi z Sierra Leone. Jeden z tych Afrykańczyków, do których los się uśmiechnął. Przedstawiciel nowej, globalnej klasy: Trzeci Świat zasiadający w organizacjach międzynarodowych. Willa w Addis Abebie (służbowa), willa we Freetown (własna, wynajmowana ambasadzie Niemiec), mieszkanie prywatne na Manhattanie (bo nie przepada za hotelami). Limuzyna, kierowca, służba. Jutro konferencja w Madrycie, za trzy dni - w Nowym Jorku, za tydzień - w Sydney. Temat zawsze ten sam, właściwie wieczny: jak ulżyć cierpiącym głód w Afryce. Rozmowa sympatyczna, ciekawa. Chinsman: - nieprawda, że w Afryce panuje stagnacja, Afryka rozwija się, to nie tylko kontynent głodu; - problem jest szerszy, światowy - 150 słabo rozwiniętych krajów napiera na 25 krajów rozwiniętych, w których w dodatku panuje recesja i w których liczba ludności nie wzrasta; - ogromnie ważne jest, żeby w Afryce promować rozwój regionalny. Niestety, na przeszkodzie stoi zacofana infrastruktura: brak środków transportu, złe drogi, brak ciężarówek, brak autobusów, kiepska łączność; -ta licha struktura komunikacji powoduje, że 90 procent wiosek i miasteczek kontynentu żyje w izolacji - nie mają dostępu do rynku, tym samym nie mają dostępu do pieniądza; - paradoksy naszego świata: jeżeli policzyć koszt transportu, obsługi, składowania i przechowywania żywności, to koszt jednego posiłku (zwykle

- garść kukurydzy) dla uchodźcy w jakimś obozie, np. w Sudanie, jest wyższy niż cena kolacji w najdroższej restauracji w Paryżu; - po trzydziestu latach niepodległości zaczynamy wreszcie rozumieć, że oświata jest ważna dla rozwoju. Gospodarka chłopów piśmiennych jest 10-15 razy bardziej wydajna niż gospodarka chłopów-analfabety. Sama edukacja, bez żadnych inwestycji, przynosi korzyści materialne; - najważniejsze, aby mieć multidimensional approach to development: rozwijać regiony, rozwijać społeczności lokalne, rozwijać raczej interdependence niż intercompetition! John Menru z Tanzanii: - Afryce potrzebne jest nowe pokolenie polityków, którzy potrafią myśleć w nowy sposób. Obecnie musi odejść. Zamiast myśleć o rozwoju, myślą, jak utrzymać się u władzy; - wyjście dla Afryki? Stworzyć nowy klimat polityczny: a) przyjąć, jako obowiązującą, zasadę dialogu, b) zapewnić udział społeczeństwa w życiu publicznym, c) przestrzegać podstawowych praw człowieka, d) zacząć demokratyzację. Zrobić to wszystko, a nowi politycy wyrosną sami. Nowi politycy, którzy będą mieli jasną, wyraźną wizję. Wyraźna wizja - oto czego nam dziś brakuje; - co jest groźne? Fanatyzm etniczny. Może on sprawić, że zasada etniczna przybierze wymiar religijny, stanie się zastępczą religią. Oto co jest groźne! Sadig Rasheed. Sudańczyk. Jeden z dyrektorów komisji ekonomicznej do spraw Afryki: - Afryka musi się obudzić, musi się obudzić; - należy powstrzymać postępujący proces marginalizacji Afryki. Czy to się uda, nie wiem; - obawiam się, czy społeczeństwa Afryki będą zdolne zająć postawę autokrytyczną, a od tego wiele zależy. Doładnie o tym rozmawiamy któregoś dnia z A., starym, osiadłym tu od lat Anglikiem. A mianowicie: siła Europy i jej kultury, w przeciwieństwie do innych kultur, leży w jej zdolności do krytyki, przede wszystkim do autokrytyki. W jej sztuce analizy i dociekania, w jej ciągłych poszukiwaniach, w jej niepokojach. Umysł europejski uznaje, że ma granice, akceptuje swoją niedoskonałość, jest sceptyczny, wątpi, stawia znaki zapytania. W innych kulturach tego ducha krytyki nie ma. Więcej - są one skłonne do pychy, do uznawania wszystkiego, co własne, za doskonałe, słowem - są one w stosunku do siebie bezkrytyczne. Winą za całe zło obarczają wyłącznie innych, inne siły (spiski, agentów, obcą dominację w różnych formach). Wszelką krytykę uznają za złośliwy atak, za przejaw dyskryminacji, za rasizm itd. Przedstawiciele tych kultur traktują krytykę jako osobistą obrazę, jako rozmyślną próbę ich poniżenia, nawet jako formę znęcania się. Jeżeli powiedzieć im, że miasto jest brudne, traktują to, jakby ktoś powiedział, że sami są brudni, że mają brudne uszy, szyje, paznokcie itd. Zamiast ducha autokrytyki noszą w sobie pełno urazu, kompleksów, zawiści, zadrzańień, dąsów, manii. To powoduje, że są kulturowo, trwale, strukturalnie niezdolni do postępu, do wytworzenia w sobie, wewnętrznie, woli przemiany i rozwoju. Czy kultury afrykańskie (bo jest ich wiele, tak jak wiele jest afrykańskich religii) należą właśnie do tych nietykalnych, bezkrytycznych? Tacy Afrykańczycy jak Sadig Rasheed zaczęli się nad tym zastanawiać, chcąc znaleźć odpowiedź, dlaczego Afryka w wyścigu kontynentów zostaje w tyle. Obraz Afryki jaki ma Europa? Głód, dzieci-szkieleciki, sucha spękana ziemia, slumsy w mieście, rzezie, AIDS, tłumy uchodźców bez dachu nad głową, bez odzienia, bez lekarstw, wody i chleba. Więc świat spieszy z pomocą. Jak w przeszłości, tak i dziś Afryka jest postrzegana przedmiotowo, jako odbicie jakiejś innej gwiazdy, jako teren i obiekt działania kolonizatorów, kupców, misjonarzy, etnografów, wszelkich organizacji charytatywnych (w samej Etiopii działa ich ponad osiemdziesiąt). Tymczasem, poza wszystkim, istnieje ona dla siebie samej, w sobie samej, wieczny, zamknięty, osobny kontynent, ziemia gajów bananowych,

nieforemnych poletek manioku, dżungli, olbrzymiej Sahary, z wolna wysychających rzek, rzednących lasów, chorych, monstrualnych miast - obszar świata naładowany jakąś niespokojną i gwałtowną elektrycznością. Dwa tysiące kilometrów przez Etiopię. Drogi puste, bezludne. Góry i góry. O tej porze roku (jest zima w Europie) góry są zielone. Są niebotyczne i wspaniałe w słońcu. Cisza wszędzie ogromna. Ale wystarczy przystanąć, przysiąść na skraju drogi i wsłuchać się. Gdzieś daleko słychać monotonne i wysokie głosy. To śpiewy dzieci na okolicznych stokach, dzieci zbierających chrust, pilnujących stad, ścinających trawę dla bydła. Nie słychać głosów ludzi starszych, jakby to był tylko świat dziecięcy. Bo też to jest świat dzieci. Połowa ludności Afryki nie ma jeszcze piętnastu lat. We wszystkich armiach - dużo dzieci, w obozach uchodźców - większość to dzieci, w polu pracują dzieci, na rynku handlują dzieci. W domu przypada dziecku najważniejsza rola - jest odpowiedzialne za dostarczenie wody. Wszyscy jeszcze śpią, a mali chłopcy zrywają się w ciemnościach i pędzą do źródeł, do stawów, do rzek po wodę. Nowoczesna technologia okazała się wielkim sojusznikiem tych malców - dała im bowiem w prezencie tani, lekki, plastikowy kanister. Kilkanaście lat temu ten kanister zrewolucjonizował życie w Afryce. Warunkiem przetrwania w tropiku jest woda. Ponieważ na ogół nie ma tu kanalizacji i wody jest wszędzie mało, trzeba ją nosić na duże odległości - czasem kilkanaście kilometrów. Wieki całe do tego celu służyły ciężkie gliniane lub kamienne stągwie. Kultura afrykańska nie zna transportu kołowego, wszystko nosi człowiek sam, najczęściej na głowie. W tych stągwiach wodę dźwigały kobiety, taki był podział pracy w gospodarstwie domowym. Dziecko by zresztą takiej stągwi nie udźwignęło, a w tym, ubogim świecie w domu było najczęściej tylko jedno takie naczynie. I oto pojawił się plastikowy kanister. Cud! Rewolucja! Po pierwsze jest stosunkowo tani (choć w niektórych domach to jedyna cenna rzecz): kosztuje około dwóch dolarów. Ale najważniejsze, że jest lekki! Ważne jest też, że jest w różnych rozmiarach, więc nawet małe dziecko może przynieść kilka litrów wody. Wszystkie dzieci noszą wodę! I oto widzimy całe tabuny rozhasanej dzieciarni, jak bawiąc się i przekomarzając idą gdzieś do odległego źródła po wodę. Jakaż to ulga dla umordowanej do kresu sił kobiety afrykańskiej! Jakaż to przemiana w jej życiu! O ileż więcej czasu ma ona teraz dla siebie, dla domu! W ogóle plastikowy kanister ma nieskończoną ilość zalet. Wśród najważniejszych jest ta, że zastępuje człowieka w kolejce. A w kolejce po wodę (tam, gdzie przywoziły ją cysterny) trzeba było stać przez całe dnie. Stanie w tropikalnym słońcu jest torturą. Dawniej stągwi nie można było postawić i pójść do cienia, bo mogli ją ukraść, a była zbyt droga. Teraz natomiast zamiast kolejek ludzi ustawia się kolejki plastikowych kanistrów, a samemu idzie się do cienia albo na rynek, czy w odwiedzinach do znajomych. Jadąc przez Afrykę widać te kilometrowe, kolorowe rzędy kanistrów oczekujących, aż pojawi się woda. Jeszcze o dzieciach. Wystarczy zatrzymać się gdzieś w wiosce, w miasteczku, a nawet po prostu w polu - od razu pojawi się gromada dzieci. Wszystkie nieopisane oberwane. Koszuliny, porcięta w nieprawdopodobnych strzępach. Za jedyny majątek, za jedyne pożywienie mają małą tykwę z odrobiną wody. Każdy kawałek bułki czy banana zniknie pochłonięty w ułamku sekundy. Głód wśród tych dzieci jest czymś stałym, jest formą życia, drugą naturą. A jednak to, o co proszą, nie jest prośbą o chleb czy owoc, nie jest nawet prośbą o pieniądze. Proszą o ołówek. Ołówek kulkowy, cena dziesięć centów. Tak, ale skąd wziąć dziesięć centów? A oni wszyscy chcieliby chodzić do szkoły, chcieliby się uczyć. Oni zresztą czasami idą do szkoły (szkoła wiejska to po prostu miejsce w cieniu wielkiego mangowca), ale nie mogą nauczyć się

pisać, bo nie mają czym, nie mają ołówka. Gdzieś pod Gondarem (do tego miasta królów i cesarzy Etiopii traficie posuwając się od Zatoki Adenu przez Dżibuti w kierunku na El Obeid, Tersaf, Njamę i jezioro Czad) spotkałem człowieka, który szedł z północy na południe. To właściwie jest najważniejsze, co da się o nim powiedzieć - że szedł z północy na południe. Aha, jeszcze można by dodać, że szedł tak w poszukiwaniu swojego brata. Był bosonogi, ubrany w połatane, krótkie spodnie i na grzbiecie miał coś, co kiedyś mogło nazywać się koszulą. Poza tym miał trzy rzeczy: kij wędrowca, kawałek płótna, który rano służył mu za ręcznik, w godzinach upału - za osłonę głowy, a w czasie snu - za przykrycie ciała, a także, przewieszoną przez ramię drewnianą, zamykaną czarkę na wodę. Nie miał żadnych pieniędzy. Jeżeli po drodze ludzie dadzą mu coś zjeść - zje, jeżeli nie - idzie głodny. Ale całe życie jest głodny, w głodzie nie ma nic nadzwyczajnego. Szedł na południe, ponieważ brat ruszył kiedyś z domu właśnie na południe. Kiedy to było? Dawno. (Rozmawiałem przez kierowcę, który znał parę słów po angielsku i całą przeszłość określał jednym terminem - dawno). Ten człowiek też idzie już dawno. Idzie gdzieś z gór Erytrei, spod Keren. O tym, jak iść na południe, wie - rano trzeba iść prosto w słońce. Kiedy kogoś spotka, pyta, czy nie widział, czy nie zna Solomona (to imię brata). Ludzie nie dziwią się takiemu pytaniu. Cała Afryka jest w ruchu, jest w drodze, w pogubieniu. Jedni uciekają przed wojną, drudzy przed suszą, inni przed głodem. Uciekają, błądzą, gubią się. Ten, który idzie z północy na południe, jest właśnie anonimową kroplą w ludzkich potokach, które toczą się po drogach czarnego kontynentu, pędzone albo strachem przed śmiercią, albo nadzieją znalezienia miejsca pod słońcem. Dlaczego chce znaleźć swojego brata? Dlaczego? Nie rozumie pytania. Przecież to jest powód oczywisty, powód sam w sobie, nie wymagający wyjaśnień. Wzrusza ramionami. Być może ogarnia go uczucie litości dla człowieka, którego spotkał i który, choć dobrze ubrany, jest od niego uboższy o jakąś ważną, cenną rzecz. Czy wie, gdzie jest? Że to miejsce, w którym siedzimy, to już nie Erytrea, tylko inny kraj - Etiopia? Uśmiecha się uśmiechem człowieka, który dużo wie, który w każdym razie wie jedno, że dla niego tu w Afryce nie ma granic i nie ma państw - jest tylko spalona ziemia, na której brat szuka brata. Przy tej samej drodze, ale trzeba zjechać w dół, w głąb przepastnej szczeliny między dwoma urwistymi stokami gór, stoi klasztor Debre Libanos. Wewnątrz kościoła chłód i mrok. Po godzinach jazdy w oślepiającym słońcu wzrok musi długo przyzwyczajać się do tego miejsca, które w pierwszej chwili wygląda jakby pograżone w zupełnych ciemnościach. Po jakimś czasie widać freski na ścianach i widać, że na pokrytej matami podłodze leżą twarzą do ziemi ubrani na biało etiopscy pielgrzymi. W kącie stary zakonnik śpiewa sennym, coraz to zamierającym głosem psalm w martwym już dziś języku gyz. W tej atmosferze pełnej skupionej i cichej mistyki wszystko jest jakby poza czasem, poza miarą i ciężarem, poza bytem. Nie wiadomo, jak długo leżeli ci pielgrzymi, bo w ciągu dnia wychodziłem i wchodziłem tu kilka razy, a oni ciągle spoczywali na matach nieporuszeni. Dzień cały? Miesiąc? Rok? Wieczność? Stygnące piekło. Jeszcze piloci nie wyłączyli silników, a już w stronę samolotu pędzi tłum. Podstawiają schodki. Schodzimy po nich, od razu wpadając w zdyszana, tłoczącą się gromadę ludzi, którzy dopadli już samolotu i teraz przepychają się, szarpią nas za koszule, napierają co sił. - Passport? Passport? - wołają jakieś natarczywe głosy. I zaraz tym samym, groźnym tonem: - Return ticket? A jeszcze inni ostro: Vaccination? Vaccination? Te żądania, ten atak są tak gwałtowne i dezorientujące, że popychany, duszony i miętoszony zaczynam popełniać błąd za błędem. Zapytany o paszport, posłusznie wydaję go z torby. I od razu ktoś mi go

wyrywa i gdzieś z nim znika. Nagabywany o bilet powrotny pokazuję, że go mam. Ale za moment już nie widzę biletu, już gdzieś wsiąkł. To samo z książeczką szczepień: ktoś mi wyciągnął ją z ręki i natychmiast się ulotnił. Zostałem bez żadnych dokumentów! Co robić? Komu się poskarżyć? Do kogo odwołać? Tłum, który dopadł mnie przy schodach, nagle rozproszył się i zniknął. Zostałem sam. Ale za chwilę podeszło do mnie dwóch młodych ludzi. Przedstawili się: - Zado i John. Będziemy cię strzegli. Bez nas zginiesz. O nic nie pytałem. Przede wszystkim pomyślałem: jak tu straszliwie gorąco! Było wczesne popołudnie, wilgotne, mokre powietrze wisiało nieruchomo tak gęste i rozpalone, że nie miałem czym oddychać. Byle tylko stąd się wydostać, dotrzeć do miejsca, gdzie jest odrobina chłodu! - Gdzie są moje dokumenty! - zacząłem wołać rozdrażniony, zrozpaczony. Traciłem panowanie nad sobą - w takim upale ludzie stają się nerwowi, wściekli, napastliwi. - Staraj się uspokoić - powiedział John, kiedy wsiadaliśmy do jego samochodu stojącego przed barakiem lotniska - zaraz wszystko zrozumiesz. Jechaliśmy ulicami Monrowii. Po obu stronach jezdni sterczały czarne, zwęglone kikuty wypalonych, zrujnowanych domów. Niewiele tu zostaje po takim zburzonym budynku, bo wszystko, łącznie z cegłą, blachą i ocalałymi belkami, będzie zaraz rozebrane i rozgrabione. W mieście są dziesiątki tysięcy ludzi, którzy uciekli z buszu, nie mają dachu nad głową i czekają, że granat czy bomba rozwali jakiś dom. Zaraz rzucą się na taką zdobycz. Z materiałów, które wyniosą, postawią sobie jakiś szałas, budę czy po prostu daszek chroniący przed słońcem i deszczem. Miasto, które, jak można sądzić, od początku zbudowane było z prostych i niskich domów, teraz, zastawione ową byle jak skleconą prowizorką, skarłało jeszcze bardziej, nabrało wyglądu czegoś doraźnego i przypomina obóz wędrowców, którzy zatrzymali się tylko na chwilę, aby skryć się przed spiekotą południowych godzin i zaraz wyruszą dalej, zresztą nie bardzo wiadomo dokąd. Poprosiłem Johna i Zado, aby zawieźli mnie do hotelu. Nie wiem, czy istniał jakiś wybór, ale oni bez słowa zawieźli mnie na ulicę, przy której stał piętrowy, odrapany budynek z wystającym sztyldem El Mason Hotel. Do hotelu przechodziło się przez bar. John otworzył drzwi, ale nie mógł wejść dalej. Wewnątrz, w sztucznym, kolorowym półmroku i dławiącej, stężonej duchocie stały prostytutki. Powiedzieć: "stały prostytutki" nie oddaje jednak stanu rzeczy. W małym lokalu może setka dziewczyn przylegała do siebie spocona, umęczona i tak strasznie stłoczona, ugnieciona i sprasowana, że nie tylko nie można było tam wejść, ale nawet, bodaj, wcisnąć ręki. Mechanizm działał w ten sposób, że jeżeli klient otwierał z ulicy drzwi, ciśnienie panujące wewnątrz baru jak z katapulty wyrzucało dziewczynę wprost w ramiona zaskoczonego amatora. Za moment następna już zajmowała jej miejsce. John cofnął się i poszukał innego wejścia. W małym kantorku siedział młody Libańczyk o pogodnym, pocziwym wyglądzie - właściciel. To do niego należały te dziewczyny i ten rozpadający się budynek o oślizgłych, zapleśniałych ścianach, na których obwisłe, szerniałe zacieki układały się w niemą procesję wydłużonych, chudych i zakapturzonych zjaw, chimery i duchów. - Nie mam dokumentów - przyznałem się Libańczykowi, który się tylko uśmiechnął. - To nieważne - powiedział - Tu mało kto ma dokumenty. Dokumenty! - roześmiał się i spojrzał porozumiewawczo na Johna i Zado. Najwyraźniej byłem dla niego przybyszem z jakiejś innej planety. Na tej, która nazywała się Monrowia, myślano raczej, jak przeżyć do następnego dnia. Kogo obchodziły papiery? - Czterdzieści dolarów za noc - powiedział. - Ale bez jedzenia. Jeść można za rogiem. U Syryjki. Od razu zaprosiłem tam Johna i Zado. Starsza, nieufna i ciągle spoglądająca na drzwi kobieta miała tylko jedną potrawę - szaszłyki z ryżem. Wpatrywała się w drzwi, bo nigdy nie wiedziała, kto

wejdzie - klienci, żeby coś zjeść, czy rabusie, żeby jej wszystko zabrać. - Co mam robić? - spytała nas, podając talerze. Już straciła wszystkie nerwy i wszystkie pieniądze. - Straciłam życie - powiedziała, nawet bez rozpacz, ot, tak, żebyśmy po prostu o tym wiedzieli. W lokalu było pusto, z sufitu zwisał nieruchomy wiatrak, latały muchy, w drzwiach stał coraz to inny żebrak i wyciągał rękę. Za brudnym oknem też tłoczyli się wpatrzeni w nasze talerze żebracy. Jacyś obszarpani mężczyźni, kobiety o kulach, dzieci, którym miny oberwały rękę albo nogę. Tu, za tym stołem, nad tym talerzem nie wiadomo było, jak się zachować, co z sobą zrobić. Długo milczeliśmy, w końcu zapytałem o moje dokumenty. Zado odpowiedział, że rozczarowałem służby na lotnisku, bo miałem wszystkie papiery. Najlepiej, żebym nie miał nic. Dzikie linie przywożą tu różnych niebieskich ptaszków. To przecież kraj złota, diamentów i narkotyków. Wielu z tych typów nie ma wiz czy książeczek szczepień. Na nich właśnie się zarabia: płacą, żeby ich wpuścić. Z nich żyją ludzie lotniska, bo rząd nie ma pieniędzy i nie dostają pensji. To nawet nie są ludzie skorumpowani. Oni są zwyczajnie głodni. Ja też będę musiał wykupić swoje dokumenty. Zado i John wiedzą, gdzie i u kogo. Mogą to załatwić. Przyszedł Libańczyk i zostawił mi klucz. Zmierzchało i jechał do domu. Mnie też radził iść do hotelu. Wieczorem, powiedział, nie będę mógł chodzić sam po mieście. Wróciłem do hotelu, bocznymi drzwiami wszedłem na piętro, gdzie miałem pokój. Na dole przy wejściu i na schodach zaczepiali mnie jacyś oberwańcy, zapewniając, że będą mnie w nocy pilnować. Mówiąc to, wyciągali rękę. Ze sposobu, w jaki patrzyli mi w oczy, rozumiałem, że jeżeli im nic nie dam, w nocy, kiedy będę spał, przyjdą i poderzną mi gardło. Zobaczyłem, że w moim pokoju (nr 107D) jedyne okno wychodziło na ponurą, cuchnącą studnię wewnętrzną, z której bil odrażający smród. Zapaliłem światło. Ściany, łóżko, stół i podłoga były czarne. Czarne od karaluchów. Na świecie mieszkałem z wszelkim możliwym robactwem i nawet nauczyłem się obojętności i zgody na fakt, że żyjemy wśród milionów i milionów muszek, komarów, prusaków i pluskiew, wśród niezliczonych chmar, zagonów i rojów os, pajaków, szczypawek i skarabeuszy, w obłokach gzów i moskitów, w tumanach żarłocznej szarańczy, ale tym razem poraziła mnie nie tyle nawet ilość karaluchów - też, co prawda, szokująca - ile ich rozmiary, wielkość każdego z obecnych tu osobników. Bo to były karaluchy olbrzymy, rozrosłe jak żółwie, ciemne, połyskujące, szczeciniaste i wąsate. Co sprawiło, że urosły takie duże? Czym się pasły? Ta ich monstrualna wielkość działała teraz na mnie paraliżująco. Od lat bez namysłu tłukłem wszelkie moskity i muchy, pchły i pajęczki, ale teraz stanąłem wobec zupełnie nowego problemu: jak poradzić sobie z takim kolosem? Co z nim zrobić? Jak się do niego odnieść? Zabić go? Czym? Jak? Na samą myśl zadrżała mi ręka. Były za duże. Poczułem, że nie potrafię, że nawet nie odważę się spróbować. Więcej - z powodu nadzwyczajnych rozmiarów tych karaluchów zacząłem się nad nimi pochylać i nadstawiać ucha w oczekiwaniu, że wydadzą jakiś głos, że się odezwą. Przecież wiele tak dużych jak one stworzeń przemawia na różny sposób - piszczy, skrzeczy, mruczy, chrząka, dlategożby więc i karaluch nie mógł się odezwać? Taki normalny jest zbyt mały, abyśmy go dosłyszeli, ale te olbrzymy, wśród których się znalazłem? Czy wydadzą jakiś głos? Jakiś dźwięk? Ale cały czas panowała w pokoju zupełna cisza: wszystkie milczały - zamknięte, bezgłośnie, tajemnicze. Zauważyłem natomiast, że ilekroć pochylałem się nad nimi, licząc, że może je usłyszę, one cofały się pospiesznie i zbijały w gromadę. Ponawiałem swój ruch i reakcja była ta sama, identyczna. Najwyraźniej karaluchy brzydziły się człowieka, cofały przed nim ze wstrętem, postrzegały go jako twór

wyjątkowo nieprzyjemny, odrażający. Mógłbym wyjaskrawić tę scenę i opisać, jak zezłoszczone moją obecnością ruszają na mnie, jak mnie atakują oblażą, a ja wpadam w histerię, dostaję dreszczy i szoku, ale przecież byłaby to nieprawda. W rzeczywistości, jeżeli nie zbliżałem się do nich, zachowywały się obojętnie, poruszały się niemrawo i sennie. Czasem przedreptały z miejsca na miejsce. Czasem wypełzały ze szpary, to znów w niej się kryły. Ale poza tym - nic. Wiedziałem, że czeka mnie trudna i bezsenna noc (bo poza tym w pokoju było niehumanie duszno i gorąco), więc sięgnąłem do torby po notatki na temat Liberii. W 1821 roku do miejsca, które znajduje się gdzieś niedaleko mojego hotelu (Monrowia leży nad Atlantykiem, na półwyspie o kształcie podobnym do Helu), dopłynął statek, którym przybył z Ameryki agent American Colonisation Society, Robert Stockton. Stockton, przykładając miejscowemu wodzowi plemiennemu, królowi Peterowi, pistolet do skroni, wymusił na nim sprzedaż - za sześć muszkietów i skrzynkę paciorków - ziemi, na której owo towarzystwo amerykańskie zamierzało osiedlić tych niewolników z plantacji bawełny (głównie ze stanów Wirginia, Georgia, Maryland), którzy uzyskali status wolnych ludzi. Towarzystwo Stocktona miało charakter liberalny i charytatywny. Jego działacze sądzili, że najlepszym zadość uczynieniem za krzywdy niewolnictwa będzie odesłanie byłych niewolników do ziemi, skąd pochodzili ich przodkowie - do Afryki. Od tego czasu, co roku, statki przywoziły z USA grupy kolejnych wyzwolonych niewolników, którzy zaczęli osiedlać się w rejonie dzisiejszej Monrowii. Nie stanowili dużej społeczności. Kiedy w 1847 roku ogłosili utworzenie Republiki Liberii, było ich sześć tysięcy. Możliwe, że liczba ich nigdy nie przekroczyła kilkunastu tysięcy: mniej niż jeden procent ludności kraju. Pasjonujące są losy i zachowanie tych osadników (nazywali oni siebie Americo-Liberians, Amerykano-Liberyjczykami). Jeszcze wczoraj byli czarnymi pariasami, wyzutymi z prawa niewolnikami z plantacji w południowych stanach Ameryki. W większości nie umieli czytać ni pisać, nie mieli też żadnego zawodu. Ich ojcowie zostali przed laty porwani w Afryce, przywiezieni w kajdanach do Ameryki i sprzedani na targach niewolniczych. A teraz oni, potomkowie tamtych nieszczęśników, sami do niedawna czarni niewolnicy, znaleźli się znowu w Afryce, na ziemi przodków, w ich świecie, wśród pobratymców o wspólnych korzeniach i tym samym kolorze skóry. Z woli liberalnych, białych Amerykanów zostali tu teraz przywiezieni i zdani na siebie, pozostawieni własnemu losowi. Jak się teraz zachowają? Co zrobią? Otóż wbrew oczekiwaniom swoich dobroczyńców przybysze nie całują odzyskanej ziemi i nie rzucają się w ramiona mieszkających tu Afrykańczyków. Ci Amerykano-Liberyjczycy znają z własnego doświadczenia tylko jeden typ społeczeństwa - niewolniczy, bo takie istniało wówczas w południowych stanach Ameryki. Toteż po przybyciu ich pierwszym posunięciem na nowej ziemi stanie się odtworzenie podobnego społeczeństwa, z tym że panami będą teraz oni - wczorajsi niewolnicy, a niewolnikami miejscowe, zastane tu społeczności, które oni podbijają i będą nad nimi panować. Liberia - to przedłużenie porządku niewolniczego z woli samych niewolników, którzy nie chcą burzyć niesprawiedliwego systemu, lecz pragną go zachować, rozwinąć i wykorzystać we własnym interesie. Najwyraźniej umysł zniewolony, skażony doświadczeniem niewolnictwa, umysł "urodzony w niewoli, okuty w powiciu" nie umie pomyśleć, wyobrazić sobie wolnego świata, w którym wszyscy byliby wolni. Znaczną część obszaru Liberii pokrywa dżungla. Gęsta, tropikalna, wilgotna, malaryczna. Mieszkają w niej niewielkie, biedne i słabo zorganizowane plemiona (ludy potężne, o silnych strukturach militarnych i państwowych, żyły najczęściej na szerokich, otwartych przestrzeniach sawanny.

Cieężkie warunki zdrowotne i komunikacyjne dżungli afrykańskiej sprawiały, że takie organizmy nie mogły tam powstać). Teraz na te tereny, zajmowane tradycyjnie przez miejscową, rodzimą ludność, zaczynają się wprowadzać przybysze zza oceanu. Stosunki od początku układają się fatalnie, wrogo. Przede wszystkim Amerykano-Liberyjczycy ogłaszają, że tylko oni są obywatelami kraju. Reszcie - to jest dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom ludności - odmawiają tego statusu, tego prawa. Według przyjętych ustaw ta reszta to tylko tribesmen (członkowie plemion), ludzie bez kultury, dzikus i poganie. Najczęściej zresztą dwie społeczności żyją z dala od siebie, mając rzadki, sporadyczny kontakt. Nowi panowie trzymają się brzegu morskiego i osad, które tam zbudowali (największą jest Monrowia). Dopiero w sto lat od powstania Liberii jej prezydent (był nim wówczas William Tubman) wyjechał po raz pierwszy w głąb kraju. Przybysze z Ameryki, nie mogąc odróżnić się od miejscowych kolorem skóry i typem fizycznym, starają się w jakiś inny sposób podkreślać swoją inność i wyższość. W straszliwie upalnym i parnym klimacie, jaki panuje w Liberii, mężczyźni, nawet w zwykły dzień, chodzą we frakach i spencerach, noszą meloniki i zakładają białe rękawiczki. Panie na ogół przebywają w domach, ale jeżeli wychodzą na ulicę (do połowy XX wieku w Monrowii nie ma asfaltu ani chodników), to w sztywnych krynolinach, gęstych perukach i zdobnych sztucznymi kwiatami kapeluszach. Całe to wyższe, ekskluzywne towarzystwo mieszka w domach, które są wierną kopią dworów i pałaców, jakie budowali sobie biali właściciele plantacji na południu Ameryki. Amerykano-Liberyjczycy zamykają się również we własnym świecie religijnym niedostępnym dla miejscowych Afrykańczyków. Ci przybysze to gorliwi baptyści i metodyści. Na nowej ziemi budują swoje proste kościoły. Spędzają w nich cały wolny czas na śpiewaniu nabożnych hymnów i słuchaniu okolicznościowych kazań. Z czasem świątynie te staną się także miejscem spotkań towarzyskich, rodzajem zamkniętych klubów. Na długo przed tym, nim biali Afrykanerzy wprowadzili apartheid (tj. system segregacji w imię dominacji) w południowej Afryce, system ten już w połowie XIX wieku wymyślili i wcielili w życie potomkowie czarnych niewolników - władcy Liberii. Już sama przyroda i gęstwina dżungli sprawiały, że między tubylcami a przybyszami istniała naturalna, oddzielająca ich, sprzyjająca segregacji granica, nie zamieszкана, niczyja przestrzeń. Ale to nie wystarczyło. W małym, bigoteryjnym światku Monrowii rządzi zakaz bliskich kontaktów z miejscową ludnością, przede wszystkim zakaz małżeństw. Robi się wszystko, aby "dzikus znali swoje miejsce". W tym celu rząd w Monrowii wyznacza każdemu z plemion (jest ich szesnaście) terytorium, na którym wolno mu przebywać - typowe homelands utworzone dla Afrykańczyków dopiero kilkadziesiąt lat później przez białych rasistów z Pretorii. Wszyscy, którzy przeciw temu występują, są surowo karani. Do miejsc rebelii i oporu Monrowia wysyła wojskowe i policyjne ekspedycje karne. Szefowie niepokornych ludów są ścinani na miejscu, zbuntowana ludność mordowana lub więziona, jej wioski niszczone, a zbiory puszczane z dymem. Starym światowym zwyczajem i tu te ekspedycje, wyprawy i wojny lokalne służą jednemu celowi: chwytności niewolników. Bo Amerykano-Liberyjczycy potrzebują rąk do pracy. I rzeczywiście, już w drugiej połowie XIX wieku zaczęły w swoich gospodarstwach i warsztatach zatrudniać własnych niewolników. A także sprzedawać ich do innych kolonii, przede wszystkim do Fernando Po i Gwinei. W końcu lat dwudziestych XX wieku prasa światowa ujawnia ten proceder uprawiany oficjalnie przez rząd Liberii. Interweniuje Liga Narodów. Pod jej naciskiem ówczesny prezydent Charles King musi ustąpić. Ale praktyka, tyle że już po cichu, będzie trwać nadal. Od pierwszych dni swojego

osiedlenia w Liberii czarni przybysze z Ameryki myśleli, jak zachować i umocnić swoją dominującą pozycję w nowym kraju. Najpierw nie dopuścili jego rodowitych mieszkańców do udziału w rządach, odmawiając im praw obywatelskich. Pozwalali im żyć, ale tylko na wyznaczonych terenach plemiennych. Potem poszli dalej - wymyślili jednopartyjny system władzy. Na rok przed urodzeniem Lenina, a mianowicie w 1869 roku powstała w Monrowii True Whig Party, która będzie miała w Liberii monopol władzy przez sto jedenaście lat, to jest do 1980 roku. Kierownictwo tej partii, jej biuro polityczne - A National Executive - od początku decyduje o wszystkim: kto będzie prezydentem, kto zasiądzie w rządzie, jaką ten rząd będzie prowadzić politykę, jaka firma zagraniczna dostanie koncesję, kogo mianują szefem policji, kogo naczelnikiem poczty itd. - drobiazgowo, do najniższych szczebli. Szefowie tej partii byli prezydentami republiki albo odwrotnie - bo te stanowiska traktowano wymiennie. Tylko będąc w tej partii, można było coś osiągnąć. Jej przeciwnicy przebywali albo w więzieniu, albo na emigracji. Jej wodza, a zarazem prezydenta Liberii w latach sześćdziesiątych, Williama Tubmana, spotkałem osobiście. Było to wiosną 1963 roku, w Addis Abebie, w czasie pierwszej konferencji szefów państw Afryki. Tubman miał wówczas blisko siedemdziesiąt lat. Nigdy w życiu nie leciał samolotem - bał się. Na miesiąc przed konferencją wyruszył statkiem z Monrowii, dopłynął do Dżibuti, a stamtąd pociągiem dojechał do Addis Abeby. Był niskim, drobnym, jowialnym panem z cygarem w ustach. Na kłopotliwe pytania odpowiadał długim, donośnym śmiechem, który kończył się wybuchem hałaśliwej czkawki, po czym następował atak świszczącej, konwulsyjnej zadyszki. Trząsł się, wytrzeszczał załzawione oczy. Speszony i wystraszony rozmówca milkł i nie śmiał więcej nalegać. Tubman otrząpywał popiół z ubrania i już uspokojony chował się znowu za gęsty obłok cygarowego dymu. Był prezydentem Liberii przez dwadzieścia osiem lat. Należał do rzadkiej już dziś kategorii kacyków, którzy rządzą swoimi krajami jak dziedzic folwarkiem: wszystkich znają, o wszystkim decydują. (Rówieśnik Tubmana - Leonidas Trujillo - był dyktatorem Dominikany przez trzydzieści lat. Za jego rządów kościół organizował zbiorowe chrzty - Trujillo podawał dzieci, które się w Dominikanie rodziły. Z czasem stał się ojcem chrzestnym wszystkich swoich podwładnych. CIA nie mogła znaleźć chętnych, żeby zrobili zamach na dyktatora - nikt nie chciał podnieść ręki na swojego ojca chrzestnego). Tubman przyjmował codziennie około sześćdziesięciu osób. Sam mianował ludzi na wszystkie stanowiska w kraju, decydował, komu dać koncesję, jakich wpuścić misjonarzy. Wszędzie wysyłał swoich ludzi, miał prywatną policję, która donosiła mu, co się dzieje - a to w tej wiosce, a to w innej. Nie działo się wiele. Kraj był małą, zapomnianą prowincją Afryki, na piaszczystych uliczkach Monrowii, w cieniu rozwalających się ruder, drzemały za straganami tęgie przekupki, wszędzie wałęsały się męczone malarią psy. Czasem przed bramą pałacu rządowego przeszła grupa ludzi z dużym transparentem, na którym można było przeczytać: "Gigantyczna manifestacja wdzięczności za postęp, jaki dokonał się w kraju dzięki Niezrównanej Administracji Prezydenta Liberii - Dr. WVS Tubmana". Przed tą samą bramą zatrzymywały się również zespoły muzyczne z prowincji, aby śpiewem chwalić wielkość prezydenta: "Tubman jest ojcem nas wszystkich 8| ojcem całego narodu 8| On buduje nam drogi 8| sprowadza wodę 8| Tubman daje nam jeść 8| daje jeść 8| ye, ye!". Strażnicy, skryci przed słońcem w budkach wartowniczych, oklaskiwali tych rozśpiewanych entuzjastów. Największy jednak respekt budziło to, że prezydenta strzegły dobre duchy, które wyposażyły go w nadzwyczajne moce. Gdyby ktoś chciał mu podać zatruty napój,

szklanka z tym napojem rozpadłaby się w powietrzu. Pocisk zamachowca nie mógłby go ugodzić - roztopiłby się po drodze. Prezydent miał zioła pozwalające mu wygrać każde wybory. I miał aparat, przez który mógł widzieć wszystko, co się gdziekolwiek dzieje - opozycja nie miała sensu; byłaby wykryta zawczasu. Tubman umarł w 1971 roku. Zastąpił go jego przyjaciel wiceprezydent William Tolbert. O ile Tubmana bawiła władza, o tyle Tolberta fascynowały pieniądze. Był chodzącą korupcją. Handlował wszystkim - złotem, samochodami, w chwilach wolnych sprzedawał paszporty. Za jego przykładem szła cała elita, owi potomkowie czarnych niewolników amerykańskich. Do ludzi wychodzących na ulicę z wołaniem o chleb i wodę Tolbert kazał strzelać. Jego policja zabiła setki ludzi. 12 kwietnia 1980 nad ranem grupa żołnierzy wtargnęła do rezydencji prezydenta i poćwiartowała Tolberta w łóżku. Wyjęli mu wnętrzności i wyrzucili na dziedziniec psom i sępom na pożarcie. Żołnierzy było siedemnastu. Dowodził nimi dwudziestoosmioletni sierżant Samuel Doe. Doe był ledwie piśmiennym młodym człowiekiem. Pochodził z małego, żyjącego głęboko w dżungli plemienia Krahn. Tacy właśnie jak on ludzie, wypędzeni przez biedę ze swoich wiosek, od lat już napływali do Monrowii w poszukiwaniu zajęcia i pieniędzy. W ciągu trzydziestu lat (między 1956 a 1986 r.) ludność stolicy Liberii zwiększyła się dziesięciokrotnie z 42 do 425 tysięcy. A skok ten nastąpił w mieście bez przemysłu i komunikacji, w którym niewiele domów miało światło elektryczne, a jeszcze mniej - wodę bieżącą. Wyprawa z dżungli do Monrowii wymaga wielu dni marszu przez trudne do pokonania tropikalne bezdroża. Mogli z tym się uporać tylko młodzi, silni ludzie. I właśnie oni przychodzili do miasta. Ale nie czekało ich tu nic: ani praca, ani dach nad głową. Od pierwszego dnia stawali się bayaye - ową armią młodych bezrobotnych koczujących beczynn timer na wszystkich większych ulicach i placach miast afrykańskich. Istnienie tej armii jest jedną z przyczyn zamętu na kontynencie: to z jej szeregów, za tani grosz, często tylko za obietnicę żywienia, lokalni watażkowie rekrutują swoje wojska do walki o władzę, do organizowania przewrótów i rozpętywania wojen domowych. Doe, podobnie jak Amin w Ugandzie, był właśnie takim bayaye. I podobnie jak Amin wygrał los na loterii: dostał się do wojska. Można by pomyśleć - osiągnął szczyt kariery. Okazało się jednak, że miał większe ambicje. W wypadku Liberii przewrót Doe nie był tylko prostą zamianą skorumpowanego kacyka-biurokraty na półanalfabetę w mundurze. Była to bowiem jednocześnie krwawa, okrutna i karykaturalna rewolucja uciskanych, półniewolniczych mas z dżungli afrykańskiej przeciwko ich zniechwalanym władcom - byłym niewolnikom z plantacji amerykańskich. Dokonał się więc jak gdyby przewrót wewnątrz świata niewolników: aktualni niewolnicy zbuntowali się przeciw byłym niewolnikom, którzy narzucili im swoją władzę. Całe to wydarzenie zdawało się dowodzić tezy najbardziej pesymistycznej i tragicznej, że - w jakimś sensie, choćby mentalnym czy kulturowym - z niewolnictwa nie ma wyjścia. Albo że jest ono niesłychanie trudne i zawsze - długotrwałe. `nv Stygnące piekło (cd.) Doe natychmiast ogłosił się prezydentem. Zaraz kazał zabić trzynastu ministrów rządu Tolberta. Egzekucja ciągnęła się długo, na oczach tłumnie zgromadzonej, ciekawej widowiska, gawiedzi. Nowy prezydent coraz to ujawniał zamach na swoje życie. Mówił, że było ich trzydzieści cztery. Zamachowców rozstrzeliwał. To, że jednak żył i rządził nadal, było dowodem, że chronią go zaklęcia i niezwyciężone moce - dzieło czarowników z jego wsi. Można było do niego strzelać - kule po prostu zatrzymywały się w powietrzu i spadały na ziemię. Niewiele da się powiedzieć o jego rządach. Sprawował je przez dziesięć lat. Kraj po prostu stanął. Nie było światła, zamknięto sklepy, zmarł

ruch na tych nielicznych drogach, które są w Liberii. Właściwie nie bardzo wiedział, co ma robić jako prezydent. Ponieważ miał dziecinną, puciołowatą twarz, kupił sobie wielkie okulary w złotej oprawie, żeby wyglądać poważnie i dostatnio. Był dość leniwy, toteż całymi dniami przesiadywał w rezydencji, grając z podwładnymi w warcaby. Dużo czasu spędzał też na dziedzińcu, gdzie żony strażników z jego gwardii prezydenckiej gotowały na ogniskach albo prały bieliznę. Rozmawiał z nimi, dowcipkował, czasem brał którąś do łóżka. Niepewny, co dalej robić i jak tu, po zabiciu takiej liczby ludzi, ocalić się przed zemstą, widział wyjście tylko w tym, aby otoczyć się ludźmi swojego plemienia - Krahn. Toteż ściągał ich masowo do Monrowii. Władza z rąk zamożnych, zasiedziały i światowych Amerykano-Liberyjczyków (którzy zdołali tymczasem uciec z kraju) przeszła teraz w ręce nędznego, niepiśmiennego i wystraszonego swoją nową sytuacją plemienia ludzi leśnych - Krahn, którzy nagle wyciągnięci ze swoich z łyka i liści plecionych szałasów, po raz pierwszy widzą takie rzeczy jak miasto, samochód czy buty. Rozumieli oni, że jedynym sposobem przetrwania będzie zastraszenie albo likwidacja rzeczywistych czy ewentualnych wrogów, to znaczy wszystkich nie-Krahn. Toteż garstka tych wczorajszych jeszcze nędzarzy, ciemnych i zagubionych, chcąc utrzymać się u lukratywnej władzy, która wpadła im w ręce jak złote jajo, od początku próbuje sterroryzować naród. Biją, maltretują, wieszają, właściwie bez powodu. - Dlaczego tak cię skatowali? - pytają sąsiedzi jakiegoś posiniaczonego człowieka. - Ponieważ stwierdzili, że nie należę do Krahn - odpowiada nieszczęśnik. Zrozumiałe, że w tej sytuacji kraj czeka tylko, żeby uwolnić się od Doe i jego ludzi. Z pomocą przychodzi mu niejaki Charles Taylor, były człowiek Doe, który, jak twierdził prezydent, ukradł mu milion dolarów, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, tam wpadł na jakichś interesach, dostał się do więzienia, ale uciekł i znalazł się nagle na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Stąd, z grupą sześćdziesięciu ludzi, w grudniu 1989 roku zaczyna wojnę z Doe. Doe mógłby go łatwo zniszczyć, ale wysłał przeciw niemu armię swoich bosonogich Krahn, którzy miast walczyć z Taylorem, tuż po opuszczeniu Monrowii, rzucili się grabić i kraść, co i gdzie popadło. Wieść o marszu tej armii rabusiów rozeszła się szybko po dżungli i przerażona ludność, w nadziei na ratunek, zaczęła uciekać do Taylora. Armia Taylora rosła błyskawicznie i już w sześć miesięcy znalazła się pod Monrowią. W obozie Taylora wybucha kłótnia: kto ma zdobywać miasto i czyj będzie łup. Szef sztabu, też był człowiek Doe, Prince Johnson, zrywa z Taylorem i tworzy własną armię. Teraz trzy armie - Doe, Taylora i Johnsona - walczą między sobą w mieście o miasto. Monrowia zmienia się w ruinę, całe dzielnice płoną, trupy zalegają ulice. W końcu interweniują kraje Afryki Zachodniej. Nigeria wysyła statkami desant, który latem dociera do portu w Monrowii. Doe dowiaduje się o tym i postanawia odwiedzić Nigeryjczyków. Bierze swoją obstawę i wyrusza mercedesem do portu. Jest 9 września 1990. Prezydent jedzie przez miasto umęczone, zdewastowane, rozgrabione, opustoszałe. Dojeżdża do portu, ale tu już czekają na niego ludzie Johnsona. Otwierają ogień. Ginie cała ochrona prezydenta. On sam dostaje kilka kul w nogi, nie może uciekać. Chwytają go, wiążą mu z tyłu ręce i wloką na tortury. Johnson, któremu zależało na reklamie, kazał scenę tortur dokładnie sfilmować. Na ekranie widzimy Johnsona, jak siedzi i popija piwo. Obok stoi kobieta, wachluje go i ociera pot z czoła (jest bardzo gorąco). Na podłodze siedzi spętany Doe, ocieka krwią. Ma zmasakrowaną twarz, prawie nie widać oczu. Wokół tłoczą się ludzie Johnsona, zafascynowani widokiem torturowanego dyktatora. To oddział, który już pół roku idzie przez kraj, grabi i zabija, a

jednak widok krwi od nowa i od nowa wprawia go w stan ekstazy, w szaleństwo. Młodzi chłopcy przepychają się, każdy chce zobaczyć, nasycić oko. Doe siedzi w kałuży krwi, nagi, mokry od krwi, potu i wody, którą polewają go, żeby nie zemdlał, głowa spuchnięta od ciosów. - Prince! - mamrocze Doe do Johnsona (mówi do niego po imieniu, bo przecież to wszystko koledzy, ci, którzy walczą ze sobą i dewastują kraj - Doe, Taylor i Johnson to koledzy). - Każ tylko rozluźnić pęta na rękach. Wszystko powiem, tylko poluzujcie mi pęta! - Najwyraźniej powiązali mu ręce tak mocno, że sprawia to większy ból niż posiekane kulami nogi. Ale Johnson krzyczy na Doe, krzyczy w lokalnym, kreolskim dialekcie, nie można wiele z tego zrozumieć, poza jednym - żeby podał swoje konto bankowe. Ilekroć w Afryce dopadną dyktatora, całe śledztwo, bicie, tortury będą obracać się zawsze wokół jednego - numeru jego prywatnego konta. W tutejszej opinii polityk jest synonimem szefa przestępczego gangu, który robi interesy na handlu narkotykami i bronią i odkłada pieniądze na kontach zagranicznych, bo wie, że jego kariera nie potrwa długo, że trzeba będzie uciekać i z czegoś żyć. - Obetnijcie mu uszy! - krzyczy Johnson zły, że Doe nie chce mówić (choć Doe twierdzi, że chce!). Żołnierze rzucają prezydenta na podłogę, przytrzymują go butami, a jeden bagnetem obcina mu ucho. Słysząc nieludzki ryk bólu. - Drugie ucho! - woła Johnson. Panuje harmider, wszyscy są podnieceni, kłócą się, każdy chciałby obciąć prezydentowi ucho. Znowu słysząc wycie. Podnoszą prezydenta. Doe siedzi, plecy przytrzymywane butem żołnierza, jego głowa, bez uszu, zalana krwią, chwieje się. Teraz Johnson właściwie nie wie, co robić dalej. Kazać mu uciąć nos? Rękę? Nogę? Najwyraźniej nie ma pomysłu. Zaczyna go to nudzić. - Zabierzcie go stąd! - rozkazuje żołnierzom, którzy wezmą go na dalsze tortury (też sfilmowane). Doe, katowany, żył jeszcze kilka godzin i umarł z upływu krwi. Kiedy byłem w Monrowii, kaseta wideo pokazująca, jak torturowano prezydenta, stanowiła największą atrakcję na rynku mediów. W mieście byto jednak mało magnetowidów, a poza tym często wyłączali światło. Żeby obejrzeć tortury (cały film trwa dwie godziny), ludzie musieli wpraszać się do bardziej zamożnych sąsiadów albo chodzić do tych barów, gdzie kasetę puszczano bez przerwy. Ci, którzy piszą o Europie, mają wygodne życie. Pisarz może na przykład zatrzymać się we Florencji (albo umieścić tam swojego bohatera). I już - resztę za niego wykonuje historia. Nie kończących się tematów dostarczają mu bowiem dzieła starych architektów, którzy wzniesli florentyńskie kościoły, rzeźbiarzy - autorów niezwykłych posągów, bogatych mieszczan, których stać było na zdobne, renesansowe kamienice. To wszystko można opisać nie ruszając się z jednego miejsca albo robiąc krótki spacer po mieście. "Stałem na Piazza del Duomo" - pisze autor, który znalazł się we Florencji. I dalej może nastąpić wielostronicowy opis tego bogactwa rzeczy, dzieł, cudów sztuki, wytworów ludzkiego geniuszu i smaku, które zewsząd go otaczają, które wszędzie widzi, w których jest zanurzony. "A teraz idę przez II Corso i Borgo degli Albizi w stronę Muzeum Michała Anioła, żeby koniecznie zobaczyć płaskorzeźbę Madonny della Scala" - pisze nasz autor. Jakże mu dobrze! Wystarczy, że idzie i patrzy. Świat, który go otacza, sam podsuwa mu się pod pióro. Można stworzyć cały rozdział o tym krótkim spacerze. Taka tu różnorodność wszystkiego, taka obfitość, takie nieprzebranie! Weźmy Balzaca. Weźmy Prousta. Strona po stronie ciągną się wykazy, ewidencje, katalogi rzeczy i przedmiotów wymyślonych i zrobionych przez tysiące meblarzy, snycerzy, foluszników i kamieniarzy, przez niezliczone sprawne, wrażliwe i pieczołowite ręce, które zbudowały w Europie miasta i ich ulice, wzniosły domy i wyposażyły ich wnętrza. Monrowia stawia

przybysza w zupełnie innej sytuacji. Identyczne z wyglądu tandetne i zaniedbane domki ciągną się kilometrami, ulica przechodzi w ulicę, a dzielnica w dzielnicę tak niepostrzeżenie, że tylko zmęczenie, które szybko odczuwamy w tym klimacie, będzie informacją, że przeszliśmy z jednej części miasta do drugiej. Również wnętrza domów (poza kilkoma willami notabli i bogaczy) są jednakowo ubogie i monotonne. Stół, krzesła albo stołki, metalowe łóżka małżeńskie, maty z rafii czy plastiku dla dzieci, gwoździe w ścianie do wieszania ubrań, jakieś, najczęściej wycięte z kolorowych czasopism, obrazki. Duży garnek do gotowania ryżu, mniejszy do gotowania sosu, kubki do picia wody i herbaty. Plastikowa miska do mycia, która w razie ucieczki (co ostatnio zdarzało się często, bo coraz to wybuchały walki) jest rodzajem podręcznej, noszonej przez kobiety na głowie walizki. To wszystko? Mniej więcej tak. Najłatwiej i najtaniej zbudować dom z cynkowanej, falistej blachy. Drzwi zastępuje perkalowa zasłona, otwory okienne są małe, w porze deszczowej, która jest tu długa i uciążliwa, zasłania się je kawałkami dykty albo grubej tektury. Taki dom jest w ciągu dnia rozpalony jak piec, jego ściany płoną i buchają żarem, dach skwierczy i roztopia się w słońcu, toteż od świtu do zmierzchu nikt nie odważy się tu wejść. Ledwie zacznie się rozwidniać, pierwszy brzask wyrzuci wszystkich, zasnionych jeszcze mieszkańców na podwórze i ulicę, gdzie pozostaną do wieczoru. Wyjdą na dwór mokrzy od potu, drapiąc bąble po moskitach i pająkach i zaglądając do garneczka, czy została w nim od wczoraj resztką ryżu. Patrzą na ulicę, na domy sąsiadów, bez ciekawości, bez oczekiwań. Może coś trzeba by i robić. Ale co? Co robić? Rano poszedłem Carrey Street, przy której stoi mój hotel. To śródmieście, centrum, dzielnica handlowa. Nie da się pójść daleko. Wszędzie siedzą pod ścianami grupy bayaye - bezczynnych głodnych chłopców, bez nadziei na cokolwiek, bez szansy na życie. Zaczepiają, a to, żeby zapytać, skąd jestem albo że będą mi przewodnikami, albo żebym załatwił im stypendium w Ameryce. Nawet nie chcą dolara na bułkę, nie, od razu mierzą najwyżej - w Amerykę. Po stu metrach już jestem otoczony przez małych chłopców o obrzękłych twarzach i zmaconych oczach, czasem bez ręki albo nogi. Proszą. To byli żołnierze ze Small Boys Units Charlesa Taylora, jego najstraszniejszych oddziałów. Taylor rekrutuje małe dzieci i daje im broń. Daje im także narkotyki i kiedy są pod ich wpływem, pcha tych chłopców do ataku. Oszołomieni malcy zachowują się jak kamikadze, rzucają się w ogień walki, idą wprost na kule, wylatują na minach. Kiedy stają się tak uzależnieni, że zaczynają być mało przydatni, Taylor ich wyrzuca. Niektórzy docierają do Monrowii i kończą swoje krótkie życie gdzieś w rowach lub na śmietnikach zżarci przez malarię, przez cholerę albo przez szakale. Właściwie nie wiadomo, dlaczego Doe pojechał do portu (czym sprowokował własną śmierć). Możliwe, że zapomniał, że jest prezydentem. Został nim przed dziesięcioma laty, w gruncie rzeczy przypadkowo. Z grupą szesnastu kolegów, jak on - podoficerów zawodowych, poszli do rezydencji prezydenta Tolberta spytać, kiedy dostaną zaległy żołd. Nie spotkali nikogo z ochrony, a Tolbert spał. Korzystając z okazji, zadźgali go bagnetami. I Doe, najstarszy w tej grupie, zajął jego miejsce. Normalnie nikt w Monrowii nie szanuje podoficerów, a tu wszyscy zaczęli mu się kłaniać, oklaskiwać go, przepychać się, aby uścisnąć mu rękę. To mu się spodobało. Szybko nauczył się paru rzeczy. Że jeżeli tłum klaszcze, trzeba wyciągnąć w górę ręce w geście pozdrowienia i zwycięstwa. Że na różne wieczorowe okazje zamiast munduru polowego trzeba wkładać ciemny dwurzędowy garnitur. Że jak gdzieś pojawi się jakiś przeciwnik, to trzeba go dopaść i zabić. Ale nie nauczył się wszystkiego. Nie wiedział na przykład, co zrobić, jeżeli jego dawni koledzy - Taylor i

Johnson - zajmą mu cały kraj, zajmą stolicę i zaczną oblegać jego rezydencję. Taylor i Johnson mieli swoje watahy i obaj, konkurując ze sobą, dążyli do władzy (która ciągle była w rękach Doe). Oczywiście, w takich dążeniach nie chodzi o żadne programy, żadne demokracje czy suwerenności. Chodzi jedynie o to, kto trzyma kasę. Doe trzymał kasę przez dziesięć lat. Mieli prawo uznać, że to wystarczy. Więcej - oni to wprost mówili! "Chcemy tylko - powtarzali w dziesiątkach wywiadów - usunąć Samuela Doe. Następnego dnia zapanuje pokój". Doe nie umiał nic na to odpowiedzieć, po prostu pogubił się. Zamiast działać - zbrojnie lub pokojowo - nie robił nic. Zamknięty w rezydencji nie bardzo wiedział, co się wokół dzieje, choć od trzech miesięcy trwały w mieście zażarte walki. I oto ktoś mu donosi, że do portu dopłynęły wojska nigeryjskie. Jako prezydent republiki miał prawo zapytać oficjalnie, co to za obce wojska wkraczają na terytorium jego kraju. Mógł zażądać, aby dowódca tych wojsk stawiał się z wyjaśnieniami w jego rezydencji. Nic takiego jednak Doe nie robi. Odezwała się w nim natura podoficera-zwiadowcy, sierżanta-szperacza. Sam zobaczy, co tam w trawie piszczy! Wsiada do samochodu i jedzie do portu. Ale czy nie wie, że ta część miasta jest zajęta przez Johnsona, który chce go poćwiartować? I że prezydentowi państwa nie wypada jechać, aby zameldować się szefowi obcych wojsk? Może rzeczywiście nie wiedział. Ale może wiedział, tylko zawiodła go wyobraźnia, nie zastanowił się, postąpił bezmyślnie. Historia jest często produktem bezmyślności. Jest bękartem ludzkiej głupoty, płodem zaćmienia, idiotyzmu i szaleństwa. W takich wypadkach jest robiona przez ludzi, którzy nie wiedzą, co czynią, więcej - nie chcą wiedzieć, odrzucają taką ewentualność z odrazą i gniewem. Widzimy ich, jak zmierzają ku własnej zagładzie, jak sami szykują na siebie wnyki, jak zawiązują sobie pętlę, jak pilnie i wielokrotnie sprawdzają, czy te wnyki i pętle są mocne, czy będą wytrzymałe i skuteczne. Ostatnie godziny Doe pozwalają nam zobaczyć historię w tym punkcie i w tym momencie, kiedy ulega ona całkowitemu rozpadowi. Godna i wyniosła bogini zamienia się w takiej chwili w swoją krwawą i żalonną karykaturę. Oto siepacze Johnsona ranią w nogi prezydenta państwa, aby nie mógł uciec, chwytają go, wyłamują mu i wiążą ręce. Będą go torturować jeszcze przez kilkanaście godzin. Dzieje się to w małym mieście, w którym przecież urzęduje legalny rząd. Gdzie są w tym czasie ministrowie? Co robią pozostali urzędnicy? Gdzie jest policja? Prezydenta torturują obok budynku właśnie zajętego przez żołnierzy nigeryjskich, którzy przybyli do Monrowii, żeby ochraniać legalną władzę. I ci żołnierze - nic? Nic ich to nie obchodzi? Mało tego! O kilka kilometrów od portu stacjonuje kilkuset żołnierzy doborowej gwardii prezydenta, których jedynym zadaniem i sensem istnienia jest ochrona szefa państwa. Tymczasem szef ów wyjechał rano z krótką wizytą do portu, a tu mijają godziny i nie ma po nim śladu. I nawet ich nie zaciekawia, co się z nim stało? Gdzie się podział? Zresztą wróćmy do sceny, w której Johnson przesłuchuje prezydenta. Johnson chce się dowiedzieć, gdzie Doe ma konto bankowe. Doe jęczy, bołą go rany, przed godziną dostał kilkanaście kul. Coś bełkoce, nie wiadomo co. Czy mówi numer konta? Czy w ogóle ma konto? Wściekły Johnson każe mu natychmiast obciąć uszy. Dlaczego? Czy to rozsądne? Czy Johnson nie rozumie, że w tym momencie krew załata prezydentowi przewody słuchowe i że rozmowa z nim będzie jeszcze trudniejsza? Widać, jak ci ludzie nie mogą sobie z niczym poradzić, jak przerasta ich sytuacja, jak wszystko po kolei partacza. A potem rozjuszeni próbują coś nadrobić. Ale czy można to nadrobić krzykiem? Znęcaniem się? Zabijaniem innych? Po śmierci Doe wojna trwała nadal. Taylor walczył z Johnsonem, obaj - z resztkami armii liberyjskiej, a z nimi

wszystkimi wojska interwencyjne kilku krajów Afryki, które, pod nazwą ECOMOG, miały zaprowadzić porządek w Liberii. Po długich walkach ECOMOG zajęło Monrowię i najbliższe okolice miasta, resztę kraju pozostawiając Taylorowi i jemu podobnym watażkom. Można było poruszać się po stolicy, ale po przejechaniu 20-30 kilometrów wyrastał na drodze posterunek żołnierzy z Ghany, Gwinei czy Sierra Leone. Zatrzymywali wszystkich - dalej nie można było jechać. Dalej zaczynało się piekło, do którego nawet ci uzbrojeni po zęby żołnierze nie mieli odwagi zajrzeć. Bo była to kraina, która znajdowali się we władaniu liberyjskich watażków. Owych watażków, których jest wielu, także w innych krajach Afryki, przyjęło się nazywać na kontynencie panami, lordami wojny - warlords. Warlord - to były oficer, eksminister czy działacz partyjny lub inny żądny władzy i pieniędzy, pozbawiony skrupułów, bezwzględny, mocny typ, który, wykorzystując rozpad państwa (do czego sam się przyczynił i przyczynia), chce wykroić dla siebie własne nieformalne mini państewko i sprawować w nim dyktatorską władzę. Najczęściej warlord wykorzystuje do tego celu klan lub plemię, do którego należy. Warlordowie to siewcy nienawiści plemiennej i rasowej w Afryce. Nigdy się do tego nie przyznają. Zawsze głoszą, że przewodzą jakimś ruchom czy partiom o ogólnonarodowym charakterze. Najczęściej będzie to Ruch Wyzwolenia Czegoś Tam albo Ruch w Obronie Demokracji lub Niepodległości. Nie może być nic poniżej tych ideałów. Mając już wybraną nazwę, warlord przystępuje do zwerbowania armii. Z tym nie ma problemów. W każdym kraju, w każdym mieście są tysiące głodnych i bezrobotnych chłopców, którzy marzą, żeby znaleźć się w drużynie warlorda. Przecież wódz da im broń, a także, co równie ważne, poczucie przynależności. Najczęściej ich caudillo nie będzie im płacił. Powie im - macie broń, wyżywcie się sami. Ta zgoda im wystarczy: będą wiedzieli, co dalej robić. O broń też nietrudno. Jest tania i wszędzie jej pełno. Poza tym warlordowie mają pieniądze. Albo zagrabili je z instytucji państwowych (jako ministrowie czy generałowie), albo czerpią zyski, okupując tę część kraju, która ma wartość gospodarczą, gdzie są kopalnie, fabryki, lasy do wycięcia, porty morskie, lotniska. Np. Taylor w Liberii czy Savimbi w Angoli zajmują tereny, na których są kopalnie diamentów. Wiele wojen w Afryce można by nazwać diamentowymi. Wojna o diamenty toczyła się w prowincji Kasai w Kongo i trwa latami w Sierra Leone. Zresztą nie tylko kopalnie przynoszą pieniądze. Drogi i rzeki też dają dobry dochód: można ustawić posterunki i od każdego ściągać myto. Niewyczerpalnym źródłem zysków jest dla warlordów międzynarodowa pomoc dla biednej, głodującej ludności. Z każdego transportu biorą tyle worków zboża i tyle litrów oleju, ile im potrzeba. Rządzi tu bowiem prawo, które brzmi: kto ma broń - je pierwszy. Dopiero to, co zostanie, mogą wziąć głodni. Problem dla organizacji międzynarodowych: jeżeli nie dać rabusiom, w ogóle nie przepuszczą transportów z pomocą i głodujący umrą. Daje się więc watażkom to, czego chcą, w nadziei, że może jakaś resztką dotrze do cierpiących głód. Warlordowie są jednocześnie przyczyną i produktem kryzysu, w jakim w epoce postkolonialnej znalazło się wiele krajów kontynentu. Jeżeli słyszymy, że jakieś państwo w Afryce zaczyna się chwiać, możemy być pewni, że zaraz pojawią się tam warlordowie. W Angoli, w Sudanie, w Somalii, w Czadzie, wszędzie są, wszędzie panują. Co robi warlord? Teoretycznie walczy z innymi warlordami. Ale niekoniecznie musi tak być. Najczęściej warlord zajmuje się grabieniem bezbronnej ludności własnego kraju. Warlord jest przeciwieństwem Robin Hooda. Robin Hood zabierał bogatym, żeby dawać biednym. Warlord zabiera biednym, żeby bogacić siebie i żywić swoją watahę. Obracamy się w świecie, w którym nędza - jednych skazuje na śmierć, innych - przemienia w potwory. Ci

pierwsi to ofiary, ci drudzy to kaci. Nikogo innego tam nie ma. Swoje ofiary warlord ma pod ręką. Nie musi daleko szukać: to mieszkańcy okolicznych wsi i miasteczek. Jego bandy półnagich, obutych w podarte adidas kondotierów bez przerwy buszują po ziemiach swojego warlorda w poszukiwaniu żeru i łupu. Dla tych rozbestwionych, głodnych i często za narkotyzowanych biedaków - wszystko jest zdobyczą. Garść ryżu, stara koszula, kawałek koca, gliniany garnek są obiektami pożądania, przedmiotami, które mają wartość, wprawiają w drżenie, rozpalają błysk w oku. Ale ludzie nabrali już doświadczenia. Wystarczy wiadomość, że zbliżają się watahy warlorda, a już cała okolica pakuje się i zaczyna uciekać. To tych ludzi właśnie, idących w kilometrowych kolumnach, oglądają w telewizorach mieszkańcy Europy i Ameryki. Przypatrzmy się tym, którzy idą. To najczęściej kobiety i dzieci. Bo wojny warlordów są skierowane przeciw najsłabszym. Tym, którzy nie mogą się obronić. Nie potrafią, nie mają czym. Zwróćmy także uwagę, co te kobiety niosą. Niosą na głowie tobolek albo miskę, w której są rzeczy najniezbędniejsze - woreczek ryżu lub prosa, łyżeczka, nóż, kawałek mydła. Nie mają nic więcej. Ten tobolek, ta miska to ich cały skarb, dorobek życia, bogactwo, z którym wchodzi w XXI wiek. Liczba warlordów rośnie. To nowa siła, nowi władcy. Biorą dla siebie najlepsze kęsy, najbogatsze części kraju, sprawiając, że państwo, jeżeli nawet utrzyma się przy życiu, będzie słabe, biedne i bezsilne. Dlatego państwa próbują się bronić, tworzą związki i sojusze, aby walczyć o przetrwanie, aby przeżyć. To dlatego w Afryce mało jest wojen międzypaństwowych, bo państwa łączy ta sama niedola, jadą na tym samym wozie niespokojne o swój los. Wiele natomiast jest wojen domowych, tj. takich, w czasie których warlordowie dzielą między siebie kraj i grabią jego ludność, surowce, ziemię. Bywa jednak i tak, że warlordowie uznają, iż wszystko, co było do zrabowania, zostało rozgrabione i że wyczerpało się dotychczasowe źródło zysku. Wówczas zaczynają tzw. proces pokojowy. Zwołują konferencję walczących stron (tzw. warring factions conference), podpisują porozumienie i ustalają datę wyborów. W odpowiedzi Bank Światowy udzieli im wszelkich pożyczek i kredytów. Teraz warlordowie będą nawet bogatsi, niż byli, bo od Banku Światowego można dostać znacznie więcej niż od swoich głodujących pobratymców. Do hotelu przyjechali John i Zado. Wezmą mnie do miasta. Ale najpierw pójdziemy się napić, bo od rana doskwiera i zamęcza upał. Nawet o tej porze w barze jest pełno ludzi, boją się chodzić po ulicach, tutaj czują się bezpiecznie. Afrykańczycy, Europejczycy, Hindusi. Jednego z nich poznałem już wcześniej. James P., emerytowany urzędnik kolonialny. Co tu robi? Nie odpowiada, uśmiecha się, wykonuje nieokreślony ruch ręką. Przy lepkich, koślawych stolikach siedzą beczynne prostytutki. Czarne, zaspiane, bardzo ładne. Właściciel, Libańczyk, nachyla się do mnie przez ladę i mówi mi do ucha: - To wszystko złodzieje. Chcą zrobić pieniądze i wyjechać do Ameryki. To wszystko handlarze diamentów. Skupują je za grosze od warlordów i wywożą ruskimi samolotami na Bliski Wschód. - Ruskimi? - zapytałem zdziwiony. - Tak - powiedział - jedź na lotnisko. Tam stoją ruskie samoloty, które wywożą te diamenty na Bliski Wschód. Liban, Jemen, Dubaj - tam najwięcej. W czasie naszej rozmowy bar nagle opustoszał. Zrobiło się luźno, przestronnie. - Co się stało? - spytałem Libańczyka. - Zobaczyli, że masz aparat fotograficzny. Woleli się wynieść, nie chcą wpaść w obiektyw. My też wyszliśmy na zewnątrz. Od razu oblepiło nas mokre, rozgrzane powietrze. Nie wiadomo, gdzie się podziać. Wewnątrz budynku - gorąco, na zewnątrz - gorąco. Nie sposób iść, nie sposób siedzieć, leżeć ani jechać. Taka temperatura zabija wszelką energię, czucie, ciekawość. O czym się myśli? Żeby przetrwać dzień. No,

już minął ranek. O, już przeszło południe. Nareszcie nadciąga zmierzch. Ale o zmierzchu wcale nie jest źle, nie jest lepiej. Zmierzch jest tak samo duszny, lepki, oślizgły. A wieczór? Wieczór paruje rozgrzaną, duszącą mgłą. A noc? Noc okleja nas mokrym, gorącym prześcieradłem. Na szczęście wiele spraw można załatwić tuż obok hotelu. Więc najpierw - wymienić pieniądze. W obiegu jest tylko jeden nominal - jeden banknot: pięć dolarów liberyjskich. To mniej więcej pięć centów amerykańskich. Paczki tych pięciodolarówek leżą na stojących na ulicach stolikach - do wymiany. Żeby coś kupić, trzeba nosić pełną torbę pieniędzy. Ale nasza transakcja jest prosta: przy jednym stoliku wymieniamy pieniądze, przy następnym - kupujemy paliwo. Benzynę sprzedają w litrowych butelkach, stacje są zamknięte, istnieje tylko czarny rynek. Patrę, ile ludzie kupują - kupują litr, dwa litry: nie mają pieniędzy. John jest bogaty, więc kupuje dziesięć litrów. Jedziemy. Patrę, co John i Zado chcą mi pokazać. Więc najpierw muszę zobaczyć rzeczy imponujące. Rzeczy imponujące to są obiekty amerykańskie. Za Monrowią, po kilku kilometrach jazdy, zaczyna się wielki, metalowy las. Maszty i maszty. Masywne, wysokie, a z nich wyrastają jeszcze wyżej sięgające rozgałęzienia, odnogi, sieci anten, prętów, drutów. Te konstrukcje ciągną się kilometrami, w pewnej chwili mamy wrażenie, że jesteśmy gdzieś w świecie science fiction, zamkniętym, niezrozumiałym, nie z tej ziemi. To stacja retransmisyjna Voice of America na Europę, Afrykę i Bliski Wschód, zbudowana w erze przedsatelitarnej, w czasie II wojny światowej, teraz bezczynna, opuszczona, zjadana przez rdzę. Potem jedziemy na drugą stronę miasta, do miejsca, gdzie otwiera się przed na drugą stronę miasta, do miejsca, gdzie otwiera się przed nami ogromna równina, płaskie, nie kończące się błonie, przecięte betonowym pasem startowym. To lotnisko Robertsfield, największe w Afryce, jedno z największych w świecie. Teraz puste, zniszczone, zamknięte (czynne jest tylko małe lotnisko w mieście, na którym lądowałem). Budynek lotniska - zbombardowany, pas startowy - podziurawiony lejami od pocisków i bomb. Wreszcie obiekt największy, państwo w państwie, plantacja kauczuku Firestone'a. Ale trudno tam dojechać, bo coraz to napotykamy posterunek wojskowy. Przed każdym stoi bariera i trzeba się zatrzymać. Zatrzymać i czekać. Po jakimś czasie wychodzi z budki żołnierz. Z budki, zza worków z piaskiem - różnie. Rozpytuje - a kto, a co? Powolność jego ruchów, jego rzadkie słowa - sylaby, jego bezbarwne, tajemnicze spojrzenie, namysł i zaduma na twarzy mają dodać powagi i autorytetu osobie i funkcji wartownika. - Czy można dalej jechać? Nim odpowie, otrze pot z twarzy, poprawi broń, obejrzy samochód z różnych stron, nim, nim - John w końcu postanawia wrócić, nie dojedziemy na miejsce do wieczora, a od zmroku wszystkie drogi są zamknięte, nie będziemy mieli co ze sobą zrobić. Znowu jesteśmy w mieście. Wiozą mnie na skwer, na którym leżą, zarośnięte już zielenią, szczątki wysadzonego w powietrze pomnika prezydenta Tubmana. Pomnik polecił wysadzić Doe, aby pokazać, że skończyło się panowanie postniewolników z Ameryki, a władzę objął uciśniony lud liberyjski. Tutaj, jeżeli coś ulegnie destrukcji, rozbiciu, zniszczeniu, to już tak będzie zostawione. Na drodze spotkamy wbite w pień zardzewiałe szczątki karoserii: to przed laty rozbił się o drzewo samochód i jego resztki tkwią tam do dzisiaj. Jeżeli na szosę zwali się drzewo, nie ruszą go, będą omijać polem, wydepczą nową drogę. Dom nie dokończony - pozostanie nie dokończonym, zrujnowany - zrujnowanym. Podobnie z tym pomnikiem. Nie myślą go odbudować, ale także nie usuną szczątków. Sam akt destrukcji kończy sprawę: jeżeli pozostał jakiś materialny ślad, nie ma on już znaczenia, ciężaru, a tym samym nie warto

poświęcać mu uwagi. Nieco dalej, bliżej portu i morza, zatrzymaliśmy się w pustym miejscu, przed potwornie cuchnącą górą śmieci. Widziałem, jak biegają po niej szczury. W górze krążyły sępy. John wyskoczył z samochodu i zniknął wśród stojących obok, walących się szalasów. Po chwili pojawił się z jakimś starym człowiekiem. Poszliśmy za nim. Wstrząsały mną dreszcze, bo szczury łąziły nam między nogami, bez lęku. Zaciskałem nos palcami, dusiłem się. W końcu stary zatrzymał się i pokazał gnijący stok śmietnika. Coś powiedział. - On powiedział - przetłumaczył mi Zado - że tu rzucili trupa Doe. Gdzieś tu, gdzieś w tym miejscu. Żeby odetchnąć lepszym powietrzem, pojechaliśmy jeszcze nad Rzekę Świętego Pawła. Rzeką była granicą między Monrowią a światem warlordów. Przez rzekę szedł most. Po stronie Monrowii ciągnęły się bez końca szalasy i klitki obozu uchodźców. Był tu też wielki rynek - barwne królestwo zapalczywych i rozgorączkowanych handlarek. Ci z drugiej strony rzeki, z wnętrza piekła warlordów, ze świata, w którym rządzi terror, głód i śmierć, mogli przechodzić na naszą stronę po zakupy, tyle że przed wejściem na most musieli zostawić u siebie broń. Patrzyłem, jak już przeszedłszy most, zatrzymują się po tej stronie, jednak nieufni i niepewni, zdziwieni, że istnieje normalny świat. I jak wyciągają ręce, jakby chodziło o coś materialnego, coś, co da się dotknąć. Tam też zobaczyłem człowieka, który był nagi, ale chodził z kałasznikowem na ramieniu. Ludzie rozstępowali się przed nim, omijali go. Chyba był to wariat. Wariat z kałasznikowem. Leniwa rzeka W Jaunde czeka na mnie młody misjonarz Stanisław Gurgul, dominikanin. Zawiezie mnie w lasy Kamerunu. - Ale najpierw - mówi - pojedziemy do Bertua. Do Bertua? Nie wiem, gdzie to jest. Nigdy tam nie byłem. Nawet nie miałem pojęcia, że Bertua istnieje! Nasza ziemia, nasza planeta to tysiące, dziesiątki tysięcy miejsc, które mają swoje nazwy (w dodatku pisane lub wymawiane odmiennie w różnych językach, co dodatkowo zwiększa ich liczbę), a są ich takie nieprzebrane ilości, że człowiek podróżując, nie jest w stanie spamiętać choćby i procentu. Albo też - bo i tak często bywa - pamięć nasza wypełniona jest nazwami miejscowości, regionów i krajów, których nie możemy już połączyć z żadnym obrazem, widokiem czy pejzażem, z żadnym zdarzeniem ani twarzą. W dodatku wszystko nam się myli, płacze, zaciera. Oazę Sodori umieszczamy w Libii zamiast w Sudanie, miasteczko Tefe - w Laosie zamiast w Brazylii, mały rybacki port Galle - w Portugalii zamiast tam, gdzie naprawdę leży - to jest w Sri Lance. Jedność świata, tak trudna do osiągnięcia w doświadczalnej rzeczywistości, spełnia się w naszych mózgach, w jego pokładach poplątanej i pogubionej pamięci. Z Jaunde do Bertua jest trzysta pięćdziesiąt kilometrów prowadzącej na wschód, w kierunku Republiki Środkowej Afryki i Czadu, szosy, która biegnie po łagodnych, zielonych wzgórzach, między plantacjami kawy, kakao, bananów i ananasów. Po drodze, jak to zwykle w Afryce, coraz to napotykamy posterunki policji. Stanisław zatrzymuje samochód, wychyla głowę przez okienko i mówi: - Évéché Bertoua! (biskupstwo Bertua!). Działa to momentalnie i magicznie. Coś związanego z religią, z siłami nadprzyrodzonymi, ze światem obrzędu i ducha, z czymś, czego nie można zobaczyć ani dotknąć, ale co przecież istnieje, i to istnieje bardziej realnie niż wszelka uzewnętrzniona materialność - wywołuje tu natychmiastową reakcję szacunku, powagi, respektu i trochę - lęku. Wiemy, jak kończy się wszelkie igranie z czymś wyższym a tajemnym, panującym a nieodgadnionym - kończy się zawsze źle. W istocie jednak chodzi o coś więcej. Rzecz dotyczy bowiem pytania o źródło i istotę bytu. Myślenie Afrykańczyków, tych, z którymi się latami stykałem, jest głęboko religijne. - Croyez-vous en Dieu, monsieur? (Czy wierzy Pan w Boga?) Zawsze

czekałem na to pytanie, bo wiedziałem, że padnie, bo mi je zadawano tyle już razy. I wiedziałem, że ten, kto mi to pytanie stawia, będzie się w takim momencie uważnie we mnie wpatrywać, śledzić każde drgnienie na mojej twarzy. Zdawałem sobie sprawę z powagi tej chwili, z sensu, jaki w sobie niesie. I przeczuwałem, że sposób, w jaki odpowiem, rozstrzygnie o naszych wzajemnych stosunkach, a już na pewno o stosunku pytającego do mnie. I kiedy mówiłem: - Oui, j'en crois (Tak, wierzę) - widziałem po jego twarzy, jaką to przynosi mu ulgę, jak rozładowuje w nim towarzyszące tej scenie napięcie i trwogę, jak go to ze mną brata, pozwala przełamać bariery koloru skóry, statusu i wieku. Afrykanie cenili sobie i lubili łączyć się z drugim na tej wyższej, duchowej płaszczyźnie kontaktu, która często nie dawała się zwerbalizować i zdefiniować, ale której istnienie i wartość każdy przeczuwał instynktownie i spontanicznie. Na ogół nie musiał to być żaden konkretny Bóg. Taki, którego można by nazwać, a jego wygląd czy cechy jakoś opisać. Chodziło raczej o co innego, o niezłomną wiarę w istnienie Istoty Najwyższej, tej, która stwarza i panuje, a także przepaja człowieka substancją duchową, wynoszącą go ponad świat bezrozumnych zwierząt i rzeczy martwych. Ta pokorna i żarliwa wiara w Istotę Najwyższą sprawia, że jej wysłanników i ziemskich przedstawicieli również otacza szczególne poważanie i pełna rewerencji akceptacja. Przywilej ten rozciąga się zresztą na całą, liczną tu, warstwę duchownych najprzeróżniejszych wyznań, wiar, Kościołów i zgromadzeń, której misjonarze katoliccy stanowią tylko niewielki procent. Niezliczone są bowiem w Afryce rzesze mułłów i marabutów islamskich, ministrów setek sekt i odłamów chrześcijańskich, a także kapłanów afrykańskich bogów i kultów. Mimo pewnej konkurencji tolerancja w tym środowisku jest zdumiewająca, a uznanie wśród prostych ludzi - powszechne. Dlatego też, kiedy ksiądz Stanisław zatrzymuje samochód i mówi policjantom: - Évéché Bertoua!, ci nie sprawdzają dokumentów, nie rewidują wozu, nie domagają się okupu, tylko uśmiechają się, robią przyzwalający ruch ręką: można jechać dalej. Po nocy, spędzonej w budynku kurii w Bertua, pojechaliśmy razem do wioski, która nazywa się Ngura, a leży sto dwadzieścia pięć kilometrów stąd. Mierzenie odległości kilometrami jest tu jednak mylące i niewiele mówi. Jeżeli trafi się dobry asfalt, taki odcinek można przejechać w godzinę, ale jeżeli są to zapuszczone bezdroża, będziemy potrzebować dnia jazdy, a w porze deszczowej nawet dwóch albo trzech. Dlatego w Afryce zwykle nie mówi się: - Ile to kilometrów?, lecz: - Ile to zajmie czasu?, przy czym w takim momencie odruchowo spoglądam na niebo - jeżeli świeci słońce, wystarczą nam na przykład trzy, cztery godziny, ale jeśli ciągną chmury i złapie nas ulewa, naprawdę nie wiemy, kiedy dotrzemy na miejsce. Ngura - to parafia misjonarza Stanisława Stanisławka, który, jadąc teraz przed nami swoim samochodem, prowadzi nas na miejsce. Właściwie tylko dzięki niemu będziemy mogli tam dotrzeć. W Afryce, jeżeli zjedziemy z nielicznych tu, kilku głównych szlaków, jesteśmy zgubieni. Nie ma drogowskazów, napisów, oznakowań. Nie ma dokładnych map. W dodatku te same drogi przebiegają różnie w zależności od pory roku, pogody, stanu wód, zasięgu wiecznych tu pożarów. Jedynym ratunkiem jest ktoś tutejszy, miejscowy, ktoś, kto zna okolicę, umie czytać krajobraz, który dla nas jest nic nie mówiącą kolekcją symboli i znaków, równie niezrozumiałych i tajemniczych jak chińskie pismo. Bo: - Co ci mówi to drzewo? - Nic! - Nic? Przecież ono mówi, że te raz musisz skrócić w lewo, bo inaczej zabłądzisz. A ten kamień? - Ten kamień? Też nic! - Nic? A nie widzisz, że ten kamień to znak, żebyś natychmiast skręcał w prawo, bardzo ostro w prawo, bo dalej są bezdroża, bezludzia, śmierć? W ten sposób ów człowiek miejscowy, ów niepozorny, bosonogi

znawca pisma krajobrazowego, biegły czytelnik jego zagadkowych hieroglifów, staje się naszym przewodnikiem i zbawcą. Każdy z tych ludzi nosi w pamięci swoją małą geografę, prywatny obraz otaczającego go świata, wiedzę i sztukę najbardziej cenną, bo pozwalającą w najgorszej nawałnicy, w największych ciemnościach znaleźć drogę do domu, a tym samym ocalić się, przeżyć. Ksiądz Stanisławek jest tu od lat, więc bez kłopotów przeprowadza nas przez zawile labirynty tej okolicy. Aż dojeżdżamy do jego plebanii. Jest to ubogi, byle jaki barak, w którym mieści się wiejska szkoła, nieczynna, bo brak nauczyciela. Jedna klasa to mieszkanie księdza: łóżko i stół, kuchenka, lampa naftowa. W następnej klasie znajduje się kaplica. Obok tego baraku stoją ruiny kościółka, który się zawalił. I teraz zadaniem misjonarza, jego głównym zajęciem, jest zbudowanie nowego kościoła. Szarpanina straszna, praca na lata. Nie ma pieniędzy, ludzi do pracy, materiałów, transportu. Cała nadzieja w starym samochodzie księdza. Żeby się tylko nie zepsuł, nie rozleciał, nie stanął. Bo wówczas wszystko zostanie zawieszone: budowa kościoła, nauka Ewangelii, zbawienie dusz. Potem pojechaliśmy szczytami wzgórz (a w dole, pod nami, ciągnęła się równina pokryta zieloną tkaniną gęstego, zbitego lasu, wielka, bez granic, jak morze, jak Atlantyk) do miejsca, gdzie stała osada kopaczy złota, którzy szukali skarbu na dnie krętej i leniwej rzeki Ngabadi. Było już popołudnie, a ponieważ nie ma tu zmierzchu i ciemność może zapaść w minutę, pojechaliśmy najpierw tam, gdzie kopacze pracują. Dnem głębokiego wąwozu płynie rzeka. Ma ona płytkie dno, piaszczyste i żwirowate. Jego każdy centymetr jest przeorany, wszędzie widać głębokie leje, jamy, doły, wyrwy. Na tym pobojuwisku mrowią się tłumy czarnych ludzi, półnagich, ociekających potem i wodą, rozgorączkowanych, w transie. Bo to miejsce ma swój klimat, swoją atmosferę sensacji, pożądania, zachłanności, hazardu, mrocznego kasyna gry. Jakby gdzieś tu kręciła się niewidoczna, ale jakże wyczuwalna ruletka, wirowało jej kapryśne ramię. Ale przede wszystkim słysząc w wąwozie głuchy stuk motyk przekopujących żwir, szelest piasku potrząsanego ręcznymi sitami i monotonne dźwięki ni to zawołań, ni to pieśni ludzi pracujących na dnie wąwozu. Nie widać, żeby się ci poszukiwacze do czegoś dokopywali, coś znajdowali, odkładali. Kołyszą jakieś koryta, leją w nie wodę, cedzą, oglądają piasek na dłoni, pod światło, wyrzucają wszystko do rzeki. A jednak czasem coś znajdują. Wystarczy spojrzeć na szczyt wąwozu, na stoki wzgórz, które ów wąwóz przecina. Tam właśnie, w cieniu drzew mangowych, pod przejrzystymi parasolami akacjowców i palm strzępiastych, stoją namioty Arabów. To handlarze złota z Sahary, sąsiedniego Nigru, z Ndżameny i z Nubii. Ubrani w białe galabije, w śnieżne, pięknie wiązane turbany, siedzą beczynn timer wejścia do namiotów, piją herbatę i palą zdobne nargile. Od czasu do czasu któryś z umordowanych czarnych, żylastych kopaczy wspina się do nich z dna zatłoczonego wąwozu. Kuca przed Arabem, wyjmuje i rozwija papierek. Na jego pomarszczonym dnie leży kilka ziarenek złotego piasku. Arab przygląda im się obojętnie, rozważa, oblicza. Mówi cenę. Czarny, umorusany Kameruńczyk, pan tej ziemi i tej rzeki, bo to przecież jego kraj i niby jego złoto, nie ma co się spierać, klócić o wyższą cenę. Inny Arab dałby mu takie same grosze. I następny - też. Cena jest jedna. To monopol. Zapada ciemność, wąwóz pustoszeje i cichnie, zresztą już nie widać wnętrza, to teraz czarna, wygasła czeluść. Idziemy do osady, która nazywa się Colomine. Jest to na poczekaniu sklecone miasteczko, tak prowizoryczne i tandetne, że mieszkańcom nie będzie żal porzucić go, kiedy w rzece skończy się złoto. Szalas dostawiony do szalasu, budka do budki - tak ciągną się uliczki slumsów, zmierzając do jednej, głównej, z barami i sklepami, na której toczy się

życie wieczorne i nocne. Nie ma elektryczności. Wszędzie palą się lampki, kaganki, znicze i świece, a na ziemi polana i szczapy. To, co ich blask wydobywa z ciemności, jest migawkowe i chwiejne. Tu przemkną jakieś sylwetki, tam po każe się czyjaś twarz, rozbłyśnie oko, wyłoni się ręka. Ten kawałek blachy - to dach, to, co błysnęło - to nóż, a ta ucięta deska nie wiadomo skąd jest i do czego służy. Nic się nie łączy, nie komponuje, nie układa w całość. Wiemy tylko, że ta ciemność wokół nas porusza się, ma swoje kształty i wydaje głosy. Że z pomocą światła możemy jej świat wewnętrzny wydobyć na powierzchnię i zobaczyć, ale gdy tylko światło zgaśnie, wszystko nam ucieknie i zniknie. Widziałem w Colomine setki twarzy, słyszałem dziesiątki rozmów, minąłem mnóstwo ludzi idących, krzątających się, siedzących. Ale z powodu tego rozmigotania obrazów w chwiejnym płomyku lampek, ze względu na ich fragmentaryczność i tempo, w jakim się zmieniały, nie potrafię żadnej twarzy połączyć z jakąś postacią ani żadnego głosu powiązać z jakimś konkretnym, spotkanym tam człowiekiem. Rano pojechaliśmy na południe do Wielkiego Lasu. Ale najpierw była przebijająca się przez dżungłę rzeka Kadei (jest ona dopływem rzeki Sangha, która na wysokości Yumbi i Bolobo wpada do rzeki Kongo). Zgodnie z panującą tu zasadą, że rzecz raz zepsuta, nigdy nie będzie naprawiona - nasz prom wyglądał na przedmiot nadający się tylko na złom. Ale kręciło się tam trzech małych chłopców, którzy umieli to monstrum zmusić do ruchu. Prom: ogromne, prostokątne, płaskie, metalowe pudło. Nad nim, przez rzekę, przeciągnięta jest stalowa lina. Pokręcając skrzypiącą korbką, stosując technikę naprężeń i poluzowań liny, chłopcy przesuwają - wolniutko, wolniusieńko - prom (z nami i samochodem) od jednego brzegu do drugiego. Oczywiście, operacja ta może się udać tylko wówczas, gdy nurt wody jest niemrawy i senny. Wystarczy, żeby drgnął, ożywił się, a porwani przez Kadei, Sanghę i Kongo wylądowalibyśmy w Atlantyku. Dalej to jazda - pogrążanie się w Wielki Las, jazda - zanurzanie się, zsuwanie na dno, w labirynty, tunele i podziemia jakiejś innej, zielonej, mrocznej, nieprzeniknionej rzeczywistości. Wielkiego Lasu tropikalnego nie da się porównać z żadnym lasem Europy ani z żadną równikową dżunglą. Lasy Europy są piękne i bogate, ale mają wymiar średni, a ich drzewa umiarkowaną wysokość - możemy sobie wyobrazić, jak wchodzimy na szczyt nawet najwyższego jesionu czy dębu. Dżungla znowu to kłębowisko, zamotana w duchocie i ścisku biologia, zielony kosmos. Wielki Las jest inny. Jest monumentalny, jego drzewa mają trzydzieści, pięćdziesiąt i więcej metrów wysokości, są gigantyczne, idealnie proste, stoją luźno, zachowując wobec siebie wyraźny dystans, wyrastają z ziemi właściwie bez poszycia. I teraz, wjeżdżając w Wielki Las, pomiędzy te niebotyczne sekwoje, mahonie, sapele i iroka, mam uczucie, jakbym wchodził w progi wielkiej katedry, przeciskał się do wnętrza egipskiej piramidy czy stanął wśród drapaczy chmur Piątej Alei. Jazda drogami, które tędy prowadzą, jest często męczarnią. Są odcinki tak dziurawe i wyboiste, że właściwie nie można jechać, wóz miota się jak łódka wstrząsana sztormem, każdy metr jest torturą. Jedyne samochody, które łatwo sobie radzą z tą nawierzchnią, to gigantyczne maszyny o silnikach jak brzuchy parowych lokomotyw, którymi Francuzi, Włosi, Grecy i Holendrzy wywożą stąd drzewo do Europy. Bo ów Wielki Las jest dzień i noc wycinany, jego obszar maleje, drzewa znikają. Coraz to napotyka się wielkie, puste polany, na których z ziemi wystają świeże, olbrzymie karpy. Zgrzyt pił niesie się kilometrami świszczącym, przenikliwym echem. Gdzieś w tym lesie, w którym wszyscy wydajemy się tacy mali, żyją jeszcze niżsi od nas - jego stali mieszkańcy. Rzadko możemy ich zobaczyć. Po drodze mija

się ich słomiane chatki. W obejściu nie widać nikogo. Właściciele są gdzieś w głębi lasu. Polują na ptaki, zbierają jagody, ścigają jaszczurki, szukają miodu. Przed każdym domem wiszą na kiju albo są rozciągnięte na żyłce pióra sowy, pazurki mrówkojada, odwłok skorpiona czy ząb węża. Sekret polega na sposobie ułożenia tych drobiazgów. Pewnie informują ją, gdzie gdzie szukać gospodarzy. Nocą zobaczyliśmy prosty, wiejski kościół i stojący przy nim ubogi dom - plebanie. Byliśmy u celu. Gdzieś w jednym z pokoi paliła się naftowa lampa, nikły, chybotały blask padał przez otwarte drzwi na ganek. Weszliśmy do środka. Było ciemno i cicho. Dopiero po chwili wyszedł do nas wysoki, szczupły mężczyzna w jasnym habicie. Ksiądz Jan, z południa Polski. Miał wychudłą, spoconą twarz, duże, płonące oczy. Męczyła go malaria, najwyraźniej gorączkował, można było domyślać się, że po tym cieple krąży teraz dreszcze i skurcze. Udręczony, wycieńczony i apatyczny mówił cichym głosem. Chciał nas jakoś przyjąć, ugościć, ale z jego zakłopotanych gestów, z jego bezkierunkowej dreptaniny widać było, że nie ma czym i nie wie jak. Ze wsi przyszła jakaś stara kobieta i zaczęła przygrzewać nam ryż. Piliśmy wodę, potem chłopak przyniósł butelkę piwa z bananów. - Dlaczego ksiądz tu siedzi? - pytałem. - Dlaczego stąd nie wyjedzie? - Sprawiał wrażenie człowieka, w którym jakaś cząstka już zgasła. Czegoś już w nim nie było. - Nie mogę - odpowiedział. - Ktoś musi pilnować kościoła. - I pokazał ręką na widoczną za oknem czarną bryłę. Poszedłem położyć się do sąsiedniego pokoju. Nie mogłem zasnąć. Nagle zaczęły mi przychodzić do głowy słowa starej ministrantury. Pater noster, qui es in caelis... Fiat voluntas tua... sed libera nos a malo... Rano ten chłopiec, którego zobaczyłem wieczorem, walił młotkiem w wiszącą na drucie, pociętą felgę. Felga zastępowała dzwon. Stanisław i Jan odprowadzili w kościele mszę poranną. Mszę, w której uczestniczył tylko ten chłopiec i ja. Madame Diuf wraca do domu Z początku nic nie zapowiada tego, co będzie potem. O świcie na dworcu kolejowym w Dakarze jest pusto. Na torach stoi tylko jeden pociąg, który przed południem odjedzie do Bamako. Zresztą pociągi rzadko tu przyjeżdżają i odjeżdżają. W całym Senegalu jest tylko jedna linia międzynarodowa - do Bamako, stolicy Mali, i tylko jedna, krótka, krajowa - do Saint Louis. Pociąg do Bamako kursuje dwa razy w tygodniu, do Saint Louis - raz na dobę. Najczęściej więc na dworcu nikogo nie ma. Trudno nawet znaleźć kasjera, który, podobno, jest jednocześnie zawiadowcą stacji. Dopiero kiedy słońce jest już nad miastem, pojawiają się pierwsi pasażerowie. Bez pośpiechu zajmują miejsca w przedziałach. Wagony są tu mniejsze niż w Europie, tory węższe, przedziały ciasne. Ale z początku miejsc nie brakuje. Jeszcze na peronie spotkałem dwoje młodych ludzi, Szkotów z Glasgow, którzy wędrowali przez Afrykę Zachodnią z Casablanki do Niamey. - Dlaczego z Casablanki do Niamey? Mają kłopot z odpowiedzią. Po prostu, tak postanowili. Są razem, to im, zdaje się, wystarcza. Co zobaczyli w Casablance? Właściwie nic. A w Dakarze? Też raczej nic. Ich nie interesuje zwiedzanie. Chcą tylko jechać. Jechać i jechać. Ważna jest dla nich niezwykła droga i doświadczenie takiej drogi przeżywane we dwoje. Bardzo do siebie podobni - jasna, a w Afryce wygląda to na niemal przezroczystą - cera, jasne, kasztanowate włosy, dużo piegów. Ich angielski jest bardzo szkocki, to znaczy - mało z niego rozumiem. Jakiś czas siedzimy w przedziale we troje, ale tuż przed odjazdem dołącza do nas tęga, energiczna kobieta, w obszernej, bufiastej, jaskrawokolorowej bou-bou (miejskowa, do kostek sięgająca suknia). - Madame Diuf! - przedstawia się i rozsiada wygodnie na ławce. Ruszamy. Pociąg jedzie najpierw skrajem dawnego kolonialnego Dakaru. Piękne, nadmorskie miasto, pastelowe, malownicze, położone na cyplu wśród plaż i tarasów, trochę

przypominające Neapol, trochę willowe dzielnice Marsylii, kunsztowne przedmieścia Barcelony. Palmy, ogrody, cyprysy, bugenwille. Ulice - schody, żywopłoty, trawniki, fontanny. Paryskie butiki, włoskie hotele, greckie restauracje. Pociąg, rozpędzając się coraz bardziej, mija to miasto-wystawę, miasto-enklawę, miasto-sen, kiedy nagle, w sekundę, w przedziale robi się ciemno, a na zewnątrz rozlega się łoskot, trzask i słychać przeraźliwe krzyki. Dopadam okna, które Edgar (ten młody Szkot) bezskutecznie próbuje zatrzasnąć, żeby powstrzymać tłoczące się kłęby kurzu, pyłu i śmieci. Co się stało? Widzę, że bujne, kwieciste ogrody znikły, zapadły się pod ziemię, a zaczęła się pustynia, ale pustynia zaludniona, pełna szałasów i klitek, piaski, na których rozpościera się dzielnica nędzy, chaotyczne rojowisko slumsów, typowe, ponure bidonville okalające większość miast Afryki. A ponieważ w tym bidonville jest ciasno, budki tłoczą się i, ściśnięte, aż wchodzą na siebie, jedynym wolnym miejscem dla targowiska jest nasyp i tor kolejowy. Więc od świtu panuje tu wielki ruch. Kobiety rozkładają swój towar na ziemi, w miskach, na tacach, na stołkach. Swoje banany, pomidory, mydło i świece. Jedna staje obok drugiej, gęsto, łokieć w łokieć, jak to jest w zwyczaju afrykańskim. I na to nadjeżdża pociąg. Nadjeżdża rozpędzony, rozhukany, z łoskotem i gwizdem. I wtedy wszyscy zaczynają z krzykiem, w przerażeniu, w panice chwytać, co się da, co się zdąży i ile sił w nogach - uciekać. Nie mogą usunąć się wcześniej, bo nie wiadomo dokładnie, kiedy pociąg nadjedzie, w dodatku nie widać go z daleka, gdyż nagle wypada zza zakrętu, więc zostaje tylko jedno: ratować się w ostatniej chwili, w tej sekundzie, kiedy już rozjuszony żelastwo wali się na głowę, pędzi jak śmiercionośna rakietą. Przez okno widzę pierzchający tłum, wystraszone twarze, ręce odruchowo wyciągnięte w geście obronnym, widzę, jak ludzie przewracają się, staczają po nasypie, chowają głowy. A wszystko to w tumanach piasku, fruwających torebek plastikowych, strzępów papieru, szmat i tektury. Trwa to długo, nim przelecimy przez rynek, zostawiając za sobą stratowane pobojuwisko i chmury kurzu. A także ludzi, którzy z pewnością próbują teraz przywrócić tam jakiś ład. Wjeżdżamy na przestronną, spokojną, bezludną sawannę porośniętą akacjowcami i krzakami tarniny. Madame Diuf mówi, że ten moment, kiedy pociąg burzy i jakby wysadza w powietrze całe targowisko, jest idealny dla złodziei, którzy czyhają na tę chwilę. Korzystając z zamieszania, ukryci za zasłoną pyłu, jaką podnoszą koła wagonów, rzucają się na rozsypany na ziemi towar i kradną, co się da. - Ils sont malins, les voleurs! - woła niemal z zachwytem. Mówię młodemu Szkotom, którzy są pierwszy raz na tym kontynencie, że w ostatnich dwóch-trzech dekadach miasta afrykańskie zmieniły swój charakter. To, co przed chwilą zobaczyli - piękny Dakar śródziemnomorski i straszny Dakar pustynny - dobrze ilustruje to, co stało się tu z miastami. Dawniej stanowiły one centra administracji, handlu i przemysłu. Twór funkcjonalny, spełniający zadania produkcyjne, twórcze. Z reguły niewielkich rozmiarów, miasta te zamieszkiwane były tylko przez tych, którzy mieli tam swoją pracę. To, co pozostało z tych dawnych ośrodków, jest dzisiaj tylko skrawkiem, ułamkiem, fragmentem miast nowych, które nawet w krajach małych i słabo zaludnionych rozrosły się monstrualnie, stały się wielkimi molochami. To prawda, że na całym świecie miasta powiększają się w przyspieszonym tempie, jako że ludzie wiążą z nimi nadzieję na lepsze i łatwiejsze życie, ale w wypadku Afryki wystąpiły czynniki dodatkowe, które jeszcze spotęgowały ową hiperurbanizację. Pierwszym była klęska suszy, jaka spadła na kontynent w latach siedemdziesiątych, a potem osiemdziesiątych. Wysychały pola, ginęło bydło. Miliony ludzi umierały z głodu. Miliony innych zaczęły szukać ratunku w

miastach. Miasta dawały większą szansę przeżycia, ponieważ tu rozdzielano pomoc zagraniczną. Transport w Afryce jest zbyt trudny i drogi, żeby mogła ona docierać na wieś, to mieszkańcy wsi muszą przyjechać do miasta, aby z niej skorzystać. Ale klanu, który raz porzuci swoje pola i straci stada, nie będzie stać na to, aby je odzyskać. Ci ludzie, na zawsze odtąd skazani na pomoc zagraniczną, będą żyć, dopóki nikt jej nie przerwie. Miasto kusiło też mirażem spokoju, nadzieją bezpieczeństwa. Zwłaszcza w krajach nękanych przez wojny domowe i terror warlordów. Słabi, bezbronni uciekali do miast, licząc, że dają one większą szansę przeżycia. Pamiętam miasteczka wschodniej Kenii - Mandere, Garisse - w czasie wojny somalijskiej. Kiedy zbliżał się wieczór, Somalijszczycy przychodzili ze swoimi stadami z pastwisk i gromadzili się wokół tych miejsc. Nocą otaczał je jarzący się pierścień światła. To przybysze palili swoje lampki, łójówki, łuczywa. Blisko miasta czuli się bardziej spokojni, pewniejsi. O świcie ów pierścień gasł. Somalijszczycy rozchodzili się, szli ze swoimi stadami daleko, na odległe pastwiska. Tak więc susza i wojna wyludniały wsie i wypędzały ich mieszkańców do miast. Proces ten trwał latami. Objął miliony, dziesiątki milionów ludzi. W Angoli i w Sudanie, w Somalii i w Czadzie. Właściwie wszędzie. Iść do miasta! Była w tym nadzieja na ratunek, ale także i odruch rozpacz. Przecież nikt ich tam nie czekał, nikt nie zapraszał. Szli tam gnani strachem, ostatkiem sił, byle się gdzieś schować, jakoś ocalić. Myślę o koczowisku, które minęliśmy, wyjeżdżając z Dakaru, o losie jego mieszkańców. Prowizoryczność ich egzystencji, pytania o jej celowość, jej sens, których zresztą nikomu nie zadają, nawet sobie. Jeżeli ciężarówka nie dowiezie żywności - umrą z głodu. Jeżeli cysterna nie dowiezie wody - umrą z pragnienia. Do miasta nie mają po co iść, we wsi nie mają do czego wrócić. Nic nie uprawiają, niczego nie hodują, nic nie wytwarzają. Nigdzie się nie uczą. Nie mają adresów, pieniędzy, dokumentów. Wszyscy potracili domy, wielu potraciło rodziny. Nie mają do kogo pójść, aby się poskarżyć, nie ma nikogo, od kogo by czegoś oczekiwali. Coraz ważniejszym pytaniem świata nie jest - jak wyżywić ludzi, bo żywności jest dużo, czasem chodzi tylko o organizację i transport, ale - co z ludźmi zrobić? Co zrobić z obecnością na ziemi wielu, wielu milionów? Z ich niewykorzystaną energią? Z mocami, które w sobie noszą, a wydają się nikomu niepotrzebne? Jakie jest miejsce tych ludzi w rodzinie człowieczej? Pełnoprawnych członków? Skrzywdzonych bliźnich? Natrętnych intruzów? Pociąg zwalniał, dojeżdżaliśmy do jakiejś stacji. Zobaczyłem, jak w stronę wagonów pędzi masa ludzi, wali desperacko, jakby to był tłum samobójców, którzy za chwilę rzucą się pod koła. Były to kobiety i dzieci sprzedające banany, pomarańcze, pieczoną kukurydzę, daktyle. Tłoczyli się do okien wagonów, ale ponieważ swoje produkty mieli wyłożone na tacach, które trzymali na głowach, nie widać było ani sprzedawców, ani ich twarzy, tylko tłoczące się sterty bananów, które wypierały kopki daktyli i piramidy arbuzów i spychały na bok rozsypujące się pomarańcze. Madame Diuf od razu zajęła swoją okazałą figurą całą przestrzeń okna. Przebiegała w tych poruszających się nad peronem stosach owoców i jarzyn. Targowała się i kłóciła. Coraz to odwracała się od okna i pokazywała nam a to wiązkę zielonych bananów, a to dojrzałą papayę. Ważyła zdobycz na pulchnej, grubej ręce i mówiła z triumfem: - A Bamako? Cinq fois plus cher! A Dakar? Dix fois plus cher! Voilà! - I składała kupione owoce na podłodze i półkach. Ale kupujących nie było wielu. Bazar owocowy falował przed naszymi oczyma praktycznie nietknięty. Zastanawiałem się, z czego ci oblegający nas ludzie żyją. Następny pociąg będzie jechał tędy za kilka dni. W pobliżu nie widać żadnej miejscowości. Komu więc coś sprzedają? Kto od nich

kupuje? Pociąg drgnął i pojechał, a Madame Diuf usiadła zadowolona. Ale usiadła jakoś tak, że było jej teraz wyraźnie więcej. Nie tylko usiadła, ale władczo rozsiadła się, jakby postanowiła uwolnić masę swojego ciała z krępujących ją dotąd, a niewidocznych dla nas gorsetów, dać jej odetchnąć, wypuścić na wolność. Przedział wypełnił się ogromniejącą, dyszącą i spoconą Madame, której ramiona i biodra, ręce i nogi zdominowały nas i zepchnęły - Edgara i Clare (jego dziewczynę) w jeden kąt, a mnie w drugi, przy czym zostało mi już tylko ledwo, ledwo miejsca. Chciałem wyjść z przedziału, aby wyprostować nogi, ale okazało się to niemożliwe. Była pora modlitwy i korytarze zapelniali klęczący na swoich dywanikach, pochylający się rytmicznie mężczyźni. Korytarz był jedynym miejscem, w którym mogli się modlić. A i tak jazda pociągiem stwarzała problem liturgiczny: islam bowiem nakazuje wiernym, aby modlili się zwróceniem w stronę Mekki, tymczasem nasz pociąg ciągle kluczył, skręcał i zmieniał kierunki, niebezpiecznie ustawiając się pod takimi kątami, że pobożni mogli czynić pokłony zwróceniem tyłem do miejsc świętych. Mimo że pociąg ciągle skręcał i lawirował, krajobraz był cały czas ten sam. Sahel: sucha, piaszczysta, jasnobrązowa, a czasem brunatna, rozpalona słońcem równina. Tu i tam, wyrastające ponad piasek i kamienie kępy suchej, ostrej, żółtej jak stoma trawy. Krzewy różowych berberysów i niebieskawych, wiotkich tamaryszków. Rzadkie, blade cienie rozsiewane po krzakach, trawach i ziemi przez rosnące tu wszędzie zwężłone, kolczaste akacjaowce. Cicho. Pusto. Drgające, białe powietrze upalnego dnia. Na dużej stacji Tambakunda zepsuta się lokomotywa. Pękły jakieś zawory, a struga oleju ściekała po nasypie. Miejscowi chłopcy napełniali nim pospiesznie swoje butelki i puszki. Nic tu nie będzie zmarnowane. Jeżeli wysypie się ziarno - zbiorą je dokładnie, jeżeli pęknie garnek z wodą, każdy łyk będzie ocalony i wypity. Zapowiadało się, że będziemy tu stać dłużej. Szybko zebrano się dużo ciekawskich z miasteczka. Zachęcałem Szkotów, żebyśmy wyszli rozejrzeć się i porozmawiać. Odmówili stanowczo. Nie chcą się z nikim spotykać ani rozmawiać. Nie chcą nikogo poznać, nikogo odwiedzać. Jeżeli ktoś zaczyna się do nich zbliżać, odwracają się i oddalają. Najchętniej po prostu by uciekli. Ta ich postawa wynika z krótkich, ale złych doświadczeń. Przekonali się, że jeżeli z kimś rozmawiali, rozmówca zawsze potem czegoś chciał. Były to różne rzeczy - liczył, że załatwi mu stypendium, znajdą pracę, dadzą pieniądze. Zawsze ten ktoś miał chorych rodziców, młodsze rodzeństwo na utrzymaniu, a sam od kilku dni chodził głodny. Te narzekania i skargi zaczęły się wkrótce powtarzać. Nie wiedzieli, jak reagować. Opadały im ręce. W końcu zniechęceni i rozczarowani zgodnie podjęli decyzję: żadnych kontaktów, spotkań, rozmów. I tego teraz się trzymają. Mówię Szkotom, że te roszczenia ich rozmówców wynikają z przekonania wielu Afrykańczyków, iż Biały ma wszystko. W każdym razie, że ma wiele, dużo więcej niż Czarny. I że jeżeli na jego drodze pojawia się Biały, to tak jakby kura zniosła Afrykańczykowi złote jajko. Musi skorzystać z tej szansy, nie może zagapić się, przepuścić okazji. Tym bardziej że rzeczywiście wielu z tych ludzi nic nie ma, wszystkiego potrzebuje i tylu rzeczy pragnie. Ale jest w tym także i wielka różnica zwyczajów, odmiennosc oczekiwań. Kultura afrykańska jest kulturą wymiany. Ty mi coś dajesz i moim obowiązkiem jest ci się odwzajemnić. Nie tylko obowiązkiem. Tego wymaga moja godność, mój honor, moje człowieczeństwo. W trakcie wymiany stosunki międzyludzkie przybierają swoją najwyższą formę. Związek dwojga młodych ludzi, którzy poprzez swoje potomstwo przedłużają obecność człowieka na ziemi i zapewniają, że będziemy istnieć, że życie będzie trwało, ten związek powstaje właśnie w akcie międzyklanowej wymiany: kobiety -

na różne dobra materialne postać podarku, prezentu domagającego się rekompensaty. Prezent nieodwzajemniony ciąży na tym, który go nie odplaci, pali jego sumienie, a nawet może spowodować nieszczęście, chorobę, śmierć. Dlatego otrzymanie prezentu jest sygnałem, bodźcem do natychmiastowego działania zwrotnego, do szybkiego przywrócenia stanu równowagi: dostałem? odpłacam! Wiele nieporozumień powstaje, kiedy jedna ze stron nie rozumie, że wymianie mogą podlegać wartości różnego rzędu, na przykład wartości symboliczne wymieniamy na materialne i vice versa. Jeżeli Afrykańczyk zbliża się do Szkotów, to obsypuje ich przecież różnymi podarkami: obdarza ich swoją osobą i uwagą, udziela im informacji, ostrzegając przed złodziejami, zapewnia im bezpieczeństwo itd. Jest zrozumiałe, że ów hojny człowiek oczekuje teraz wzajemności, rekompensaty, zaspokojenia oczekiwań. Tymczasem widzi ze zdumieniem, że Szkoci robią kwaśne miny, a nawet odwracają się tyłem i odchodzą! Wieczorem pojechaliśmy dalej. Zrobiło się trochę chłodniej, można było oddychać. Jechaliśmy na wschód, coraz bardziej w głąb Sahelu, w głąb Afryki. Szlak kolejowy prowadził przez Gaudiry, Diboli i większe miasto, już po stronie malijskiej - Keyes. Na każdej stacji Madame Diuf robiła zakupy. Przedział pełen już był pomarańczy, arbuzów, owoców papaya, nawet winogron. Teraz kupowała rzeźbione stołki, mosiężne świeczniki, chińskie ręczniki, francuskie mydła toaletowe. Cały czas wznosiła okrzyki triumfu: - Voila, m'sieurs dames! Combien cela coute á Bamako? Cinq fois plus cher! Et á Dakar? Dix fois! Bon Dieu! Quel achat! - Teraz już rozciągnęła się na całą długość ławki. Straciłem siedzące miejsce, ale i Szkotom został już tylko skrawek po przeciwnej stronie przedziału wypełnionego po sufit owocami, proszkami do prania, bluzkami, pękami suszonych ziół, woreczkami nasion, prosa i ryżu. Miałem wrażenie, a trochę byłem senny i czułem, jak ogarnia mnie maligna, że Madame ciągle ogromnieje, że jest jej więcej i więcej. Jej obszerne bou-bou chwytało wiatr wpadający przez okno, pęczniało, wydymało się jak żagiel, falowało i furkotało. Wracała do domu, do Bamako dumna z tanich zakupów. Zadowolona, triumfująca wypełniała sobą cały przedział. Patrząc na Madame Diuf, na jej wszechobecność, dynamiczne panowanie, monopol i bezpardonową wszechwładzę zdałem sobie sprawę, jak bardzo zmieniła się Afryka. Przypomniało mi się, jak jechałem tą koleją przed laty. Byłem wówczas sam w przedziale, nikt nie śmiał zakłócać spokoju i ograniczać wygody Europejczyka. A teraz właścicielka straganu w Bamako, pani tej ziemi, bez zmrużenia powiek wypiera z przedziału troje Europejczyków, pokazując, że nie ma tu dla nich miejsca. O czwartej nad ranem dotarliśmy do Bamako. Dworzec był pełen ludzi, na peronie stał gęsty tłum. Do naszego przedziału wpadła gromada rozgorączkowanych chłopców. To drużyna Madame przyszła dźwigać jej zakupy. Wyszedłem z wagonu. Usłyszałem krzyk jakiegoś mężczyzny. Przepchnąłem się w tę stronę. Zobaczyłem Francuza w podartej koszuli, jak siedzi na peronie, jęczy i przeklina. Kiedy wysiadał z wagonu, w sekundę ukradli mu wszystko. Został mu tylko w ręku uchwyt od walizki i teraz tym strzępem podartej dermy wygrażał światu. Sól i złoto W Bamako mieszkam w schronisku, które nazywa się Centre d'Accueil. Prowadzą je siostry zakonne z Hiszpanii. Można tam wynająć za tani grosz pokój, w którym stoi łóżko z moskitierą. Ta moskitiera jest najważniejsza, bez niej komary zagryzłyby każdego na śmierć. (Ludzie, kiedy myślą o Afryce, myślą ze zgrozą o takich niebezpieczeństwach, jak spotkanie z lwem, ze słoniem czy wężem, tymczasem prawdziwi wrogowie są tu ledwie albo wcale niewidoczni dla oka.) Negatywną stroną Centre d'Accueil jest to, że na dziesięć wynajmowanych pokoi przypada tylko jeden prysznic. W dodatku zajmuje go stale młody Norweg, który przyjechał

tu, nie zdając sobie sprawy, że w Bamako jest tak strasznie gorąco. W istocie, wewnątrz Afryki jest ciągle rozpalone do białości. To wyżyna wiecznie wystawiona na słońce, które zdaje się tu być zawieszone tuż nad ziemią wystarczy zrobić nieopatrzny ruch i wyjść z cienia, aby spłonąć na miejscu. Na przybyszów z Europy działa tu tak że czynnik psychologiczny - wiedzą, że są w głębi piekła, daleko od morza, od ziem o łagodniejszym klimacie i to poczucie odległości, zamknięcia, uwięzienia czyni ich los jeszcze trudniejszym do zniesienia. W każdym razie ów Norweg po kilku dniach pobytu wpółludzony i ugotowany postanowił rzucić wszystko i wracać do domu, ale musiał czekać na samolot. Uznał, że tylko nie wychodząc spod prysznica dożyje tej chwili. Rzeczywiście, w porze suchej panuje tu przygniatający upał. Ulica, przy której mieszkam, już od rana jest martwa. Pod ścianami, w przejściach, w bramach siedzą nieruchomo ludzie. Siedzą w cieniu rosnących tu eukaliptusów i mimoz, pod wielkim, rozłożystym mangowcem i wysoką, płonąca amarantową bugenwillą. Siedzą na długiej ławce przed barem Mauretańczyka i na pustych skrzynkach stojących przed narożnym sklepikiem. Mimo że kilkakrotnie długo ich obserwowałem, nie umiałbym określić, co - tak siedząc - robią. Bo właściwie nie robią nic. Nawet nie rozmawiają. Przypominają ludzi wyczekujących godzinami w poczekalni lekarza. Chociaż to złe porównanie. Bo lekarz w końcu kiedyś przyjdzie. Tymczasem tu nie przychodzi nikt. Nie przychodzi, nie odchodzi. Powietrze drga, faluje, porusza się niespokojnie jak nad kotłem gotującej się wody. Któregoś dnia przyjechał do sióstr ich krajan z Walencji, Jorge Esteban. Miał w tejże Walencji biuro podróży i jeździł po Afryce Zachodniej, zbierając materiały do reklamówki turystycznej. Jorge był człowiekiem pogodnym, wesołym, energicznym. Typem urodzonego wodzireja. Wszędzie czuł się u siebie, z wszystkimi było mu dobrze. U nas zabawił tylko jeden dzień. Na palące słońce nie zwracał uwagi, skwierczący żar dodawał mu sił. Rozpakował torbę pełną aparatów fotograficznych, obiektywów, filtrów, rolek filmu. Po czym zaczął chodzić po ulicy, rozmawiać z siedzącymi ludźmi, dowcipkować, coś obiecywać. Następnie umieścił na trójnogu swojego canona. Wyjął donośny, piłkarski gwizdek i zaczął gwizdać. Patrzyłem przez okno i nie wierzyłem własnym oczom. Ulica momentalnie zapełniła się ludźmi. W sekundę utworzyli oni wielkie koło i zaczęli tańczyć. Nie wiem, skąd pojawili się malcy. Mieli puste blaszanki, w które teraz uderzali rytmicznie. Rytm zresztą wybijali wszyscy, klaszcząc w dłonie i szurając w tańcu nogami. Ludzie ocknęli się, popłynęła w nich krew, nabrali wigoru. Widać było, jak ten taniec ich bawi, jak cieszą się, że odkryli w sobie życie. Coś zaczęło się dziać na tej ulicy, w ich otoczeniu, w nich samych. Poruszyły się ściany domów, obudziły się cienie. Coraz to ktoś przyłączał się do kręgu tańczących, który rósł, pęczniał i przyspieszał tempo. Zresztą tańczył także tłum gapiów, cała ulica, wszyscy. Kołysały się kolorowe bou-bou, białe galabije, błękitne turbany. Nie ma tu asfaltu ani bruku, więc nad głowami zaraz zaczęły unosić się kłęby pyłu, ciemne, gęste, rozpalone, dławiące, a te obłoki, jak tumany wzniecane przez pożar, przyciągały ludzi z sąsiedztwa, nagle cała dzielnica zaczęła płasnąć, podrygiwać, bawić się w samo najgorsze, najgorętsze, mordercze południe! Bawić się? Nie, tu chodziło o coś innego, o coś więcej, coś wyższego i ważniejszego. Wystarczyło przyjrzeć się twarzom tańczących. Była w nich uwaga, wsłuchanie w hałaśliwy rytm, jaki dzieci wydobywały z blaszanych puszek, skupienie, aby zgadzały się z nim posuwiste pas, kołysanie bioder, przechyły ramion i ruchy głowy. Ale także była w nich determinacja, stanowczość i poczucie wagi tej chwili, w której mogli wyrazić siebie, dać dowód swojej obecności i uczestnictwa. Całymi dniami beczny i

zbędni, nagle stawali się widoczni, potrzebni i ważni. Istnieli. Tworzyli. Jorge fotografował. Potrzebował zdjęć, na których ulica afrykańskiego miasta bawi się i tańczy, zachęca i zaprasza. Aż sam już zmęczony skończył i gestem ręki podziękował tancerzom. Stanęli, poprawili ubrania, ocierali pot. Rozmawiali, wymieniali uwagi, śmiali się. Potem zaczęli się rozchodzić, szukać cienia, znikać w domach. Ulica znowu pograżyła się w nieruchomej, rozżarzonej pustce. Byłem w Bamako, bo chciałem trafić na wojnę z Tuaregami. Tuaregowie to wieczni tułacze. Czy zresztą można ich tak nazwać? Tułacz to ktoś, kto błąka się po świecie, szukając dla siebie miejsca, domu, ojczyzny. Tuareg ma swój dom i ojczyznę, w której żyje od tysiąca lat - to wnętrze Sahary. Bo jego dom jest inny niż nasz. Nie ma on ścian ani dachu, drzwi ani okien. Wokoło nie ma płotu ni muru, niczego, co grodzi i ogranicza. Wszystkim, co ogranicza, Tuareg gardzi, każdą przegrodę stara się zburzyć, każdą barierę złamać. Jego ojczyzna jest niezmierzona, to tysiące i tysiące kilometrów płonącego piasku i skał, wielka, zdradliwa, jałowa ziemia, której wszyscy się boją i starają ominąć. Granica tej pustynnej ziemi-ojczyzny jest tam, gdzie kończą się Sahara i Sahel, a zaczynają zielone pola osiadłych, wrogich Tuaregom społeczności, ich wioski i domy. Między jednymi i drugimi od wieków toczą się wojny. Bo często susza na Saharze jest tak wielka, że znikają wszystkie studnie, i wtedy Tuaregowie muszą wędrować z wielbłędami poza pustynię, na zielone obszary, w stronę rzeki Niger i jeziora Czad, aby napoić i nakarmić swoje stada, a przy okazji także zjeść coś samemu. Osiadli chłopcy afrykańscy traktują te wizyty jako inwazję, najazd, agresję, hekatombę. Nienawiść między nimi a Tuaregami jest straszna, jako że ci ostatni nie tylko palą wioski i zagarniają bydło, ale jeszcze zamieniają owych wieśniaków w swoich niewolników. Dla Tuaregów, którzy są jasnoskórymi Berberami, czarni Afrykańczycy są niską i podłą rasą nędznych podludzi. Ci z kolei mają Tuaregów za rozbójników, pasożytów i terrorystów, których - oby na zawsze - pochłoneła wreszcie Sahara. Osiadli Bantu walczyli w tej części Afryki z dwoma kolonializmami: francuskim, narzuconym z zewnątrz, z Europy, przez Paryż, oraz z wewnątrzafrykańskim, "własnym" kolonializmem Tuaregów, istniejącym tu od wieków. Obie te społeczności, a więc osiadłe, rolnicze ludy Bantu i ruchliwi, lotni Tuaregowie, miały zawsze dwie odmienne filozofie. Dla ludzi Bantu źródłem ich siły, a nawet źródłem życia jest ziemia - siedziba przodków. Bantu chowają zmarłych na swoich polach, często w pobliżu domów, a który umarł, w dalszym ciągu, symbolicznie, uczestniczy w błogosławi albo wymierza kary. Ziemia plemienna, rodzinna jest nie tylko źródłem utrzymania, ale i wartością świętą, miejscem, z którego człowiek powstał i do którego powróci. Tuareg - koczownik - człowiek otwartej przestrzeni i bezgranicznych kresów, lisowczyk i kozak Sahary - ma inny stosunek do przodków. Kto umarł - znika z pamięci żywych. Tuaregowie chowają zmarłych na pustyni, w dowolnym miejscu, przestrzegając jednego - aby nigdy tam nie powrócić. `nv Sól i złoto (cd.) W tej części Afryki między ludźmi Sahary a osiadłymi plemionami Sahelu i zielonej sawanny istniała od wieków wymiana towarowa zwana handlem niemym. Ludzie Sahary sprzedawali sól, dostając w zamian złoto. Tę sól (bezcenny i poszukiwany towar, zwłaszcza w tropiku) przynosili na głowach z wnętrza Sahary czarni niewolnicy Tuaregów i Arabów prawdopodobnie nad rzekę Niger, gdzie dokonywała się cała transakcja: "Gdy Murzyni dojdą już nad wodę, czynią, co następuje - opowiada XV-wieczny kupiec wenecki Alvise da Ca'da Mosto - każdy z nich usypuje z przyniesionej przez siebie soli kopczyk, oznacza go, po czym odchodzą od ustawionych w szereg solnych pagórków i cofają się o pół dnia drogi w tę samą stronę, z której

przyszli. Wtedy przybywają ludzie z innego murzyńskiego plemienia, którzy nigdy nikomu się nie pokazują ani z nikim nie rozmawiają: przybywają na dużych łodziach, prawdopodobnie z jakichś wysp, wysiadają na brzeg i ujrawszy sól, kładą obok każdego kopczyka pewną ilość złota, a następnie wycofują się, pozostawiając i sól, i złoto. Gdy odejdą, wracają ci, którzy sól przynieśli, i jeżeli ilość złota uznają za wystarczającą, zabierają je, pozostawiając sól; jeżeli nie, nie biorą ani złota, ani soli i znowu się wycofują. Wtedy ponownie nadchodzą tamci i zabierają sól z tych kopczyków, przy których nie ma złota; przy innych kładą więcej złota, o ile uznają to za właściwe, albo nie zabierają soli. W ten właśnie sposób prowadzą ze sobą handel, nie widząc się wzajemnie i wcale ze sobą nie rozmawiając. Trwa to już od bardzo dawna, i choć cała ta rzecz wydaje się niewiarygodna, zapewniam was, że jest prawdziwa" (tłum. Joanna Szymanowska). Czytam tę opowieść weneckiego kupca w autobusie, którym jadę z stamtąd dostanę się do Timbaktu, a więc właśnie na ziemię Tuaregów, już na próg Sahary. Tuaregowie giną, kończy się ich żywot. Z samej Sahary wypierają ich strasznie i nieustannie susze. Poza tym dawniej część z nich żyła z rabunku karawan, których dziś jest już mało i są dobrze uzbrojone. Muszą więc wędrować na lepsze ziemie, tam, gdzie jest woda, ale te tereny są już wszędzie zajęte. Tuaregowie żyją w Mali, w Algierii, w Libii, w Nigrze, w Czadzie i Nigerii, ale pojawiają się w innych krajach saharyjskich. Nie uznają się za obywateli żadnego państwa, nie chcą podporządkować się nikomu rządowi, żadnej władzy. Żyje ich jeszcze około pół miliona, może - milion. Nikt nigdy nie policzył tej ruchliwej, tajemniczej, unikającej kontaktów społeczności. Żyją osobno, nie tylko fizycznie, ale i mentalnie zamknięci w swojej trudno dostępnej Saharze. Nie interesuje ich świat zewnętrzny. Nie przychodzi im do głowy, żeby poznawać morza jak wikingowie, żeby uprawiać turystykę, zwiedzać Europę czy Amerykę. Kiedy schwytyany przez nich jeden z podróżników europejskich powiedział im, że chce dotrzeć do Nigru, nie dali mu wiary: - Po co ci Niger? Czy w twoim kraju nie ma rzek? - Mimo że Francuzi okupowali Saharę ponad pół wieku, Tuaregowie nie chcieli uczyć się francuskiego, nie interesował ich Kartezjusz ani Rousseau, Balzac czy Proust. Mój sąsiad w autobusie, kupiec z Mopti imieniem Diawara, nie lubi Tuaregów. Nawet boi się ich i jest zadowolony, że w Mopti wojsko dało sobie z nimi radę. "Dać sobie radę" - to znaczy, że część Tuaregów została zabita, a inni wypędzeni w taki rejon pustyni, iż z braku wody szybko wymrą. Kiedy przyjedziemy na miejsce (jazda tym autobusem trwa cały dzień), Diawara poprosi swojego kuzyna, niejakiego Mohameda Koné, żeby mi pokazał ślady po Tuaregach. Mopti to wielki port na Nigrze, a Niger to jedna z trzech największych (po Nilu i Kongo) rzek Afryki. Przez dwa tysiące lat spierano się w Europie, którą Niger płynie i do jakiego jeziora, rzeki czy morza wpada. Powodem tych kontrowersji był dziwaczny bieg Nigru, który zaczyna się niedaleko zachodnich wybrzeży Afryki, na terenie Gwinei, płynie w głąb kontynentu, w kierunku serca Sahary, aż nagle, jakby natrafiając na nieprzekraczalną barierę wielkiej pustyni, skręca w przeciwną stronę - na południe i wpada na terenie dzisiejszej Nigerii, w pobliżu Kamerunu, do Zatoki Gwinejskiej. Niger oglądany z wysokiego brzegu, na którym położone jest Mopti, jest szeroką, brunatną, powoli płynącą rzeką. Widok jej jest niezwykle, zważywszy na to, że naokoło rozciąga się rozpalona pustynia, a tu nagle w kamiennym łożysku taki ogrom wody! W dodatku Niger - w przeciwieństwie do innych rzek saharyjskich - nigdy nie wysycha i ów obraz wiecznie toczącego się nurtu wśród bezbrzeżnych piasków napawa ludzi takim szacunkiem i nabożeństwem, że traktują oni wody rzeki jako cudowne i święte.

Mohamed Kone okazał się młodym chłopcem, bez żadnego określonego zajęcia, typowym bayaye, żyjącym z czego się da. Miał on przyjaciela nazwiskiem Thiema Djenepo, właściciela łódki (dał mi później swoją wizytówkę: Thiema Djenepo - Piroguer - BP 76 - Mopti - Mali), który przewiózł nas, wiosłując z trudem, bo płynęliśmy pod prąd, na jedną z wysepek, na której stały świeże ruiny zburzonych, rozrzuconych lepierek: ślad ataku Tuaregów na wioskę walijskich rybaków. - Regardez, won frere - powiedział poufale Mohamed i objaśnił patetycznym głosem: - Ce sont les activités criminelles des Tuaregs! - Spytałem, gdzie by można ich było spotkać, na co Mohamed roześmiał się z politowaniem, bo uznał, że to tyle, co radzić się, jak by tu najłatwiej popełnić samobójstwo. Najtrudniej było dostać się z Mopti do Timbaktu. Droga przez pustynię była zamknięta przez wojsko, bo gdzieś tam, w głębi, trwały walki. Można było przedostać się w ich rejon, ale wymagało to tygodni. Pozostawał mały samolot Air Mali, który latał nieregularnie, od przypadku do przypadku, raz na tydzień albo na miesiąc. W tej części świata czas nie ma żadnej miary, żadnych punktów odniesienia, kształtu ni tempa. Rozchodzi się, rozpływa, trudno go uchwycić, narzucić formę. Ale przekupując naczelnika lotniska w Mopti, dostałem miejsce w samolocie. Leci się nad Saharą, księżycową, nierzeczywistą, pełną sekretnych linii i znaków. Pustynia coś nam wyraźnie mówi, coś komunikuje, ale jak ją zrozumieć? Co znaczą te dwie proste linie, które pojawiły się nagle na piasku, i zaraz, równie nagle, giną. A te koła, cały łańcuch symetrycznie rozłożonych kół? A te zygzaki, połamane trójkąty i romby, potem linie obłe i poskręcane? Czy to ślady zaginionych karawan? Osady ludzkie? Obozowiska? Ale jak można żyć na tej skwierczącej płycie? Jaką drogą się tam dostać? Którędy uciekać? Lądowaliśmy w Timbaktu prosto na lufy strzegących pasa startowego działek przeciwlotniczych. Timbaktu to dziś miasteczko zbudowane na piasku z glinianych domków. Gлина i piasek mają ten sam kolor, więc miasto wygląda jak organiczna część pustyni - ukształtowany w prostokątne bryły i uniesiony w górę fragment Sahary. Upał jest taki, że praktycznie nie można się ruszyć. Słońce ścina krew, paraliżuje, ogłusza. W ciasnych, piaszczystych uliczkach i zaułkach nie spotkałem żywego ducha. Ale znalazłem dom z tabliczką informującą, że tu od września 1853 do maja 1854 mieszkał Heinrich Barth. Barth, jeden z największych podróżników świata. Przez pięć lat samotnie podróżował po Saharze, prowadząc dziennik, w którym tę pustynię opisał. Kilka razy, schorowany i ścigany przez rabusiów, żegnał się z życiem. Umierając z pragnienia, naciął sobie żyły i pił własną krew, aby nie skonać z pragnienia. Wrócił do Europy, gdzie nikt nie umiał docenić unikalnego czynu, jakiego dokonał. Zgorzkniały z tego powodu, a także wycieńczony trudami wędrówki umarł, mając czterdzieści cztery lata w roku 1865, nie rozumiejąc, że wyobraźnia ludzka nie była w stanie osiągnąć granicy, którą on na Saharze przekroczył. Oto Pan jedzie na obłoku lekkim Kiedy wszedłem do wnętrza, było już wypełnione tłumem wiernych. Wszyscy klęczeli, ale zwróceni tyłem do prezbiterium, opierając nieruchome ciała o proste - bez oparć i pulpity - ławki. Mieli pochylone głowy i zamknięte oczy. Panowała zupełna cisza. - Wyznają w duchu grzechy i korzą się przed Bogiem, aby osłabić Jego gniew - wyszeptał ten, który wcześniej załatwił mi zgodę na wejście i teraz mi towarzyszył. Byliśmy w mieście Port Harcourt, położonym w gorącej, wilgotnej delcie Nigru. Świątynia, do której wszedłem, należała do zgromadzenia o nazwie Kościół Wiary Apostolskiej. Jest ono jedną z kilkuset sekt chrześcijańskich działających w południowej Nigerii. Za chwilę miało zacząć się niedzielne nabożeństwo. Osobie postronnej nie jest łatwo być dopuszczoną do takiego obrządku. Bez skutku

próbowałem szczęścia w innych miastach i zgromadzeniach (używam tu wymiennie terminów - sekta, zgromadzenie, kongregacja, Kościół, gdyż na terenie Afryki tak właśnie są one stosowane). Sekty prowadzą politykę nacechowaną pewną sprzecznością: z jednej strony każda stara się mieć jak najwięcej wiernych, ale z drugiej - przyjęcie do niej jest poprzedzone długą i uważną procedurą, czujną selekcją i ostrożnym doбором. Wynika to nie tylko z rygorów doktrynalnych. Ważne są i powody materialne. Większość tych sekt ma swoje centrale w Stanach Zjednoczonych, na Antylach i Karaibach czy w Wielkiej Brytanii. Stąd właśnie do ich afrykańskich filii i misji płyną dotacje finansowe, pomoc medyczna i oświatowa. Toteż w ubogiej Afryce tych, co chcieliby wstąpić do sekt, jest bez liku. Ale te ostatnie dbają, aby ich wyznawcy mieli odpowiednią pozycję społeczną i materialną. Dlatego nie przyjmuje się biedoty i głodomorów. Być członkiem sekty - to nobilitacja. W Afryce tych zgromadzeń jest wiele tysięcy, a ich członków - miliony. Rozejrzałem się po wnętrzu świątyni. Była to obszerna, rozległa hala przypominająca wielki hangar. Ściany miały szerokie prześwity, żeby do wnętrza wchodziło świeże powietrze, a przewiew dawał ulgę, tym bardziej że nagrany słońcem dach z falistej blachy promieniował intensywnym, przygniatającym gorącem. Nigdzie nie zauważyłem ołtarza. Nie było też rzeźb ani obrazów. Wewnątrz prezbiterium, na wysokim pomoście, розміściła się kilkudziesięcioosobowa orkiestra z dwiema dużymi sekcjami trąb i bębnow. Za orkiestrą, na górnej rampie, stał ubrany na czarno chór mieszany. Środek proscenium zajmowała masywna, z mahoniowego drzewa zrobiona kazalnica. Kapłan, który teraz na nią wszedł, był szpakowatym, tęgim Nigeryjczykiem, może po pięćdziesiątce. Oparł ręce na balustradzie ambony i spojrzał na wiernych. Ci już podnieśli się z klęczek, siedzieli i wpatrywali się w niego uważnie. Zaczęło się od tego, że chór odśpiewał ten fragment prorocstwa Izajasza, w którym Bóg zapowiada, że pokarze Egipcjan wielką suszą: Oto Pan jedzie na obłoku lekkim i przyciągnie do Egiptu i poruszą się bałwany Egipskie... I zginą wody z morza, a rzeka osiaśnie i wyschnie. I pójdą na wstecz rzeki, opadną i powysychają potoki groblami ujęte, trzcina i sitowie powiechnie. Trawa około rzeki i przy brzegu jej i wszelakie siewy przy potokach poschną, zniszczą i zginą. I będą się smucić rybitwi i żałośni będą wszyscy, którzy zarzucają do rzeki wędę; a którzy rozciągają sieci po wodzie, do nędzy pójdą. Tekst był wybrany celnie, jeśli chodziło o to, aby wprowadzić wiernych w nastrój lęku, grozy, Apokalipsy. Bo byli to ludzie stąd, ludzie ziemi, na której potężny Niger dzieli się dziesiątki rzek mniejszych, na tuziny krętych odnóg i kanałów, tworząc największą deltę Afryki. Ta sieć wodna od pokoleń dawała im utrzymanie i biblijna wizja wysychających i znikających rzek mogła budzić w zebranych najgorsze przecucia i obawy. Teraz kapłan otworzył dużą, oprawioną w czerwoną skórę Biblię, odczekał dłuższą chwilę i zaczął czytać: Potem stało się słowo Pańskie do mnie, mówiąc: Co widzisz, Jeremiaszu? I rzekłem: Widzę różgę migdałową. Spojrzał po zebranych i czytał dalej: I stało się słowo Pańskie do mnie powtórę, mówiąc: Co widzisz jeszcze? I rzekłem: Widzę garniec wrzący. I rzekł: Przetoż ty przepasz biodra swoje, a wstawszy mów do nich wszystko, co Ja tobie rozkazuję: nie bój się ich. Odłożył Biblię i wskazując ręką w stronę zgromadzonych, krzyknął: - I ja się was nie boję! Ja tu nie przyszedłem, żeby się was bać, tylko żeby wam mówić prawdę i was oczyścić! Właściwie od pierwszej chwili swojego kazania, od pierwszych słów i zdań był w podniosłym nastroju, pełen oskarżeń, gniewu, ironii i furii. Bo zaraz ciągnął dalej: - Chrześcijanin musi być przede wszystkim czysty. Wewnętrznie czysty. A czy wy jesteście czysti? Czy ty jesteś czysty? (pokazał

gdzieś w głąb sali, ale ponieważ nie wytknął nikogo konkretnie, cała grupa ludzi stojących w tamtym miejscu, jakby schwytna na gorącym uczynku, przykuliła się pokornie). - A może ty uważasz, że jesteś czysty? (przesunął palec wskazujący w inne miejsce sali i z kolei ludzie tam stojący skulili się i zawstydzeni pochowali twarze). Nie, nie jesteś czysty! Daleko ci do tego, żeby być czystym! Nikt z was nie jest czysty - powiedział to kategorycznie i niemal triumfująco. W tym momencie huknęła orkiestra, odezwały się trąbki, puzony, kornety i rogi. Towarzyszył im głuchy łoskot bębnow i chaotyczne pojękiwania chóru. - I pewnie nawet myślicie, że jesteście chrześcijanami? - mówił po chwili, tym razem z drwiną w głosie. - Mogę przysiąc, że tak myślicie. Że jesteście tego pewni. Każdy z was chodzi, dumnie wypina pierś i ogłasza: jestem chrześcijaninem! Patrzcie na mnie, patrzcie i podziwiajcie - oto idzie chrześcijanin! Prawdziwy, tak prawdziwy, że nie ma prawdziwszego na świecie! Oto jak myślicie. Ja was dobrze znam. Chrześcijanin! Cha, cha, cha, cha - wybuchnął donośnym, nerwowym i zjadliwym śmiechem, tak sugestywnym, że mnie też zaczął udzielać się nastrój sali i poczułem, jak ciarki chodzą mi po plecach. Ludzie stali zmieszani, speszeni, napiętnowani. Kim byli, jeśli nie mogli być uznani za chrześcijan? Co mieli ze sobą zrobić, gdzie się podziać? Każde zdanie coraz bardziej przyginało ich do ziemi, ścierało na proch. Stojąc w tym skupionym, przejętym i porażonym tłumie, nie mogłem zbyt natarczywie i często rozglądać się po sali. Wystarczyło, że byłem Biały, to już zwracało uwagę. Ale kątem oka widziałem, że stojące obok mnie kobiety mają pot na skroniach i jak drżą im złożone na piersiach ręce. Być może największy lęk rodziła w nich obawa, aby kapłan nie wskazał palcem na żadną z nich konkretnie, aby nie odsądził od czci i wiary, odmówił prawa do nazywania się chrześcijanką. Czułem, że stojący na kazalnicy kapłan, ma nad nimi ogromną, hipnotyczną władzę i rozporządza prawem ferowania najsurowszych, potępieńczych wyroków. - Czy wiecie, co to znaczy być chrześcijaninem? - pytał. Ludzie, którzy dotąd stali zgnębieni i pokorni, teraz poruszyli się, wyczekując, że usłyszą odpowiedź, jakąś radę, receptę czy definicję. - Czy wiecie, co to znaczy? - powtórzył, a czuło się, jak wśród wiernych rośnie napięcie. Nim jednak usłyszeli odpowiedź, odezwała się orkiestra. Zagrzmiały tuby, fagoty, saksofony. Rozległ się ogłuszający łomot i dudnienie bębnow. Kapłan usiadł na stojącym obok fotelu, oparł głowę na ręce, odpoczywał. Orkiestra ucichła i kapłan stanął ponownie na mahoniowej ambonie. - Być chrześcijaninem - powiedział - to znaczy słyszeć w sobie głos Pana. Słyszeć, jak Pan pyta: Co widzisz, Jeremiaszu? Po słowie "Pan" wierni zaczęli śpiewać: O Panie, Jesteś moim Panem, O tak, O tak, tak, tak, O tak, Jesteś moim Panem. Tłum zaczął rytmicznie kołysać się i falować, od podłogi podniosły się kłęby ceglanego kurzu. Potem wszyscy odśpiewali psalm Chwalcie Pana na cymbałach głośnych... Napięcie nieco osłabło, atmosfera złagodniała i ludzie rozluźnili się, odetchnęli, ale na krótko, bo zaraz kapłan powiedział: - Ale wy nie możecie usłyszeć głosu Pana. Wasze uszy są zatkane. Wasze oczy nie widzą. Bo jest w was grzech. A grzech czyni was głuchymi i ślepy. Zapanowała zupełna cisza. W sali, pełnej siedzących nieruchomo ludzi, poruszali się teraz tylko - ale ostrożnie, niemal na palcach - młodzi, postawni, dobrze zbudowani mężczyźni. Mieli jednakowe ciemne ubrania, białe koszule, czarne krawaty. Wcześniej policzyłem, że było ich dwudziestu. Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi jeszcze w bramie prowadzącej na dziedziniec kościoła: sprawdzali, kto przychodzi. Potem, tuż przed nabożeństwem rozeszli się po sali i stanęli przy ławkach w ten sposób, aby każdy z nich mógł obserwować inny sektor świątyni. Obserwować, ingerować, prowadzić. Ich ruchy, ich zachowanie cechowały

zupełna dyskrecja i wyraźna stanowczość. Nic z afrykańskiego bałaganu i zwisania, przeciwnie - sprężystość, czujność, sprawność. Panowali nad sytuacją i czuło się, że to właśnie było ich zadaniem. Po słowach kapłana, że drogę do ideału chrześcijanina blokuje grzech, który w sobie noszą i który niejako przez samo swoje istnienie stale wytwarzają, cisza, jaka zapanowała, miała głębokie uzasadnienie. Ludzie na sali pochodzili ze społeczności Ibo, a tradycyjna religia Ibo, podobnie jak i większości społeczeństw afrykańskich, nie zna pojęcia grzechu. Wiąże się to z innym pojmowaniem winy w teologii chrześcijańskiej i w tradycji metafizycznego, abstrakcyjnego, zła samego w sobie. Postępek nabiera cech złego uczynku wtedy, kiedy, po pierwsze - w ogóle zostanie wykryty, a po drugie - kiedy społeczność albo inna osoba uznają go za zły. Przy czym kryterium nie jest tu aksjologiczne, ale praktyczne, konkretne: złe jest to, co wyrządza innym szkodę. Nie istnieją złe intencje (myśli, pragnienia), ponieważ zło nie jest złem, dopóki się nie zmaterializuje, nie przybierze formy czynnej. Istnieją tylko złe uczynki. Jeżeli życzę mojemu wrogowi, aby się rozchorował, to nie popełniam nic złego, żadnego grzechu. Dopiero kiedy wróg rzeczywiście rozchoruje się, mogę być posądzony o zły uczynek - że zaszczerpiłem mu chorobę (ponieważ wierzy się tam, że przyczyny chorób nie są biologiczne, lecz biorą się z czarów rzucanych przez naszych przeciwników). Najważniejsze jest jednak może to, że zło nie wykryte nie jest złem, a więc i nie budzi poczucia winy. Mogę oszukiwać z czystym sumieniem tak długo, dopóki ktoś nie zorientuje się, że jest przeze mnie oszukiwany i nie wskaże na mnie palcem. Tradycja chrześcijańska uwewnętrznia winę: duszę mamy obolałą, sumienie męczy nas, dręczą zgryzoty. To jest ten stan, w którym odczuwamy ciężar grzechu, jego męczącą natrętność, jego palącą obecność. Inaczej w społeczeństwach, w których jednostka istnieje nie sama dla siebie, ale tylko jako element zbiorowości. Zbiorowość zdejmuje z nas prywatną odpowiedzialność, nie ma więc winy indywidualnej, a tym samym i poczucia grzechu. Odczuwanie grzechu dzieje się w czasie: zrobiłem coś złego, czuję, że popełniłem grzech, to mnie dręczy i teraz szukam sposobu, aby się oczyścić, procesem, wymaga czasu. Otóż w afrykańskim rozumieniu tego problemu, takiego czasu nie ma, w afrykańskim czasie nie ma dla grzechu miejsca. Bo albo nie popełniam nic złego, skoro nie jest to wykryte, albo też, kiedy zło zostaje ujawnione, jest ono w tym samym momencie, natychmiast, ukarane i tym samym - unicestwione. Wina i kara idą tu bowiem w parze, tworzą nierozzerwalne iunctim nie zostawiając między sobą wolnego pola, żadnej przestrzeni. W tradycji afrykańskiej nie ma miejsca na rozterki i dramat Raskolnikowa. - Grzech czyni was głuchymi i ślepymi - powtórzył z naciskiem kapłan. Głos zaczął mu lekko drżeć. - Ale czy wiecie, co czeka tych, co nie słuchają i nie patrzą? Którzy myślą, że mogą żyć z dala od Pana? Sięgnął znowu po Biblię i jedną rękę wznosząc wysoko do góry, jakby miała być anteną, po której spływałoby z nieba słowo Pańskie, zawołał: Tedy rzekł Pan do mnie: Puść ich od oblicza mego, a niech idą precz. A jeśli by rzekli: Dokądże pójdziemy? Tedy im rzeczesz: Kto oddany na śmierć, na śmierć pójdzie; a kto pod miecz, pod miecz; a kto na głód, na głód; a kto w niewolę, w niewolę. Bo ich tą czworaką rzeczą nawiedzę: miecz na zamordowanie i psami na rozszarpanie, a ptactwem niebieskim i zwierzętami ziemskimi na pożarcie i na wygubienie. Rozległo się głuche dudnienie bębnow. Ale milczały chór i orkiestra. A potem zapanowała cisza. Wszyscy stali, mając twarze uniesione wysoko. Kątem oka widziałem, jak ścieka po nich pot. I widziałem napięte rysy, wyprężone szyje, ręce wyciągnięte do góry w dramatycznym geście ni to błagania o ratunek, ni odruchowej

samoobrony, jakby w oczekiwaniu, że za ratunek, ni odruchowej samoobrony, jakby w oczekiwaniu, że za chwilę spadnie na nich wielki gład. Pomyślałem, że obecni na tym nabożeństwie przeżywają pewien konflikt wewnętrzny, może nawet dramat, nie wiem zresztą, na ile dla nich zrozumiały. Byli to w większości młodzi ludzie z przemysłowego miasta afrykańskiego, nowa nigeryjska klasa średnia. Należeli do warstwy wzorującej się na elitach - europejskiej i amerykańskiej - których kultura jest z istoty chrześcijańska. Akceptując to, chcieli tę kulturę i tę wiarę poznać, wczuć się w ich naturę i utożsamić z nimi. Dlatego wstąpili do jednego z chrześcijańskich zgromadzeń, które ich przyjęło, nakładając jednak wymogi doktrynalne i etyczne nieznane ich rodzimej kulturze. Jednym z nich była nauka o grzechu, a więc o tym rodzaju wykroczenia i ciężaru, którego nie znali. I teraz, jako adepci nowej wiary mieli uznać istnienie grzechu, a więc połknąć tę gorzką, odrzucającą substancję. A także od razu szukać sposobów, aby się jej radykalnie pozbyć, to znaczy stać się prawdziwym, czystym chrześcijaninem. Przez cały czas kapłan uświadamiał im wielką i bolesną cenę, jaką muszą zapłacić. Na tym polegało jego kazanie: na groźeniu, na upokarzaniu. Oni zaś gorliwie akceptowali swój stan obciążonych największymi przewinami grzeszników, wystraszonych widmem grożącej im potępiéncej kary, gotowych w każdej chwili przywdziać pokutny wór. Ta ich gorliwa akceptacja wszystkich pomówień, sarkau i oskarżeń kapłana brała się i stąd, że warto było płacić nimi za prawo bycia w kościele, uczestniczenia w aktach, które dawały wyznawcom poczucie wspólnoty, przynależności. Człowiek Ibo nie chce, boi się samotności, odbiera ją jako przekleństwo i potępienie. A członkostwo w sekcie oferowało nawet coś więcej: wiele społeczności afrykańskich miało własne tajne stowarzyszenia, rodzaj etnicznej masonerii - grupy sekretnej i zamkniętej, a ważnej i wpływowej. Sekty w Afryce starają się często upodobnić do tych tradycyjnych instytucji, tworząc atmosferę tajności i ekskluzywności, wprowadzając własny alfabet znaków i haseł, odrębną liturgię. Ponieważ nie wypadało mi w czasie obrządku rozglądać się po sali, wiele z tego, co się na niej działo, odbierałem nie poprzez obserwację, lecz odczuwanie. W zasięgu oka miałem tylko najbliższych stojących. Innych nie widziałem, ale ich obecność mimo to była dla mnie niemal dotykalna. Bowiem zgromadzenie to wytwarzało atmosferę tak stężoną, tak pełną żywej, ekstatycznej emocji, tak wszechobecną i przejmującą, że musiała ona przenikać i poruszać każdego. Tyle w tych ludziach było spontaniczności, żywiołu i przejęcia, tyle gorliwej i napiętej woli i swobodnie uzewnętrznianych uczuć, że można było pojmować i wiedzieć wszystko, co działo się za naszymi plecami, daleko od nas. Kiedy po zakończonym nabożeństwie wychodziłem już na dwór, musiałem ostrożnie stawiać kroki, bo tłum, z twarzami ukrytymi przed wzrokiem innych, znowu klęczał nieruchomo, odwrócony tyłem do prezbiterium. Była zupełna cisza. Nie śpiewał chór, nie grała orkiestra. Kapłan stał na kazalnicy, zmęczony i wyczerpany, miał zamknięte oczy i milczał. Dziura w Onitshy Onitsha! Zawsze chciałem zobaczyć Onitshę. Są nazwy magiczne, które wywołują pociągające, kolorowe skojarzenia - Timbuktu, Lalibela, Casablanca. Do nich należy też Onitsha. Onitsha jest miasteczkiem we wschodniej Nigerii, w którym znajduje się największy rynek w Afryce, może nawet największy rynek na świecie. W Afryce bardzo wyraźnie rozróżnia się między rynkiem-targowiskiem, a tym, co nazywamy centrum handlowym czy hałami targowymi. Centrum handlowe to obiekt stały, coś, co ma formę architektoniczną, w miarę planową zabudowę, grupę tych samych sprzedawców, dość ustabilizowaną klientelę. Ma ono trwałe punkty orientacyjne - to szyldy znanych firm, tabliczki z nazwiskami wielkich kupców, barwne reklamy, dekoracyjne

wystawy. Rynek to zupełnie inny świat. To żywioł, spontaniczność, improwizacja. To ludowy festyn, koncert na otwartym powietrzu. Myśl o rynku, który jest przede wszystkim domeną i królestwem kobiet, nie opuszcza ich na chwilę. Już w domu - na wsi czy w miasteczku - myślą o tym, że pójdą na rynek. Żeby coś kupić czy sprzedać. Albo - i jedno, i drugie. Zwykle rynek jest daleko, wyprawa zajmuje co najmniej dzień, i droga do niego, a potem powrót dają czas na rozmowę (bo idzie się w grupie), na wymianę uwag i plotek. A sam rynek? To miejsce handlu, ale także spotkań. Jest ono ucieczką z monotonii życia codziennego, chwilą oddechu, przeżyciem towarzyskim. Idąc na rynek, kobiety wkładają najlepsze stroje, a jeszcze przed tym jedna drugiej mozołnie układa fryzurę. Ponieważ jednocześnie z zakupami odbywa się tam nieustanna rewia mody, dyskretna, mimowolna, improwizowana. Jeżeli przyjrzeć się temu, co wiele z tych kobiet sprzedaje czy kupuje, trudno się oprzeć wrażeniu, że towar jest tu jedynie pretekstem do nawiązania lub podtrzymania kontaktów z innymi. Bo oto jakaś kobieta sprzedaje trzy pomidory. Albo kilka kolb kukurydzy. Albo garnuszek ryżu. Jaki ma z tego zysk? Co może za to kupić? A jednak siedzi na rynku cały dzień. Przypatrzmy się jej uważnie. Siedzi i cały czas rozmawia z sąsiadkami, o coś się spierają, patrzy na przetaczający się tłum, wygłasza opinie, komentuje. Potem, zgłodniałe, wymieniają między sobą produkty i potrawy, które przyniosły na sprzedaż i zjadają je na miejscu. Kiedyś obserwowałem taki targ rybny w Mali, w Mopti. Na małym piaszczystym placu, w zabójczym upale, siedziało może dwieście kobiet. Każda miała na sprzedaż kilka małych ryb. Nie widziałem, żeby ktoś chciał je kupować. Nawet żeby je oglądał, pytał o cenę. A jednak te kobiety siedziały zadowolone, rajcowały, prowadziły hałaśliwą debatę zajęte sobą, nieobecne dla świata. Myślę, że gdyby pojawił się tam jakiś klient, zostałby przyjęty z niezadowolaniem, bo popsułby im zabawę. Wielki rynek to wielki tłum, ogromny tłok. Ludzie cisną się na siebie, pchają się jedni na drugich, gniotą się, duszą. Jak okiem sięgnąć morze - morze czarnych, jakby jednolicie rzeźbionych w bazalcie głów, jaskrawych, kolorowych strojów i ubrań. I w to wszystko wjeżdżają jeszcze ciężarówki. Tak, bo ciężarówki muszą rozwieźć towar. Zasady poruszania się tych samochodów w taki sposób, aby nikogo nie zabić ani niczego nie strącić są ustalone tradycyjnym kodeksem. Więc ciężarówka najpierw wjeżdża w tłum na głębokość metra. Wjeżdża wolniutko, centymetr po centymetrze, kroczy po kroczy. Kobiety, stojące lub siedzące na trasie wozu, zbierają swój towar do koszyków, do misek i podołków i rozpychając siedzące lub stojące za nimi sąsiadki, bez słowa posłusznie usuwają się przed zderzakiem napierającego samochodu, aby w sekundę później, jak fale rozcięte dziobem okrętu wrócić na swoje poprzednie miejsce. Rynek afrykański to wielkie składowisko taniochy i byle-czego. Kopalnia lichoty i tandety. Góry chłamu, sztampy i kiczu. Nic tu nie ma większej wartości, nic nie przyciąga uwagi, nie budzi podziwu, nie kusi, żeby to mieć. W jednym końcu piętrzą się stosy takich samych plastikowych, żółtych i czerwonych wiader i misek, w drugim - kłębią się tysiące jednakowych podkoszulków i pepegów, jeszcze gdzieś indziej wznoszą się piramidy różnokolorowych perkali i połyskują rzędy nylonowych sukien i marynarek. Dopiero w takim miejscu widać, jak bardzo świat zalany jest materialną dziesięćordnością, jak tonie w oceanie kiczu, lipy, bez-guścia i bez-wartości. I oto nadarzyła się wreszcie okazja, żeby pojechać do Onitshy. Teraz, siedząc już w samochodzie, starałem się wyobrazić sobie, jak musi to wszystko tam wyglądać, tyle że monstrualnie rozmnożone, wielokrotnie powiększone do rozmiarów największego rynku świata. Mój kierowca miał na imię Omenka i należał

do sprytnych i chytrych ludzi, wychowanych w bogactwie tutejszego zagłębia naftowego, którzy wiedzieli, co to pieniądz i jak go wyciągać od swoich pasażerów. Pierwszego dnia naszej znajomości, żegnając się, nie dałem mu nic. Odszedł nie powiedziawszy nawet do widzenia. Zrobiło mi się przykro, bo nie lubię zimnych, formalnych stosunków między ludźmi. Następnym razem dałem mu więc 50 mira (miejscowa waluta). Powiedział do widzenia, nawet uśmiechnął się. Zachęcony dałem mu kolejnym razem 100 mira. Powiedziałem do widzenia, uśmiechnął się i podał mi rękę. Na kolejne pożegnanie dałem mu przeto 150 mira. Powiedział do widzenia, uśmiechnął się, pozdrowił i serdecznie, oburącz uściskał mi rękę. Następnym razem podbiłem stawkę i wypłaciłem mu 200 mira. Powiedział - do widzenia, uśmiechnął się, wyściskał mnie, prosił pozdrowić rodzinę, z troską w głosie wypytywał mnie o zdrowie. Nie chcę już ciągnąć tej historii dalej, ale doszło do tego, że tak obsypałem go mirami, iż w końcu nie mogliśmy się rozstać. Omenka miała zawsze głos drżący ze wzruszenia i zawsze ze łzami w oczach przysięgał mi dożywotnie oddanie i wierność. Miałem to, co chciałem, i to w nadmiarze - serdeczność, ciepło, dobroć. A więc jechaliśmy teraz z Omenką do Onitshy, to znaczy w kierunku północnym (biorąc za punkt odniesienia zatokę Beninu) i mijając miasteczka Abę, a potem Oweri i Ihialę. Kraj tu wszędzie zielony, malaryczny, wilgotny i zaludniony. Część ludzi pracuje przy wydobywaniu ropy naftowej, część uprawia poletka manioku i kassawy, część strąca i sprzedaje kokosy, inni pędzą z bananów i z prosa bimber. Wszyscy - handlują. W Afryce podział na farmerów i pasterzy bydła, na żołnierzy i urzędników, na krawców i mechaników istnieje, jest faktem, ale ważniejsze jest co innego, to co wspólne, co łączy - że wszyscy handlują. Różnica między społeczeństwem afrykańskim a europejskim jest między innymi taka, że w tym ostatnim panuje podział pracy, działa prawo specjalizacji, określonej fachowości, ścisłej profesji. W małym stopniu działają te zasady w Afryce. Tu, dziś zwłaszcza, człowiek ima się dziesiątek zajęć, robi mnóstwo rzeczy i to najczęściej nie za długo, a także - bywa - i niezbyt serio. W każdym razie trudno znaleźć kogoś kto by nie otarł się o największy żywioł i namiętność Afryki - o handel. A właśnie rynek w Onitshy jest punktem, do którego dochodzą wszystkie drogi i ścieżki handlującej Afryki - tu się spotykają i przecinają. Onitsha fascynowała mnie również dlatego, że jest to jedyny znany mi przypadek rynku, który stworzył i rozwinął własną literaturę: Onitsha Market Literature. W Onitshy żyją i tworzą dziesiątki pisarzy nigeryjskich wydawanych przez tuziny miejscowych wydawnictw, posiadających na rynku własne drukarnie i księgarnie. Różna to literatura - romanse, poematy i skecze (grane później przez liczne działające na rynku teatryki), bulwarowe komedie, ludowe farsy i wodewile. Dużo tu dydaktycznych historyjek, mnóstwo lokalnych poradników w rodzaju - Jak się zakochać? albo - Jak się odkochać?, mnóstwo powieściadełek takich jak Mabel, czyli słodki miód, który się ulotnił albo Gry miłosne, a potem rozczarowanie. Wszystko nastawione na to, aby wzruszać, pobudzać do szlochu, a także uczyć i bezinteresownie radzić. Literatura musi przynosić pożytek, uważają autorzy z Onitshy i znajdują na rynku wielkie, szukające przeżyć i mądrości audytorium. Kto nie ma pieniędzy na broszurowe arcydzieło (albo, zwyczajnie, nie umie czytać), może wysłuchać jego przesłania za grosz, bo tyle kosztuje wstęp na wieczory autorskie, które odbywają się tu często w cieniu straganów z pomarańczami albo z jamsem i cebulą. Kilka kilometrów przed Onitshą szosa skręca łagodnym łukiem w stronę miasta. Już na tym łuku stały samochody, widać było, że mamy przed sobą korek i że przyjdzie czekać, tym bardziej że był to jedyny od tej strony wjazd do miasta. Była to

Oguta Road, która kończyła się, ale daleko, daleko stąd, owym sławnym rynkiem. Na razie jednak staliśmy za kilkoma ciężarówkami w długim korku. Minęło pół godziny, potem godzina. Miejscowi kierowcy najwyraźniej znali sytuację, bo beztrudno rozłożyli się w przydrożnym rowie. Ale ja się spieszyłem, miałem jeszcze tego dnia wrócić do odległego o trzysta kilometrów Port Harcourt. Szosa była wąska, jednopasmowa, nasz samochód stał wciśnięty między inne wozy, bez szansy manewru. Poszedłem więc sam, przed siebie, aby zbadać przyczynę nieruchomego korka. Było gorąco, jak to w Afryce w południe, więc wlokłem się noga za nogą. Wreszcie dotarłem do celu. Było to już w mieście, po obu stronach ulicy stały murowane, kryte falistą, zardzewiałą blachą niskie domy i parterowe sklepy, w cieniu szerokich werand siedzieli przy swoich maszynach krawcy, kobiety prały i wieszały bieliznę. W jednym miejscu ulica była zatłoczona, panował tam nerwowy ruch, huczały motory, było gwarно, rozlegały się krzyki i nawoływania. Kiedy przecisnąłem się przez tłum, zobaczyłem, że na środku ulicy ziele wielka dziura. Wielka, szeroka, kilkumetrowej głębokości. Miała prostopadłe, spadziste brzegi, a jej dno wypełniała mętna, błotnista sadzawka. Ulica była tu tak wąska, że nie dawało się tej dziury obejść i każdy, kto chciał dostać się samochodem do miasta, musiał najpierw wpakować się w tę przepaść i pograżyć w jej bagiennych wodach, licząc, że go jakoś z tej opresji wyciągną. I tak to w istocie wyglądało. Na dnie dziury zanurzona do połowy w wodzie stała ogromna ciężarówka, załadowana workami z orzeszkami ziemnymi. Gromada półnagich chłopców rozładowywała samochód, wspinając się z workami na górę, na ulicę. Inna grupa mocowała do ciężarówki liny, aby próbować wyciągnąć ją z jamy. Jeszcze inni kręcili się w wodzie, próbując podłożyć pod koła deski i belki. Ci, których opuszczały siły, wychodzili na górę odpocząć. Tu już stały rzędem kobiety, które sprzedawały gorące potrawy - ryż z korzennym sosem, placki z kassawy, pieczone jamsy, zupę z orzeszków ziemnych. Inne handlowały miejscową lemoniadą, rumem, piwem z bananów. Jacyś chłopcy sprzedawali papierosy i gumę do żucia. W końcu, kiedy już wszystko przygotowano, a orzeszki zostały wyładowane, ekipy przystąpiły do wyciągania ciężarówki. Część chłopców, popędzana okrzykami, ciągnęła za sznury, inni pchali ramionami burtę wozu. Ciężarówka opierała się, cofała, niemal stawiała dęba. Ale wreszcie wspólnym wysiłkiem została wyciągnięta i stanęła na asfalcie. Gapię bili brawo, klepali się z radości po plecach, a okoliczne dzieci tańczyły i klaskały. Nie minęła chwila, a już następny, czekający w kolejce samochód, pławił się na dnie przepastnego dołu. Zauważyłem jednak, że tym razem jego wyciąganiem zajmowali się zupełnie inni ludzie. Przynieśli ze sobą własne liny, łańcuchy, deski i łopaty. Ci, którzy pracowali przy poprzednim samochodzie, gdzieś się już rozeszli. Tym razem praca była niezmiernie trudna i mozolna - przypadł im wóz szczególnie ciężki - olbrzymi bedford. Musieli wyciągać go stopniowo, na raty. Za każdym przestojem rozpoczynała się długa dyskusja na temat metod wyciągania, które mogłyby okazać się najbardziej skuteczne. Bedford wyslizgiwał się, jego silnik ryczał jak opętany, skrzynia ładunkowa niebezpiecznie przechylała się na bok. Z każdym wozem dziura stawiała się coraz głębsza. Jej dno było już wodnistą, kleistą mazią, w której koła buksowały w miejscu, chlapiąc i pryskając na wszystkich pecynami błota i strumieniami żwiru. Pomyślałem, że czekają nas tu dwa - trzy dni postoju, nim wreszcie przyjdzie nasza kolej, by znaleźć się na dnie błotnistego dołu. Ciekawe, ile by ratownicy zażądali za wyciągnięcie naszego wozu? Ale ważniejsze w tej chwili pytanie brzmiało - jak tu już teraz wydostać się z tej pułapki? Już nie myślałem o rynku w Onitshy, o jego kolorowym żywiole,

jarmarcznej, straganowej literaturze. Chciałem wydostać się stąd, musiałem wracać. Ale najpierw poszedłem zbadać okolice naszej dziurawej i zakorkowanej Oguta Road. Zobaczyć, jak ona wygląda. Zasięgnąć języka. Posłuchać, co mówią ludzie. Od razu rzuciło się w oczy, że okolica dziury stała się centrum miejscowego życia ze przyciągała ludzi, ciekawiła, pobudzała ich do inicjatywy i działań. W miejscu, które jest zwykle sennym, martwym przedmiejskim zaułkiem z drzemiącymi na ulicach bezrobotnymi, ze stadami bezpańskich, malarycznych psów, nagle, spontanicznie, dzięki owej nieszczęsnej dziurze powstała dynamiczna, pełna ruchu i gwaru dzielnica. Dziura dała pracę bezrobotnym, którzy potworzyli ekipy ratowników i zarabiali, wyciągając z dołu samochody. Przysporzyła konsumentów kobietom - właścicielkom przenośnych ludowych garkuchni. Dzięki istnieniu dziury hamującej ruch i blokującej ulicę, w pustych dotąd okolicznych sklepikach pojawili się mimowolni klienci - pasażerowie i kierowcy oczekujących na przejazd samochodów. Znaleźli nabywców dla swoich towarów uliczni handlarze papierosów i napojów chłodzących. Więcej - zauważyłem na okolicznych domach świeże, kulfoniaste i odręczne napisy - Hotel - to dla tych, którzy musieli spędzać noc czekając na swoją kolej do dziury. Odżyły okoliczne warsztaty samochodowe - kierowcy, korzystając z przestoju, mieli czas naprawić uszkodzenia, dopompować koła, doładować akumulator. Przybyło pracy krawcom i szewcom, pojawili się fryzjerzy, zobaczyłem kręcących się znachorów, oferujących zioła, skórki węża i pióra koguta, gotowych każdego, w jednej chwili uleczyć. W Afryce wszystkie te zawody wykonują ludzie w ruchu, wędrując, poszukując klienta i jeżeli nadarza się taka okazja, jak owa dziura w Onitshy, natychmiast ściągają tam tłumem. Również życie towarzyskie nabrało rumieńców: okolica dziury stała się miejscem spotkań, rozmów i dyskusji, a dla dzieci - miejscem zabawy. Przekleństwo kierowców jadących do Onitshy stało się zbawieniem mieszkańców Oguta Road, całej tej dzielnicy, której nazwy nie znam. Potwierdziło się tylko, że wszelkie zło zawsze znajdzie swoich obrońców, ponieważ wszędzie są tacy, których zło żywi, jest dla nich szansą, nawet - racją istnienia. Długo ludzie nie dawali tej dziury naprawić. Wiem to stąd, że kiedy lata później z przejęciem opowiadałem w Lagos o mojej przygodzie w Onitshy, odpowiadano mi obojętnym głosem: - Onitsha? W Onitshy tam tak zawsze. Sceny erytrejskie Asmara, piąta rano. Ciemno i chłodno. Nagle ponad miasto wzbijają się jednocześnie dwa dźwięki - potężny, niski głos dzwonu z katedry przy Via Independencia i przeciągłe, śpiewne wołanie muezina ze stojącego niedaleko katedry meczetu. Te dwa dźwięki przez kilka minut wypełniają całą przestrzeń, łączą się i wzmacniają, tworząc zgodny i triumfalny duet ekumeniczny, który płoszy ciszę zaspanych uliczek i budzi ich mieszkańców. Głos dzwonu, podnosząc się i opadając, stanowi jakby donośny akompaniament, wzniosłe i rześkie allegro włączone w żarliwe sury koraniczne, którymi ukryty w mroku muezin zachęca wiernych do pierwszej, otwierającej dzień, a zwanej salad as-subh, modlitwy. Ogłuszony tą muzyką zaranną idę pustymi ulicami zmarznięty i głodny na dworzec autobusowy, bo chciałbym dziś pojechać do Massawy. Nawet na dużych mapach Afryki odległość między Asmarą i Massawą jest ledwie na szerokość paznokcia i w rzeczy samej nie jest ona wielka - sto dziesięć kilometrów, ale żeby ją przejechać, autobus potrzebuje pięciu godzin, zjeżdżając w tym czasie z wysokości blisko dwóch i pół tysiąca metrów do poziomu morza - Morza Czerwonego, nad którym leży Massawa. Asmara i Massawa to główne miasta Erytrei, a Erytrea jest najmłodszym, małym, trzymilionowym państwem Afryki. Nigdy w przeszłości nie będąc odrębnym państwem, Erytrea była kolonią Turcji, potem Egiptu, a w XX wieku kolejno Włoch, Anglii i

Etiopii. W 1962 roku ta ostatnia, która już od dziesięciu lat zbrojnie okupowała Erytreę, ogłosiła ją swoją prowincją, na co Erytrejczycy odpowiedzieli wojną, antyetioopską wojną wyzwolenczą, najdłuższą w historii kontynentu, bo trwającą trzydzieści lat. Kiedy w Addis Abebie rządził Hajle Sellasje, pomagali mu zwalczać Erytrejczyków Amerykanie, a od kiedy cesarza obalił Mengistu i sam objął władzę - Rosjanie. Relikty tej historii można obejrzeć w wielkim parku Asmary, w którym mieści się muzeum wojny. Jego dyrektorem jest młody poeta i gitarzysta, były partyzant, przemiły i gościnny - Aforki Arefaine. Aforki najpierw pokazuje mi moździerz i działa amerykańskie, a potem kolekcję pepesz, min, katusz i migów radzieckich. - To jeszcze nic! - mówi. - Gdybyś mógł zobaczyć Debre Zeit! Nie było to łatwe, bo trudno uzyskać pozwolenie, ale w końcu zobaczyłem Debre Zeit. Leży ono kilkadziesiąt kilometrów od Addis Abeby. Jedzie się tam polnymi drogami, mijając szereg posterunków wojskowych. Żołnierze ostatniego z nich otwierają bramę na placyk znajdujący się na szczycie płaskiego wzgórza. Widok z tego miejsca jest jedyny na świecie. Przed nami, jak okiem sięgnąć, aż po daleki i przymglony horyzont, ciągnie się płaska i bezdrzewna równina. Jest ona cała gęsto zastawiona sprzętem wojskowym. Kilometrami ciągną się pola armat różnego kalibru, niekończące się aleje średnich i wielkich czołgów, kwartały zastawione lasem dział przeciwlotniczych i moździerzy, setki wozów pancernych, tankietek, ruchomych radiostacji i amfibii. A po drugiej stronie wzgórza rozciągają się olbrzymie hangary i magazyny, hangary, które kryją kadłuby jeszcze nie zmontowanych migów, i magazyny pełne skrzyń amunicji i min. To, co najbardziej zdumiewa i oszołamia, to monstrualne ilości tego uzbrojenia, nieprawdopodobne nagromadzenie, spiętrzenie setek tysięcy ton karabinów maszynowych, górskich haubic, bojowych helikopterów. Wszystko to, jako dar Breżniewa dla Mengistu, płynęło latami ze Związku Radzieckiego do Etiopii. Tak, tyle że w Etiopii nie było ludzi zdolnych użyć choćby dziesięciu procent tego uzbrojenia! Taką ilością czołgów można by podbić całą Afrykę, ogniem tych dział i katusz zamienić kontynent w perzynę! Włócząc się martwymi ulicami tego miasta znieruchomiałej stali, gdzie z każdego miejsca niemo wpatrywały się we mnie ciemne, oksydowane lufy, a za każdym węglem szczyrzyły się masywne, metalowe zęby gąsienic czołgowych, myślałem o tym człowieku, który snując plany podboju Afryki, urządzenia na tym kontynencie pokazowego blitzkriegu, zbudował ową militarną nekropolię - Debre Zeit. Któż to mógł być? Ambasador Moskwy w Addis Abebie? Marszałek Ustinow? Sam Breżniew? - A widziałeś Tira Avolo? - spytał mnie kiedyś Aforki. Tak, widziałem Tira Avolo. To cud świata. Asmara jest pięknym miastem, o włoskiej śródziemnomorskiej architekturze i wspaniałym klimacie wiecznej, ciepłej i słonecznej wiosny. Luksusową, rezydencyjną dzielnicą Asmary jest właśnie Tira Avolo. Wspaniałe wille toną tu w ukwieconych ogrodach. Królewskie palmy, wysokie żywopłoty, baseny, bujne gazony i ozdobne rabaty, nieustająca parada roślin, barw i zapachów - istny raj na ziemi. Kiedy w latach wojny Włosi wyjechali z Asmary, dzielnicę Tira Avolo zajęła etiopska i sowiecka generalicja. Żadne Soczi, Suchumi czy Gagra nie mogą równać się klimatem i komfortem z Tira Avolo. Toteż połowa sztabu generalnego Armii Czerwonej, mając wstęp wzbroniony na Wybrzeże Lazurów czy Capri, spędzała wakacje w Asmarze, pomagając jednocześnie wojskom Mengistu walczyć z partyzantką erytrejską. Siły etiopskie powszechnie używały napalmu. Żeby się przed nim ratować, Erytrejczycy kopali zakryte schrony, zamaskowane korytarze i kryjówki. Po latach zbudowali drugi, podziemny kraj, podziemny dosłownie, niedostępną dla obcych, tajemną, ukrytą Erytreę, którą mogli przemierzać z miejsca na miejsce,

niewidoczni dla wroga. Wojna erytrejska nie była - co sami podkreślają z dumą - żadną bush-war, niszczyielską i rabunkową zawieruchą warlordów. W swoim podziemnym państwie mieli oni szkoły i szpitale, sądy i sierocińce, warsztaty i rusznikarnie. W kraju analfabetów każdy bojownik musiał umieć czytać i pisać. To, co było osiągnięciem i dumą Erytrejczyków, jest teraz ich problemem i dramatem. Bo wojna skończyła się w 1991 roku, a w dwa lata później Erytrea stała się niepodległym państwem. Ten mały, jeden z najbiedniejszych krajów świata, ma stutysięczną armię młodych, stosunkowo wykształconych ludzi, z którymi nie wiadomo, co począć. Kraj nie ma żadnego przemysłu, rolnictwo jest w stanie upadku, miasteczka zrujnowane, drogi zniszczone. Sto tysięcy żołnierzy budzi się rano i nie ma co robić, przede wszystkim - nie ma co jeść. Chodzi zresztą nie tylko o żołnierzy. Bo los ich cywilnych kolegów i braci jest podobny. Wystarczy przejść się ulicami Asmary w porze obiadowej. Urzędnicy nielicznych jeszcze w młodym państwie instytucji spieszą do okolicznych restauracyjek i barów, żeby coś zjeść. Ale tłumy młodzi ludzie nie mają gdzie pójść - nigdzie nie pracują i są bez grosza. Chodzą, oglądają wystawy, stoją na rogach ulic, siedzą na ławkach - beczynni i głodni. Milkną dzwony katedry, cichnie głos muezina, zza gór Jemenu pojawia się ogniste i oślepiające słońce i nasz autobus - bardzo, bardzo stary fiat, którego koloru nie sposób już ustalić, tak ma karoserię wielokrotnie klepaną i dziurawą od rdzy, rusza na łeb, na szyję dwa i pół tysiąca metrów spadzistymi półkami w dół. Nie podejmuję się opisać tej drogi. Szofer posadził mnie, jedyne Europejczyka, obok siebie. To młody, bystry i uważny kierowca. Wie, co to znaczy jechać tą drogą, zna jej karkołomne pułapki. Na trasie stu kilometrów jest kilkaset zakrętów - właściwie cała droga to same zakręty, przy czym wąska jezdnia, pokryta sypkim szutrem i luźnym żwirem, biegnie cały czas, bez żadnych barier ni osłon, nad przepaściami. Na wielu zakrętach, jeśli kto nie choruje na lęk wysokości i może spojrzeć w dół, widać leżące głęboko, głęboko na dnie przepaści wraki autobusów, ciężarówek, wozów pancernych i szkielety wszelkiego bydła - chyba wielbłądów, może mułów czy osłów. Niektóre już bardzo stare, ale inne - i te budzą większą grozę - zupełnie świeże. Kierowca i pasażerowie są zgrani, najwyraźniej tworzą zżyty zespół: kiedy wjeżdżamy w zakręt, kierowca woła przeciągle - yyyaaahhh, i na to hasło pasażerowie przechylają się w przeciwną do zakrętu stronę, nadając autobusowi trochę przeciwwagi - inaczej runąłby bezwładnie w przepaść. Co jakiś czas na zakręcie stoi jaskrawokolorowy, zdobny we wstążki, sztuczne, napuszone kwiaty i ikony malowane w stylu naiwnych realistów - ołtarz koptyjski, przy którym kręci się kilku wychudłych, zasuszonych mnichów. Kiedy autobus zwalnia, wyciągają do okien gliniane miseczki, aby pasażerowie sypali w nie grosze na ofiarę - mnisi bowiem będą modlić się o szczęśliwą jazdę ludzi, szczęśliwą przynajmniej do następnego zakrętu. Każdy kilometr odsłania inne widoki, zza każdej góry wyłania się inny pejzaż, jadąc widzimy, jak na naszych oczach komponują się coraz to nowe panoramy, jak ziemia popisuje się bogactwem urody, jak chce nas oszołomić swoim pięknem. Bo właśnie ta droga jest zarazem i straszna, i piękna. Tam w dole jakaś osada utopiona w krzewach, a tam klasztor - jego jasne mury świecą na tle czerni gór jak biały płomień. Tam głaz gigantyczny, stutonowy, roztrzaskany na pół - ale przez jakiś piorun! - wbity w zieloną połoninę, a gdzie indziej - pola kamieni, rzadko, bez ładu rozrzuconych, luźnych; ale pewnym miejscu te kamienie skupiają się, leżą bliżej siebie, bliżej i składniej - to znak, że jest tam cmentarz muzułmański. Tu, jak na klasycznym landszafcie, srebrzy się bystry strumyk, tam spiętrzone skały tworzą jakieś niebotyczne bramy, zawile labirynty,

patetyczne kolumny. W miarę jak płynie czas, jak zjeżdżamy niżej i niżej, ciągle obracając się na szalejącej karuzeli zakrętów, nieustannie balansując na granicy życia i śmierci, czujemy, jak robi się cieplej, a potem jak jest już bardzo ciepło i nawet gorąco, aż w końcu wjeżdżamy, jakby wrzuceni wielką szuflą do - hutniczego pieca. Do płonącego martena - to znaczy do Massawy. Ale przedtem, na kilka kilometrów przed miastem, kończą się góry i droga biegnie prosto i płasko. Kiedy na nią wjeżdżamy, kierowca zmienia się, jego szczupła sylwetka wiotczeje, mięśnie twarzy rozluźniają się i łagodnieją. Uśmiecha się. Sięga po leżący obok niego stos kaset i jedną z nich wkłada do magnetofonu. Ze zdartej, zapiaszczonej taśmy rozlega się zachrypły głos jakiegoś miejscowego pieśniarza. Melodia jest wschodnia, dużo w niej tonów wysokich i tęsknych, sentymentalnych. - Mówi, że ona ma oczy jak dwa księżycy - tłumaczy mi zasłuchany kierowca. - I że on kocha te księżycowe oczy. Wjeżdżamy do zrujnowanego miasta. Po obu stronach drogi góry łusek artyleryjskich. Ściany wypalonych domów, powalone, najeżone drzazgami pnie drzew. Jakaś kobieta idzie pustą ulicą, dwaj chłopcy bawią się w szoferce zniszczonej ciężarówki. Zajeżdżamy na piaszczysty, prostokątny plac w śródmieściu. Wokół biedne parterowe domy, pomalowane na zielono, różowo i żółto. Ściany popękane, farba łuszczy się i sypie. W jednym kącie, gdzie jest trochę cienia, drzemie trzech starych mężczyzn. Siedzą na ziemi, mają turbany nasunięte na oczy. Erytrea to dwie wysokości, dwa klimaty, dwie religie. Na wyżynach, tam gdzie leży Asmara i gdzie jest chłodniej, mieszka społeczność Tigrynia. Należy do niej większość mieszkańców kraju. Tigrynia to chrześcijanie, Koptowie. Druga część Erytrei to gorące, półpustynne niziny - brzegi Morza Czerwonego, między Sudanem a Dżibuti. Mieszkają tu różne społeczności pasterskie wyznające islam (chrześcijaństwo gorzej znosi tropiki, islam czuje się w nich lepiej). Massawa - port i miasto - należą do tego ostatniego świata. Te okolice Morza Czerwonego, gdzie leży Massawa i Assab, i Zatoki Adeńskiej, nad którą jest Dżibuti, Aden i Berbera, to najgorętsze części planety, piekło na ziemi. Toteż kiedy wysiadałem z autobusu, uderzył we mnie taki żar, że nie mogłem złapać oddechu, poczułem, że płomień, który mnie otacza, udusi mnie, i zdałem sobie sprawę, że muszę się gdzieś schronić, bo za chwilę padnę. Zacząłem przyglądać się wymarłemu miastu, szukać jakiegoś znaku, śladu życia. Nigdzie nie zauważyłem żadnego szyldu i z rozpaczą ruszyłem przed siebie. Wiedziałem, że nie będę w stanie ująć daleko, ale jednak posuwałem się, szedłem z wielkim trudem, kolejno podnosząc to lewą, to prawą nogę, jakbym wyciągał je z przepastnego, wsysającego bagna. Wreszcie zobaczyłem jakiś bar, do którego prowadził otwór zaciągnięty perkalową zasłoną. Odsunąłem zasłonę, wszedłem i zwałem się na najbliższą ławę. Szumiało mi w uszach, bo upał jak gdyby ciągle gęstniał, ciągle potworniał. W mroku, w głębi pustego baru, zobaczyłem lepiącą się od brudu, zniszczoną ladę i leżące na niej dwie głowy. Z daleka wyglądało, że są to dwie głowy ucięte, które ktoś tu położył i poszedł. Tak. To widocznie tak było, ponieważ te głowy nie poruszały się, nie dawały znaku życia. Nie byłem jednak w stanie pomyśleć, kto te głowy przyniósł i dlaczego je tu zostawił. Moją uwagę zajął teraz widok stojącej obok lady skrzynki butelek z wodą. Resztką sił dowlokłem się do nich i zacząłem pić jedną po drugiej. Dopiero wtedy jedna z głów otworzyła oko, które przyglądało się, co robię. Ale w dalszym ciągu obie barmanki ani nie drgnęły, nieruchome, z powodu upału, jak jaszczurki. Mając już wodę i oćienione miejsce, spokojnie odczekałem, aż przygaśł płomień południowych godzin, i poszedłem szukać jakiegoś hotelu. Widać, że zamożne dzielnice Massawy musiały być uroczą mieszaniną tropikalnej, arabsko-włoskiej architektury. Ale teraz, w kilka lat po wojnie,

większość domów ciągle leżała w gruzach, a na chodnikach pełno było cegieł, śmieci i szkła. Na jednym z głównych skrzyżowań w mieście stał wielki, spalony rosyjski czołg T-72. Najwyraźniej nie mieli go jak usunąć. W Erytrei nie było takiego dźwigu, żeby go unieść. Nie było platformy, żeby go przewieźć. Ani huty, żeby go przetopić. Do takiego kraju jak Erytrea można sprowadzić wielki czołg, można z niego strzelać, ale kiedy zepsuje się albo ktoś go spali, właściwie nie wiadomo, co z jego wrakiem zrobić. W cieniu drzewa, w Afryce To już koniec podróży. W każdym razie koniec tego fragmentu, który dotąd opisałem. Teraz jeszcze - w drodze powrotnej - krótki odpoczynek w cieniu drzewa. Drzewo rośnie w wiosce, która nazywa się Adofa i leży niedaleko Błękitnego Nilu, w etiopskiej prowincji Wollega. Jest to ogromny, gęstolistny mangowiec, wiecznie zielony. Kto podróżuje po płaskowyżach Afryki, po bezkresach Sahelu i sawanny, widzi ciągle powtarzający się, zdumiewający obraz: na wielkiej, spalonej słońcem piaszczystej ziemi, na równinach pokrytych wyschniętą, żółtą trawą i rzadko rosnącymi, suchymi i kolczastymi krzewami, co jakiś czas pojawia się samotne, pojedyncze, szeroko rozgałęzione drzewo. Jego zieleń jest bujna i świeża, tak intensywna, że już z dala tworzy widoczną na linii horyzontu wyraźną, nasyconą plamę. Jego liście, choć nigdzie nie ma śladu wiatru, poruszają się i migocą. Skąd to drzewo w tym księżycowo martwym pejzażu? Dlaczego właśnie w tym miejscu? Dlaczego tylko jedno? Skąd czerpie soki? Czasami wypadnie nam jechać wiele kilometrów, nim napotkamy następne takie drzewo. Być może rosło tu dawniej wiele drzew, las cały, ale został on wycięty i spalony, a zachował się tylko ten jeden mangowiec. Wszyscy w okolicy dbali o jego ocalenie, wiedząc, jak ważne jest, aby żył. Bo wokół każdego z tych samotnych drzew leży wioska. Właściwie już z daleka widząc taki mangowiec, możemy śmiało kierować się w jego stronę wiedząc, że spotkamy tam ludzi, odrobinę wody i może coś do jedzenia. Ci ludzie ocalili drzewo, bo bez niego nie mogliby żyć: w tamtym słońcu człowiek, aby istnieć, potrzebuje cienia, a drzewo jest tego cienia depozytariuszem i dawcą. Jeżeli na wsi jest nauczyciel, miejsce pod drzewem służy za klasę szkolną. Rano ściągają tu dzieci z całej wsi. Nie ma klas ni granic wieku, kto chce przychodzić - przychodzi. Pani albo pan przyczepiają do pnia wydrukowany na papierze alfabet. Pokazują kijkiem litery, a dzieci patrzą i powtarzają. Muszą nauczyć się na pamięć - nie mają czym ani na czym pisać. Kiedy zaczyna się południe i niebo bieleje od żaru, w cieniu drzewa kryje się kto może: dzieci i starsi, a jeżeli we wsi jest bydło, również i ono - krowy, owce i kozy. Upał godzin południowych lepiej przeczekać pod drzewem niż w swojej lepiance. W lepiance jest ciasno i duszno, a pod drzewem luźniej i więcej nadziei na przewiew. Godziny popołudniowe są najważniejsze - starsi zbierają się pod drzewem na naradę. Mangowiec jest jedynym miejscem, gdzie mogą zejść się i rozmawiać, gdyż we wsi nie ma żadnego większego pomieszczenia. Ludzie przychodzą tu na takie zebranie pilnie i ochoczo, Afrykanie to natury kolektywistyczne, mające wielką potrzebę uczestniczenia we wszystkim, co jest życiem zbiorowym. Wszelkie decyzje podejmuje się gromadnie, wspólnie rozstrzyga się spory i kłótnie, uchwała, kto ile ziemi dostanie pod uprawę. Tradycją jest, że każda uchwała musi być podjęta jednomyślnie. Jeżeli ktoś ma inne zdanie, większość będzie go przekonywać tak długo, aż zmieni stanowisko. Trwa to czasem w nieskończoność, ponieważ cechą tych dyskusji jest bezgraniczne gadulstwo. Jeżeli we wsi ktoś się z kimś kłóci, to sąd zebrany pod drzewem nie będzie dochodził prawdy ani ustalał, kto ma rację, lecz zajmie się wyłącznie zażegnaniem konfliktu, doprowadzeniem do ugody stron, przyznając słuszność każdej z nich. Kiedy kończy się dzień i zapadają

ciemności, zgromadzenie przerywają zebranie i rozchodzą się do domów. W ciemnościach nie można spierać się, dyskusja wymaga, aby widzieć twarz przemawiającego, zobaczyć, czy jego słowa i oczy mówią to samo. Teraz pod drzewem zbierają się kobiety, przychodzą starcy i ciekawe wszystkich dzieci. Jeżeli mają drewno - palą ognisko. Jeżeli jest woda i mięta - parzą gęstą, esencjonalną herbatę. Zaczyna się czas najprzyjemniejszy, który lubię najbardziej - opowiadania zdarzeń dnia, historii, w których mieszają się fakty i urojenia, rzeczy wesołe z tymi, które budzą lęk. Co tak hałasowało rano w krzakach, takie ciemne i wściekłe? Jaki to dziwny ptak przeleciał górą i zniknął? Dzieci wpędziły kreta do jamy. Rozkopały jamę - kreta nie było. Gdzie się podział? W miarę tych opowieści ludzie zaczynają przypominać, że kiedyś, dawno, starzy opowiadali, iż jakiś dziwny ptak rzeczywiście przeleciał i zniknął, a ktoś pamięta, jak jeszcze pradziad mówił mu, że od dawna coś ciemnego hałasuje w krzakach. Od jak dawna? Odkąd sięga pamięć. Bo granica pamięci jest tu kresem historii. Wcześniej nic nie było. Wcześniej - nie istnieje. Historia to jest to, co się pamięta. Afryka, poza islamską Północą, nie znała pisma, historia była tu zawsze ustnym przekazem, legendą podawaną z ust do ust, mitem zbiorowym tworzonym bezwiednie u stóp mangowca, w głębokich mrokach wieczoru, w których odzywały się tylko drżące głosy starców, bo kobiety i dzieci milczały zasłuchane. Stąd chwila wieczorna jest tak ważna, bo jest właśnie porą, kiedy społeczność zastanawia się, kim jest i skąd pochodzi, uświadamia sobie własną odrębność i inność, określa swoją tożsamość. Jest to godzina rozmowy z przodkami, którzy wprawdzie odeszli, ale i są zarazem, prowadzą nas dalej przez życie, ochraniają przed złem. Wieczorem cisza pod drzewem jest tylko pozorna. W rzeczywistości wypełnia ją wiele najróżniejszych głosów, dźwięków i szmerów. Dobiegają one zewsząd - z wysokich gałęzi, z okolicznego buszu, spod ziemi, z nieba. Lepiej, żebyśmy w takiej chwili byli blisko siebie, czuli obecność innych, bo to dodaje otuchy i odwagi. Afrykanin cały czas czuje się zagrożony. Na tym kontynencie natura przybiera tak monstrualne i agresywne postacie, nakłada tak mściwe i budzące trwogę maski, takie zastawia na człowieka pułapki i zasadzki, że żyje on w poczuciu niepewności jutra, w lęku i trwodze. Wszystko występuje tu w formie zwielokrotnionej, rozpasanej, histerycznie przesadzonej. Jeżeli jest burza - pioruny wstrząsają całą planetą, a błyskawice rozrywają niebo na strzępy, jeżeli ulewa - z nieba wali się lita ściana wody, która za chwilę zatopi nas i wgniecie w ziemię, jeżeli susza - to taka, która nie zostawia kropli wody i umieramy z pragnienia. W stosunkach natura - człowiek nie ma tu nic, co by je łagodziło - żadnych kompromisów, stanów pośrednich, gradacji. Cały czas tylko zmaganie, walka, bój na śmierć i życie. Afrykanin to człowiek, który od urodzenia do śmierci przebywa na froncie, walcząc z wyjątkowo nieprzychylną naturą swojego kontynentu, i już sam fakt, że żyje i potrafi przetrwać, jest jego największym zwycięstwem. Więc jest wieczór, siedzimy pod wielkim drzewem, jakaś dziewczyna podaje mi szklaneczkę herbaty. Słyszę ludzi, których twarze, mocne i lśniące, jakby wyrzeźbione w hebanie, wtopione są w nieruchomą ciemność. Niewiele rozumiem z tego, co mówią, ale ich głosy są poważne i przejęte. Mówiąc, czują się odpowiedzialni za historię swojego ludu. Muszą ją przechowywać i rozwijać. Nikt nie może powiedzieć, przeczytajcie naszą historię w książkach. Bowiem takich książek nikt nie napisał, nie ma ich. Nie istnieje ona poza tą, którą potrafią teraz tu opowiedzieć. Nigdy nie powstanie ich historia zwana w Europie naukową i obiektywną, ponieważ ta, afrykańska, nie zna dokumentów i zapisów, a każde pokolenie, słuchając przekazywanej mu wersji,

zmieniało ją i zmienia, przekształca, modyfikuje i ubarwia. Ale przez to, wolna od ciężaru archiwów, od rygoru danych i dat, historia osiąga tu swoją najczystsza, krystaliczną postać - postać mitu. W tych mitach w miejsce dat i mechanicznej miary czasu - dni, miesiące, lat - występują określenia inne, takie jak: "dawno" - "bardzo dawno" - "tak dawno, że już nikt nie pamięta". Wszystko można w tych terminach pomieścić i ułożyć w hierarchii czasu. Z tym że ten czas nie będzie rozwijał się i układał linearnie, ale przybierze formę ruchu, jaką ma nasza ziemia - obrotową, jednostajnie kolistą. W takiej koncepcji czasu pojęcie rozwoju nie istnieje, a jego miejsce zajmuje pojęcie trwania. Afryka - to wieczne trwanie. Robi się późno i wszyscy rozchodzą się do domów. Zaczyna się noc, a noc należy do duchów. Gdzie, na przykład, zbiorą się czarownice? Wiadomo, że odbywają swoje wiece i narady na gałęziach, zanurzone i ukryte w listowiu. Lepiej nie przeszkadzać im i usunąć się spod drzewa - nie znoszą one, aby je podglądać lub podsłuchiwać. Potrafią być mściwe i prześladować, zaszczepiać choroby, zadawać ból rozsiewać śmierć. Więc miejsce pod mangowcem pozostanie puste do świtu. O świcie na ziemi pojawią się jednocześnie słońce i cień drzewa. Słońce obudzi ludzi, którzy zaraz zaczną przed nim kryć się, szukać ochrony cienia. To dziwne, ale jest prawdą, że życie ludzkie zależy od rzeczy tak ulotnej i kruchej jak cień. Dlatego drzewo, które go użycza, jest czymś więcej niż drzewem - jest życiem. Jeżeli w wierzchołek uderzy piorun i mangowiec spłonie - ludzie nie będą mieli gdzie schronić się przed słońcem ani gdzie się zebrać. Nie mogąc się zebrać, nie zdołają nic zdecydować, niczego postanowić. Ale przede wszystkim nie będą mogli opowiadać swojej historii, która istnieje tylko przekazywana z ust do ust w czasie zebrania wieczornych pod drzewem. Przez to szybko ztracą wiedzę o swoim wczoraj, zagubią jej pamięć. Staną się kimś bez przeszłości, to znaczy - będą nikim. Stracą to co ich łączyło, rozproszą się, każdy pójdzie w swoją stronę, samotny. Ale samotność jest niemożliwa w Afryce, człowiek nie przetrwa dnia, jest skazany na śmierć. Dlatego jeżeli piorun roztrzaska drzewo, zginą również ludzie, którzy żyli w jego cieniu. I tak też jest powiedziane: człowiek nie może przeżyć dłużej niż jego cień. Obok cienia drugą wartością najwyższą jest woda. - Woda jest wszystkim - mówi mędrzec żyjącego w Mali ludu Dogonów, Ogotemmeli. - Ziemia pochodzi z wody. Światło pochodzi z wody. I krew. - Pustynia nauczy cię jednego - powiedział mi saharyjski kupiec wędrowny w Niamey - że jest coś, czego można pragnąć i kochać bardziej niż kobietę. To jest woda. Cień i woda - dwie płynne, niepewne rzeczy, które zjawiają się, a potem znikają nie wiadomo gdzie. Dwa rodzaje życia, dwie sytuacje: każdego, kto znajdzie się po raz pierwszy w jednym z amerykańskich supermarketów, w owych gigantycznych, niekończących się mallach, porazi bogactwo i różnorodność zgromadzonych tam towarów, obecność wszelkich możliwych przedmiotów, jakie człowiek wynalazł i wytworzył, a następnie zwiózł, upchał i spiętrzył, sprawiając, że klient nie potrzebuje o niczym myśleć - że pomyślano już za niego wcześniej i teraz oto wszystko ma gotowe i pod ręką. Świat przeciętnego Afrykanina jest inny - to świat ubogi, najprostszy, elementarny, zredukowany do kilku przedmiotów - jednej koszuli, jednej miski, garści ziarna, łyka wody. Jego bogactwo i różnorodność wyrażają się nie w postaci materialnej, rzeczowej, dotykanej i widocznej, ale w tych symbolicznych wartościach i znaczeniach, jakie przydaje on rzeczom najzwyklejszym, przez nie wtajemniczonych niedostrzegalnym, bo nijakim. Oto pióro koguta może być uznane za latarnię oświetlającą drogę w ciemnościach, a kropla oliwy - za tarczę chroniącą przed kulami. Rzecz nabiera wagi symbolicznej, metafizycznej, ponieważ tak zdecydował

człowiek, który przez swój wybór uwznioślił ją, przeniósł w inny wymiar, w wyższą sferę bytu - do transcendencji. Kiedyś w Kongo zostałem dopuszczony do tajemnicy: mogłem zobaczyć szkołę inicjacji chłopców. Po skończeniu tej szkoły stawali się dorosłymi mężczyznami, mieli prawo głosu na zebraniach klanu, mogli zakładać rodzinę. Europejczyk zwiedzając tę arcyważną w życiu Afrykanina szkołę będzie zdumiewać się i przecierać oczy. Jak to! Przecież tu nic nie ma! Ani ławek, ani tablicy! Trochę kolczastych krzaków, kępy suchej trawy, zamiast podłogi - szary spopielał piasek. To ma być szkoła? A jednak młodzi ludzie byli dumni i przejęci. Dostąpili wielkiego zaszczytu. Wszystko bowiem opierało się tu na społecznej umowie traktowanej bardzo serio, na akcie głębokiej wiary: tradycja uznawała, że miejsce, w którym przebywali ci chłopcy, było pomieszczeniem szkoły klanowej, która wprowadzała ich w życie, a tym samym miało status uprzywilejowany, dostojny, nawet - święty. Błaha rzecz staje się czymś ważnym, ponieważ tak o tym zdecydowaliśmy. Nasza wyobraźnia namaściła ją i wywyższyła. Dobrym przykładem takiej nobilitującej transformacji może być płyta Leshiny. Kobieta o nazwisku Leshina mieszkała w Zambii. Miała około czterdziestu lat. Handlowała na ulicach miasteczka Serenge. Niczym szczególnym się nie odznaczała. Były to jeszcze lata sześćdziesiąte i w różnych zakątkach świata spotykało się gramofony na korbkę. Leshina miała taki gramofon i jedną doszczętnie wytartą i zużytą płytę. Na płycie nagrane było przemówienie Churchilla z 1940 roku, w którym wzywał on Anglików do wyrzeczeń i poświęceń wojennych. Na swoim podwórku kobieta ustawiała gramofon i kręciła korbką. Z metalowej, na zielono pomalowanej tuby wydobywał się zachrypły, niski, dudniący pomruk i bulgotanie, w którym pobrzmiwały jakieś echa patetycznego głosu, ale niezrozumiałe już i pozbawione sensu. Gromadzącej się i z czasem coraz liczniejszej gawiedzi Leshina tłumaczyła, że to głos boga mianujący ją swoją wysłanniczką i nakazujący bezwzględny posłuch. Zaczęły do niej ściągać tłumy. Jej wyznawcy, na ogół biedota bez grosza przy duszy, nadludzkim wysiłkiem zbudowali w buszu świątynię i zaczęli odprawiać w niej modły. Na początku każdego nabożeństwa huczący bas Churchilla wprowadzał ich w ekstazę i trans. Ale przywódcy afrykańscy wstydzą się takich religijnych manifestacji i prezydent Kenneth Kaunda wysłał przeciw Leshinie wojsko, które w miejscu jej kultu wymordowało kilkuset niewinnych ludzi, a czołgi obróciły z gliny ulepioną świątynię w pył. Będąc w Afryce, Europejczyk widzi tylko jej część - zwykle jedynie zewnętrzną powłokę, często zresztą nie najciekawszą i może najmniej ważną. Jego wzrok ślizga się po powierzchni, nie przenikając dalej i jakby nie wierząc, że za każdą rzeczą może kryć się jakaś tajemnica i że ta tajemnica jest również w niej. Ale kultura europejska nie przygotowała nas do tych wypraw w głąb, do źródeł innych światów i kultur. Dramat kultur bowiem - w tym również europejskiej - polegał w przeszłości na tym, że ich pierwsze wzajemne kontakty były najczęściej domeną ludzi najgorszego autoramentu - rabusiów, żołdactwa, awanturników, przestępców, handlarzy niewolników itp. Zdarzali się, rzadko, i inni - poczciwi misjonarze, zapaleni podróżnicy i badacze, ale ton, standard, klimat tworzyła i nadawała wiekami międzynarodówka grabieżczej hołoty. Oczywiście nie w głowie im było poznawanie innych kultur, szukanie z nimi wspólnego języka, szacunek dla nich. W większości byli to ciemni, tępi najemnicy bez ogłady i wrażliwości, często analfabeci. Interesował ich tylko podbój, rabunek, rzeź. W wyniku takich doświadczeń kultury - zamiast wzajemnie poznawać się, zbliżać i przenikać - stawały się wobec siebie wrogie, w najlepszym razie - obojętne. Ich przedstawiciele - poza owymi łotrzykami - trzymali się na dystans,

unikali się, bali. To zmonopolizowanie międzykulturowych związków przez klasę ciemniaków zdecydowało o złym stanie ich wzajemnych stosunków. Relacje międzyludzkie zaczęły być ustalane zgodnie z najbardziej prymitywnym kryterium - koloru skóry. Rasizm stał się ideologią, według której ludzie określali swoje miejsce w porządku świata. Biali-Czarni: w tej relacji obie strony czuły się często źle. W 1894 roku Anglik Lugard na czele małego oddziału posuwa się w głąb zachodniej Afryki, aby opanować królestwo Borgu. Najpierw chce się spotkać z jego królem. Ale naprzeciw wychodzi mu wysłannik i oznajmia, że władca nie może go przyjąć. Wysłannik ów, rozmawiając z Lugardem, bez przerwy spluwa w zawieszony na szyi bambusowy pojemnik: spluwanie to ochrona i oczyszczenie przed skutkami kontaktu z białym człowiekiem. Rasizm, nienawiść do innych, pogarda i chęć ich wytępienia mają swoje korzenie w stosunkach kolonialnych w Afryce. Tam zostało już wszystko wymyślone i wypraktykowane na stulecia wcześniej, nim systemy totalitarne przeszczepiły owe ponure i haniebne doświadczenia do Europy XX wieku. Innym skutkiem tego, że monopol na kontakty z Afryką miała wspomniana klasa ciemniaków, jest fakt, że w językach europejskich nie rozwinęło się słownictwo pozwalające adekwatnie opisać inne, nieeuropejskie światy. Całe wielkie dziedziny życia Afryki pozostają niezgłębione, nawet nietknięte z powodu pewnego ubóstwa języków europejskich. Jak opisać mroczne, zielone, duszne wnętrza dżungli? Te setki drzew i krzewów - jakie mają nazwy? Znam takie nazwy jak "palma", "baobab", "euforbia", ale te właśnie drzewa w dżungli nie rosną. A te wielkie, dziesięciopiętrowe drzewa w Ubangi i Ituri - jak się nazywają? Jak nazwać te najróżniejsze insekty, które spotyka się tu wszędzie, które bez przerwy atakują nas i gryzą? Czasem można by znaleźć nazwę łacińską, ale co ona wyjaśni przeciętnemu czytelnikowi? To tylko kłopoty z botaniką i zoologią. A cała wielka dziedzina psychiki, wierzeń, mentalności tych ludzi? Każdy język europejski jest bogaty, ale bogaty w opisie własnej kultury, w przedstawianiu własnego świata. Gdy usiłuje wejść na teren innej kultury i opisać ją - ujawnia swoją ograniczoność, niedorozwój, semantyczną bezradność. Afryka to tysiące sytuacji. Najróżniejszych, odmiennych, najbardziej sobie przeciwnych. Ktoś powie: - Tam jest wojna. I będzie miał rację. Ktoś inny: - Tam jest spokojnie. I też będzie miał rację. Bo wszystko zależy od tego - gdzie i kiedy. W czasach przedkolonialnych - a więc nie tak dawno - w Afryce istniało ponad dziesięć tysięcy państw, królestw, związków etnicznych, federacji. Historyk z Uniwersytetu Londyńskiego Ronald Oliver w swojej książce *The African Experience* (Nowy Jork 1991) zwraca uwagę na upowszechniony paradoks: przyjęło się bowiem mówić, że kolonialiści europejscy dokonali podziału Afryki. - Podziału? - zdumiewa się Oliver. - To było brutalne, ogniem i mieczem przeprowadzone zjednoczenie! Liczba dziesięciu tysięcy została zredukowana do pięćdziesięciu. Ale wielu z tej różnorodności - z tej mozaiki, z mieniającego się w oczach obrazu ułożonego z kamyków, kostek, muszelek, drewniek, blaszek i listków - zostało. Im bardziej się w ten obraz wpatrujemy, widzimy, jak cząstki tej układanki na naszych oczach wymieniają się miejscami, kształtami i barwami, aż powstaje widowisko oszałamiające swoją zmiennością, bogactwem, kolorowym rozedrganiem. Kilka lat temu Wigilię Bożego Narodzenia spędzałem ze znajomymi w Parku Narodowym Mikumi, w głębi Tanzanii. Wieczór był ciepły, pogodny, bezwietrzny. Na polanie w buszu, pod odkrytym niebem, stało kilka stołów. Na stołach - smażone ryby, ryż, pomidory, lokalne piwo pombe. Palły się świece, kaganki, lampy naftowe. Panowała przyjemna, luźna atmosfera. Jak to w Afryce przy takich okazjach - dużo opowieści, dowcipów, śmiechu. Byli tam ministrowie rządu

Tanzanii, ambasadorzy, generałowie, wodzowie klanów. Minęła północ. Nagle poczułem, jak nieprzenikniona ciemność, która zaczynała się tuż za oświetlonymi stołami, kołysze się i dudni. Trwało to krótko. Łoskot szybko narastał i oto tuż zza naszych pleców, z głębi nocy, wyłonił się słoń. Nie wiem, czy ktoś z was znalazł się kiedyś oko w oko ze słoniem, ale nie w zoo czy w cyrku, lecz w afrykańskim buszu, w tym miejscu, w którym słoń jest groźnym panem świata. Na jego widok ogarnia człowieka śmiertelne przerażenie. Słoń-samotnik, odłączony od stada, to często zwierzę w amoku, rozszalały napastnik, który rzuca się na wioski, trątuje lepianki, zabija ludzi i bydło. Słoń jest naprawdę duży, ma przenikliwe, świdrujące spojrzenie i milczy. Nie wiemy, co się w jego potężnym łbie dzieje, co robi za sekundę. Stoi chwilę, a potem zaczyna się przechadzać między stołami. Przy stołach martwa cisza, wszyscy siedzą znieruchomiali ze strachu, sparaliżowani. Nie można się ruszyć, bo a nuż wyzwoli to jego furję, a jest szybki, przed słoniem się nie ucieknie. Z drugiej strony, siedząc nieruchomo, człowiek wystawia się na jego atak: ginie się zmiażdżonymi nogami olbrzyma. Więc słoń przechadza się, patrzy na zastawione stoły, na światło, na zmartwiałych ludzi. Widać po jego ruchach, po kołysaniu głowy, że waha się, ciągle nie może podjąć decyzji. Trwa to i trwa w nieskończoność, całą lodowatą wieczność. W pewnym momencie chwytam jego spojrzenie. Patrzył na nas uważnie, ciężko, była w tych oczach jakaś głęboka, nieruchoma posępność. W końcu, obszedłszy kilka razy stoły i polanę, słoń zostawił nas, odszedł i roztopił się w ciemnościach. Kiedy ustało dudnienie ziemi i mrok znieruchomiał, ktoś z siedzących koło mnie Tanzańczyków spytał: - Widziałeś? - Tak - odparłem, na wpół jeszcze zmartwiał. - To był słoń. - Nie - odpowiedział. - Duch Afryki przybiera zawsze postać słonia. Bo słonia nie może pokonać żadne zwierzę. Ani lew, ani bawół, ani wąż. W ciszy wszyscy rozeszli się do lepianek, a chłopcy pogasili na stołach światło. Była jeszcze noc, ale zbliżała się najbardziej olśniewająca chwila w Afryce - moment świtu.